

FELIKS W.

# KRES

GROMBE

LARDZKA

LEGENDA

---

WSTĘGI

ALERU

KSIĘGA

CAŁOŚCI

TOM 4



# Spis treści

Karta tytułowa

Księga całości

Prolog Korona Shergardów

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Część pierwsza Władczyni świata

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Część druga Wiatr i deszcz

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

## Część trzecia Prawa Całości

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Epilog

Mapa

Feliks W. Kres

Księga całości

Karta redakcyjna

Okładka

F E L I K S W.

# K R E S

GROMBELARDZKA  
LEGENDA

---

WSTĘGI ALERU

K S I Ę G A  
C A Ł O Ś C I

## T O M 4

ILUSTRACJE  
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

## KSIEGA CAŁOŚCI

1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda. Serce Gór
4. Grombelardzka legenda. Wstęgi Aleru
5. Pani Dobrego Znak. Wieczne Cesarstwo
6. Pani Dobrego Znak. Wieczny pokój
7. Porzucone królestwo
8. Żeglarze i jeźdźcy
9. Tarcza Szerni
10. Szerń i Szerer





# **Prolog**

## **Korona Shergardów**



**N**adciągał zmierzch. Zimny deszcz bezlitośnie chłostał skały, przewalając się po zboczach gór w gęstniejących, to znów rzędzących tumanach. Wiatr szarpał strużki wody wyrywane chmurom, stłoczonym nad szarą ziemią Grombelardu.

Ciężkie Góry trwały – niewzruszone.

Rzęsisty deszcz przemienił się w ulewę. Jaskrawa błyskawica załśniła na tle posępnego sklepienia, które aż trudno było zwać niebem. Huk grzmotu runął między szczyty razem z prawdziwymi kaskadami wody. W jednej chwili pośród piargów spieniły się setki rozwścieczonych strumieni; kamienie biegły w dół po pochyłościach, czasem się spiętrzały, tworząc zapory, rozbijane zaraz ciosami kipieli.

Większe głazy trwały nieporuszenie.

W szarym świetle wieczoru, pośród ulewy, zamajaczyły niewyraźne sylwetki dwóch ludzi. Przygięci do ziemi, objuczeni pakunkami i bronią, mozolnie posuwali się naprzód wzdłuż krętej ścieżki górskiej, która była teraz korytem rozgniewanego strumienia.

Nieopodał, ciasno skupione, leżały duże kamienie, omywane falami dżdżu.

Ludzie wytrwale pięli się po zboczu.

Uderzenie pioruna wstrząsnęło strugami deszczu – a gdy huk przebrzmiał, dało się słyszeć rozfalowany głos, będący upiorną namiastką mrukliwego, niewyraźnego śmiechu. Głos ten, pośród ulewy i wiatru, mógł być złudzeniem... ale nie był, bo oto skupione przy ścieżce kamienie ożyły. Ludzie zastygli w bezruchu, po czym jeden krzyknął ostrzegawczo, chwytając towarzysza za ramię.

Niesamowite istoty rozrywały firanę deszczu, posuwając się w dół stoku ogromnymi skokami, zupełnie nieczułe na uderzenia wiatru.



Mokre koty to widok groteskowy i prawie żałosny: łapy i ogony, oblepione sierścią, zdają się być przeraźliwie chude; podobnie łby, dziwnie naraz podobne do psich. Kilkanaście takich stworzeń rzuciło się na ludzi, obalając ich i zamykając w ruchliwym kłębie. Mokry gadba, kot olbrzym, zaiste wyglądał groteskowo. Powaleni mężczyźni ujrzeli więc groteskową śmierć.

Rwąca w dół stoku woda nagle poczerwieniała.

## ROZDZIAŁ 1



Znowu leje... Dlaczego ja tu mieszkam? Malutka jaskinia, wyżłobiona w skalnej ścianie, dobrze chroniła przed deszczem. Wysokie na trzy łokcie wejście zasnute było szarą tkaniną dżdżu, ale w głębi jaskini sklepienie uciekało do góry, ściany zaś na boki. Niewielką, wcale suchą i przytulną izbę oświetlał oliwny kaganek – przedmiot w jakiś sposób nie na miejscu pod nierówną skałą; pasowałoby tu raczej łuczywo. Pozaczepiane o różne nierówności i krawędzie skał, suszyły się sztuki odzienia. Przy samym wejściu wisiał pas z krótkim mieczem. Zupełnie naga kobieta wylegiwała się na wojskowym płaszczu, z nogami rozłożonymi w taki sposób, jakby zapraszała wszystkich mężczyzn świata. Pod głową miała kołczan, z którego wysuwały się pierzaste pociski, ustępujące widać miejsca czarnemu warkoczowi leżącej, który z jakichś przyczyn tkwił w kołczanie. Właścicielka warkocza oderwała zębami kęs zimnego mięsa, wiszący u wielkiej baraniej łopatki, i przeżuwała powoli, nieruchomo spoglądając na ścianę deszczu przed jaskinią.

– No? Dlaczego? – powtórzyła z pełnymi ustami; dźwięczne armektańskie słowa bardzo niezwykle brzmiały w sercu Grombelardu. – Powiedz, dlaczego siedzisz w tej norze, zamiast wyjechać gdzieś, byle dalej. Przecież chyba ci zimno, hm?

Rzeczywiście chłód był dojmujący, choć podmuchy wiatru nie miały do jaskini przystępu. Jeśli jednak leżąca odczuwała zimno, to jej muskularne ciało nie wiedziało o tym – nie drżało ani nie pokryło się gęsią skórką. Tylko sutki małych piersi sterczały, twarde jak kamyki. Widać z troski o nie kobieta sięgnęła ręką do tyłu i namacała gruby pled. Pociągnęła go ku sobie i okryła się byle jak, nie przerywając jedzenia.

– Ou... – powiedziała, skończywszy z łopatką – cóż to był za baranek! Na pewno miał sto lat. Pieczeń z historii Szereru, naprawdę.

Ulewa na zewnątrz zelżała, za to zmierzch czynił postępy. Wejście do jaskini coraz słabiej odcinało się od czerni skał.

Kobieta odrzuciła pled i wstała.

W najdalszym zakamarku jaskini, pośród jakichś szmat i tłumoków,

leżał nieruchomy kształt, okryty peleryną. Czarnowłosa podeszła doń i kucnęła obok. Odchyliła przykrycie. W półmroku słabo majaczył kontur mizernej, zarośniętej twarzy. Brudny opatrunek na czole przesiąknięty był krwią.

Oczy leżącego rozwarły się powoli. Błyszczały gorączką.

– No proszę – powiedziała. – Jedno spojrzenie na dwa dni... Czy tak już zostanie?

– Umieram... Łowczyni – rzekł mężczyzna cicho i chrapliwie.

Był Dartańczykiem. Synem Złotej Prowincji, kraju będącego zupełnym przeciwieństwem Grombelardu. Tu, w Ciężkich Górach, powszechnie uważano przedstawicieli tego narodu za zniewieściałych, rozpieszczonych dostatkami tchórzów.

Pochyliła się, szukając czegoś pośród tobołków.

– Są dwa rodzaje chorych – mówiła w ojcystym języku rannego, trochę go kalecząc. – Ci, co wyzdrowieją, i ci, co umrą. Jedni i drudzy powinni jak najszybciej zrobić swoje. Inaczej męczą siebie i innych.

Znalazła skórzany wór, w którym coś chlupotało. Napiła się, po czym przytknęła otwór wora do ust leżącego. Zakasłał, wino pociekło po brodzie i policzku. Odetchnął kilka razy.

– Umrę.

Kobieta przygryzła wargi. Pomimo lekko rzucanych słów w jej spojrzeniu było sporo smutku.

– Myślę, że tak – powiedziała cicho.

Wyciągnęła rękę, dotykając szorstkiego policzka mężczyzny. Był rozpalony. Jednak ranny uśmiechnął się blado.

– Dziękuję – rzekł. – Nareszcie widzisz we mnie mężczyznę, który zdoła... przyjąć każdą prawdę. Długo czekałem... Łowczyni, czy mogę... ci zaufać?

Zmarszczyła szerokie brwi; pytanie było nieoczekiwane. Wzruszyła ramionami.

– No... nie wiem, naprawdę – powiedziała. – Czy chodzi o eliksir młodości? W takim razie zaufaj mi koniecznie. Nie uronię ani kropli, bo pochłonę go razem z flakonem.

Słaby śmiech rozbrzmiał krótko, urywanie.

– Czujesz się stara, Łowczyni?

– Jak te skały.

Przez chwilę milczeli.

– Powiedz mi... czy sprowadziłaś śmierć na tych żołnierzy w Czarnym Lesie? Czy to... co mówiono, jest prawdą?

Przymknęła oczy.

– Nie.

– No to posłuchaj... i zapamiętaj, bo wątpię, czy zdołam powtórzyć. Słuchasz?

- Słucham. Czy na pewno chcesz...
- Na pewno. Mogę i chcę ci zaufać.

o o o

Najpierw długo leżała, nie mogąc zasnąć. Rozmyślała o przedziwnej tajemnicy, do której ją dopuszczono.

Dartańczyk... Dartańczyk w Ciężkich Górach. Czyżby naprawdę człowiek, który jeszcze przed paroma laty był halabardnikiem w dalekiej Rollaynie, miał dokonać najdziwniejszego odkrycia w dziejach Grombelardu? Niewiarygodne. Cóż za kaprys losu.

Zapadła w krótką, niespokojną drzemkę, pełną majaków. Krążyła w nich po skalnym labiryncie, zagubiona, rozpaczliwie próbując się wyrwać, znaleźć wyjście... Daremnie.

Obudziła się spocona mimo zimna. Usiadła, obejmując dłońmi ramiona.

- Kareniro...

Po raz pierwszy powiedział jej imię.

Kiedyś nie lubiła tego człowieka. Prawie nienawidziła. Ciężkie Góry nie były miejscem dla Dartańczyka. On jednak sądził inaczej. I dowiódł słuszności swych racji, szybko wyrastając na znanego przewodnika po najbardziej niebezpiecznych rejonach Ciężkich Gór.

A jednak Grombelard go nie chciał.

Zwykły przypadek sprawił, że znalazła konającego. Przywlokła do jednej ze swych kryjówek. Majaczył. „Skąd ja mogłem wiedzieć, że to ona?” – pytał bez przerwy w malignie. „Skąd mogłem...?”

Dopiero teraz poznała całą historię. I dowiedziała się, kim jest „ona”.

- Kareniro.

Zanim położyła się spać, zdmuchnęła płomień kaganka. Teraz po omacku, na czworakach, popełzła do posłania rannego.

- Jestem.

- Pamiętasz wszystko?

- Pamiętam.

Przez chwilę słyszała tylko jego wysilony oddech.

- Pamiętaj, żeby iść przez deszcz... Pamiętajsz? Przez deszcz, od rana...

- mówił pospiesznie. - Od przełomu Medevy... Ona tam będzie. Nie pozwól, żebym...

Zrozumiała, że znów majaczy w gorączce. Odszukała dotykiem rozpaloną twarz.

- Dobrze, pamiętam.

Pochwycił słabo jej dłoń i uspokoił się.

- Łowczyjni...

– Jestem.

– Pocałuj mnie. Tylko raz. Zawsze uważałem, że jesteś... zawsze chciałem... żeby tak jak ty...

Pochyliła się, znajdując jego usta. Były gorące jak ogień.

– Łowczyni – powiedział jeszcze – byłem dobrym przewodnikiem...

Odepchnął ją lekko.

Wróciła na swoje posłanie. Już nie zasnęła tej nocy.

Chyba słyszała, jak umarł.

## ROZDZIAŁ 2



O dzienie nie wyszło do końca. Ale dosuszenie czegokolwiek w wiecznej grombelardzkiej wilgoci było niepodobieństwem. Ognisko – tak, zapewne. Ale w wysokich partiach gór łatwiej można by znaleźć złote monety niż opał.

Z trudem wciągnęła krótką, porozcinaną na udach spódnicę, potem koszulę i futrzany kaftan. Wbiła nogi w mocne buty. Wreszcie zabrała z jaskini wszystko, co warto było zabrać: więc broń, bukłak z winem, trochę żywności, dwa wojskowe płaszcze i pled. Ponadto kilka drobiazgów. Objuczona jak muł, wyszła na zewnątrz. Już nie padało, poranna ulewa minęła.

Tutaj, w okolicach Rahgaru, bywała rzadko. Jaskinia posłużyła jej ledwie dwa razy... i nie posłuży nigdy więcej. Stanie się grobowcem przebiegacza gór.

Takich wnęk było w tych stronach bez liku. Wiedziała, że nim dzień minie, znajdzie sobie nową.

Nie tarasowała wejścia. Sępy nie mogły dostrzec zwłok w takim miejscu. Nic innego tak wysoko w Ciężkich Górach nie żyło.

Vilan, Dartańczyk, który pokochał grombelardzkie szczyty, miał już zawsze oglądać deszcz, zasnuwający wejście do jaskini.

o o o

Nie miała do nich szczęścia... Od kilkunastu lat chodziła po Ciężkich Górach (prawda, że zwykle w okręgach Grombu i Badoru), a dotąd nie знаła jednej z żywych legend Grombelardu.

„Mordercy z Rahgaru”. Gadba, grombelardzkie koty olbrzymy.

Oczywiście widziała już gadba. Także w legiach. Ale w Rahgarze istniał, jedyny w całym imperium, oddział gwardii złożony wyłącznie z kotów. Były postrachem górskich rozbójników i grasujących po gościńcu rzezimieszków. Kilkakrotnie już wybierała się do Rahgaru tylko po to, by obejrzyć sobie oddział kocich wojowników. Zawsze coś

stanęło na przeszkodzie.

Teraz znowu.

Nie, nie miała do nich szczęścia.

Chociaż... Kapryśny los ustanowił ją spadkobierczynią dziwnej tajemnicy. Mogło się okazać, że niezwykli wojownicy w kocich kolczugach i hełmach sami do niej przyjdą. Legia Grombelardzka dość dobrze wiedziała, o czym wiatr w górach szumi. To, o czym szumiał teraz, musiało być dla wojska bardzo zajmujące.

Czy Dartańczyk był przy zdrowych zmysłach? Czy nie majaczył w gorączce, przekazując jej swą wiedzę? W Grombelardzie wszystko było możliwe, tak powiadano. Ale czy naprawdę wszystko?

Grombelard. Druga Prowincja. Kraj Chmur, Kraj Gór... Nazywano go setką imion. Przede wszystkim jednak był krainą przeklętą przez Szerń, pobojowiskiem. Nad Grombelardem Szerń toczyła przed wiekami największe zmagania z obcą i wrogą mocą – Alerem. Powiadano, że nieustanny deszcz miał zmywać piętno, wyciśnięte na tej ziemi przez znienawidzoną mroczną Potęgę.

Ale był też Grombelard najstarszą krainą Szereru. Pośród szczytów, przełęczy i grani można było znaleźć ślady po dawnych jego mieszkańcach: zrujnowane twierdze, niewiele różniące się od skalnych rumowisk; resztki dróg, a nawet pozostałości gigantycznych mostów kamiennych przerzucanych – z pomocą samej Szerni chyba – nad bezdennymi przepaściami...

Konający przewodnik żądał od swej zesłanej przez los powierniczki właśnie spotkania, oko w oko, ze spuścizną po starożytnych Shergardach.

Ruszyła na północ.

Miała czas. Dużo czasu. Doskonale wiedziała, że pozostanie w Ciężkich Górach już na zawsze. Próbowwała raz uciec; nie udało się. Teraz mogła chodzić, szukając czegokolwiek. Choćby zwidów bredzącego w malignie Dartańczyka.

Tym bardziej że jeśli nie były zwidami...

Zwróciła spojrzenie ku niebu, oceniając, kiedy znów zacznie padać.

Na północny wschód od Rahgaru wznosił się masyw Medevenu, zwany też czasem Koroną. Przedziwne miejsce, ale w Ciężkich Górach zdumiewające krajobrazy nie były rzadkością. Medeven tworzyło siedem gór, wspierających się barkami, odgradzonych przepaścistym wąwozem od reszty Gór Ciężkich i opasanych rwącą Medewą. Potężne szczyty, zgrupowane w kręgu, istotnie przywodziły na myśl zębatą koronę. Pomiędzy nimi była kotlina, w której krążyło jezioro. Tak właśnie: krążyło. Rozszalała Medeva przebiła gdzieś podziemny korytarz, którym wtłaczała swe nurty w kotlinę. Wody jeziora obracały się z odwieczną, cierpliwą powolnością. Mówiono, że pełen obrót trwał

trzy dni. Co mogło, ale nie musiało być prawdą.

Karenira raz tylko zawędrowała aż do przełomu Medevy. Chciała zbadać Koronę, ale bardziej ciekawa była „morderców”, poszła więc najpierw do Rahgaru. Do miasta oczywiście nie dotarła – i Korony też nie obejrzała.

Teraz jednak miało być inaczej.

Dojście do masywu pochłonąć musiało kilka dni. Najpierw należało obejść niedalekie źródła Medevy – rzeki, która buchała z ziemi od razu z szaloną furią, tworząc największy wodospad świata, po czym biegła w dół Grombelardu, nieokiełznana i zabójcza. Ponoć nikt nigdy nie zdołał się przez nią przeprawić.

Łowczyni znała Góry i wiedziała, że nie trzeba rzucać im zbędnych wyzwania. Chociaż z drugiej strony, znalezienie przeprawy przez Medevę mogło okazać się kiedyś bardzo użyteczne. Jej bezpieczeństwo – samotnej kobiety w górach – zależało czasem od znajomości szlaków, o których nikt inny nie wiedział. Teraz jednak zbyt była ciekawa testamentu Vilana, by szukać przepraw przez jakąś rozszalałą rzekę.

Szła bez pośpiechu, lecz wytrwale i z tą niezwykłą pewnością, jaką może dać tylko doskonała znajomość bezdroży.



## ROZDZIAŁ 3



Wstawał szary świt. Nie padało. Silny wiatr pchał skłębione chmury, rozdzierając je na ostrzach grombelardzkich szczytów. Jakiś wysoki prąd rozerwał ciemny całun i zepchnął w bok jego strzępy. Wschodzące słońce zapaliło dwa zęby Korony. Potem zgasło, od nowa zasnuwane chmurami.

Wzdłuż poszarpanego wąwozu, którego dnem pędziła Medeva, posuwała się grupka złożona z dwunastu ludzi. Szli jeden za drugim, bo wąski szlak nie pozwalał na marsz w innym szyku. Byli podobnie ubrani i wyposażeni: wszyscy nosili grube spódnice i płaszcze, wojskowe lub podobne do wojskowych; wszyscy dźwigali wypchane sakwy z koziej skóry. Uwagę zwracała mnogość oręża – każdy członek oddziału miał miecz, grombelardzkim zwyczajem przewieszony przez plecy, a w rękę mocną kuszę.

Oddział prowadziła czarnowłosa i zielonooka, dwudziestoparoletnia dziewczyna o niespotykanej urodzie – dzikiej i pierwotnej, jak u armeckańskiej stepowej pantery. Spojrzenie i ruchy miała prawdziwie kocie, ale w sensie najzupełniej dosłownym. Szła pozornie rozluźniona, prawie nieuważna, lecz tuż pod powierzchnią owej niedbałości widać było gotowość do natychmiastowej reakcji. Mogłaby pewnie zabić, nawet o tym nie wiedząc – jej ciało odparłoby niespodziewany atak szybciej, niż myśl pochwyiłaby, że nastąpił.

Dziewczyna była królową gór i grombelardzkich rozbójników. Nazywała się Kaga, co znaczyło „kotka”.

W samej rzeczy, była i człowiekiem, i kotem. Jako dziecko porzucona na badorskiej ulicy, wychowała się w złodziejskiej kociej grupie. Mając lat dwadzieścia cztery, wciąż lepiej rozumiała koty niż ludzi.

Nie wiedziała prawie nic o niczym, znała wyłącznie swoje góry. Nie znała żadnego języka poza grombelardzkim. Nigdy nie miała na sobie sukni, ani nawet mieszczkańskiej sukienki; w nieprzekłutych uszach nigdy nie zamigotały kolczyki. Widziała w życiu dwa miasta, uchodzące w Grombelardzie za wielkie – Bador i Gromb. W Dartanie nie byłyby nawet miasteczkami obwodowymi. Znała górskie stacje, zwane wysokimi wioskami. I dowodziła ludźmi, którzy wszyscy byli tacy jak

ona. Góralami znajdującymi tylko skały, wiatr i deszcz.

Od tygodnia z okładem prowadziła grę, której nie zdołałby podjąć nikt inny: wymykała się „mordercom z Rahgaru”. Nie uchodziło to całkiem bezkarnie – straciła już połowę swoich ludzi. Jednak ciągle żyła i miała oddział pod bronią.

Siedem gór – oto był cały teren, na którym prowadziła swe podchody. Była odcięta w masywie Medevenu. Śmiertelna pętla rzeki otaczała ją; jedyne wyjście z pętli kontrolowali koci gwardziści. Drugi oddział podążał w trop za nią. Należało się przebić. Miała jeszcze dość sił, by móc liczyć na sukces. Ale odejście z Korony oznaczało przegraną; nie znalazła tego, po co przyszła.

Szlaki wytyczone w górach przez ludzi rzadko są dogodny dla kotów. Skalna ściana, niewysoka i poznaczona pęknięciami, bywała dla gwardzistów gadba przeszkodą nie do pokonania. Kaga dobrze o tym wiedziała. Ale wiedziała też, że skalna półka szerokości dłoni stanie się dla kociego oddziału gościńcem, podczas gdy jej ludzie z narażeniem życia będą czepiać się skał. Unikała takich miejsc. I jak dotąd – prowadziła po mistrzowsku.

Trwały podchody dwóch orężnych grup, z których każda szukała własnych, dogodnych dróg.

Oddział się zatrzymał. Kręty szlak wiódł skrajem przepaści, ale skalne ściany podchodziły już do samej krawędzi. Pole widzenia stało się bardzo ograniczone. Za każdym zakrętem „ścieżki” mogli spotkać wroga. Kaga wątpiła, by koty znajdowały się przed nią. Jednak wysłanie awangardy uważała za konieczne. Dwukrotnie już w ciągu minionego tygodnia tylko dzięki wysunięciu straży przedniej uniknęli zasadzki. Prawda, że za każdym razem ceną było życie zwiadowców.

Obejrzała się na swoich. Wymieniła dwa imiona i mężczyźni natychmiast ruszyli przodem. Zdziwił autorytet, jakim cieszyła się młoda dowódczyni.

Od niespełna trzech lat. Tyle czasu minęło od chwili, gdy słuch zaginął o legendarnym Basergorze-Kragdobie, największym rozbójniku, jakiego znał Szerer.

Był dla niej niedościgłym wzorem.

Basergor-Kragdob znaczyło tyle co Władca Gór Ciężkich. Wojenny przydomek Kagi brzmiał krócej, ale bardziej wymownie: Hel-Krehiri. Królowa lub Pani Łez.

Była najbardziej okrutną i bezwzględną istotą, jaką nosiła ziemia Grombelardu. W sercu tej dziewczyny kocia bezdusność i niezdolność do współczucia walczyły o lepsze z ludzką mściwością i fałszem. O ile dawny król rozbójników prędzej chyba był podziwiany niż nienawidzony przez cesarskich legionistów, o tyle Hel-Krehiri niczego prócz nienawiści rozbudzić nie umiała. Ścigano ją jak dzikie zwierzę.

Górskie imperium Basergora-Kragdoba rozsypywało się w gruzy. Kiedyś pozwalano mu istnieć, bo legendarny rozbójnik zrobił to, czego nikt przed nim zrobić nie potrafił: zaprowadził w Grombelardzie ład. Ściągał haracz od każdego, kto miał złoto. Ale ujarzmił też i podporządkował sobie wszelką hołotę – rozbójnicy, rzezimieszki i złodzieje bali się go bardziej niż kupcy.

Teraz było inaczej. Kragdob był mężczyzną; Hel-Krehiri kobietą. Nie miała żadnego pomysłu, co chciałyby w życiu osiągnąć. Kragdob czegoś pragnął i ku czemuś zmierzał – ona nie. Kochała więc drogę donikąd. Wędrówki po górach, walki i zwycięstwa, a więc środki wiodące Króla Gór do celu, były dla niej celem samym w sobie. Kochała schody, po których wspinał się poprzednik, nie będąc zdolna nawet do myślenia o tym, czy na szczycie schodów znajdzie drzwi do jakiejś komnaty.

Oddział szedł skrajem urwiska.

Droga była niepewna; Kaga nie знаła jej. Szlak wzdłuż przepaści mógł ciągnąć się przez pół mili albo – równie dobrze – skończyć nagle, gdyby skalna ściana postąpiła naprzód, schodząc do dna wąwozu. Ale ryzyko warte było podjęcia. Gdyby dało się obejść górę, zamiast forsować jej niedostępne zbocza, zysk w czasie byłby ogromny. Ponadto Kaga uznała, że czas już podjąć próbę wyprowadzenia prześladowców w pole. Dotąd unikała podobnych miejsc jako zbyt wygodnych dla kociego wojska. I teraz wyobrażała sobie, że „mordercy” nie zechcą uwierzyć, iż poszła tym szlakiem, takim szlakiem. Obiorą więc inny.

Hel-Krehiri chciała raz jeszcze dostać się do wnętrza Korony. Najpierw jednak musiała zmylić pogoń. Wierzyła, że zdoła to zrobić – i przeliczyła się.

Wysoko na skalnej grani jeden z kamieni ożył. Zachrząściła mocna kolczuga. Wielki kot wstał leniwie i pochylił łeb, osłonięty płaskim, mocno przypiętym hełmem, z dziwacznymi wycięciami na uszy i ostrym pionowym grotem.

Gwardzista zmrużył żółte ślepia. Spoglądał w dół, na szereg malutkich sylwetek.

## ROZDZIAŁ 4



Z pewnością szczyty tworzące Koronę miały swoje nazwy, ale Karenira знаła tylko jedną: Wielki Medev. Najpotężniejszy w Koronie.

Nocowała u jego stóp. Następnego dnia chciała sforsować przełęcz, przez którą zdawała się wieść najkrótsza droga do kotliny.

Znalazła wnękę osłaniającą dobrze od wiatru, ale przed wszechobecną wilgocią nie było ucieczki; po kilkudniowej wędrówce jedyną suchą rzeczą, jaką miała Łowczyni, był łuk, pieczołowicie skryty w łubiu zszytym z wielu warstw natłuszczanej skóry. Łubie, ciężkie i grube jak deska, kryło całą broń, nie zaś tylko jej część, jak to zwykle bywało.

Karenira nie spała.

Była prawie u celu. Kilkudniowa wędrówka znużyła ją, ale nie dlatego, że góry były trudne do przebycia. Powody. Powody, dla których podjęła wyprawę. Pierwszy zapal ostygł – i Łowczyni pytała się teraz, czy naprawdę ma aż tyle czasu, żeby szukać mitów. Słowa rannego były mrzonką, baśnią, niczym więcej. Karenira zyskiwała coraz głębsze przekonanie, że w masywie Medewenu niczego nie ma... oprócz, być może, kłopotów.

Tajemna twierdza i kryjówka Shergardów? Ze wszystkim, czego używali i czego potrzebowali? Coś takiego na pewno nie istniało. Ale istniała wiara w podobne odkrycie. Dziura w głowie Vilana nie była wymysłem, ktoś mu ją wytłukł. Łatwo mógł wytłuc i drugą, tym razem w jej własnej głowie. Łowczyni liczyła się z tym, że nie jest w masywie sama.

Noc była czarna i nieprzenikniona; zwykła noc grombelardzka. Karenira miała przeczucie, że zbliża się niebezpieczeństwo. Pilnie wsłuchana w szmer drobnej mżawki i pogwizdywanie wiatru, wyjęła łuk. Zbadała palcami cięciwę i schowała broń z powrotem. W nocnych ciemnościach nie mogła jej się przydać. Co innego rano.

Czas mijał powoli. Karenira leżała, dotykając dłonią rękojeści miecza.

Mżawka ustała, przycichł też nieco wiatr. Łowczyni czuwała wytrwale, choć odnalezienie jej schronienia wydawało się rzeczą

niemożliwą. A jednak przecucie nie myliło jej... Niepokój narastał – naraz zrozumiała, że jest obserwowana.

– Cierpliwa – rozbrzmiał w ciemności niewyraźny głos. – Cierpliwa jak kocica.

– I wytrzymała – zawtórował drugi, podobny. – Jak z żelaza. Nie wiedziałem, że człowiek może tak długo wytrzymać bez ruchu.

– Czego tu szukasz, legendo? – mrukliwie zapytał trzeci głos.

Karenira wstała. Otaczał ją krąg wojowników – lecz nie widziała żadnego. W czerni nocy słabo majaczyły kształty skał. Któreś z tych skał przemawiały. Nie wiedziała które.

– Czego szukasz w tych stronach? – ponowiono pytanie. – Sępów? Nigdy nie widziano tu sępa.

– Wiem.

– A zatem? Wracaj do okręgu Badoru, Łowczyni. I zabijaj fruwaki. Ogromnie to pochwalam.

Skinęła głową, uśmiechając się z leciutką ironią. Wiedziała, co koty myślą o sępach.

– Wolno mi chodzić po górach. Czy przeszkadzam?

– Troszeczkę. Ale moje ostrzeżenie nie z tego się bierze, legendo. Trwa polowanie i zwierzyna jest bardzo groźna. Uważaj więc na siebie. A najlepiej idź szukać sępów.

– Chyba wiem, na kogo polujecie.

– Chcesz nam pomóc?

– Nie chcę, a zresztą nie mogę, dobrze o tym wiesz, gwardzisto. To nie moja sprawa. Żyję w górach, a góry to także rozbójnicy.

– Werk, rozumiem to.

Coś drgnęło w ciemności i czarna sylwetka z lekkim chrzęstem kolczugi przysunęła się do jej kolan.

– Nie musisz pomagać cesarskim żołnierzom, Łowczyni – rzekł kocur, siadając.

Dośłyszała wyraźną ironię. Wiedziała, skąd się bierze. Kot chętnie czuł się żołnierzem, lecz cesarskim – tylko wtedy, gdy tak mu było wygodnie.

– Ale żołnierze będą musieli pomóc tobie, jeśli zajdzie taka potrzeba – ciągnął gadba. – Czy zajdzie?

– Nie zajdzie – odparła, kucając; poczuła ciepło bijące od gwardzisty.

– Podszedłeś mnie, kocie. Ale nie uda się to nikomu innemu. To ja jestem Panią Gór, nie ona... Jeśli Hel-Krehiri czy ktokolwiek inny wejdzie mi w drogę, to łowy zakończą się bez gwardzistów gadba.

Podobny do kaszlu, nieprzyjemny dla ludzkiego ucha śmiech rozbrzmiał z kilku stron, lecz nie było w nim nic obraźliwego. Raczej uznanie dla hardości i ciętego języka kobiety. Dowódca oddziału parsknął cicho.

– Co za słowa... Ale wierzę ci, legendo. Gdyby było inaczej, Ciężkie Góry już dawno zjadłyby twoje kości.

Raczej wyczuła, niż ujrzała, że uniósł łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

– A jednak bądź ostrożna.

## ROZDZIAŁ 5



**M**ordercy” zmienili taktykę. Na groźniejszą, o wiele groźniejszą. W ciągu minionego tygodnia Kaga straciła ośmiu ludzi. Teraz, w ciągu jednego dnia – trzech. Nie było już zwartej, ścigającej ją grupy, bardzo niebezpiecznej – ale tylko w nocy, gdy kocia horda mogła ciężko poranić zaskoczonych i walczących po omacku ludzi. Zamiast tego po górach biegały oddziały składające się z dwóch, trzech żołnierzy, niezdolne do niszczących uderzeń, lecz zupełnie niewidoczne, nieuchwytnie, szarpiące ludzi tak w nocy, jak i w dzień. Nie znała sposobu na wymknięcie się z takiej sieci.

Na wąskiej ścieżce biegnącej wzdłuż przepaści, tej ścieżce, z którą wiązała nadzieje na wymknięcie się z pułapki, jedna z tych wrogich istot uporała się z awangardą, po czym porwała człowieka z głównej grupy. Wszystko to na jej oczach, a co gorsza – na oczach podkomendnych, których morale zaczęło parować jak ślina w ognisku... Nic nie mogli zrobić, niczemu zapobiec. Wkroczenie na tak karkołomny szlak było błędem. Niewybaczalnym błędem.

Ścieżka zataczała łuk, posłuszna kształtowi zatoki, wyróżnionej w ścianie wąwozu. Dwaj ludzie szli po drugiej stronie tego wcięcia, doskonale widoczni, bliscy nawet, lecz odgradzeni przepaścią od reszty towarzyszy, dopiero wkraczających na łuk ścieżki.

Trójbarwna gwardzistka – tylko kocice miały takie futra – pojawiła się nagle, jak wyczarowana z mżawki. Dobrze wybrała miejsce ataku, zaskoczeni na wąziutkiej półce ludzie zareagowali zbyt gwałtownie. Prowadzący stracił równowagę i broniąc się przed upadkiem w przepaść, odruchowo pochwycił towarzysza, który ze swej strony także chciał go przytrzymać... Kaga wyła z wściekłości; napastniczka nawet nie dotknęła żadnego ze zwiadowców!

Krzyk ludzi zgasł na dnie wąwozu.

Ogromna kocica pędziła po skalnym gzymsie z niedbałą, prawie nonszalancką łatwością. Hel-Krehiri poczuła w gardle łyzy gniewu i bezsilności. Z mieczem w dłoni sunęła na spotkanie przeciwnika – powoli i ślamazarnie, krok za krokiem, z plecami przylegającymi do

szorstkiej skały. Lecz wróg zniknął równie nagle, jak się pojawił, ujrzała jeszcze szaro-rudy ogon w pełnej żwiru szczelinie, wyżłobionej w ścianie przez spływającą wodę. Sypiące się w dół, turkoczące kamyki były jedyną oznaką, że gwardzistka wdrapuje się gdzieś coraz wyżej, poza zasięgiem jej oczu. Wreszcie strużka odłamków zrzedała i ustała.

Hel-Krehiri wzięła się w garść i zapanowała nad oddziałem. Nie pozwoliła, by ludzie rozważali, jak strasznie bezbronni byli ich towarzysze przed chwilą. Poleciała przygotować kusze, z krzywym uśmiechem sama wysunęła się do przodu, pytając, kto wraz z nią utworzy awangardę. Nim otrzymała odpowiedź – kocia wojowniczką uderzyła ponownie. Żwir i drobne kamyki sypnęły się wprost na głowy i ramiona stojących na skalnym gzymsie ludzi. Trąc zbroją o skałę, gwardzistka zsuwała się w dół. Nawet kot nie był w stanie zahamować na prawie pionowym zboczu – ale żołnierka przecież tego nie chciała! Zakuty w żelazną kolczugę bury kształt pół skakał, pół spadał po pochyłości. Ktoś zdążył postać bełt z kuszy. Pocisk chybił. W następnej chwili napastniczka całym ciężarem gruchnęła na kark jednemu z mężczyzn, który z brawurową zręcznością zdołał zadać pchnięcie mieczem, nieomal na oślep do tyłu. Miecz zgrzytnął na kolczudze – po czym człowiek i kot spadli w przepaść.

Trzydzieści, a może czterdzieści łokci poniżej szlaku, którym Kaga wiodła podkomendnych, ciągnęła się następna półka skalna. Krzyżący mężczyzna wyrznął w nią całym ciężarem i zawisł na skraju z pogruchotanymi kośćmi. Kocica wylądowała obok. Przez moment trwała nieruchomo, rozcapierzona na skale, po czym jęła potrząsać głową, wyparskując resztki oszołomienia. Ktoś strzelił z kuszy; poznała, że to nie przelewki. Zerwała się, zatoczyła, a potem pognąła przed siebie, coraz szybciej, byle dalej. Patrząc na to, Kaga po raz pierwszy poczuła, że gwardziści gadba wcale nie walczą z jej ludźmi... „Mordercy z Rahgaru”, ależ tak. To, co widziała, nie było walką. To były trzy zabójstwa.

Podobno widziano kiedyś kota, który spadł ze stułokciowej ściany. Potłukł się i dobę później jeszcze trochę utykał.

Drugie starcie miało miejsce wieczorem. Lecz przeklęta przepaść została z tyłu i tym razem potyczka miała inny przebieg. Czyjeś bystre oko w porę dostrzegło dwie niskie sylwetki, spowite mgłą deszczu... Przygotowane w porę kusze nie zawiodły i Hel-Krehiri poczuła słodycz zemsty. Jeden żołnierz zginął natychmiast; drugi, ze strzaskanym barkiem, powłókł się gdzieś między skały. Nakazała pościg, lecz kot zniknął. Poszukiwania były bezowocne. Wówczas zdała sobie sprawę, że jeśli rana nie była śmiertelna – to gwardzista na pewno zdoła dotrzeć do swoich. Dobrze znała kocią żywotność, wytrzymałość i odporność na ból.



Ze skrywanym przerażeniem i nietajoną wściekłością Hel-Krehiri oczekiwała nocy. Miejsce jej postoju nie było dla żołnierzy tajemnicą. Koci dowódca miał dość czasu, by skupić znaczną część swych rozproszonych sił i przygotować atak. Nie mogła nawet rozrzucić placówek wokół biwaku. Pozostała z ośmioma ludźmi, więc czuwać musiała połowa. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy nie przeciągnęła struny. Czy wyniesie z Korony chociaż całą głowę – bo o znalezieniu twierdzy Shergardów przestała już nawet myśleć.

Żaden z rozbójników nie zmrużył oka tej nocy. Ani jedno ostrze nie tkwiło w pochwie. Ludzie trwali oparci o skały, każdy z mieczem w prawej, a nożem w lewej dłoni. Nikt nie rozmawiał. Wsłuchiowano się w szmer deszczu.

Lecz czas płynął i nic się nie działo.

Kaga zaczęła wierzyć, że ranny gwardzista padł gdzieś między skałami – i to prawdopodobnie ocaliło jej oddział. Rozumiała lepiej niż którykolwiek z jej podkomendnych, jak niewiele warte jest nadstawianie uszu i wpatrywanie się w ciemność. Oczywiście nawet kot mógł wywołać hałas, trąc zbroją lub uderzając kolczastym hełmem o skały. Ale szansa, że doświadczony gwardzista, wchodzący w skład najbardziej elitarnego oddziału w Grombelardzie, pozwoli sobie na podobny błąd, była naprawdę znikoma.

Ukryta w ciemnościach dziewczyna, niewidziana przez podkomendnych, gryzła usta, powstrzymując płacz. Wzbierające łzy nie były jednak łzami wściekłości, a żalu.

Żyły na świecie nieszczęśliwe istoty, które urodziły się nie tym, czym być miały. Kobiety o męskich sercach. Mężczyźni o duszach kobiet. Hel-Krehiri była najbardziej pokrzywdzonym stworzeniem Szereru – kotem uwięzionym w ludzkim ciele. Wielkim, niezgrabnym i niechcianym. Oddałaby pół życia, gdyby pozwolono jej przybrać postać jednego z tych wspaniałych wojowników, którzy właśnie mieli ją zabić.

## ROZDZIAŁ 6



**Z**ejście w kotlinę nie było bardzo trudne; właściwie ze szczytu przełęczy wiodła dość szeroka i równa ścieżka, może nawet droga. Karenira zastanawiała się, czy nie były to resztki starożytnego gościńca, zbudowanego przez tajemniczych Shergardów. Uważała, że to możliwe.

Rozległe jezioro na dnie skalnego kotła sprawiało bardzo posępne wrażenie. Było martwe. Czarne, przezrocyste, zimne jak grombelardzki deszcz.

Karenira stała na cyplu wybiegającym ku środkowi tafli i oglądała dno, schodzące w dół stromymi uskokami. Nie umiała ocenić, na jaką głębokość sięga wzrok, nie wiedziała, w którym miejscu cienie podwodnych skał ustępują miejsca ciemnym, głębokim czeluściom.

Przejrzystość wody była naprawdę zdumiewająca. Magia wodnej otchłani przez długi czas przykuwała uwagę samotnej łuczniczki. Karenira próbowała wyobrazić sobie, jak zanurza się powoli, idąc coraz głębiej, coraz niżej, przez czarodziejski świat podwodny, znieruchomiały na zawsze, nieszarpany wiatrem, niechłostany deszczem; świat, którego nigdy nie dotknęła i nie dotknie ludzka stopa...

Potem uniosła spojrzenie. Spoglądała na drugi brzeg, w punkt wskazywany przez ostrze cypla. Tam właśnie miało znajdować się wejście do podziemnego labiryntu, zbudowanego przez potężnych Shergardów. Wejście dobrze ukryte przed przypadkowym wzrokiem.

Musiała okrążyć jezioro.

Nie była to sprawa prosta. Teren nie należał do łatwych – właściwie powinna cofnąć się sporo w górę stoku i pójść zбочami kotliny. Jej dno było jednym wielkim rumowiskiem skalnym, tylko w małej części zakrytym przez wodę. Cóż to za olbrzym szaleniec porozbijał szczyty gór, strącając gruz do wnętrza kotła?

Łowczyni zastanawiała się, czy zdąży obejść jezioro, zanim nadciągnie noc. Niepotrzebnie schodziła aż do lustra wody. Ale tajemnicze jezioro wyglądało tak dziko, tak pięknie i pociągająco. Karenira zapragnęła odpocząć na jego brzegu, poczekać do nocy i na drugą stronę wyruszyć dopiero rano. Nie miała powodów do pośpiechu.

Hel-Krehiri mogła odkryć tajemnicę albo nie. Jakie to miało znaczenie? Karenira dobrze znała koty; wydawało się oczywiste, że młoda rozbójniczka już na zawsze zostanie w masywie Medevenu razem ze swymi ludźmi.

Tylko czy na pewno?

Łowczyni znalazła wygodne miejsce między skałami, uwolniła się od ciężaru bagaży i usiadła z bukłakiem w rękach, oparta o szorstki kamień. Przepatrywała okolicę, małymi łykami popijając kiepskie wino.

Owszem, znała koty. Lecz znała także Kagę. Zetknęły się kilkakrotnie, bo obie krążyły zwykle w okolicach Badoru. Pierwsze dwa spotkania nie były szczególnie przyjazne. Następne dwa, już po odejściu Kragdoba, bardzo krótkie, przelotne. I równie mało serdeczne jak pierwsze.

Tępicielka sępów nie lubiła Kagi. Ze szczerą wzajemnością. Nie istniały żadne specjalne przyczyny tej niechęci. Ot, po prostu: dwie kobiety w jednym miejscu nie mogły się lubić. Karenirę dziwił autorytet, jaki miała Kaga u podwładnych; ponadto czuła się urażona młodością i urodą rozbójniczki. Ta z kolei nie mogła darować przebiegaczce gór legendy, która otaczała jej postać; Łowczyni była wręcz częścią Grombelardu, niczym... Wodogrzmoty Medevy, Czarny Las albo Przełęcz Mgieł. Wszystko to, co byłoby powodem wzajemnego szacunku dwóch mężczyzn, nieuchronnie zrażało do siebie kobiety. Zwykła rzecz na każdej ziemi i pod każdym niebem.

Łowczyni rozmyślała, czy żołnierze gadba na pewno sprostają zadaniu. Sieci na Hel-Krehiri zarzucano już wielokrotnie. Prawda, że w obławach nie uczestniczyła kocia półsetka z Rahgaru...

No, tak czy inaczej, to nie była jej sprawa. Powiedziała prawdę dowódcy gwardzistów: nie mogła mieszać się do wojen rozbójników i żołnierzy. Gdyby wieść o tym poszła w góry, prędzej albo później dostaliby ją jedni albo drudzy. Od trzynastu lat balansowała na chwiejnej kładce neutralności i nie zamierzała spadać z niej teraz.

No, chyba żeby ją popchnięto.

– E tam – powiedziała do siebie. – Jesteś twarda i złośliwa jak garyjski pas cnoty. Wszyscy cię nie lubią i starają się przechytryć, ale na tym koniec. Kaga wie i gwardziści wiedzą, że nie warto szukać sobie dodatkowych wrogów. A zresztą...

Wzruszyła ramionami.

o o o

W samej rzeczy, nie udało jej się dotrzeć do celu przed nocą. Podjęcie marszu w ciemnościach groziło skręceniem karku. Bała się, że to będzie bolało.

W strugach ulewnego deszczu pośród wieczoru znalazła miejsce, gdzie dało się od biedy przemocować.

Była znużona. Miniona noc, prawie bezsenna, trochę ją zmęczyła. Marsz po górach też nie był spacerem.

Posiliła się i wyciągnęła w szczelinie osłaniającej przed deszczem. Zasnęła prawie natychmiast.

Obudziły ją krzyki.

Deszcz już prawie nie padał. Karenira dotknęła miecza, nie wyłączając jednak ze swej dziury. Nasłuchiwała, marszcząc brwi.

Gdzieś toczyła się walka. Od biedy mogła określić kierunek, ale odległość?... W żaden sposób; Łowczyni wiedziała, że to może być sto kroków albo parę mil. Niesiony wiatrem głos, wspomagany przez echo, rozchodził się w górskim powietrzu na bardzo znaczne odległości.

Maszerować ku miejscu, gdzie trwała potyczka, wcale nie zamierzała. Jeszcze czego! Kocie oczy dobrze radziły sobie z mrokiem, ale w zamieszaniu... Równie dobrze mogła oberwać mieczem, jak poczuć ciężar gadba na głowie.

– Nie... – mruknęła. – Biją się gdzieś, no to dobrze. Leżysz w dziurze? To leż i nie wychodź. Nikt cię tu nie znajdzie, chyba żeby nadepnął. Wtedy mocno ugryziesz go w nogę.

Wkrótce głosy walki umilkły.

## ROZDZIAŁ 7



Świtało.

Hel-Krehiri siedziała na brzegu jeziora z mieczem położonym w poprzek kolan. Deszcz obmył głównię, splukując różowe strużki na nagie uda i podwiniętą spódnicę rozbójniczki.

Dokoła leżały ciała kotów i ludzi. Wydawało się, że jeden z kosmatych żołnierzy wciąż żyje – wbita w brzuch człowieka ostroga kociego hełmu utrzymywała ciało gadba w półsiedzącej pozycji. Lecz w karku ziała rana od miecza, kręgosłup był przecięty, a głowa trzymała się na skórze. Ci dwaj zabili się nawzajem.

Kaga oparła głowę o skałę za plecami. Oglądała pobojuwisko.

Łowczyni z ukrycia oceniła sytuację, po czym pokazała się rozbójniczce. Ta lekko przekrzywiła głowę i spoglądała w milczeniu, z doskonałą obojętnością.

Łowczyni obeszła plac boju, raz i drugi przyklęka. W nikim już nie tliło się życie. Rzadkość. Rąbanina owocowała zwykle dwoma rodzajami trupów: zimnymi oraz takimi, które jeszcze się słabo ruszały i stękały. Ktoś „zgasił” to pobojuwisko – tak mówiono w Armeckie. Podobijał rannych.

Podeszła do rozbójniczki.

– A ty?

Hel-Krehiri zaśmiała się niegłośnie i uniosła rękę, pokazując śmieszne zadraśnięcie na nadgarstku.

– Znajdą cię – rzekła Karenira.

Rozbójniczka pokazała głowę. Hen, daleko, na skalnej iglicy siedział kot. Pośród falującej mżawki trudno było go dojrzeć... Ale był tam.

– Czego tu szukasz, Łowczyni?

Karenira przysiadła na kamieniu.

– Zabiłaś Dartańczyka – powiedziała.

– Sam się zabił...

Hel-Krehiri urwała i popatrzyła uważniej.

– Znalazłaś trupa?

– Jeszcze żył.

– No, to nie muszę nic mówić. Miał mnie tu przyprowadzić, nie znam tych okolic. Gdy dowiedział się, czego szukam, chciał uciec.

– Nie wiedział, że ty prowadzisz grupę.

– Co to za różnica? Zlecenie jest zleceniem. Przyjął je.

– Uważał, że jeśli znajdziesz to, czego szukasz, zabijesz go.

– I miał rację.

Mierzyły się spojrzeniami.

– A ty wiesz, czego szukam? – zapytała Kaga.

– Wiem.

– Nie znalazłam. I zdechnę w tych skałach. Przyszłaś, żeby pomścić tego zucha z Dartanu? Niepotrzebnie.

Karenira wzruszyła ramionami... po czym nagle zmarszczyła brwi. Przygryzła usta.

– Ou... – powiedziała w zamyśleniu. – A wiesz, że możesz mieć rację? Rzeczywiście, chyba po to przyszłam...

O co pytał konający Vilan?

„Czy ściągnęłaś śmierć na tych żołnierzy w Czarnym Lesie?”

Ale przecież... on znał prawdę. Od dawna!

W nagłym olśnieniu Karenira pojęła istotę gry.

Czarny Las, oczywiście. Przed laty natknęła się tam na duże stado sępów. Zbyt duże, by mogła myśleć o samotnej walce. Patrole legionistów poszukiwały wtedy zaginionych w górach żołnierzy. Skłamała, że wie, gdzie ich szukać... i poprowadziła oddział ratunkowy do miejsca zwanego Czarnym Lasem, w sam środek sępich siedlisk. Żołnierze, postawieni w sytuacji bez wyjścia, pomogli jej rozgromić stado.

Ale wszyscy zginęli.

Nikt nigdy nie dowiedział, że rozmyślnie doprowadziła do tej walki. Ale sama plotka wystarczyła, by żołnierze zaczęli spoglądać na nią krzywym okiem, i ślady tej niechęci odczuwała do dziś. Umierający Dartańczyk chciał usłyszeć prawdę... Prawdę, którą znał, bo na pewno był w Czarnym Lesie, a poza tym wystarczająco wiele wiedział o Ciężkich Górach, sępach i Łowczyni.

Okłamała go. I padła ofiarą intrygi, którą sama kiedyś wymyśliła: posłano ją na poszukiwanie mitów tylko po to, by stanęła na drodze Hel-Krehiri.

– Zabieram się stąd – powiedziała z rozdrażnieniem, którego nie umiała ukryć. – Zapomnij o mnie, piękna Pani Smarków.

– Poczekaj – rzekła leniwie rozbójniczka. – Przyszłaś więc tylko po to, żeby zobaczyć, jak gwardziści wypruwają ze mnie flaki? No to chociaż poczekaj na koniec widowiska, a potem odszukaj korytarze Shergardów. Legendarna Łowczyni osiągnie to, co nie udało się Hel-Krehiri.

– Korytarze! – Karenira powstała, czerwona ze złości. – Nie ma

żadnych korytarzy, żadnego labiryntu ani twierdzy. To bajka! Kto ci sprzedał tę tajemnicę i ile za nią wziął?

– Wszystko jedno – skwitowała Kaga, uśmiechając się kpiąco. – Są korytarze czy ich nie ma... Dobrze, że ty jesteś. A jednak legendy są bardzo potrzebne.

Wstała zwinnie, ocierając miecz skrajem spódnicy.

Karenira odsunęła się i oparła rękę na jelcu swojej broni. Wiedziała, że musi się uspokoić – lecz na przekór wzbierała w niej coraz większa złość. Uczyniono z niej narzędzie! Ślepe narzędzie, mające dokonać... jakiejś zemsty!

– Hel-Krehiri – powiedziała dobitnie – zabiłabym cię sto razy, choćby z nudów. Ale dzisiaj się nie nudzę, a zamiast tego mam powód, który nie jest moim powodem. Zostaw mnie.

Rozbójniczka skoczyła ku niej jak płomień strzelający z ogniska. Karenira, przygotowana, zerwała swój wojskowy płaszcz z ramion i rzuciła ku napastniczce, odskakując do tyłu. Wyjęła miecz i silnie odepchnęła w bok wrogie ostrze. Kaga natarła znowu, jęklivy głos zderzanych głowni zawibrował między skałami. Dziewczyna zaśmiała się, czując, że ma przewagę. Była szybsza, o wiele zwinniejsza i szybsza! Przecięty sztychem kaftan Łowczyni odsłaniał mocno skaleczoną, obficie krwawiącą pierś. Pogromczyni sępów cofała się ostrożnie.

Kaga opuściła miecz, jakby zapraszając do ataku.

– I to już wszystko? – zapytała ze szczerą pogardą. – Jak to możliwe, że jesteś taką miernotą, Łowczyni? Masz za dużo mięsa na sobie, walka mieczem to nie praca w kuźni... Jak zdołałaś przeżyć w tym kraju?

Karenira, czujna i wciąż ostrożna, raz jeszcze pomyślała o figlu, jaki jej splotano. Wiedziała, że igra ze śmiercią – ale już nie było odwrotu...

Hel-Krehiri zaatakowała ponownie, szybka jak błyskawica albo lepiej: jak kot. Znowu zaśpiewało skrzyżowane żelazo, ciężki oręż wyprysnął w powietrze i zatoczywszy płaski łuk, z brzękiem upadł na kamienie.

## ROZDZIAŁ 8



Zołnierze czekali na przełęcz. Kaga przystanęła. Szarpnęła mocno – i rzemienna pętla zacisnęła się na szyi Kareniry, powalając ją na kolana. Rozbójniczka stanęła obok i rozgarnęła sztychem włosy na karku zakładniczki. Czekala, spoglądając ku oddziałowi.

Czarny gadba bez pośpiechu ruszył na spotkanie.

– Nie rzucisz się na mnie, gwardzisto? – zapytała.

Kot usiadł.

– Bez obaw.

Kaga schowała miecz i wyciągnęła rękę w Pozdrowieniu Nocy. Koci gest był u niej równie naturalny, jak u istoty obdarzonej wysuwanymi pazurami.

– Najlepsi wojownicy Gór – powiedziała. – Już zawsze będę omijała okolice Rahgaru.

Gadba nie zwrócił uwagi na wyrazy uznania, choć najwyraźniej były szczere. Dopiero po chwili powiedział:

– Pytanie, czy ja będę omijał okolice Grombu i Badoru.

Nie była to czcza pogróżka.

Kocur stracił zainteresowanie rozbójniczką. Obserwował Karenirę.

– Jak do tego doszło, legendo? – zapytał.

Łowczyni uniosła głowę. Wyglądała jak siedem nieszczęść: miała wielki siniak i guz na czole, tam gdzie trafiła rękoność miecza Kagi. Pod rozciętym kaftanem czerwieniła się duża plama na koszuli. Ręce miała związane na plecach.

Kaga pociągnęła za rzemień; Karenira zakrztusiła się.

– Rozmawiaj ze mną, setniku, nie z nią. Proponuję układ: daj mi słowo, że przez najbliższą dobę nie będziecie mnie ścigać, a zostawię wam tę... starą kobietę. W przeciwnym wypadku pójdzie dalej ze mną. I zarżnę ją natychmiast, gdy tylko zobaczę wśród skał koci grzbiet.

Gwardzista rozważał propozycję.

– Wkrótce noc – zauważył. – Wyrwę ci oczy, Hel-Krehiri, zanim zdążysz pomyśleć, że cię zaatakowano.

– Więc będziesz mógł sprawdzić, czy zdążę przeciąć jej gardło. Może



tak, a może nie.

Kot jeszcze raz popatrzył na klęczącą, poturbowaną kobietę z rzemieniem na szyi, po czym nastroszył wąsy.

– Rozwiąż ją i uciekaj. Jedna doba to bardzo niewiele czasu.

Kaga wyjęła nóż i przecięła pęta na rękach Kareniry, zostawiając jednak rzemień na jej szyi. Z lekkim uśmiechem skinęła głową, ruszając ku szczytowi przełęczy.

– Słowo kota – przypieczętowała.

Gwardzista lekko uderzył ogonem okryty kolczugą bok.

o o o

Karenira siedziała pod skałą, zdejmując opatrunek. Rana na piersi nie była bardzo głęboka, kosztowała jednak sporo bólu. O guzie na głowie luczniczka zdążyła już zapomnieć.

Syknęła, muskając skaleczoną pierś palcami. Pomyślała o trwałej, szpetnej bliźnie i pomroczyło jej w oczach.

– No, ale TEGO ci nie podaruję. I tak już wyglądam jak...

Koci biwak przedstawiał się zupełnie inaczej niż obozowisko dwunogich żołnierzy. Płaskie torby-plecaki z zapasami zgromadzono w jednym miejscu, ale na tym wszelkie podobieństwa się kończyły. Przede wszystkim nie było żadnego ruchu. Człowiek nie usiedzi długo w jednym miejscu, a jeśli nawet, to będzie stale zmieniał pozycję, rozprostowując ścierpnięte kończyny. Wojownicy gadba powynajdywali sobie szczeliny i zagłębienia, powłazili do różnych dziur – i natychmiast zasnęli. Tylko uszy, czujnie nastawione, kierowały się w różne strony, wyłapując wszelkie dźwięki inne niż szmer deszczu. Karenira wiedziała, że kot prawie nigdy nie zapada w sen podobny do ludzkiego. Czuwają niektóre zmysły. Stale śpiący na warcie kot potrafił doprowadzić do furii niejednego oficera służbistę, niepotrafiącego zrozumieć, iż taka drzemka nie ma nic wspólnego z lekceważeniem służby.

Karenira wróciła myślami do swojej straszliwej blizny.

– Nie daruję – powtórzyła ponuro.

W resztkach dziennego światła zamajaczyła sylwetka czarnego dowódcy oddziału.

– Czego nie darujesz, Łowczyni?

– Cycka przeciętego na pół niczym cipa! – odparła z najszczerzą złością. – Dalej mam składać raport?

Rana już nie krwawiła, lecz bolała i Karenira doszła do wniosku, że lepiej chłodzić ją deszczem, niż bawić się w nowe opatrunki.

Koci oficer poświęcił skaleczeniu akurat tyle uwagi, na ile zasługiwało.

– Więc jesteś starą kobietą, legendo? – zagadnął, układając się pośród kamieni.

Próbowała sobie przypomnieć, czy wiedziała, że koty bywają złośliwe.

– Będziecie tu warować całą dobę? – zapytała chłodno.

– Jeszcze nie wiem. Powiedziałem jej, że nie wyruszamy w pościg. Tylko tyle, Łowczyni.

Wzruszyła ramionami. Ostrożnie włożyła kaftan na koszulę i wstała, by zapiąć na biodrach pas z mieczem. Starannie zaplotła warkocz, przewiązała go rzemykiem i odrzuciła na plecy. Podniosła sajdak.

– Ja niczego nie obiecywałam.

Żółte ślepia błyszczały przy ziemi.

– Plotka o Hel-Krehiri – powiedział – wcale nie jest plotką. Ona jest kotem, Łowczyni. Czy wiesz – zapytał nieoczekiwanie – że gdybym wcześniej o tym wiedział, to może...

Nie dokończył.

– Oszukałaś nas, legendo – rzekł spokojnie.

Zmarszczyła brwi.

– To prawda, nie poradziłam sobie i gwardziści musieli mi pomóc.

Skinęła czarnemu setnikowi głową, pewna, że dostrzeże gest mimo ciemności. Gdy oddaliła się, kocur zamknął oczy.

– Nie o tym myślałem – rzekł przed siebie. – Wciąż kłamiesz.

Parsknął krótko i zasnął.

## ROZDZIAŁ 9



**D**zień był piękny, może najpiękniejszy w całym roku. Nie padało, a opończa chmur pękała to tu, to tam, pozwalając wyrzucić słońcu. Góry parowały w ciepłych promieniach, lśniły niezliczone kałuże, zwykle szare i niewidoczne; migotały strumyki.

Kaga była wolna i czuła tę wolność w każdym oddechu.

Szła przez całą noc i pół dnia, nie oszczędzając sił. Wydostała się z pętli Medevy, teraz mogła porzucić szlak i ruszyć dokądkolwiek. Szansy, że gwardziści odnajdą ją... gdzieś w Grombelardzie, w ogóle nie brała pod uwagę. Owszem, doba to było niewiele czasu, jeśli nie istniała możliwość wyboru drogi. Ale teraz, wydostawszy się z Medevenu, mogła już nie martwić się o nic. Czuła dziką radość, była pijana swobodą.

Pozwoliła sobie na krótki postój. Sakwa z zapasami pokazała dno; Hel-Krehiri dokładnie żuła ostatni pasek wędzonego mięsa. Musiał wystarczyć na długo.

Podniosła do ust chudy wór odebrany Łowczyni. Chlupotały w nim resztki wina. Zdobycz wojenna! Pijąc, Kaga bezmyślnie gapiła się na oddaloną o sto kroków skałę, niezdolna pojąć, co widzi. Lecz w tej samej chwili długa lekka strzała przeszła zdobycz wojenną na wylot, czyniąc ją bezużyteczną. Rozbójniczka odrzuciła wór, jakby zaczął parzyć. Wypluła wino i chwyciła kuszę.

– Stój tam!

Hel-Krehiri znieruchomiała.

Z powodu oddalenia nie mogła dość wyraźnie widzieć twarzy Kareniry. Łuczniczka przygryzała wargi nieomal do krwi. Wypuszczenie pierwszej strzały sprawiło, że niezagojona rana otworzyła się. Teraz ramię trzymające cięciwę drżało tak mocno, że pocisk na pewno nie mógł trafić w cel...

– Chodź tutaj! – wrzasnęła Karenira. – Zostaw kuszę i chodź!

Głos zadrżał.

Rozbójniczka, widoczna jak na dłoni, rozumiała, że musi posłuchać, przynajmniej na razie. Mogła śmiać się z miecza Łowczyni, ale o jej łuku

mówiły całe góry. I jeśli tylko połowa z tego, co gadano, była prawdą, to znaczyło, że łuczniczka marnuje jedną strzałę na sto. Podchodząc, Kaga zerkała na boki, szukając miejsca, które udzieliłoby schronienia... Zatrzymała się nagle, z niedowierzaniem patrząc, jak przeciwniczka odrzuca swą groźną broń, zeskakuje ze skały i z mieczem w ręku rusza jej naprzeciw.

Kaga krzyknęła dziko i wyciągnęła swój miecz.

Spotkały się w połowie drogi.

Karenira, skupiona, wyglądała prawie tak samo, jak dzień wcześniej nad jeziorem, ale jej łosiowy kaftan bez rękawów ujawniał brak koszuli, która w ciągu minionej doby najwyraźniej poszła na szarpie. Kaga dostrzegła wąską strużkę krwi, sączącą się z rany na piersi. Łuczniczka trzymała miecz oburącz. Hel-Krehiri z mimowolnym respektem popatrzyła na spięte mięśnie ramion.

– Czym mnie chcesz przestraszyć, Łowczyni? – zapytała szyderczo, szczerząc zęby w groźnym półśmiechu. – Na Szerń, mało ci jednej nauczki... Trzymałaś swój łuk, trzeba było strzelać!

– Jakbym mogła, tobym strzelała – padła spokojna odpowiedź. – Ale gdy siedziałaś, musiałabym zabić, a potem już nie byłam w stanie trafić w nogę. Jesteś głupia, dziewczyno.

Hel-Krehiri ostygła cokolwiek, uderzona opanowaniem przeciwniczki. Uczyniła drobny ruch mieczem.

– No dobrze, chodź już – powiedziała. – Wepchnę ci go tam, gdzie dawno nic nie gościło. Pamiętasz jeszcze mężczyzn, staruszek? Bo że oni o tobie zapomnieli, to pewne.

Karenira postąpiła krok naprzód, prawie ostentacyjnie unosząc miecz nad głowę. Zmrużyła swe niesamowite oczy i machnęła bronią nieomal jak maczugą. Kaga bez pośpiechu przyjęła cios na zastawę... i z najwyższym trudem utrzymała broń. Słaby kontratak natychmiast spotkał się z tak szybką i potężną odpowiedzią, że zdrętwiałe ramiona dziewczyny, szarpnięte w bok, nie nadały za ruchem odbitej broni...

Miecz Kareniry pękł.

Przez moment stały naprzeciwko siebie, rozbrojone. Potem Kaga odskoczyła do tyłu, ale tamta była równie szybka. Uderzenie pięścią w podbródek omal nie urwało rozbójnicze głowy; machnęła rękami, próbując utrzymać równowagę, ale drugi cios był równie silny i sprawił, że nogi odmówiły posłuszeństwa. Hel-Krehiri półprzytomnie zrobiła słaby krok wstecz, potknęła się i wpadła do sporego zagłębienia, pełnego lodowatej deszczówki. Karenira wlaźła tam za nią, pochyliła się i walnęła znowu, tak od serca. Przechyliła głowę z namysłem i zrobiła minę, która mogła znaczyć: „A, co tam...”. Przywaliła raz jeszcze.

Oszołomiona mistrzyni miecza, leżąc na wznak, gotowa była utopić się w kałuży. Łuczniczka szarpnęła ją za przyrodziewek, wywlokła

z wody i postawiła na nogi, po czym parsknęła śmiechem, zaglądając w ogłupiałe, mętne oczy. Puściła sflaczałe ciało, które z powrotem wpadło do bajora.

– Poczekam... – powiedziała, krzywiąc się cokolwiek, bo ból, o którym na chwilę zapomniała, wrócił z nową siłą.

Kaga z trudem stanęła na czworakach ze zwieszoną głową. Z ust kapiała jej ślina podbarwiona krwią. Pluskały w kałużę pojedyncze krople z rozbitego nosa.

– Jak to... się robi? – wymamrotała z wysiłkiem.

Przednie zęby chwiały się jej w dziąsłach.

– Mam dużo mięsa na sobie – odparła łuczniczka. – Walka mieczem bardzo przypomina pracę w kuźni.

Kaga zaczęła chichotać. Zakasłała. Było jasne, że Łowczyni z jakichś przyczyn nie zamierza jej zabić.

– Nie dziękuj – rzekła Karenira, jakby umiała odgadywać myśli. – Lubiłam Vilana, lecz nie aż tak, by używał mnie do swoich gier. Ubawisz się, ale wyprowadziłam cię z Korony na złość umarlakowi... Gadba przeczuwają chyba, że ich oszukano. Pomyślałam, że i tobie, Hel-Krehiri, trzeba to uświadomić.

Rozbójniczka, nadal w wodzie na czworakach, dochodziła do siebie, wciąż spluwając czerwoną śliną. Górna warga, już mocno napuchnięta, wyglądała jak kawałek surowego mięsa.

– Nie wierzę...

Karenira kucnęła na skraju kałuży.

– Poprawić? – zapytała.

Kaga nabrała wody w dłoń i wypłukała usta. Wysmarkała krew z nosa i obmyła twarz.

– A gdybym cię zabiła, tam nad jeziorem? Skąd mogłaś wiedzieć?...

– Podsunęłam ci pomysł i patrzyłam, czy zrozumiesz, o co chodzi. Za dziesięć lat, gdy będziesz starą kobietą, także łatwo poznasz, o czym myśli dziecko.

Kaga zastygła z ręką uniesioną do obolałej twarzy.

– A... koty?...

Zdziwiona Karenira podążyła za jej spojrzeniem. „Mordercy” wyłaniali się zza skał i biegli lekkim kocim truchtem, mijając je jak powietrze, w odległości najwyżej kilkunastu kroków. Przytroczone do grzbietów skórzane torby podskakiwały w rytm poruszeń, kolczugi chrzęściły cicho. W środku niekarnej watahy czarny kocur mówił do burej zastępczyni:

– ...ale jeśli jeszcze kiedyś je spotkamy, to obojętne, kocica czy tępicielka skrzydłaków... niech trzymają się z daleka od Rahgaru.



## Część pierwsza Władczyni świata

## ROZDZIAŁ 1



**M**ała górską wioska, kilka chałup, ukryta była na dnie posępnej rozpadliny. Wysoko w górze wiatr przetaczał i kłębił brudne chmury, przywodzące na myśl hałdy lepkiej gliny. Miało się na deszcz.

Górale nazywali takie sadyby „wysokimi wsiami”, chociaż wcale niekoniecznie leżały w najwyższych partiach gór. Zawsze jednak były znacznie oddalone od innych ludzkich siedlisk, a zakładano je w dzikich, trudno dostępnych miejscach. Nic dziwnego... Z reguły służyły za kryjówki rozbójniczym bandom. Podczas wojny o Grombelard Armekańczycy puścili z dymem całe mnóstwo podobnych sadyb, sądząc, że będzie to ciężkim ciosem dla chowających się w górach rzezimieszków. Okazało się inaczej. Nowe zbójce kryjówki wyrosły jak grzyby po deszczu – tyle tylko, że trzeba było szukać ich od nowa. Jaskiń i rozpadlin było w Ciężkich Górach bez liku i nic zupełnie nie stało na przeszkodzie, by zasiedlić te albo inne. Wkrótce stało się jasne, że lepiej pozostawić owe orle gniazda w spokoju. Ba! wytworzył się z czasem stan dziwacznej równowagi; wysokie wioski zyskały coś jakby status neutralności... Służyły i rozbójnikom, i żołnierzom. W kraju, gdzie stale padał deszcz i wiał przejmujący wiatr, warto było znać miejsca dające możliwość zagotowania ciepłej strawy i ogrzania się przed dalszym marszem.

Owa dbałość o wysokie wioski kojarzyła się nieco z wydarzeniem, które miało miejsce zupełnie gdzie indziej podczas Wojny Dartańskiej. Otóż obozowały naprzeciwko siebie dwa wrogie oddziały. Armekańczycy umacniali pozycję; Dartańczycy czekali na posiłki, by – pokonawszy zagradzającego drogę przeciwnika – ruszyć z odsieczą oblężonej Seneletcie. Między pozycjami płynął strumień, będący dla obu stron jedynym źródłem wody. Na mocy niepisanej umowy korzystali zeń jedni i drudzy, choć strzelcy obu wojsk łatwo mogli pokryć brzegi rzeczułki pociskami z łuków i kusz.

Podobną co ów strumień rolę pełniły wysokie wioski. Oczywiście czasem dochodziło w górskich stanicach do bitew, gdy natknęły się na siebie dwa wrogie oddziały. Ale niezależnie od tego nikt nie niszczył

tych wsi bez potrzeby. Służyły zbrojnym grupom i samotnym wędrowcom – ich mieszkańcy zaś żyli ze sprzedaży tego, co miało w górach wartość: prowiantu i ognia.

Wieś była ufortyfikowana niczym twierdza: u wejścia do wąwozu postawiono kamienny mur, wzdłuż którego biegł głęboki rów. Solidnej bramy strzegło chłopisko z pałką w garści. Na szyi draba kołysała się kościana świstawka – czymś takim grombelardzcy pasterze zwykli przywoływać swoje psy.

W tej części Grombelardu wysokogórskie drzewa stanowiły prawdziwą rzadkość; budulcem był tutaj spojony kiepską zaprawą kamień, surowiec, którego nie brakowało. Posłużył do wzniesienia muru i kilku lichych domów, poza tym rolę mieszkań spełniały niewielkie jaskinie. Drewno opałowe albo węgiel drzewny sprowadzali mieszkańcy aż z Grombu, kosztem niemałych pieniędzy i trudu. Racjonowano je też niezwykle oszczędnie, tym bardziej że tutaj, w sercu gór, każdą wiązkę drewna lub garść węgla można było sprzedać podróżnemu po prostu na wagę złota.

Wieś miała kilka nazw, co było równie dobre, jakby nie miała żadnej. Mieszkańcy „wychodzili z jaru” i „do jaru wracali”, żadne inne określenie nie było im potrzebne.

Pilnujący bramy człowiek przechadzał się niespiesznie. Najpierw bezmyślnie pocierał pałką zmierzwiłone brodzisko, potem obgryzał sękaty koniec, wreszcie jął popukiwać się w głowę. Gdy i to zawiodło jako sposób na zabicie czasu, wziął oręż pod pachę i mocno roztarł dłonie, zgrabiając od chłodu.

Jednak wszystkie te zajęcia nie osłabiły jego czujności. Odległy stukot toczącego się kamienia sprawił, że mężczyzna zatknął pałkę w szczelinę między okruchami skał i pochwyił lekką, ale niezłą kuszę, leżącą obok głazu. Wsunął nogę w strzemię, zaczepił cięciwę o przytwierdzony do pasa hak i naciągnął broń. Zaraz nałożył bełt. Sprawność, z jaką wykonał wszystkie te czynności, była godna kusznika Gwardii Grombelardzkiej.

Z gwizdkiem w ustach wartownik czekał, kucnąwszy pod skalną ścianą. Pilnie spoglądał w kierunku, skąd mogli nadejść obcy.

Nie czekał długo. Ujrzawszy kilka niewyraźnych, rozmazanych przez mżawkę sylwetek (właśnie zaczęło padać), świsnął dwa razy krótko i raz długo, przeciągle. Nadchodzący przystanęli na chwilę, ale zaraz podjęli marsz. Zbliżali się wolno, otwarcie, dając do zrozumienia, że nie żywią wrogich zamiarów.

Od chałup w stronę muru biegły ponure draby z kuszami i oszczepami: załoga górskiej warowni. Szybko zajmowano dogodnie do obrony stanowiska.

Przybyszów było trzech. Na czele szedł mężczyzna średniego wzrostu



i tuszy, lat około pięćdziesięciu pięciu. Na ramionach miał szary płaszcz wojskowy; podobne okrycia nosili w Ciężkich Górach prawie wszyscy. Rozchylony z przodu, płaszcz odsłaniał pas z krótkim mieczem. Uwagę zwracał dziwny wyraz twarzy przybysza – lekko skrzywionej w nieustannym szyderczym grymasie.

Z tyłu postępowali dwaj tragarze, stanowiący zarazem zbrojną eskortę. Obaj mieli kolczugi, kusze i miecze.

Góral pilnujący osady ostrożnie postąpił ku przybyłym. Zagadnął krótko, nieprzyjaźnie.

– Jestem Gotah-Przyjęty – opowiedział się mężczyzna w szarym płaszczu. – Zwany Głupim albo Szalonym.

Słowa zabrzmiały sarkastycznie, ale trudno, doprawdy, nadać inny ton wypowiedzi, gdy połowa twarzy, wraz z kącikiem ust, uniesiona jest w ironicznym grymasie.

– Czy ta wieś nazywa się Jar?

o o o

Wielka izba, niesłychanie cuchnąca, pełna była uzbrojonych ludzi. Niedawno palono tu ogień, zapewne w celu przyrządzenia wspólnego posiłku. Palenisko już wygaszono, ale dym wciąż wisiał w powietrzu. Zdumiewało, jakim sposobem żywe istoty mogą wytrzymać w tej wędzarni.

– Słucham – rzekł Przyjęty.

Grombelardzki wieśniak, bardziej niż mieszkaniec innych krain Szereru, świadom był potęgi Szerni i ludzi przez nią przyjętych. O mędrkach żyjących w Złym Kraju, a szczególnie na Czarnym Wybrzeżu, mówiło się często. Lecz widywano ich rzadko. Zgłębiali istotę Pasm i Smug Szerni, poza tym niewiele ich obchodziło. A już wędrówki po bezdrożach?...

Oglądano gościa nieufnie. Wiedziano, że przyjdzie, ale kiedy w samej rzeczy przyszedł, stąpając całkiem zwyczajnie, wszystkim naraz się zdało, że powinien raczej przylecieć powietrzem... Czy na pewno był mędrcem Szerni?

– Słucham – powtórzył przybysz, wyraźnie zniecierpliwiony. – Czy jest tu ktoś, kto potrafi zrozumieć, co mówię? I udzielić najprostszycy odpowiedzi?

Po krótkiej chwili z ciemnego kąta padły słowa, które zdziwiły Przyjętego:

– Odpowiedzi tak, lecz bardzo ogólnikowe. Będę musiał prosić o cierpliwość, wasza godność. Nie wiem, co się stało. Osoba, która udzielić może wszelkich wyjaśnień, powinna być tu już wczoraj.

Oczekujemy jej przybycia w każdej chwili. Tymczasem odrzuć, panie, nieufność. Ludzie, którzy nas otaczają, nie mają wrogich zamiarów. Po prostu nigdy jeszcze nie widzieli człowieka przyjętego przez Szerni.

Górale tak nie mówili. Język grombelardzki, bardzo trudny, w ustach ludzi prostych brzmiał niechlujnie – zubożony, okaleczony. Ktoś, kto należycie stosował akcenty i pauzy, nadając podstawowym pojęciom szersze treści, był w Ciężkich Górach niezmiernie rzadkim gościem.

Gotah zwrócił spojrzenie w kierunku, skąd dobiegał głos. Na szerokiej ławie siedział – czy też lepiej: spoczywał – wychudzony mężczyzna, pozbawiony nóg. Pozostały tylko kikuty ud, skryte pod brudną spódnicą.

– Kim jesteś?

– Kimś w rodzaju komendanta tej stancy – padła wymijająca odpowiedź. – Żyję tutaj od jakiegoś czasu i tutaj zapewne umrę. Czy zaspokoilem twą ciekawość, mędrcze?

Przyjęty zmarszczył brwi.

– Co do osoby wzmogłeś. Ale twoje tajemnice są twoją własnością, panie – zatyłował rozmówcę, lecz tak, że dzielący ich dystans został podkreślony, nie zaś zniwelowany. – Tym bardziej jednak żądam, by wyjaśniono mi wreszcie, po co i dla kogo tu jestem.

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie wezwano cię, panie, dla żartu. Choć oczywiście powody, które podano w liście, są fałszywe. Te listy miały zaintrygować Przyjętego i nic więcej. Spełniły tę rolę należycie. Rzeczywiste przyczyny... gdyby je przedstawiono... na pewno uznałbyś za całkowicie niewiarygodne. To wszystko, panie.

– Wszystko? To mniej niż nic. Posłuchaj mnie, panie komendancie stancy: mój czas jest bardzo cenny. Straciłem go dość, wyprawiając się tutaj, ty zaś pragniesz zabrać mi go jeszcze więcej.

– Ci ludzie – rzekł kaleka, wskazując milczących górali – nic nie wiedzą. Ja zaś, choćbym wiedział, nic nie powiem. Nawet Przyjętemu. Musisz więc poczekać, wasza godność.

Pokazał dłoń, w której spoczywała perłowa, opalizująca kula wielkości pięści dziecka. Dor-Orego, Jasny Porzucony Przedmiot.

– Kula Ferenu – przyszło ciche (i niepotrzebne) wyjaśnienie. – Co zrobisz, panie? Wydrzesz mi ją z palców przemocą, powaliwszy wpierw wszystkich moich obrońców? Myślę, że potrafisz to uczynić, lecz czy warto? Może jednak lepiej poczekać?

Gotah milczał. Mógłby, oczywiście, skupić słuchaczy w ciasny krąg i zacząć nauczać o Szerni. Powszechnie sądzono, że mędrzy z Czarnego Wybrzeża nic innego w życiu nie robią, tylko strzelają ogniem z dłoni, pstrykając w palce, napełniają winem puchary, przemieniają się w wydry, by przepłynąć rzeki, słowem – używają mocy Pasm do wszystkiego. Może nawet do ulżenia sobie po posiłku. Choćby

przekonywał do wieczora, nikt tutaj by nie uwierzył, że lah'agar to po prostu uczonego, którego cała siła wynika z wiedzy noszonej w głowie.

Oczywiście, wobec Kuli Ferenu nie mógł się odwołać do Ciemnych Pasm Szerni nawet za pomocą Porzuconego Przedmiotu. Tylko po co miałby to robić?

Kaleka rozumował po swojemu. Przyjętego wcale to nie dziwiło.

– Nic nie zrobię – powiedział krótko. – Ale kto powiedział ci, panie, że zamierzam uzyskać potrzebne wiadomości przy użyciu siły? Może po prostu odejdę, nie doczekawszy się wyjaśnień?

– Wasza godność – rzekł z powagą tamten – straciłeś dość czasu, by pozwolić sobie na stratę jeszcze dnia lub dwóch. A w człowieku przyjętym przez Szerni jest to samo, co i w każdym innym: ciekawość.

Nieoczekiwanie Gotah uśmiechnął się lekko.

– Dobrze – ustąpił. – Ale skoro już jest we mnie ta ciekawość, to zaspokój ją, panie, w małym chociaż stopniu. Powiedz mi, na kogo czekamy.

– Tyle mogę uczynić. Na Hel-Krehiri, panie.

Gotah znał to imię. Nosząca je kobieta uchodziła za okrutnicę, zakochaną tylko w sobie i swoim królestwie. Krążyły o niej fantastyczne opowieści. Powtarzano, na przykład, że umarłaby natychmiast, gdyby budząc się rano, nie ujrzała osnutych deszczem, wraźonych w chmury szczytów. Nie mogła żyć bez Gór.

## ROZDZIAŁ 2



**S**tary miecznik w milczeniu zasiadł za stołem. Po chwili rzekł niegłośnie:

– Boli mnie twoje nieszczęście. Dlaczego nic nie mówisz? Czy dowiem się kiedyś, co zaszło? Jak mogę pomóc, skoro nic nie wiem?

Uniósł wzrok, ze smutkiem potrząsając głową.

Stojąca przy drzwiach przedwcześnie postarzała kobieta z jaskrawym pasmem siwizny w kruczoczarnych włosach milczała.

Przychodziła od kilku miesięcy. Prawie jej nie znał, ledwie wiedział, kim jest i jak się nazywa. Przed laty pojawiła się u niego, pytając o swoich przyjaciół – osoby, które bywały w jego domu.

Potem przyszła znowu. Przybyła do obcego człowieka, dając do zrozumienia, że prosi o opiekę; to uświadomiło mu, jak bardzo musi być samotna. Skoro w całym Grombie nie miała nikogo bliższego niż on.

– Jak mogę pomóc? – powtórzył.

Nie odpowiadała. Wyglądało na to, że postradała mowę; trudno przecież założyć, że... nie chciała mówić. Co gorsza, najwyraźniej postradała też zmysły. Bolał nad tym, bo była grombelardzką legendą, częścią kraju, w którym żył i w którym pragnął umrzeć. Wciąż od nowa pytał, co może uczynić. Wiedział już, że odpowiedzi nie będzie, ale jednak... pytał.

– Więc nic?

Milczała, patrząc pod nogi.

Potem uniosła głowę i rozejrzała się wokół, szukając czegoś na ścianach obwieszonych orężem. Mała izdebka wyglądała niczym zbrojownia, ale też była samotnią człowieka, który wykuwał najlepsze ostrza w Grombie, a być może w całym Grombelardzie. Nawet legie cesarskie, żądające wyrobów najwyższej jakości, przysyłały zamówienia do słynnego mistrza Haaghena.

Kobieta nie znalazła tego, czego szukała. Wyczytał w jej spojrzeniu niepokój. Wstał szybko i podniósł wieko dużej skrzyni.

– Twoje rzeczy, tak? Teraz trzymam je tutaj – wyjaśnił uspokajająco, pokazując wnętrze kufra. – Bądź spokojna, opiekuję się nimi.

Znów spuściła oczy ku podłodze.

Wydobył niewielką skrzyneczkę. Zaczerpnął zeń i podszedł do kobiety. Włożył jej w ręce kilka małych sztuk srebra i garstkę miedzianych groszy.

– Dałbym ci nawet potrójną sztukę złota – powiedział. – Ale złoto zbyt drażni ludzkie oczy. Ktoś mógłby cię skrzywdzić z powodu złotego krążka. Lepiej niech będzie srebro i miedziaki. Po prostu przychodź częściej.

Odwróciła się i wyszła, nie unosząc spojrzenia. Zauważył jednak, że płakała.

o o o

Zapadł wieczór, bardzo ciemny i zimny, choć trwała pełnia lata. Ale w Grombie, stolicy Ciężkich Gór, wiatr, deszcz i mrok były najczęstszymi gośćmi. Trwające ponad światem Pasma Szerni nie chciały oglądać przekłętej krainy, okryły ją więc chmurami, ściągany z nieba Dartanu. I tak graniczyły ze sobą dwa kraje: jeden znienawidzony, drugi ukochany przez rządzącą Szererem Potęgę. Pierwszy zimny i dżdżysty – drugi przyjazny, słoneczny.

Ale nad Dartanem Szerń nigdy nie toczyła wojen z obcą, groźną mocą Aleru – siły ponad światem, jak i ona. Nie ponosiła klęsk, nie gubiła poszarpanych Pasm. To Grombelard widział wszystkie jej porażki i choć ujrzał także na koniec ciężko okupione zwycięstwo, Szerń wolała okryć go całunem. Był pobojobowiskiem.

I pozostał, na wieki, krajem zapomnianym. Nieprzyjaznym. Dziwacznym... Kiedyś z górskich szczytów i całych łańcuchów czyniły sobie walczące Potęgi istne fortyfikacje. Rozrywały masywy, żłobiły kotliny, w których później zalśnić miały tarcze jezior. Wyrzywały rzeki z górskich trzewi, kierując spienione nurty w przepaściste fosy – taką fosą była przecież słynna Pętla Medevy, obejmująca siedem gór, zwanych Medevenem lub Koroną. Największy bastion sił Szerni... Tak przynajmniej głosiła legenda.

Trudno dociec, co skłoniło starego miecznika, idącego ciemną ulicą, do snucia rozważań o przeszłości Grombelardu. Może spotkanie z kobietą, która sama była... trochę jak Grombelard. Bo wydawało się, że jakieś potężne siły spustoszyły jej umysł, duszę, po czym odeszły, zostawiając zrujnowane pobojobowisko. Tak jak Szerń i Aler odeszły z Ciężkich Gór.

Chociaż... Pasma tylko pozornie porzuciły Grombelard. Szerń nie była dla górzystej krainy łaskawa, lecz Formuły wypowiedane pod niebem Kraju Chmur przywoływały moc Pasm równie pewnie, jak te

dobiegające z Dartanu, Armektu czy Wysp pośród Bezmiarów.

Mistrz Haaghen uważał, że podobnie było z nieszczęśliwą kobietą. Coś w niej trwało niezłomnie; coś słuchało i rozumiało. Stary miecznik pragnął znaleźć odpowiednią... Formułę, tak. Formułę, która rozjaśni pogrążony w mroku umysł, przebijając spowijające go chmury.

Był stary, lecz uważał, że jest jeszcze w jego życiu dość miejsca na spełnienie dobrego uczynku.

Zmierzał do komendantury Legii Grombelardzkiej.

Przyjęto go natychmiast i z niemałymi honorami. Dowódca wart znał imię człowieka, którego gmerk był wybitny, obok cechy jakościowej garnizonu, na mieczu każdego żołnierza. Grombelardzki legionista, pełniący wyjątkowo trudną służbę, umiał docenić oręż i lepiej niż ktokolwiek rozumiał, że od jakości żelaza, od tego, czy łatwo się szczyrbi i pęka, zależy może wynik zbrojnego spotkania.

Miecznika zaprowadzono wprost do komendanta.

– Wasza godność – powiedział tysięcznik S.M.Norwin, pospiesznie wychodząc naprzeciw – czy stało się coś niedobrego? Jeśli tak, nie tracimy czasu nawet na powitania, natychmiast wydam potrzebne rozkazy... Proszę mówić.

Miecznik uśmiechnął się, bo w słowach komendanta była szczerza gotowość udzielenia mu żądanej pomocy, a ponadto – zatytułowano go „godnością”. Znał swoją wartość, oczywiście, bo znał wartość wytwarzanej w swych warsztatach broni. Ale płacono mu za nią uczciwie. Prawdziwie więc uważał, że wojsko nie ma wobec niego żadnych dalszych powinności, podobnie jak on sam wobec wojska.

Ani się spodziewał, że wywoła swym przybyciem takie poruszenie. Teraz odczuł pewne zakłopotanie.

– Wasza godność – zaczął trochę niezręcznie – nie przywykłem i... prawdę rzekłszy, bliższe mi towarzystwo żelaza niż wysoko postawionych osób... Nie należą mi się żadne tytuły, jestem tylko rzemieślnikiem, wasza godność, nikim więcej.

Poproszono go, by usiadł.

– Ktoś, kto powołuje do istnienia oręż, nie jest w moich oczach tylko rzemieślnikiem, panie – rzekł z powagą gospodarz, częstując winem.

Norwin był Armektańczykiem, synem najstarszego narodu Szereru. Tradycja żołnierza-wojownika, stawiającego czoło stworzonym przez Aler półzwierzętom, była równie stara jak sam Armekt. Oręż otaczano niemal kultem. Stary miecznik ledwie o tym pamiętał, teraz jednak nie mógł – i nie chciał – okazywać cesarskiemu oficerowi, jak mało go zajmują armektańskie tradycje.

– Niech tak będzie, panie – powiedział. – Ale przyszedłem w sprawie niemającej nic wspólnego z moją pracą. Choć prawda, że gdyby nie ona... – Zamilkł, znów zakłopotany.

– Nie wpuszczono by cię do mnie tak prędko, wasza godność – dokończył komendant, uśmiechając się lekko. – Czy to chciałeś, panie, powiedzieć?

Miecznik, nieco zagubiony, powiódł wzrokiem po kamiennej komnatce, bardzo niewygodnej. Uchylone drzwi pozwalały zajrzeć do drugiej izby, równie ciasnej i zimnej. Stało tam proste łóżko i chyba niewiele więcej. Zdaje się, że dalszych pomieszczeń nie było. Stary rzemieślnik z trudem wierzył, że ktoś piastujący tak wysoką funkcję jak komendant stołecznego garnizonu musi mieszkać w podobnych warunkach.

– Z racji mojego stanowiska – odezwał się Norwin – mieszkam i pracuję właśnie tutaj. Prawda, że trudno nazwać tę kwaterę domem. A przecież jestem w lepszym położeniu niż inni. Wielu ludzi zazdrości mi tych izb.

Dla człowieka obcującego na co dzień z najwyższymi dostojnikami, przywykłego do intryg i dworskich wojenek, twarz rzemieślnika odludka była niczym otwarta księga. S.M.Norwin bez trudu czytał w myślach zdziwionego i stropionego gościa.

– Dwór cesarski, a także dwory przedstawicielskie w prowincjach – ciągnął swobodnie, chcąc przełamać skrępowanie znakomitego miecznika – wabią swoim blaskiem rozmaite ćmy. Tak było zawsze i wszędzie, a w Grombelardzie najbardziej. Nie zgadniesz, panie, jak wielu ludzi gotowych jest użyć sprytu, znajomości i pieniędzy, by znaleźć się bliżej osoby mającej władzę. Pomniejsi urzędnicy księcia zadowalać się muszą czymś w rodzaju komórki, wydzielonej z części dawnej stajni. Wielu mieszka w piwnicach... Tak właśnie jest na dworze, wasza godność. Byle mieszczuch żyje w Grombie wygodniej niż komendant Legii Grombelardzkiej. A mimo to bardzo sobie chwałę te „komnaty”.

Rozłożył ręce.

– Lecz do rzeczy – zmienił temat. – Uwierz, panie, że goszczę cię z przyjemnością i nasza rozmowa jest dla mnie prawdziwym odpoczynkiem. Ale... – Bezradnie wskazał stół, zasłany dokumentami. – Wstyd to przyznać, lecz prawie nie pamiętam, jak cięży w ręku dobry oręż. – Z niekłamaną niechęcią uniósł gęsie pióro. – Moja broń... W czym i jak mogę pomóc, wasza godność?

Miecznik widział, że komendant jest mu naprawdę życzliwy. Jednak rzeczywiście odwykł od rozmów z ludźmi na stanowiskach... i w ogóle z ludźmi. Czeladnicy (dla których był o wiele bardziej surowy, niż sądził) widzieli mu się zaledwie dodatkiem do miechów i tarcz szlifierskich w warsztatach. Rodziny nie miał. Teraz gdy przemówił, słowa zabrzmiały bardziej niezręcznie i oschle, niż sobie tego życzył.

– Mam sprawę, panie – rzekł. – Nie wiem, czy kłopotliwą. Potrzebuję,

wasza godność, protekcji.

Żołnierz nieznacznie zmarszczył brwi.

– O... – mruknął jakby z niemiłym zdziwieniem. – Dobrze, słucham.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie.

– Chciałbym zyskać posłuchanie u Księcia Przedstawiciela Cesarza – rzekł Haaghen. – Nie wiem, jak ubiegać się o nie.

Na twarzy komendanta odmalowało się najpierw zaskoczenie, a potem prawdziwa ulga, że człowiek, którego szanuje, nie prosi o nic niskiego.

– Ale cóż prostszego! Wystarczy...

Urwał. Zasepił się.

– Hm, to prawda...

Po długiej chwili miecznik zapytał wprost:

– Czy to trudne?

– Ależ nie, wprost przeciwnie – odparł tamten w zamyśleniu. – Uzyskać je może każdy. Najpierw jednak urzędnicy księcia zechcą wiedzieć, czy nie wystarczy rozmowa z członkiem Rady. Jeśli nie, uzyskasz wasza godność, posłuchanie, gdy nadejdzie twoja kolej. Więc najprędzej, hm... za miesiąc? A może dwa lub trzy miesiące, doprawdy, nie umiem powiedzieć... Czy to sprawa wielkiej wagi, wasza godność?

– Tak i nie. Dla mnie osobiście dość ważna.

– Więc prywatna. No cóż... Czy na pewno nikt inny? Może ja sam mógłbym...?

– To musi być Księżę Przedstawiciel – powiedział miecznik, dla którego pozycja petenta stawała się coraz bardziej przykra. – Mało tego: chciałbym zamienić z księciem słowo na osobności.

– O tym nawet nie ma co myśleć!

Mistrz Haaghen zacisnął usta.

– Zrozum mnie dobrze, panie – sumitował się oficer – otóż są granice, których przekroczyć niepodobna. Będiesz miał, wasza godność, możliwość skierowania swoich słów do księcia. To, co powiesz, przesądzi o dalszym przebiegu rozmowy. Ale najpierw trzeba, by w ogóle do niej doszło.

Znowu zamilkł. Stu ludzi odprawiliby z niczym, utrzymując, że sprawy załatwić nie może. Ale stary rzemieślnik nie był typem człowieka, który szedłby na dwór Przedstawiciela, mając na oku jakieś przyziemne korzyści, a tym samym narażając protektora na nieprzyjemności. Norwin czuł w głębi duszy, że prędzej zyska, niż straci, popierając tę tajemniczą sprawę.

– Czy gotów jesteś, panie – zagadnął, znalazłszy sposób – uciec się do... hm, niewielkiego kłamstwa?

– Jak mam to rozumieć?

– Jutro będę widział się z księciem, zaraz po posiedzeniu Rady. Mam



tam swoje miejsce z racji pełnionej funkcji, ale sprawy czysto wojskowe zwykle omawiane są po posiedzeniach, w węższym gronie. Nie myślę wcale o przebrojeniu legii... Ale może ceniony w Grombie miecznik mógłby pomyśleć za mnie?

Haaghen zmarszczył czoło.

– Miałbym zatem... – zaczął powoli.

– Powołałbym cię, panie, jako rzeczoznawcę. Jeśli istnieje jakiś powód, dla którego miecze legionistów mogłyby być lepsze, niż są...

– Nie widzę takiego powodu – rzekł rzemieślnik.

– No to wymyśl go, panie. I niech będzie wiarygodny, bo księżę zna się na orężu i wojsku naprawdę wybornie. To wszystko.

Rozmowa była skończona.

## ROZDZIAŁ 3



**H**el-Krehiri przybyła z drużyną tak liczną, że domy wsi w żaden sposób nie mogły zapewnić kwater. Biwakowano pod gołym niebem, na wojskowy sposób, przy czym dyscyplina i porządek w oddziale były rzeczywiście wzorowe.

Ciężkie Góry nie raz i nie dwa razy oglądały przemarsze zbójeckich band, które karnością przypominały cesarskie legie. Właściwie tylko to się nie zmieniło, bo od czasu zniknięcia Kragdoba wszystko wyglądało inaczej. Hel-Krehiri, jego następczyni, była przecież tylko kobietą i jak prawie każda kobieta, przychodząca na miejsce mężczyzny niezwykle, umiała być zaledwie cieniem wielkiego poprzednika – dla mieszkańca Grombelardu było to zupełnie oczywiste. Kobiety przydawały się tylko do jednego, czasem któraś osiągnęła pozycję półwojowniczkę – trochę tak, jak wyjątkowo mądry pies. Ale poza Łowczynią (która miała chyba jakieś niezwykle moce, bo polowała na sępy i była zupełnie odporna na ich wzrok) właściwie żadna kobieta w Ciężkich Górach nie nadawała się do... samodzielności. Wyjątki potwierdzały regułę; to nie były zresztą kobiety. Zabita przed kilkoma laty Mavala była, jak mówiono, tak brzydka, że nie przypominała człowieka. Hel-Krehiri – tak bezwzględna, że... też nie przypominała. Szanowano ją, lecz głównie dlatego, że okazywanie szacunku wymusiła. Wzbudzała powszechny lęk – i dobrze, bo żołnierz winien czuć respekt przed dowódcą. Ale dla jego surowości, nie zaś okrucieństwa.

Gotah-Przyjęty, który to i owo o Pani Łez słyszał, poznał zaraz, że większość dziwnych opowieści o niej – że nie lubi ludzi; że jest kotem w ludzkiej skórze – chyba nie mija się z prawdą. Bardziej może zaintrygowany niż zadziwiony, bo historia Szereru notowała podobne przypadki, obserwował niewysoką, doskonałą jak kropla deszczu dziewczynę, która rzeczywiście bardziej była kotem niż człowiekiem. Czarnowłosa i zielonooka, o drobnym podbródku, stanowiła idealne połączenie urody i harmonii, zaiste jak kocica. Również całe jej zachowanie wyrażało najznamienitszą kocią cechę: celowość. Nie gestykulowała, mówiąc. Nie robiła kilku rzeczy naraz. Obdarzona

wysoco podzielną uwagą, zdawała się badać otoczenie słuchem w stopniu daleko większym, niż zwykł to czynić człowiek, przy czym własny głos wyraźnie nie przeszkadzał jej w łowieniu wszelkich obcych dźwięków. Wreszcie, także sposób postrzegania świata miała wybitnie koci; nie obchodziło jej nic poza tu i teraz. Gdyby zaczął mówić o przyczynach, dla których grombelardzkie niebo spowijają chmury, w ogóle by nie zrozumiała, o co chodzi. Chmury – no tak, były. Są. Czy miały może zniknąć? Nie? Więc po co o nich mówić czy myśleć? Jaki z tego pożytek?

Nie przypadła jej do gustu ciemna izba. Powitawszy gościa, zamieniła kilka słów z tajemniczym beznogim mężczyzną, po czym zaproponowała Przyjętemu... przechadzkę.

Na zewnątrz szalała ulewa.

– Wolę czuć wokół siebie góry niż śmierdzące ściany – wyjaśniła krótko. – A ty, panie? Dobrze ci w tym zakopconym grobie?

Budowała zdania w sposób znamionujący bystry umysł i niejaki obycie (gdzieś słyszał, że wychowywała się w mieście), ale wypowiadała je niedbale, tak że raczej myślą niż słuchem doszukiwał się pełnych znaczeń grombelardzkich słów.

– Czy nie obawiasz się, że po wyjściu stąd użyję Formuły, która pozbawi cię rozumu i woli? Po czym uprowadzę, zabiję albo jeszcze gorzej? – zapytał z kpina, zawinioną tym razem nie tylko przez grymas twarzy.

– Przyjęci to nie głupcy, lecz mędrcy – zauważyła treściwie. – Głupców Szerń nie przyjmuje.

Wstał z kamienia służącego za siedzisko.

– No to chodźmy – powiedział.

Znalazłszy się na zewnątrz, przemokli w mgnieniu oka. Nie sądził, by to zauważyła.

– Zapomnij, panie, o listach, które ci posłałam. Zwykły podstęp – mówiła przez ramię, idąc przodem. – Tam są same kłamstwa, ale to nie ja je wymyśliłam – zastrzegła, bo to było dla niej bardzo ważne.

– Wielu ludzi zginęło, zanim doręczono mi ten list – powiedział sucho.

– Ale jesteś tu, więc było warto. Gdybym mogła sama iść do Złego Kraju, zrobiłabym to i wyjaśniła całą rzecz na miejscu. Ale nie mogłam. Z wielu przyczyn, przede wszystkim zabraniał tego rozsądek. W Kraju łatwo o śmierć, a moje życie jest teraz bezcenne. Możliwe, że jest najważniejszą rzeczą w Grombelardzie.

– O! – Pokręcił głową. – Zakładam, że nie żartujesz.

– To dobrze.

Wyszli za bramę. Usiadła wprost na ziemi, opierając plecy o potężne wierzeje. Wioskowego wartownika nie było, teraz służbę pełnili dwaj jej

ludzie oraz kot, jeden z kilku wchodzących w skład oddziału. Oddalili się, gdy skinęła.



Wystawiła twarz do deszczu. Skórzana opaska na czole była czarna od wilgoci, podobnie jak gruba kurta, którą nosiła na koleczudze.

– Posłuchaj, mędrce – powiedziała, odgarniając mokre włosy, przylepione do szyi – i lepiej nie podawaj moich słów w wątpliwość, bo to, co wiem, wiem na pewno. Czego zaś nie jestem pewna, to zaznaczę.

– O! – powiedział znowu. – Jednak przyznam, pani, że twój ton jest cokolwiek niewłaściwy wobec kogoś takiego jak ja. Nie widzę powodu, byś mną komenderowała.

– Wcale nie zamierzam tego robić, panie. Nie chcę cię pod swoją komendą, musimy się sprzymierzyć, to wszystko. Teraz jednak różnica między nami jest taka, że ja wiem, dlaczego to przymierze jest konieczne, ty zaś nie. Daj mi wreszcie powiedzieć, co trzeba, a zlikwiduję tę różnicę. Słuchasz?

Roześmiała się niespodziewanie.

– Wiem, mój ton. Naprawdę żywię szacunek dla Gotaha-Przyjętego, panie. Ale od lat odzywam się tylko po to, by wydać rozkaz albo wyrok. Trudno mi znaleźć właściwe słowa.

Przyjął wyjaśnienie. Jeśli w ogóle kiedykolwiek przepraszała (w co wątpił, bo koty nie przepraszały), to właśnie próbowała uczynić coś w tym guście.

– Kilka miesięcy temu – powiedziała – wydarzyło się coś, czego nie rozumiem i wątpię, bym zdołała zrozumieć. Nawet z twoją, panie, pomocą. Nie lubię Szerni i jej sił, i polubić nie chcę. Lubię miecz. Myślę, będzie potrzebny. Blisko rok temu – ciągnęła – podjęto próbę wskrzeszenia wrogiej siły, która kiedyś zmagala się z Szernią. Uczynił to ktoś taki jak ty. Szczątki podartych Wstęg Aleru (popraw mnie, panie, jeśli coś pomyliłam) do dziś leżą w górach. Powtarzam to wszystko za kimś, nie wiedząc, co właściwie znaczy – wyznała rozbijając się. – I nic mnie to nie obchodzi, naprawdę. Zdaje się, że od rozumienia jesteś ty. Ja wiem, kto chce skrzywdzić Ciężkie Góry, będę z nim walczyć i zabiję go.

Gotah milczał, wykrzywiwszy twarz w grymasie, który nie wiadomo, co oznaczał.

– Ten człowiek nazywa się Brul-Przyjęty – podjęła. – Ciężkie Góry znają to imię. Po śmierci Wielkiego Dorlana to najpotężniejszy z was, mędrców Szerni, czy tak? Zdaje się jednak, że jest pomyłony? Powiedziano mi, że powinien zostać odepchnięty przez Szernią, jednak tak się nie stało z powodów, których nikt nie rozumie. Brul-Przyjęty chce mieć syna, by przekazać mu swą fałszywą wiedzę. Jednak obcowanie z Szernią sprawia, że dzieci Przyjętych albo rodzą się martwe, albo są kaleki... Czy uważasz, wasza godność, że mającę? – zapytała nieoczekiwanie.

Przez chwilę patrzył jej w oczy.

– Mam nadzieję – powiedział.

Dotknął dłonią czoła, odstąpił dwa kroki, potem wrócił. Uczynił słaby ruch ręką.

– On chce zmusić Aler, by za sprawą wybranej kobiety dał mu zdrowego potomka – rzekł poruszony. – Czy tak?

– Zapewniał mnie o tym człowiek, który wie, co mówi – potwierdziła.

– Szczałki Wstęg Aleru odnaleźć można w okolicach Grombu, w Czarnym Lesie i... och, dla mnie to wszystko bełkot! – powiedziała z gniewem. – Nic z tego nie rozumiem, ale widziałam, co stało się z górami tam, gdzie chciano te Wstęgi poruszyć! Widziałam! I wiem, że dwoje ludzi, którzy stanęli w obronie gór, drogo za to zapłaciło. Nie byli dotąd moimi przyjaciółmi, a jednak ich pomszczę, przysięgam.

Zamilkła wzburzona.

Gotah przetrwał wieści.

– To wszystko jest możliwe – rzekł wreszcie. – Tak, to wszystko mogło się zdarzyć, niestety. Ale chcę mieć dowód, że jest tak, jak mówisz. Czy masz jakieś dowody?

Zapomniał, z kim rozmawia. Najpierw ujrzał jej ogromne zdumienie, potem przyływ wściekłości. Żądał przecież dowodu prawdy od istoty, której słowo było dowodem samym w sobie. Kot nie kłamie. Żądanie dowodu na poparcie jego słów było obelgą tej miary co splunięcie w twarz. Wyszczrzyła zęby jak zwierzę i przez chwilę walczyła z dziką chęcią wydobycia miecza.

– Spróbuję... zapomnieć – wykrztusiła wreszcie, nie patrząc na Przyjętego. – Nazywają cię Głupim, czy tak? Rozumiem to.

Uniósł ręce.

– Nie zarzucam ci kłamstwa, pani – rzekł pospiesznie. – Ale może się mylisz? Wierzę, że jest tak, jak mówisz, ale siła człowieka przyjętego przez Szerń musi znaleźć oparcie w wiedzy! Wiara to za mało, wiara to nic, wierzyć można w cokolwiek! Muszę WIEDZIEĆ. Muszę mieć pewność.

Próbowała okiełznać gniew.

– Oto mędrzec. Jak mogłam się... spodziewać? Czego ci potrzeba? Jakich dowodów? – pytała urywanie, rozdrażniona.

– Ależ jakichkolwiek – powiedział ciężko. – Więc nie masz żadnych, pani? Po co więc sprowadziłaś mnie tutaj? Jeśli wszystkim, co masz, są słowa, to równie dobrze można było zawrzeć je w listach do mnie. Jednak chciałaś spotkania twarzą w twarz. Czy to miało... – Spojrzał na nią i urwał.

Tak. Dawała mu przecież najoczywistsze dowody, jakie tylko być mogły: swoje własne świadectwo. Tak myślała. Po prostu nie umiała i nie mogła myśleć inaczej.

To była bariera, której przekraczania musiał się dopiero nauczyć. Dwie różne istoty – i dwa różne światy.

Gdy się miało przed sobą kota – zwykłego, czworonożnego – trudno było zapomnieć, że to inna istota. Zabawne: wielu ludzi mówiło do kotów głośniejszy i wyraźniej, jakby miały kłopoty z rozumieniem, choć było akurat odwrotnie, bo to kocie głosy w uszach człowieka brzmiały trochę niewyraźnie. Szukano sposobów na sprawdzenie prawdomówności rozmówcy bez zarzucania mu kłamstwa. „Czy się nie pomyliłeś?” „Czy o niczym nie zapomniałeś?” „Czy na pewno nikt cię nie oszukał?”

Teraz jednak rozmawiał z kocicą, która wyglądała jak człowiek. I popełniał w tej rozmowie błąd za błędem.

– Widziałam, co zrobiono góróm! – powtarzała ze złością, ale też bezradnie, bo nie rozumiejąc, czego on właściwie od niej chce.

Tak jak powiedziała, od lat wydawała polecenia, które zaraz wykonywano. Ona też zapomniała, jak się rozmawia z ludźmi, zwłaszcza o trudnych sprawach.

– Wszystko, co wiem – ciągnęła – pochodzi od człowieka, który zmierzył się z Brulem i zwyciężył, i zapłacił za to zwycięstwo. Sprawdziłam, że mówił prawdę. Ty sam przyznajesz, że wszystko to jest możliwe... i nie wiem, no nie wiem, czego chcesz jeszcze?! Poraniono moje góry, rozumiesz? – powiedziała, znowu rozwścieczona. – Zniszczono Wodogrzmoty Medevy! Największy wodospad świata to teraz rumowisko! Usłyszałeś?! Kto to zrobił? Ty? A może ja?!

Pochwyciła skalny okruch i wyrzuciła nim w skrzydło bramy.

– Hel-Krehiri – zaczął bardzo spokojnie i cicho, tak cicho, że musiała się uspokoić, by usłyszeć, co mówi – powiedz: rozumiesz mnie? Pojmujesz sposób myślenia Przyjętego?

Patrzyła długo, z namysłem przekrzywiwszy głowę.

– Ja ciebie też nie pojmuję – powiedział. – Czy ty myślisz, że w Romogo-Koor często zdarza mi się rozmawiać? I to jeszcze z kimś takim jak ty? Nie rozumiemy się i musimy się tego nauczyć.

Usiadł tak jak ona, wprost na ziemi, opierając plecy o wrota.

– Wiem, że wszędzie świadectwo kota uznawane jest za bezsporny dowód – mówił raczej do siebie niż do niej; brzmiało to tak, jakby wyszukiwał w pamięci pożyteczne, lecz dawno zapomniane wiadomości. – Jest przecież dowodem dla urzędników Trybunału Imperialnego. Widziałas, mówisz? I ufasz człowiekowi, który przedstawił ci wyjaśnienia?

Zamknął oczy i pocierając twarz dłonią, długo siedział w milczeniu. Próbował... jednak uwierzyć.

– Jak wy to potwierdzacie? Wy, ten wasz... niezwykły gatunek? – zapytał ciężko. – Jak się to potwierdza, Hel-Krehiri? Pomóż mi, nie pamiętam.

Zrozumiała.



- Słowo... kota – poddała niegłośno i jakby z pewną obawą.  
Znowu milczał przez kilka długich chwil.
- Słowo kota – przypieczętował.

## ROZDZIAŁ 4



Komendant garnizonu wcale nie przesadził, kreśląc obraz książęcego dworu. Mistrz Haaghen był oszołomiony. W korytarzach i salach, uczynionych przecież z myślą o obronnym przeznaczeniu budowli, także po wtargnięciu wroga w obręb murów, panował nieopisany rozgardiasz. Schody, spiętrzone tak, by łatwo było z nich spychać nieprzyjaciół, roily się od biegnących w dół i w górę ludzi; godna najwyższego podziwu była determinacja, z jaką przypuszczali szturm do nich stetryczali starcy, piastujący jakieś godności; to znów damy, z narażeniem życia sunące nieomal na palcach w obuwiu na bardzo wysokich koturnach – wynalazku dartańskich zalotnic; wreszcie urzędnicy, beznadziejnie zaplątani w fałdy długich szat. Ciżba! Domownicy i petenci; służący i żołnierze; kobiety, mężczyźni, młodzieńcy, starcy...

Tysięcznik Norwin i mistrz Haaghen w asyście dwóch legionistów w niektórych miejscach przebijali się z najwyższym trudem – bywało, że eskorta torowała drogę niemal siłą. Stary miecznik, któremu rozbrzmiewające hukami młotów, stękaniami miechów i jazgotem tarcz ściernych warsztaty zdały się nagle przytulne i zaciszne, z wielką ulgą przywitał koniec tej upiornej drogi. Ale gdy komendant pozostawił go w maleńkim pomieszczeniu, któremu na próżno próbowano nadać wygląd dartańskiego przedpokoju, zaczął dla odmiany lękać się, jaki będzie przebieg spotkania z pierwszym człowiekiem prowincji. Oto sprawa, z którą szedł, przybladła nagle w zestawieniu z tym pośpiechem, z tą ogromną, gorączkową krzątaniem setek ludzi, których spotkał po drodze.

„Tak daleko zaszedłem” – mówił sobie, patrząc na pełniących straż przy drzwiach żołnierzy. „Ale z czym? Sprawą obłąkanej kobiety, na której głowę ściągnę, być może, dodatkowe nieszczęście. Któż zaręczy, że to, co mam dla księcia, jest w ogóle jej własnością? Ale trzeba było pomyśleć o tym wcześniej...”

Na szczęście oczekiwanie trwało krótko. Haaghen, który z jakichś powodów był przygotowany na coś wręcz przeciwnego, prawie

bezmyślnie podszedł do drzwi, otwartych przez komendanta.

– Pozwól, panie – rzekł Norwin, skinąwszy głową. – Księżę chce poznać człowieka, który daje oręż cesarskim żołnierzom.

To powiedziawszy, mrugnął.

Nie dodało to otuchy staremu miecznikowi.

Kamienna komnata, której surowość próbowano złagodzić olbrzymim kobiercem oraz licznymi gobelinami, zdawała się dość przestronna – może dlatego, że niewiele w niej było. Pośrodku znajdował się ogromny stół, obstawiony krzesłami. U jego szczytu siedziało kilka osób. Miecznik zdziwił się, widząc proste stroje w przygaszonych barwach, jakże różne od bogatych, gęsto zdobionych szat, przeważających w pałacowym tłumie. Ale prowincjami rządili Armekańczycy, krzywym okiem patrzący na zbyt jawne okazywanie zamożności i znaczenia. Człowiek, szczególnie piastujący wysokie stanowisko, powinien odpowiednio się wyrażać, dając tym świadectwo bystrego umysłu, ale nosić raczej skromnie.

Haaghen, posłyszawszy brzęczącą jak srebro rozmowę przy stole, zdał sobie nagle sprawę, że przecież nie włada armekańskim, a co gorsza – bardzo słabo zna kinen. Wprawdzie Armekańczycy dawno już się pogodzili z gorzką prawdą, że ich język jest za trudny dla mieszkańców Grombelardu i Garry; tylko w Rollaynie, stolicy Złotego Dartanu, posługiwanie się armekańskim należało w pewnych kręgach do dobrego tonu. Niemniej oczekiwali znajomości uproszczonego kinenu od każdego, kto miał jakąś sprawę do przedstawiciela narodu rządzącego Wiecznym Cesarstwem.

O wszystkim tym mistrz Haaghen zaledwie pomyślał. Był już całkowicie pewien, że ktoś taki jak Księżę Przedstawiciel Cesarza nie zechce zniżyć się do tego, by rozmawiać ze zwykłym rzemieślnikiem w jego własnym języku.

Miejsce na podwyższeniu zajmował mężczyzna w wieku lat trzydziestu pięciu do czterdziestu, o wyrazistych rysach i spokojnym, trochę twardym spojrzeniu. Powiedział coś i skinął ręką. Komendant garnizonu odpowiedział z uśmiechem, zajmując jedno z krzesel. W następnej chwili miecznik posłyszał z niemalą ulgą mocno zaznaczone, grombelardzkie akcenty:

– Proszę bliżej, mistrzu. Rad widzę człowieka, który daje oręż Legii Grombelardzkiej. Ale słyszę, że oręż ten mógłby być lepszy? Od razu zaznaczę: nie wątpię.

Miecznik pokrył zmieszanie ukłonem.

– Nie wątpię, albowiem prawie wszystko można zrobić lepiej, niżli jest robione – ciągnął z lekkim uśmiechem Przedstawiciel. – Jednakże światem rządzi równowaga i „lepiej” oznacza zwykle „drożej”. Pomówmy o tej równowadze. Wyjaw mi najpierw, mistrzu: czy dwa

razy droższe miecze będą tym samym aż dwa razy lepsze? Jeśli tak, wysłucham cię z najwyższą uwagą.

Zaległa cisza. Miecznik ujrzał wbite w siebie spojrzenia obecnych... i nagle powiedział ze spokojem, który zaskoczył jego samego:

– Wybornie znam się na mieczach, wasza wysokość. Ale lepsze od mieczów legii są tylko miecze gwardyjskie, które także wytwarzam. Są też, oczywiście, droższe. Nic bardziej śmiertelniejszego zrobić nie potrafię. Dla kogoś, kto urodził się do miecza, być może, lecz nie dla zwykłego żołnierza. Okłamałem jego godność komendanta garnizonu, by zobaczyć się z jego wysokością N.R.M.Ramezem, Księciem Przedstawicielem Cesarza w Grombie – zaakcentował nazwisko i tytuł.

Spoglądano z nieskrywanym zdziwieniem. Norwin, zakłopotany, odchrząknął.

– Bzdura – rzekł po długiej chwili Przedstawiciel. – Uknuliście to razem, czy tak? Mam nadzieję, że nie bez powodu. No, czekam – ponaglił chłodno.

Miecznik postąpił naprzód, wy dobył z zanadru wygnieciony rulonik pergaminu i wyciągnął rękę.

– Co to jest? – padło surowe pytanie.

– Wasza wysokość... Proszę, wasza wysokość. Dwie, a może tylko trzy osoby znają... wiedzą... – Mistrz Haaghen stracił swój spokój.

Przedstawiciel zniecierpliwionym ruchem wziął rulonik, rozwinął go i przebiegł wzrokiem treść. Nagle uniósł głowę i z głębokim namysłem zmarszczył czoło. Zastanawiał się przez długą, długą chwilę.

– To ciekawe – rzekł powoli, patrząc rzemieślnikowi prosto w oczy; zwinął pergamin, ale nie wypuścił go z ręki. – Księgi wyniesione z granic Złego Kraju? – kładł nacisk na każde słowo.

Miecznik przeraził się i zdumiał. Już otwierał usta... gdy nagle zrozumiał, że wszechwładny w Grombelardzie namiestnik cesarza prosi go o... współudział w kłamstwie.

– Tak, wasza wysokość – odpowiedział z drżeniem.

– Wrócimy do tego, mistrzu. Sprawa dość ciekawa, ale błaha – skwitował Ramez, zwracając się do swoich doradców. Przywołał na twarz lekki uśmiech. – Szkoda na nią czasu nas wszystkich.

Ci, z którymi książę był bliżej, także pozwolili sobie na uśmiechy. Słabość cesarskiego zięcia do starych ksiąg i roczników znana była powszechnie. Sprytny rzemieślnik znalazł wyborny sposób na zaskarwienie sobie przychylności najważniejszej osoby w Grombelardzie...

Miecznikowi kazano poczekać w izbie obok. Rozumiał już, że ziściła się rzecz niewiarygodna: miał rozmawiać z władcą prowincji – w cztery oczy.

## ROZDZIAŁ 5



**B** było dopiero południe, lecz na ulicach Grombu zalegał półmrok, przesycony mżawką. Przybysz z innej krainy imperium zdziwiłby się bardzo, trafiwszy tego dnia na wielki rynek gdzie mimo szarówki i deszczu handlowano zawzięcie. Lecz deszcz – dla Grombelardczyka?... Targowano się pośród kramów i straganów, przywodzących na myśl pstrokate namioty. W tłumie nabywców i przekupniów co raz wybuchały sprzeczki, przeradzające się łatwo w kłótnie, a nawet przepychanki. Łagodzili je legioniści z patrolu, uzbrojeni w masywne oszczepy, których groty rzadko były w robocie, za to drzewca dość często.

Właśnie wszczęto bójkę – lecz szczególną, bo dozwoloną przez prawo, a nawet dobrze widzianą, gdyż ten sposób rozstrzygania zatargów pozwalał skłonnym do zwady góralom wyszumieć się bez rozlewu krwi. Na polecenie dowódcy patrolu jeden z legionistów został przy walczących, by pilnować reguł i przyjmować zakłady. Przeciwnicy obnażyli się do pasa i wewnątrz kręgu widzów poczęli okładać pięściami, szczególnie po gębach, ale też gdzie popadło. Armekt i Dartan nie znały tego dzikiego sposobu dowodzenia racji; owszem, uprawiano zapasy. Ale bój na pięści, podniesiony do rangi prawdziwych zawodów wywodził się wprost z Grombelardu.

Reguły były proste: dozwalały jakkolwiek uderzać i popychać przeciwnika, ale nigdy chwycić. Przewróconemu należało pozwolić na pozbieranie się z ziemi. Kto nie mógł się pozbierać, ten przegrywał.

Dwaj jasnowłosi mężczyźni byli godnymi siebie rywalami. Jeden, sporo cięższy i potężniejszy, ustępował przeciwnikowi wzrostem, zwinnością i zasięgiem ramion. Otrzymał już wiele ciosów w twarz i korpus, sam zaś zadał trzy, a może cztery. Jednak miały one swoją siłę. Widać było, że wyższy mężczyzna odczuł uderzenia – odwrotnie zaś, grad ciosów spadających na siłacza nie wywierał skutku. Masywny góral miał rozbity nos i spluwał krwią, ale widzom się zdawało, że gdyby miał trzy nosy, krwawiłby sobie ze wszystkich tak samo obojętnie, choć zapewne obficie.

I oto wysokiemu powinęła się noga: przeciwnik dobrze wybrał moment i dzielił go w podbródek tak potężnie, że dryblasowi w jednej chwili oczy zaszyły mgłą. Machnął trochę desperacko, na oślep, ale tamten poprawił z boku, potem jeszcze raz w podbródek – i było po walce.

W kręgu widzów, wrzeszczących bez opamiętania, stał wysoki starzec z głową okrytą kapturem. Śledził przebieg pojedynku, ale jeśli odczuwał emocje, to ukrywał je dobrze. Uważny obserwator dostrzegłby może, iż skryte zainteresowanie starca budziła raczej kobieta w szarym płaszczu, stojąca w tłumie. Przenikliwe, trochę niesamowite spojrzenie co raz ślizgało się ku niej, dotykało na krótko, potem uciekało.

Miano już dzielić wygraną. Ale oto powalony góral klęknął... potem wstał z wysiłkiem i uniośł ramiona, gotów do dalszej walki. Siłacz zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, lecz na koniec skinął głową, trochę kpiąco, a trochę z uznaniem. Jednak wznowiwszy walkę, raczej blokował ciosy przeciwnika i odpychał go, niżli sam uderzał. Może stracił ducha, a może – czując swą przewagę, po prostu nie chciał masakrować przeciwnika? Nikt nie wiedział, o co poszło tym ludziom; nierzadko przecież nawet dobrzy przyjaciele stawali do pojedynku, poróżniewszy się o jakiś drobiazg. Mogło tak być i tym razem.

Ale nie, bo chudy góral, odzyskawszy werwę, zaczął nacierać wcale nie na żarty, z jakąś zapięklą nienawiścią i dziką desperacją. Siłacz poznał wreszcie, że to nie przelewki; że nie wolno mu oszczędzać przeciwnika, bo zostanie dotkliwie pobity. Otrzymał nową serię bolesnych uderzeń, silniej niż dotąd odepchnął natręta, po czym przeszedł do kontrataku. Okazało się naraz, że – prawdziwie rozgniewany – potrafi uderzać nie tylko potężnie, ale i błyskawicznie. Tłum zawył z rozkoszy, bo istotnie było na co patrzeć. Chudy chwiał się i zataczał pod nawałą ciosów, jednak, jakimś cudem, ciągle nie upadał... Entuzjazm widzów osłabł; walka stała się żalosną, jednostronną kanonadą. Wreszcie ktoś wrzasnął:

– No upadnijże, no! Upadnij!

– Upadnij! – zabrzmiało zewsząd. – Upadnij, przecie już cię dostał! No, upadaj!

– Przewróć się! Nie wstawaj!

– Upadnij!

Młody żołnierz, pilnujący przestrzegania reguł, nie umiał w porę podjąć decyzji. Wreszcie ruszył, by rozdzielić walczących. Ale właśnie wtedy chudzielec, oślepy i półprzytomny, raz jeszcze począł się odgryzać, bezładnie bijąc i kpiąc.

Kogo mógł obchodzić wyraz skupionego wysiłku na twarzy wysokiego starca, gdy odwrócił się i odszedł z pochyloną głową? Zaraz potem odeszła także kobieta w szarym płaszczu. Gdy poprawiała kaptur,

wysunęła się spod niego wstęga czarnych włosów, skażonych pasmem siwizny.

A jednak były oczy śledzące tę parę; opodał, na płóciennym dachu obscurnego straganu, leżał czarny kot gadba, jeden z tych czujnych olbrzymów, którym kupcy chętnie płacą za pilnowanie towaru. Żółte ślepie uporczywie utkwione były w postaci starca, a potem idącej za nim kobiety.

Rozwścieczony bezsensowną walką siłacz otwartą dłonią zatrzymał przeciwnika na odległość wyciągniętego ramienia, drugą ręką przymierzył się i zamachnął potężnie...

Podniecony i przerażony tłum zawył.

Żołnierz nie zdążył przerwać walki.

Wielka pięść z impetem kuli działowej huknęła dryblasą w łeb. Nogi jeszcze próbowały iść naprzód, lecz łamały się w kolanach pod ciężarem lecącego w tył korpusu. Góral upadł, dziwnie skręcony, z piętami pod siedzeniem. Ciałem targnęły drgawki; ustały prawie zaraz. Pięściarz skonał.

Gdy stwierdzono ów fakt, wszczęło się zamieszanie. Legionista, wyraźnie zdenerwowany, pokazał zwycięzcy, że jest wolny – bo też walka odbyła się zgodnie z prawem i wszelkimi regułami. Zresztą gdyby zechciał wydać inny werdykt, miałby do czynienia z poruszonym motłochem; poturbowano by go bez wątpienia. Siłacz, otarłszy krew z porozbijanej twarzy, zarzucił na ramiona kapotę, trzymaną dotąd przez jednego z gapiów. Pilnie spoglądał po otaczających go twarzach, potem, wyraźnie zaniepokojony, skierował wzrok na dach straganu...

Czarnego kocura nie było.

W oczach górala zamigotał prawdziwy lęk, graniczący z przerażeniem. Pospiesznie wmieszał się w tłum, odtrącając zatrzymujących go ludzi. Najpierw krążył po rynku, wreszcie pobiegł do oberży, nazwanej Górskim Wiatrem. Miał tam kilku przyjaciół.

Nim zapadła noc, czterej krzepcy mężczyźni, należący do rodzaju tych, z którymi lepiej nie zadzierać, przebiegli wszystkie ulice i zaułki Grombu, odwiedzili każdą gospodę, szukali i pytali... Daremnie. Kobieta, którą powierzono ich pieczy, zniknęła. Łatwo zgadnąć, co było przyczyną tego zniknięcia. Na Szerń, wtedy na rynku, to nie była zwykła walka... To nie była zwykła walka! Ktoś ją sprowokował, a potem baczył, by toczyła się podług jego woli.

Ktoś... Nie kto inny przecież, jak człowiek, na którego czekali i który miał wpaść prosto w zastawioną pułapkę. Mędrzec Szerni, Brul-Przyjęty.

Zebrawszy się ponownie w Górskim Wietrze, mężczyźni nie taili wzajem swoich obaw. Zawiedli i nie mogli oczekiwać, że spodoba się to ich dowódczyni.

Była wszakże nadzieja, że jeszcze nie wszystko stracone. Ich

towarzysz Wemir, najlepszy wywiadowca Hel-Krehiri – zniknął także. Wemir był doświadczonym szpiegiem, wybornym znawcą górskich miast i bezdroży. Ale przede wszystkim był kotem. Wojownikiem gadba. Liczyli, że zdoła przekazać im wiadomość.



## ROZDZIAŁ 6



Książę – powiedziała N.R.M.Werena – więc naprawdę wolisz spać z tymi księgami niż ze mną?

Ramez poderwał się, zrzucając na podłogę pliki kart.

– Zdrzemnąłem się...

Był środek nocy, więc drzemka nie dziwiła.

Księżna postąpiła trzy kroki, ciekawie oglądając wewnątrz zimnej samotni. Była tu zaledwie dwa razy, i to dosyć dawno. Łóżko, a raczej wąskie posłanie, zarzucone futrami, pulpit do pisania, dębowy stół, proste krzesło... i książki oraz zwoje. Skarby jej męża.

– Z trudem to pojmuję – powiedziała. – Manuskrypty, kroniki, roczniki... Chłopcy bawią się w rycerzy. Rycerze bawią się w Przyjętych. Hm, ciekawe, w kogo bawią się Przyjęci?

Rzuciła krótkie spojrzenie. Otworzył usta, ale niecierpliwie pomachała ręką. Futro stepowej pantery, którym była otulona, zsunęło się nieco, odsłaniając krągłe ramię. Była prawdziwą córą Armektu, kobietą wcześniej piękną i długo, długo młodą. Trzydziestoletnia, miała ciało dziewczyny. Tym bardziej że nie rodziła.

– Och, nic nie mów! – parsknęła. – Wiem, wiem... Nie chcesz mnie tu widzieć, wiem, rozumiem. Na litość, jesteście jak dzieci, gromadzące w różnych schowkach swoje skarby. Dorastałam obok trzech braci, chyba czasem zapominasz o tym. W pałacowych ogrodach mieli swoje tajemne kryjówki – wyszeptała ostatnie dwa słowa. – Już dziś nie pamiętam, co w nich było. Jakieś rupiecie. W wielkim sekrecie i za potężny okup – ciągnęła z lekkim uśmiechem – dowiadywałam się, że przeżarte rdzą żelastwo to miecz Demona Walki albo jakiejś innej legendy. Chłopcy dorośli, ale nic się nie zmieniło. Odkrywałam, że nadal mają skarby. A to konia, trzymanego gdzieś za miastem... Myśliwską chatkę w głuchych borach, starszą niż sam Armekt... Kochankę... Pergaminy. – Poskrobała paznokciem leżący na stole zwój. – A wiesz, że mój ojciec tak samo? Władca Wiecznego Cesarstwa, najpotężniejszy człowiek na świecie... och... – przytknęła palce do ust, tłumiąc śmiech – nawet ci nie powiem, czemu się oddawał „w najgłębszej tajemnicy”.

Przysiadła na krawędzi stołu, pokazując udo.

– Czemu to ma służyć? – zapytała już zupełnie poważnie. – Masz przecież kronikarzy, pisarzy... Tymczasem zaniedbujesz ważne sprawy, zaniedbujesz mnie....

– Prosiłem – przerwał niegłośnie – żebyś tu nie przychodziła. To nieodpowiednie miejsce dla kobiety, zimno tu i... w ogóle. Niczego nie zaniedbuję, uciekam do tej wieży na jedną noc w tygodniu, a czasem i to nie. Dzisiaj zaś... nie uwierzysz, jak doniosłe może być to, czego próbuję dociec.

– Śpiąc z głową w inkauscie. – Popukała się w czoło, pokazując miejsce, gdzie gęsie pióro naznaczyło Księcia Przedstawiciela; gest miał zresztą podwójną wymowę. – Jakież to ważne dociekania? Wreszcie... ach, co tam.

Rozchyliła futro. Do nagiego brzucha przyciskała cienki plik zapisanych stronic.

– Kupiłam to dla ciebie – oznajmiła. – Nie do końca wiem, jaką wartość przedstawia, bo nie nauczyłeś mnie szacowania wartości takich rzeczy.

– Co to jest? – zapytał zdumiony. – Kupiłeś to... dla mnie?

– Mhm.

Wyciągnęła rękę. Pochwycił karty i rzucił okiem na pierwszą.

– Stare bajędy żeglarzy z Londu – szepnął poruszony i zakłopotany. – Wiesz, co to jest?!

– Trochę wiem... Czytałam.

– Czytałaś to? – nie dowierzał.

– Chciałam wiedzieć, co kupuję. Nawet zasięgałam opinii.

– Opinii? Ależ... w całym Grombie ja jeden mam o takich rzeczach jakiegokolwiek pojęcie! – zawołał poirytowany.

– Uderz mnie, rycerzu – poradziła łagodnie.

Ramez zamilkł.

– Wybacz – rzekł po chwili ze wstydem. – Sprawiałaś mi ogromną niespodziankę, Wereno. I ogromną przyjemność.

Skinęła głową.

– To nie miejsce dla kobiety – powiedziała z leciutką goryczą, zsuwając się ze stołu. – Już ci nie przeszkadzam.

Zatrzymał ją.

– Wereno... – rzekł z wahaniem – czy... zajmuje cię lektura takich rzeczy?

Uniosła brwi.

– Prawdę mówiąc... no cóż, nie są to armektańskie pieśni, prawda? Ten język... *Heevesh rahgh'eeno al'koo, hasahak-gaare...* – powiedziała z wysiłkiem. – Och, nigdy nie pokocham grombelardzkiego, naprawdę.

Ramez przygaś.

– Ale jednak – podjęła – nie wiedziałam, że to takie ciekawe. Szkoda. Tyle lat trzymałeś mnie z daleka od swych ksiąg.

Powziąwszy decyzję, ujął mały rulonik i podał jej.

– Przeczytaj.

Tekst był w dwóch językach: po armektańsku i po grombelardzku.

– *Okazicielka tego pisma ma prawo widzieć się ze mną zawsze i wszędzie, o dowolnej porze dnia i nocy. N.R.M.Ramez, Przedstawiciel Cesa...* Co to jest? – zapytała zdumiona. – Przepustka dla kochanki?

– A wiesz, wasza wysokość – rzekł z nagłym przebłyskiem humoru. – Dla kochanki... to nie. Ale kilka lat temu siedziała na tym stole, tak jak ty przed chwilą. I mam nadzieję, że nie domyśliła się, jaki miałem apetyt.

– Śmiesz mi mówić takie rzeczy?

– Powiem i więcej, jeśli zechcesz słuchać.

Zastanowiła się.

– Czy będzie to coś, po czym zrobię ci awanturę? A zresztą... Może niechby i było. – Wzruszyła ramionami.

– Bądź spokojna – rzekł, tłumiąc rozbawienie.

Spowaźniał po krótkiej chwili.

– Wkrótce po tym, jak objąłem przedstawicielstwo w Grombie, rozgorzała w Ciężkich Górach wielka wojna. Nie, nie było cię tu jeszcze – przypomniał. – Ale musiałaś o tym słyszeć. Rozbójnicy wyrzynali się nawzajem, ja zaś koniecznie chciałem wmieszać w to Legię. – Pokiwał głową. – Nie znałem wtedy zbyt dobrze miejscowych stosunków, przyznaję. Kobieta nosząca jedno z najświetniejszych nazwisk w Dartanie pomogła mi uniknąć błędów. „Najbardziej zdumiewająca kobieta Szereru”... – Zamyślił się. – Tak o sobie mówiła, i nie bez powodu, zaiste. Cała rzecz do dziś jest tajemnicą – ciągnął. – Zgadujesz chyba, jak niezręcznie byłoby mi przyznać, że prowadziłem układy z hersztem rozbójników? Tym bardziej że pośrednicząca w układach osoba, także, hm... o niezbyt kryształowej reputacji, wyświadczyła mi na koniec osobistą przysługę.

– Czy dowiem się wreszcie, kim jest ta najcudowniejsza z kobiet? O przysługę wolę nie pytać.

– Kim... była. Grombelardzką legendą, o której na pewno słyszałaś. Nazywano ją Królową albo Panią Gór. Miała przydomek Łowczyni.

– O? – zdziwiła się niechętnie. – Tak, słyszałam.

– Wręczyłem jej to pismo. – Pokazał zwitek pergaminu. – I wiedziałem, co robię. Uwierz mi: nigdy nie nadużyła wynikających z niego przywilejów. A wczoraj... nie, przedwczoraj przyszedł do mnie człowiek, który twierdzi, że jest kimś w rodzaju opiekuna tej kobiety. Popadła w obłęd. I postradała mowę.

Księżna patrzyła zaskoczona.

– Stary pocziwina przechowuje jej rzeczy – wyjaśnił Ramez. –

Przejrzał je, szukając czegoś, co pomogłoby mu odkryć przyczynę obłądzenia kobiety, będącej jeszcze nie tak dawno kimś naprawdę wyjątkowym. Znalazł moje pismo i przyszedł do mnie, ja zaś kazałem mu sprowadzić podopieczną tutaj. I to by było wszystko, gdyby... gdyby nie moje księgi.

– Nie rozumiem.

– Wspomniałem o osobistej przysłudze, jaką mi oddała. Och, nie bądźże dzieckiem, księżno... Otóż Łowczyni była przybraną córką Dorlana, największego mędrca Szereru. Wiedząc, że kocham historię, przekazała mi spuściznę po nim. – Zatoczył ręką. – I uwierz, że są to rzeczy bezcenne. Robię coś, co czynią tylko Przyjęci: rozważam prawdy zapisane w Księdze Całości, do której każdy z mędrców Szerni wnosi kolejne okruchy wiedzy. I chyba rozumiem niektóre z Praw Całości.

– Ale... to chyba niezwykle? – Była szczerze zdziwiona. – Uważałam... sądziłam, że po prostu czytujesz stare kroniki. Wszyscy tak to widzą....

– I są w błędzie – uciał niechętnie. – Uwierz: ani ja, ani twój ojciec nie mamy takiej potęgi i władzy, jaką daje Przyjętym rozumienie Szerni. A jednak... a jednak są to bezsilni mocarze. – Zadumał się na chwilę głęboko. – Bo właśnie rozumienie Szerni sprawia, że nie mogą uczynić prawie nic. Czy wiesz – zapytał nagle – że jeszcze nie tak dawno z całą powagą rozważałem myśl o zostaniu jednym z nich? Wiele wskazuje na to, że mógłbym zostać przyjęty przez Szern.

Nie dowierzała.

– Przecież... Ty żartujesz?

– Bynajmniej.

– Żartujesz.

– Mówię ci, że nie.

Roześmiała się nagle, rozkładając ręce.

– Wybacz, mężu – powiedziała słodko – ale nie uwierzę.

Pokiwał głową.

– Ty mnie powstrzymałaś – oświadczył nieoczekiwanie. – Bardzo cię kocham, Wereno. Nie potrafiłbym rozstać się z tobą.

Patrzyła, znów zaskoczona – bo N.R.M.Ramez, cesarski Przedstawiciel w Grombie, nie był rodzajem człowieka, który codziennie po kolacji wyznaje miłość żonie.

– Słuchaj dalej – kontynuował po chwili. – W Księdze Całości odnaleźć można czasem szczególne zapisy, mające formę Przepowiedni. Nie chcę tego tłumaczyć, bo nie sposób w dwóch słowach... Przepowiednia Całości nie ma nic wspólnego z jakimś wróżbiarskim bełkotem. Jest rzeczą niezwykle rzadką i można ją odczytać tylko niekiedy. Wtedy mianowicie, gdy zachodzące w świecie wydarzenia potwierdzą i zaczną obnażać jej sens. Może kryć się w dowolnej uwadze któregoś z mędrców Szerni. Otóż widzisz, starogrombelardzka pisownia w ogóle nie uwzględnia akcentów, co sprawia, że teksty pisane w tym języku są

szalenie niejednoznaczne. Shergardowie uważali pismo wyłącznie za narzędzie, w żadnym razie za tworzywo artystyczne...

Urwał.

– Przepowiednia, o której mówię, zawarta jest w zapisach Dorlana-Przyjętego. Wkład Wielkiego Dorlana od lat znaleźć można we wszystkich Księgach Całości, jakie są w posiadaniu mędrców Szerni. Ale nie jest to dzieło kompletne... Mam tutaj zapiski, z których jednoznacznie wynika, że powinny być dodane do poprzednich rozważań. Nie potrafię, tak jak mędrzy-Przyjęci, sprawić, by nowy zapis pojawił się od razu we wszystkich Księgach, ale zrobiłem, co w mojej mocy, by uchronić wkład Dorlana przed zaprzepaszczeniem. Sam rozszerzyłem jego własną Księgę o brakujący fragment, po czym kazałem przepisać całość, i to od razu w kilku egzemplarzach. Prace wciąż jeszcze trwają, Księgi Całości to najobszerniejsze dzieła Szereru.

Z trudem nadążała.

– Przepowiednia... Księga Całości. O nie, nawet nie będę udawała, że cokolwiek rozumiem – wyznała bezradnie. – O czym mówi ta przepowiednia?

– O wojnie Szerni z Alerem. – Wydobył na wierzch kilka zapisanych kart. – Dorlan pisze o pradawnych zmaganiach Potęg, drążąc ich istotę. Dziś widzę w tym Przepowiednię. Niejednoznaczności, o których mówiłem...

– Wciąż nic nie rozumiem – zaprotestowała.

– Posłuchaj. – Zmarszczył brwi i czytał, od razu przekładając ze starogrombelardzkiego na armektański. – „Pani Świata”... czyli Szerń – wytłumaczył – „...utraciwszy równowagę swej istoty...”, mmm... tak: „Srebrne Wstęgi, naznaczywszy Ciemne Pasma...”. Mowa o Wstęgach Aleru i Pasmach Szerni – znów wyjaśnił. – „Srebrne Wstęgi, naznaczywszy...”

– Nie – powiedziała. – Na litość, przecież ja z tego nie pojmuję nawet słowa! Dla mnie... dla mnie to nic nie znaczy. Zupełnie.

Przygryzł wargę. Przez chwilę zastanawiał się, jak tłumaczyć rzeczy oczywiste... Prawda, że nie dla niej.

– Starogrombelardzki nie rozróżnia... bez specjalnych dookreśleń, których Dorlan nie użył... świata jako całości i świata Ciężkich Gór. Tutaj – pokazał rękopis – Pani Świata (więc Szerń) to równie dobrze Pani Gór... Ten tekst mogę odczytać (ale dopiero dziś, wiedząc o kilku wydarzeniach) zupełnie inaczej, niż zamierzył Dorlan. „Utrata równowagi” i „obłęd, szaleństwo” określane są tym samym słowem, to tylko kwestia akcentu. Daj to komukolwiek, kto zna starogrombelardzki, i pomiń wstęp, z którego jednoznacznie wynika, o jakich zmaganiach mowa... Opowiedz mu historię Łowczyni i poproś o przekład kilkunastu kolejnych zdań. Przetłumaczy je bez wątpliwości i najmniejszych

wahań.

– Co z nich będzie wynikać?

– Że Pani Gór, postradawszy zmysły w walce z wrogą Potęgą, poruszyć może Wstęgi Aleru w Ciężkich Górach – mówił szybko, nie patrząc w rękopis. – Że będzie brzemienią za sprawą wrogiej siły, a jej dziecko stanie się – zajął do tekstu – „nosicielem treści Aleru”, więc równie dobrze „powiernikiem mrocznej wiedzy” (bo „aler” to tyle, co „mrok” lub „zło”). Na koniec „w środku świata” to równie dobrze „pośrodku Ciężkich Gór”... a środek Ciężkich Gór to Gromb. „Grombelard” to przecież „kraj środka”; „gromb” znaczy „środek”, Wereno.

– To... nieprawdopodobne. To szalone – zaprotestowała.

– A ja ci mówię, że tak objawiają się Przepowiednie. Myślisz po armektańsku, gdzie każde słowo ma zwykle jedno, jasno określone znaczenie. Grombelardzki, zauważ (a już starogrombelardzki!), rządzi się całkiem odmiennymi prawami. Niesłychane ubóstwo dźwięków... i nieprzebrane bogactwo akcentów, rozłożonych wręcz... karkołomnie. W tym fragmencie nie ma ani jednego słowa, słyszysz? ani jednego słowa, które wzbraniałoby tak wyłożyć sens. Chyba nie sądzisz, że największy laħ'agar Szereru wpisał do najważniejszej księgi świata, którą zgłębiał przez całe życie, jakieś kalambury? Mówię i wiem, co mówię: to Przepowiednia! Nikt nie wie, jakie skutki pociągnie za sobą poruszenie Wstęg Aleru. Ale dokładnie wiadomo, co uczyniły Szerń i Aler, walcząc nad górami. Otóż obróciły cały Grombelard w perzynę.

Znów spojrzał na zapisaną kartę.

– Co jeszcze jest dla mnie niejasne, to sens słów „naznaczona Wstęgą”. Srebrne Wstęgi Aleru wtapiały się w Ciemne Pasma Szerni, wytrącając jej istotę z równowagi... – Zmarszczył czoło i potarł dłonią podbródek.

Zmęczona i zdezorientowana, spoglądała to na męża, to na przedziwne zapiski.

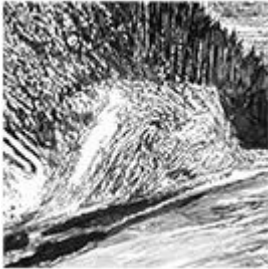
– „Naznaczone Wstęgą”, przecież chodzi o Srebrne Wstęgi? – mówił zamyślony. – Jak to jeszcze wyłożyć?

– Nie wiem – westchnęła. – Doprawdy...

Znużonym ruchem odgarnęła czarne włosy, splecione niezwykłą u kobiety w jej wieku pojedynczą smużką siwizny.

Nosiła to pasemko od zawsze – i nie kryła. Przydawało dyskretnego uroku.

## ROZDZIAŁ 7



**H**el-Krehiri wcale nie lubiła pleść trzy po trzy, co sprawiało, że nie każdy wierzył, iż jest prawdziwą kobietą. Niemniej uważała, że to i owo omówić należy. Lecz Gotah, odkąd wyruszyli z Jaru, stale zachowywał milczenie. Rozumiała, że ma o czym myśleć; jednakże gdy stanęli na nocleg w okolicach Grombu, spróbowała nawiązać rozmowę. Daremnie. Przyjęty ledwie odmruknął, zagłębiony w swych rozważaniach. Zaczęła się poważnie zastanawiać, czy duży będzie pożytek z takiego sprzymierzeńca. Wyjawiała tę wątpliwość, dorzucając jeszcze:

– Jutro, myślę, otrzymam raporty od moich wywiadowców w Grombie. Brul szukał Łowczyni i jeśli ją znalazł, to znaczy, że wpadł w moje sieci. Ale czy dotarło do ciebie, panie, że właściwie nie wiem, czego się spodziewać? Coś mi mówi, że zbyt długo ganiałam po górach, chcąc spotkać się z tobą.

Gotah milczał. Czekala przez chwilę, potem legła na wznak, podkładając ramiona pod głowę.

Biwak rozłożono przy strumieniu, poza tym miejsce nie było lepsze ani gorsze niż jakiegokolwiek inne. Ognisk nie rozpalono, bo brakło opału. Ludzie siedzieli skupieni w większe i mniejsze grupki, prowadząc niegłośne rozmowy. Obozu strzegły dwie linie wartowniczych placówek.

– Wasza godność – powiedziała – udało ci się przywieść mnie do furii. Nie wiem, dlaczego odjęło ci mowę. Ale jeśli zaraz jej nie odzyskasz... Nabieram ochoty, by uciąć ci głowę, ręce i wszystkie inne członki... przy czym kolejność, myślę, będzie raczej odwrotna. A wtedy usłyszysz twój głos, i będzie brzmiał potężnie. Powiedziałam.

– Cenię sobie twój humor, Hel-Krehiri – rzekł obojętnie. – Ale rozum mi podpowiada, że niczego nie muszę się obawiać. A ochotę, oczywiście, możesz mieć.

– Nie polegaj tak bardzo na rozumie, panie – powiedziała, siadając na powrót. – Bardzo wiele rzeczy na świecie dzieje się wbrew rozumowi. I powiem ci jeszcze: mało kto używa rozumu, rozbijając czerep drugiemu. Ty masz swoją mądrość. Wiesz dobrze, jak łatwo zawodzi ta

broń. Skuteczna wobec tłumów i z daleka, często jest nic niewarta w bezpośredniej walce. Cała wiedza i siła wypłyną z twojej głowy zaraz potem, jak najgłupszy z moich żołnierzy zrobi w niej dziurę bełtem. Porozmawiajmy, zanim to udowodnię.

Wykrzywił twarz... ale to był uśmiech.

– A wiesz, Hel-Krehiri, miałem cię za głupszą. Nie do końca podzielałam zaufanie, jakie żywisz do oręża – ciągnął, nim zareagowała – ale w tym, co powiedziałaś, jest sporo słuszności. Nie wyobrażam sobie, by Brul nadal trwał u boku Szerni – oznajmił, zmieniając temat. – To, co stało się u źródeł Medevy, z całą pewnością jest dziełem Aleru. Ktoś, kto poruszył Wstęgi, musi być odtrącony przez Szerń, każda inna możliwość stałaby w sprzeczności z regułami, na których opiera się świat, po prostu. Szerń i Aler w żaden sposób nie mogą współistnieć. Nawet nie graniczą ze sobą, bo rozdziela je pas „niczyjej ziemi” i „niczyjego nieba”.

– Taka wiedza nuży mnie, wasza godność – oznajmiła. – Powiedz coś, co może się przydać.

– Właśnie próbuję. Odtrącony przez Szerń Brul przestał być jej częścią. Tylko tyle. Aż tyle. Lecz i ty częścią Szerni nie jesteś, a przecież możesz z niej czerpać, odwołując się do Porzuconych Przedmiotów, symbolizujących różne Pasma. Brul nie postradał swej wiedzy ani pamięci. Zna Formuły, o jakich poza Romogo-Koor nawet nie słyszano, i posiada Przedmioty, które uznał za przydatne. Mędrzec Szerni brzydzi się używaniem ich do czynienia jarmarcznych sztuczek, bo nie do tego je przeznaczono. Ale mędrzec Szerni nie poruszy też Wstęg Aleru.

– Brul nie jest już mędrce Szerni – podsumowała. – Czy jest mędrce Aleru?

– Skądże. Żadna z istot zrodzonych pod niebem Szerni nie może być przyjęta przez Aler. Wszystko, czym zdoła zaskoczyć cię Brul, będzie płynąć z siły Porzuconych Przedmiotów.

– Co z tego wynika?

Zastanowił się.

– To tylko, że Brul ma jakieś Przedmioty. Chyba jednak nie Kulę Ferenu, bo zdaje się, że skradziono mu ją. Wątpię, by nosił dwie.

Spojrzała z uznaniem.

– No, mędrce...

– Wciąż powtarzasz „mędrce”, ale myślisz „głupcze” – skarcił ją. – Twój okaleczony przyjaciel to uczeń i przybrany syn Brula, który wspólnie z Łowczynią pokrzyżował plany swego mistrza. Czy tak? – zapytał znowu.

Udało mu się zadziwić rozbójniczkę.

– Skąd wiesz o tym, wasza godność? Nie chciał zdradzić się przed tobą. Dałam mu słowo... że dopiero gdy moje argumenty zawiodą...

– Domyślał się, jak zareaguję. Zdrada pozostaje zdradą. Człowiek



prowadzony ku Szerni winien patrzeć na wszystko oczami swego przewodnika. Gdy nauczy się widzieć rzeczy, które widzieć trzeba, wtedy wybierze swoją własną drogę i nikt nie zaprotestuje. Ten mały człowieczek pozostawił swego nauczyciela na pionowej ścianie skalnej, odciąższy linę, którą byli związani. Uznał, że droga jest zła. Ale czy ktoś kazał mu na nią wstępować? Uczynił to, a potem zawiódł zaufanie, jakim go obdarzono, i przyczynił się do upadku człowieka, który chciał mu oddać wszystko, co miał. Godzien jest pogardy.

– A więc tak to widzisz... – Zamyśliła się.

– Właśnie tak – potwierdził. – Powiem więcej: otóż kiedyś rozmawiałem z Brulem. Droga, którą kroczył, w jakiś sposób podobała się Szerni. Nie musiał więc jej porzucać. Myślę, że poruszenie Wstęgi Aleru nie było przyczyną zdrady. Wręcz przeciwnie. Było jej skutkiem, pani. Brul poruszył Wstęgę po tym, jak zdradził go uczeń, w którym pokładał ostatnie swe nadzieje. Tak uważam.

Noc zapadła na dobre, ale mędrzec-Przyjęty i królowa rozbójników – dziwna para, doprawdy – dalej toczyli rozmowę, jakby pragnąc nadrobić wszystkie dni milczenia.

– Brul uroił sobie – mówił Gotah – że jedynym godnym spadkobiercą jego wiedzy będzie syn. Wiem, że próbował... Ale Szerń jest zazdrosna o istoty, z którymi obcuje. Dziwne rzeczy działy się ostatnio w Obszarze. Doszło do niesłychanego kataklizmu i chyba wyzwolił go gniew Brula. Wkrótce potem Brul przyjął ucznia, czego nigdy wcześniej nie czynił. Połącz, wasza godność, te dwie sprawy.

Dał jej chwilę.

– Powiedziałem wcześniej, że nikt zrodzony pod niebem Szerni nie może czerpać z Aleru. To prawda, ale może nie do końca... W Księdze Całości są wzmianki o władczyniach świata: base-kregheeri'd. Pradawni mędrzy Szerni, wywodzący się jeszcze ze starożytnego plemienia Shergardów, określali tak Armektanki, córy najstarszego narodu Szereru. Nadal zresztą tak się je określa, bo Księga Całości po dziś dzień spisywana jest po starogrombelardzku. Nikt nigdy nie powążył się dokonać przekładu, bo zabiłoby to ukryte w tekstach znaczenia, z których czasem rodzą się Przepowiednie. Popatrz, pani: choćby właśnie „base-kregheeri” oznaczać może także „władczyni (królowa) Ciężkich Gór”, na przykład. Właściwy sens odczyta tylko ten, kto umie myśleć po starogrombelardzku. A takich jest niewielu. Czy wiesz, pani, jaki musi być pierwszy krok każdego, kto chce być przyjęty przez Szerń? Doskonale poznanie wszystkich języków Szereru.

– Tak? – mruknęła obojętnie.

– Twój wstręt do wszelkiej wiedzy jest przerażający, pani! – stwierdził z nagłym rozdrażnieniem. – Na Szerń, cóż to za wybryk losu: żywy kot wepchnięty w ludzką skórę!

Zamiast wybuchnąć gniewem, nieoczekiwanie odwróciła spojrzenie.

– Nie dotykaj tego – poprosiła niegłęboko. – Czy szydę z twojej twarzy, wasza godność? Uszanuj więc moje kalectwo.

Opanował się... i poczuł szczery wstyd.

– Pokonany przez Szerń Aler został zepchnięty na skraj świata – rzekł zwięźle. – Północna Granica: tam Aler sąsiaduje z Krajem-Za-Górami; tam Szerń niemal styka się z Alerem. Granica jest płynna i ruchoma, na pograniczu działają prawa Szerni lub Aleru, a najczęściej żadne. Armektańczycy, którzy byli na północy, wydają czasem na świat córki: base-kregheeri'd, władczynię świata, Armektanki, naznaczone przez Aler. Powszechnie uważa się, że nic z tego nie wynika. Wiem, że Brul sądził inaczej.

Zastanowiła się.

– On szuka Armektanki naznaczonej przez Aler... żeby dała mu syna, przy udziale wskrzeszonych szczątków Aleru w Ciężkich Górach? – zapytała powoli.

– Chyba tak.

– Co jest tym znakiem Aleru?

– Symbol Srebrnej, a czasem Złotej Wstęgi. Zwykle pasmo siwizny we włosach. U rodowitych, czarnowłosych base-kregheeri'd...

Przymknęła oczy.

– Żartujesz sobie ze mnie, wasza godność? – przerwała spokojnie.

– Chciałaś słyszeć, pani, suche wiadomości – odparł trochę zniecierpliwiony. – Teraz żadasz wyjaśnień? Jak obszerne być mają?

– Łowczyni jest Armektanką. I ma pasmo siwizny we włosach. Nic nadzwyczajnego po tym, co przeszła.

– To potwierdza, co powiedziałem – skonkludował.

Zdjęła z czoła swoją szeroką, skórzaną opaskę, pokazując pukiel złotych włosów.

– Mam to od niedawna, mędrco. I nie znam swoich rodziców. Możliwe, że byli Armektańczykami.

Gotah przyglądał się, milcząc.

## ROZDZIAŁ 8

*Do dowódcy wart: okaziciele tego pisma mają być NIEZWŁOCZNIE postawieni przede mną. Sprawa najwyższej wagi.*

*N.R.M.Ramez*

*Przedstawiciel Cesarza w Grombie  
(i pieczęć)*



**G**wardzistom pełniącym służbę w pałacu treść pisma mogła wydać się niezwykła, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Tych ludzi szkolono do spełniania poleceń; mieli je honorować i to wszystko. Żołnierz natychmiast pozostawił przybyłych pod opieką kolegi i pobiegł do dowódcy wart. Wkrótce wrócił w towarzystwie podsetnika. Oficer rzucił okiem na pismo, zbadał podpis i pieczęć, po czym bez słowa wskazał drogę.

Był późny wieczór, a właściwie już noc, i po gorączkowej krzątaninie, panującej w pałacu za dnia, nie został nawet ślad. Korytarze i pokoje były puste; czasem tylko spieszył dokądś służący.

Tego wieczoru Księżę Przedstawiciel poświęcał się grom towarzyskim – rozrywce będącej dlań raczej uciążliwym obowiązkiem. Dowódca wart, chociaż z racji pełnionej służby miał dostęp do księcia o każdej porze dnia i nocy, zadowolony był, iż nie musi budzić jego wysokości. Ponadto... publiczną tajemnicę stanowił fakt, że tylko nalegania księżnej skłaniają Przedstawiciela do uczestniczenia w jakichkolwiek innych rozrywkach niż te, które sam sobie wybrał. Ramez pozwalał odrywać się od gry z prawdziwą – choć skrywaną – ulgą. Podsetnik był szczerze rad, iż dano mu możliwość wprowadzenia księcia w dobry humor.

Starszy mężczyzna o pospolitym wyglądzie i zaniedbana kobieta, stale patrząca pod nogi, starali się dotrzymać mu kroku. Zerknął z ukosa raz, potem drugi, lecz w końcu nie jego sprawą było, kogo księżę przyjmuje i dlaczego. Dotarłszy na miejsce, wezwał drzemiącego przy drzwiach niewolnika i wydał krótkie polecenie. Niewolnik natychmiast zniknął za drzwiami. Wrócił wkrótce, przepuściwszy przodem Księcia

Przedstawiciela. Oficer w postawie pełnej uszanowania oddał pismo, ale nim zdążył wypowiedzieć słowo, Ramez rzucił okiem na przybyłych i machnął ręką.

– Wiem wszystko.

Po czym zwrócił się ku miecznikowi:

– Doprawdy dziwną porę wybrałeś sobie, mistrzu... Nie, nie przepraszaj. Zaniedbam przyjemności towarzyskie, to wszystko.

Z kolei spojrzął na kobietę.

– Witaj, pani – rzekł ze szczerą troską. – Na Szerń, czy dowiem się, jak mogę pomóc?

Nie dała poznać po sobie, czy wie, kto do niej mówi. Ramez ze smutkiem patrzył na wychudłą twarz, kiedyś tak pełną życia i urody. Z trudem wierzył, że stoi przed nim jedna z pierwszych dam Rollayny, a potem legendarna Pani Ciężkich Gór... Jakże inna była wtedy, gdy w kamiennej komnatce, pełnej ksiąg i pergaminów, zuchwale – tak, zuchwale! – wytykała mu niezajomość praw rządzących Krajem Chmur, śmiała się z „dartańskiej pomyłki”, jaką było nieudane małżeństwo z bajecznie bogatym, lecz zbyt słabym dla niej mężczyzną. Mówiła wtedy o sobie „królowa Grombelardu”... Teraz tylko oczy pozostały niezwykle w tej twarzy, lecz niezwykle w inny sposób niż kiedyś.

Nieobecne i smutne.

– Nie, na Szerń – powtarzał strapiony. – Co się stało, co zaszło? Nie mogę w to uwierzyć, wasza godność.

Odprawił oficera i dał znak miecznikowi. Poszedł przodem, osobiście prowadząc do prywatnych swoich pokoi.

Były zimne. Jak wszystko w tej ponurej grombelardzkiej twierdzy, wytwornie nazwanej pałacem. Zięć cesarza i z jego ramienia władca Drugiej Prowincji – bywało, zwyczajnie marzył.

Komnatę urządzono z armektańską prostotą – ale nie ubogo bynajmniej. Chłód bijący od ścian pochłaniały przepyszne futra zwierząt zabitych, jeszcze w Armekcie, własną ręką jego wysokości Rameza. Przeważały beżowe skóry panter, najgroźniejszych drapieżników biegających po Wielkich Równinach. Wśród myśliwskich trofeów miała swoje miejsce broń, używana w różnych krainach Szereru, warta fortunę, ale dla Armektańczyka będąca przede wszystkim symbolem wojennych tradycji jego kraju. Poczesne miejsce zajmował łuk. Wisiał osobno, mały i niepozorny, bardzo prosty i noszący ślady wielokrotnego użycia. Oręż, otoczony w Armekcie niemal kultem, symbol jeźdźca równin.

– Usiądź, pani – rzekł Ramez, a gdy nie zareagowała, powiódł ją i osobiście posadził w obszernym fotelu, obitym wilczą skórą. Przygryzł usta, po czym spojrzął na miecznika.

– Naradźmy się, mistrzu.

– Tak, naradźmy się, książę – mruknął ten, wpatrzony w buławę na ścianie. – Wybacz, wasza wysokość, ale jestem ojcem oręęża... Czy mogę?

– Owszem – padła nieco zdziwiona odpowiedź. – To z Dartanu...

Miecznik ujął broń i ważył w dłoniach, zamyślony.

– Potrzebuję twej pomocy, książę. Teraz... a najbardziej za kilka lat, tak sędzę. Raz już ocaliłeś ogromny skarb wiedzy, dowodząc, że nieobce ci rozumienie spraw wielkich. Pewien jestem, że jako opiekun najbardziej niezwyklej istoty w dziejach Szereru, także pojmiesz i spełnisz swoją misję.

Ramez zmarszczył brwi, coraz bardziej zdziwiony.

– Cóż to za dziwna rozmowa, mój zacny rzemieślniku? – zapytał chłodno. – Okazałem...

– Trzeba, książę – przerwał miecznik – byś zaopiekował się dzieckiem, które zdoła połączyć niewyobrażalne potęgi. Tak Szern, jak i Aler mają podwójną naturę, lecz same są częściami jeszcze większej całości. Możliwe jest zjednoczenie Szerni i Aleru, stopienie ich w jedną całość: IDEAL. – To rzekłszy, uniósł spojrzenie... i Ramez przez krótką chwilę oglądał zupełnie obcą, surową i groźną twarz, która wychynęła spod rysów mistrza Haaghena. Zaraz potem głowica buławy uderzyła go w skroń. Ramez stęknął, otrzymał drugi cios – ale nim upadł, napastnik pochwycił go i powłókł w kąt pokoju.

Kobieta wstała powoli, obserwując rozgrywającą się scenę. Przez moment na jej twarzy grały jakieś nieokreślone uczucia... Jednak po chwili cofnęła się i usiadła z powrotem.

Podobieństwo do miecznika Haaghena nie było już potrzebne. Wysoki starzec patrzył na nieprzytomnego ze skupieniem – takim samym jak wtedy, gdy obserwował walkę na rynku. Wyrzekł krótką Formułę i przybrawszy nową postać, przykrył leżącego futrem, zerwanym ze ściany. Potem szybko opuścił komnatę.

Obłąkana Pani Gór siedziała bez ruchu, ze zwieszoną głową.

o o o

– Wasza wysokość? – Księżna nie tajiła zdziwienia.

Skinęła na niewolnika, by zamknął drzwi, za którymi bawiono się grą, po czym odprawiła go. Gdy odszedł, znów zwróciła się do męża:

– Czyś oszalał? Najpierw sam wybiegasz w pośpiechu, nawet nie próbując ukryć ulgi, słowo daję. Teraz znów zmuszasz mnie, bym...

– Więc to prawda – przerwał, nie spuszczając spojrzenia z jej włosów; uniósł rękę, jakby pragnął dotknąć srebrnego pasemka na skroni.

Uchyliła się odruchowo, zaskoczona.

– Co ty robisz?

– Tak, to prawda... – powtórzył, opuszczając dłoń. – Chodź ze mną... księżno. I nie pytaj o nic.

Zdumiona, postąpiła trzy kroki we wskazanym kierunku. Zawahała się. Przystanąła.

– Ale... dokąd idziemy? No nie, gotowa jestem przypuścić, że wina podano zbyt mocne?

– Czy możesz zaufać mi, księżno? I przez chwilę po prostu iść za mną? Czy też tak oboje przesiąkliśmy dworem, że będziemy wręczać sobie petycje poprzez sekretarzy?

– Petycje przez... Przesiłąkliśmy dworem? – zdumiewała się. – Co to znaczy? Nie, ja cię po prostu nie poznaję! Co się stało?

Oszłomiona pozwoliła, by ujął ją pod ramię. Szli przez jakiś czas zupełnie pustym korytarzem. Lecz gdy znaleźli się na schodach wiodących wprost do wyjścia, stanęła znowu. Oswobodziła ramię.

– Dosyć – powiedziała ostro. – Nie postąpię nawet kroku dalej, póki nie wyjaśnisz mi, dokąd i po co idziemy! Zaczynam... Po prostu zaczynam się bać!

– Wywołano mnie nie bez powodu – powiedział, rozejrzawszy się dokoła. – Przed bramą czeka człowiek, który przyniósł wiadomość dla mnie. Chcę, żebyś go zobaczyła.

– Jaką wiadomość? Dlaczego czeka przed bramą? – pytała z narastającym niepokojem. – O co tutaj chodzi, na wszystkie...

Pokazał wyjście. Zawahała się raz jeszcze... lecz ciekawość przeważała.

W ciemnym, łukowatym tunelu bramy, ozdobionej u sklepienia zębatą broną, nieużywaną od lat, znów wziął ją pod ramię. Powiedział coś niegłośno... Pierwsza przeszła obok pełniących straż gwardzistów i zatrzymała się.

– No i gdzie ten posłaniec?

Nie otrzymała odpowiedzi. Odwróciła się i... ujrzała obcego człowieka.

– Base-kregheeri, władczyni świata – rzekł z powagą. – Armektanka i córka Imperatora. Prawdziwa władczyni świata, zaiste.

Cofnęła się, przerażona do granic.

– Gdzie jest...? Kim ty... – wykrztusiła. – Co się dzieje? Gwardia!

Żołnierze spoglądali z zaciekawieniem, ale uliczne awantury nie były ich sprawą. Mieli stać na straży u wejścia do pałacu.

– Spójrz na siebie – spokojnie doradził starzec. – I chodź za mną, bo czas ucieka.

Opuściła wzrok... i przerażona, pochwyciła fałdy brudnego, szarego płaszcza.

– Stary miecznik i obłąkana kobieta. Oto, kim jesteśmy. A teraz –

powiedział, pokazując sztylet – chodź ze mną, pani, bo zabiję cię na oczach tych żołnierzy przy bramie, oni zaś nie kiwną nawet palcem. Wiesz dobrze, że pod żadnym pozorem nie wolno im zejść z posterunku. Jeden pobiegnie po dowódcę, to wszystko.

To rzekłszy, pochwyił ją pod ramię i pociągnął w głąb ciemnej ulicy. Najpierw szła, zupełnie bezwolna, potem zaczęła krzyczeć i wyrwać się. Trzymał mocno, ale była młoda i silna, a hałas, jaki czyniła, mógł jednak spowodować kłopoty. Chwyił ją za głowę i przycisnął do twarzy garść wilgotnych liści, wydobytych z zanadru. Spazmatycznie złapała powietrze; ostry zapach sprawił, że zakreśliło się jej w głowie, pociemniało w oczach. Starzec, wstrzymując oddech, bo głowa jego znajdowała się blisko twarzy branki, trzymał liście jeszcze przez chwilę, potem odrzucił ze wstrętem. Objął wpół słaniającą się na nogach kobietę i powiódł dalej, najszybciej jak to było możliwe.

Niedaleko stał wóz zaprzężony w muły. Ułożywszy na nim kobietę, Brul wyjął spod szaty woreczek. Wydobył zeń resztkę liści, rozsypał je koło głowy leżącej i zasiadł na koźle. Nagle – zdawało się, że zasłabł. Oddychał ciężko, skulony, trzymając się za serce. Po pewnym czasie z trudem wyprostował plecy. Wciąż oddychając ciężko i nierówno, niespokojnie popatrzył za siebie. Krzyknął na muły.

Wóz ruszył.

o o o

Gdy w ciemnościach zamajaczyły pochodnie przy bramie miejskiej, mułami kierował już młody podsetnik Gwardii Grombelardzkiej.

– Z rozkazu księcia – powiedział, pokazując pieczęć i podpis na częściowo rozwiniętym dokumencie. – Otwierać!

Dowódca posterunku, stary dziesiętnik, wyciągnął rękę po pismo. Nocne wymarsze nie były czymś szczególnie niezwykłym, jednak dziwił fakt, że oficer książęcych straży pałacowych wyrusza samotnie. I dokąd? Z Grombu do Badoru, a tym bardziej Rahgaru, nie dało się przeprowadzić wozu. Podsetnik mógł wprawdzie jechać na przedmieście, ale dlaczego w nocy?

Otrzymawszy pismo, dziesiętnik zbliżył się do pochodni. Nie będąc biegłym w sztuce czytania, mozolnie składał litery, poruszając ustami. Siedzący na wozie oficer nie spuszczał wzroku z dokumentu; na jego twarzy odmalował się wyraźny wysiłek... Dowódca posterunku nie mógł wiedzieć, że gdyby odwrócił się nieco i zasłonił pergamin swym ciałem – będące dziełem Przyjętego złudzenie prysnęłoby w jednej chwili...

Przepustka nie budziła zastrzeżeń; dziesiętnik wyzbył się wåtpliwości. Dał znak, by otwarto bramę.

Na wozie leżały jakieś pakunki, przykryte pledem. Nie zwrócono na nie uwagi. Tym bardziej nie dostrzeżono, że równo z pełnymi kołami wozu posuwa się jakiś cień, roztopiony w mroku...

Pół mili za miastem droga nadawała się już tylko do jazdy wierzchem. Starzec wyprzągnął muły i przyniósł siodła z wozu. Znów odpoczywał przez chwilę. Wyraźnie walcząc z bólem, kolejny raz sięgnął pod szatę, wydobyl niewielki przedmiot i cisnął go precz z ogromną złością.

Wkrótce na gościńcu został tylko porzucony wóz.

Gdy odgłos kopyt znacznie się oddalił, na bezdrożu rozbłysły dwie okrągłe źrenice. Wielki kot, czarny jak noc, stał nad wypaloną doszczętnie, popękaną muszlą z otworem pośrodku.

Ciemny Przedmiot, Geerkoto, zwany Pierścieniem Ułudy.

Nikt ponoć nie znał Formuł, które zmusiłyby ten Przedmiot do przeobrażenia człowieka. Pierścień wywoływał tylko zwidy rzeczy martwych.

Wemir, czarny wywiadowca Hel-Krehiri, wiedział już, że to nieprawda. Był ktoś, kto znał odpowiednie Formuły. Tak potężne, że zniszczyły Porzucony Przedmiot.

Nieopodal szlak rozwidlał się: główna jego wstęga płynęła w dół, do Badoru, boczna zaś wiodła w głąb Ciężkich Gór. Upewniwszy się, jaką drogę obrał Przyjęty, Wemir wrócił na przedmieście. Był tam człowiek, u którego musiał zostawić wiadomość.



## ROZDZIAŁ 9



Świt wstawał taki, jak zwykle w Ciężkich Górach. Uporczywa mżawka przemieniła się w deszcz, szarpany porywami wiatru. Kilku żołnierzy Hel-Krehiri obudziło się. Wciśnięci w skalne szczeliny, skostniali i zmarznięci, najpierw sięgali po gorzałkę – przyjaciółkę przebiegacza gór. Posilano się byle jak i byle czym; ale też zaopatrzenie oddziału w żywność na grombelardzkich bezdrożach nie było sprawą łatwą. Każdy niósł na grzbiecie własny prowiant, uzupełniany czasem w napotkanych wioskach, o ile takie leżały na drodze przemarszu.

Chłód i wilgoć są sprzymierzeńcami wytrawnego wartownika, pomagają bowiem spędzić sen z powiek. Ale strażnik mało doświadczony chętnie szuka odrobiny ciepła w jakiejś wnęce skalnej, otuliwszy się natłuszczonym płaszczem z koziej skóry, rad, że woda spływa po sierści. Taki człowiek czasem zasypia.

Hel-Krehiri zebrała drużynę bardzo liczną, ale przez to złożoną nie tylko z ludzi pewnych. Trudno dociec, czy tej nocy zasnął jeden strażnik, czy też może pospało się kilku, dufnych w siłę oddziału, którego nie śmiałyby zaczepić nawet najsilniejszy patrol legii...

Atak nastąpił na przełomie nocy i dnia, dało się już rozróżnić sylwetki ludzi i kontury skał. Półsetka żołnierzy uderzyła szybko i sprawnie. Rozbójnicy, przeważnie zaskoczeni we śnie, inni zupełnie nieprzygotowani, zostali zwyczajnie wyrżnięci... a zaraz potem wszczęła się prawdziwa bitwa.

Dwudziestoosobowa grupka, biwakująca nieco na uboczu, została wzięta przez nacierających za całość sił przeciwnika. Zbójckie bandy liczyły zwykle od kilkunastu do dwudziestu paru głów – i cesarskim legionistom doprawdy nie mogło nawet zaświtać, że prawie pod samymi murami Grombu obozuje dziesięć razy liczniejsza armia – wszystko, czym dysponowała Hel-Krehiri.

Żołnierzom zdało się, że góry nagle ożyły.

Teren był nieprzyjazny, skalne zbocze, choć w tym miejscu dość łagodne, nie pozwalało przecież na rozłożenie obozu w ścisłym rozumieniu tego słowa. Naraz całe to zbocze poruszyło się od

niewyraźnych w deszczu i półmroku cieni, wyskakujących spoza skał, gramolących się z rozpadlin i szczelin, pędzących w dół – umiejętnie, zakosami. Bez rozkazu, dziko, grombelardzcy górale stoczyli się na legionistów jak lawina. Ci stawili rozpaczliwy, lecz zażarty opór.

Wyrwany ze snu Gotah chłonał niezwykle obraz boju. Widział w życiu niejedno, także gwałtowną śmierć. Jednak utarczka trzech ludzi z czterema miała się zupełnie nijak do tego, co teraz kłębiło się, miało i ryczało w półmroku, o dwieście kroków poniżej. Tuż za plecami Przyjętego rozbrzmiał triumfalny śmiech, przechodzący w nieludzki skowyt. Hel-Krehiri na łeb na szyję rzuciła się w dół stoku; Gotah odniósł wrażenie, że kobieta lada moment potknie się i zabije, skręciwszy kark w jakiejś dziurze. Nie miała miecza, nie wzięła też żadnej innej broni... Raz jeszcze usłyszał jej przeszywające wycie, urwane gdzieś w najwyższym punkcie, gdy wpadła w grupę walczących. Zapewne skoczyła na kogoś, zbijając go z nóg rozpędem i ciężarem, bo mimo oddalenia widać było gwałtowne zamieszanie w owej grupce – szepieni ze sobą ludzie przewracali się, pociągając innych...

Gotah przywołał swych zbrojnych tragarzy. Zdało mu się, że pośród tych wszystkich rozwścieczonych, zagryzających się zwierząt nie ma ani jednego, które umiałoby odróżnić wroga od przyjaciela. Mędrzec Szerni nie zamierzał paść ofiarą jakiejś pomyłki.

Ostatni już, spóźnieni żołnierze Hel-Krehiri włączyli się do bitwy. Tumult narastał – być może rozerwano obronny szyk żołnierzy, bo mnogi ryk pobrzmiwał triumfem. Gotah wstał, chcąc lepiej śledzić przebieg boju, ale był tam tylko niewyraźny, rozedrgany tłum, przywodzący na myśl zgraję hałaśliwych szaleńców. Prawdę mówiąc, Przyjęty inaczej wyobrażał sobie bitwę. Z historycznych opisów wnioskował, że to coś niezmiernie malowniczego, groźnego... Teraz właściwie nie wiedział, co czuje. Rozumiał, że tam giną ludzie, ale obraz tej mnogiej śmierci był isticie groteskowy. Cofnąwszy się o dalszych dwieście kroków, Gotah mógłby pewnie wyobrazić sobie, że patrzy na ogromny tłum śpiewających i tańczących pijaków – bo i szczęk oręża brzmiał raczej jak hałas wywołany zderzeniami cynowych kubków przy licznie spełnianych toastach.

Usiadłszy na powrót, Przyjęty czekał, aż zacznie się coś dziać. Przyłapał się na tej myśli i pokręcił głową...

Rąbanina trwała i trwała. Niestety, nic się nie działo.

Deszcz przybrał na sile, przechodząc w ulewę. Zdawało się, że jej szum pochłania i roztapia dźwięki dochodzące z dołu. Ale nie. Libacja dogasała – wielu pijaków najwyraźniej zasnęło, leżeli bowiem na ziemi. Inni tańczyli z coraz mniejszym zapalem... Lecz pieśń, którą teraz śpiewali, zaczynała brzmieć niesamowicie. Niewiele było w niej wrzasków, zastąpiły je skowyty, a w tle narastała coraz potężniejsza fala

jęków...

Przyjęty wstał znowu.

Pośród falban dżdżu, rozrywanych przez wiatr, pojawiły się na stoku coraz liczniejsze sylwetki wracających wojowników. Przetrzęsali bagaże, szukali wódki i szmat. Gotah dojrzał mężczyznę, którego często widywał w towarzystwie Hel-Krehiri; był chyba kimś w rodzaju oficera. Przywołał go.

– Jatka, panie! – rzekł zdyszany rozbójnik z niezmiernym zadowoleniem. – Jatka, panie! – powtarzał.

Wyraźnie czekał na okrzyki uznania i pochwały. Z rany na czole płynęła krew, mieszając się z deszczem.

– Panie... Wasza godność pójdzie, niby, zobaczyć? Bo ludzi dużo pochlastanych. Słyszałem, że niby Przyjęci... niby...

– Dobrze, idź już, człowieku. Zaraz tam przyjdę... niby.

Rozbójnik pospieszył z powrotem na plac boju, ściskając pod pachą bukłak. Przyjęty przez chwilę spoglądał za nim.

– Ogenie, pilnujcie bagaży – powiedział do jednego ze swych zbrojnych.

Wziął niewielką torbę i ostrożnie ruszył w dół stoku.

Pijacy nie spali... i Gotah lekko pobladł.

Pracownią Przyjętego było Czarne Wybrzeże w Nienazwanym Obszarze, gdzie Pasma Szerni zniżały się ku ziemi. Zasklepieni w swojej samotności uczeni pochylali się tam nad księgami, zgłębiając Prawa Całości, próbując dociec istoty równowagi, w której trwały Pasma. I naraz Szalony Gotah, od lat czyniący to właśnie, zadał sobie pytanie: czy tak trzeba? Znał historię Szereru, wyczytaną z setek ksiąg i zwojów. Lecz co widział? Nic. Wojny, zaklęte w rzędkach starogrombelardzkich liter.

Teraz ujrzał to, o czym czytał.

I przekonał się, że wszystko było fałszem... Bo w kronikach opisano bitwy, nie pobojowiska. To, co najważniejsze, w kronikach nie liczyło się zupełnie. Ważna była liczba poległych – nie zaś to, jak wyglądali.

Pośród wielu oderwanych, niedokończonych myśli błysnęła Przyjętemu także jedna – o matematyce. W jakiś dziwny sposób obiektywna prawda matematyki była piękna także w zapisie. Czyżby tylko piękne rzeczy mogły być prawdziwe?

Nie miało to sensu. Wszakże ten plac boju, nieprawdopodobnie wręcz ohydny, był zarazem niezmiernie fałszywy. Cokolwiek powiedziano o bitwach, milowych kamieniach historii, było kłamstwem. Oto mędrzec-historyk już do końca życia utożsamiać miał bitwy – ze smrodem. Przypuszczalnie tym większym, im większe i donioślejsze dla losów świata zmagania miały miejsce. Był ów fetor jedyną rzeczą, której Przyjęty nie oczekiwał... i być może właśnie dlatego jawił się tak

wyraźnie.

Śmierdziała krew, mocz i ekskrementy; śmierdziała wypuszczona treść jelit. Kwaśna woń, jak odór wymiocin. W tym wszystkim babrali się ludzie. Trupy przetaczano jak worki, by wydobyć rannych i różne pożyteczne przedmioty. Te śmierdzące kolczugi i buty miały posłużyć żywym. Zabity żołnierz oglądał wyrwane z własnego brzucha flaki – chyba nawet nie wiedząc, na co patrzy. Widać nie czuł bólu; obracał w dłoniach śliskie, gorące jelita, pozwalając, by obmywał je deszcz. Dostrzegłszy leżący obok hełm, trup sięgnął poń i włożył na głowę. Minęli go dwaj mężczyźni, niosący rannego. Jęcząc, ranny kurczowo trzymał w dłoni stopę – odrąbaną. Nie potrafił i nie chciał się z nią rozstać. Gotah cofnął się, schodząc z drogi. Nastąpił na twarz poległego i chrupnęły wgniatane w zdruzgotaną szczękę zęby.

Smród chyba się wzmaczał. Przyjęty poczuł w gardle coś, co było niczym wepchnięta tam bryła zgniłego, drgającego od robaków mięsa. Obraz placu boju miał drugorzędne znaczenie. Choćby nawet przypominał ukwieconą łąkę, gdyby ta łąka tak śmierdziała, byłaby odrażająca.

– Hej, mędrcze!

Hel-Krehiri stała zmęczona, uszczęśliwiona zwycięstwem. Gotah przymknął oczy, lecz było już za późno. Ta niezwykle urodziwa kobieta miała odtąd kojarzyć mu się z owym wstrętnym fetorem. Ujrzał muchę jedzącą odchody.

Zwymiotował, krztusząc się głośno.

Rozbójniczka podeszła ze śmiechem. Oburącz trzymała drzewce włóczni owinięte, dla lepszego chwytu, strzędem jakiegoś gałgana. Spódnica, gładko rozcięta, odsłaniała długą ranę na udzie. Zmieszana z deszczem krew obficie spływała w dół, coraz bardziej różowiejąc.

Gotah otarł usta.

– Tego nie... Nie tego oczekiwałem – powiedział z wysiłkiem, wstydzając się okazanej słabości.

Nie słuchała.

– Auu! – powiedziała z chrypką. – Ma-sa-kra...

Przyjęty pochwyił jej zamglone spojrzenie. Była odurzona bitwą i obrazem poboju. Uniosła swoją włócznię i dotknęła grotu policzkiem. Na twarzy została wyraźna czerwona smużka. Pieściła drzewce ręką, spoglądając dokoła. Przesunęła językiem po wargach.

– Au...

Gotah pomyślał, że ta kobieta... może w następnej chwili przeżyje na jego oczach prawdziwą zmysłową rozkosz, jakiej nie da jej żaden mężczyzna. Uklękła i przymknawszy oczy, dotykała trupa, nie wstydzając się tego, co czuje.

– Nie... – powiedziała cicho. – Już nie.

Mierzwiła palcami mokre włosy zabitego.

Gotah chciał odejść.

– Zostań – powiedziała już normalnym głosem. – Musimy...

– Każ zebrać ciężko rannych w jedno miejsce, Hel-Krehiri – przerwał.

– Cesarskich też – podkreślił.

Siedząc na podwiniętych nogach, kołysała się lekko w przód i w tył.

– Ciężko ranni zostają tutaj – oznajmiła. – Prawo Gór, wasza godność.

Każdy, kto tu przychodzi, dobrze wie, że będzie musiał odejść tak, jak przyszedł: bez niczyjej pomocy. Czy sprawisz może, by zaczęli chodzić?

– Zmniejszą ich cierpienia, Hel-Krehiri.

– O, do tego nie trzeba być mędrcom-Przyjętym – zauważyła.

Wstała, zabierając swoją włócznię.

– Do tego wcale nie trzeba być Przyjętym – powtórzyła z ponurym rozbawieniem.

Milczał.

– Nie zmienisz gór, wasza godność – mówiła już bez uśmiechu. – Pomóż moim rannym. Jeśli starczy ci sił, pomóż też cesarskim. Doskonale walczyli. Ulżyj tym, którym możesz, ale pamiętaj: choćby nawet dla wielu była nadzieja, nikt nie będzie ich niósł. Zresztą... dokąd, powiedz? Czy do Grombu, na szubienicę? Nie? Więc może do górskich stanic, tam? – Pokazała zębate szczyty i granie.

– Każ rozpalić ognisko – powiedział.

Odwrócił się i poszedł ku miejscu, gdzie znoszono rannych.

To prawda, nie mógł zmienić gór i ich praw. Zresztą takie prawa ci ludzie przyjęli, były to także prawa Szerni. Prawa Całości.

Jakże łatwo mogłoby ocalić konających i ulżyć wszystkim cierpiącym! Kilka słów, jeden gest... Może tylko spojrzenie i zmarszczenie brwi. Każdy lah'agar, prędzej albo później, stawał przed podobną pokusą. I wyzwaniem. W grę wchodziły sprawy o największej doniosłości, jak zmiana przebiegu bitwy, ważącej na losach świata. Pokonanie zarazy. Kiedy indziej szło o rzeczy małe: kalectwo przyjaciela; śmierć kochanej kobiety... Nie wszyscy umieli się oprzeć – więc przestawali być odbiciem Szerni.

Gdyby Pasma miały wdzierać się do świata, czyniłyby to bez niczyjej zachęty i pomocy.

Ludzie mieli umierać. Nie była to sprawa Szerni ani istot przez nią przyjętych. Było to Prawo Całości. Żeby mogła istnieć całość, każdy z tworzących ją elementów musiał trwać na właściwym miejscu.

Zgromadzono potrzaskane drzewca włóczni, trochę szmat, polano to wszystko wódką i z najwyższym trudem rozniecono ogień. Przyjęty kazał zagotować zioła, wydobyte ze swojego worka. Napojeni brunatnym wywarem ludzie przestali jęczeć, potem jedni zaczęli się uśmiechać, inni nucić... Jeszcze inni rozmawiali z osobami, których obok

nie było.

Wywarem z innych ziół przemyto rany.

Hel-Krehiri przyszła na końcu, gdy opatrzono już wszystkich. Przysiadła na ziemi i pokazała nogę, obwiązaną szmatami.

– Głupstwo – zawyrokowała. – Wypaliłam wódką. Ale jutro ciężko mi będzie biegać. Jest na to rada?

Opatrunki przesiąknięte były krwią. Jeszcze nie przyschły do rany i odwinął je bez trudu. Sztych miecza gładko rozciął skórę i niezbyt głęboko mięśnie.

– Dobre ostrza mają żołnierze – ocenił. – Rana jest czysta i powinna łatwo się goić. Mogę ją pozszywać, będzie mniejsza blizna, ale szwy popękają albo się rozejdą, jeśli nie będziesz się oszczędzać.

Wzruszyła ramionami.

– Oszczędzać... Jeszcze czego.

– W takim razie tylko zawiń. Co jakiś czas przemyj ranę wodą. Mogę dać ci jutro zioła do picia, można też je żuć. Złagodzą ból, ale trochę cię ogłupią, Hel-Krehiri.

– To nie. Wolę być kulawa niż głupia.

– Ból także przeszkadza w myśleniu – zauważył.

Zmoczył szmaty w swoim wywarze. Podciągnęła wyżej podartą spódnicę, pokazując czarny zarost na podbrzuszu, i Przyjęty osłupiał. Przez długą chwilę z najwyższą uwagą wpatrywał się między jej uda, oglądając okolone włosami, różowo-czerwone zakamarki kobiecego ciała. Zapomniał, że kobiety są tam – takie...

– Hola, mędrcze! – powiedziała zniecierpliwiona. – Owiniesz mi tę nogę czy nie?

W nagłym odruchu zażenowania zasłoniła się dłonią, choć na co dzień w ogóle nie pamiętała o takich ceregielach; w górach nie było na to miejsca. Gotah zmarszczył brwi, ze zdziwieniem wsłuchując się w przyspieszone bicie swego serca. Przemył ranę i opatrzył ją.

– Hel-Krehiri – rzekł nagle, bo powiedzieć musiał – jestem kaleką. Nie, to nie dlatego, że mam skrzywione usta... Żyję w swoich wyobrażeniach o ludziach i świecie. I chyba już nie wiem, zapomniałem...

Przerwał.

– Miałaś rację, mówiąc mi o prawach gór – dokończył po chwili. – Znam tylko Prawa Całości.

Nie odezwała się.

## ROZDZIAŁ 10



W jukach były płaszcze, pledy i wszystko, co niezbędne w podróży. Nie zbywało także na zapasach żywności. Urządzając pierwszy krótki postój, Brul najpierw zajął się mułami. Czarny Las nie był daleko, ale wizja pieszej wyprawy z niepokorną branką wyglądała ponuro. Znaczną część drogi dało się przebyć wierzchem i starzec chciał z tej możliwości skorzystać. Z wielkim trudem utrzymywał się w siodle; przecież i tak było to fraszką w porównaniu z trudami pieszej wędrówki.

Przyrzędziwszy prosty posiłek, Brul zauważył, że odurzenie porwanej minęło. Bardzo obawiał się mającej nastąpić rozmowy. Była jednak nieunikniona.

– Wasza wysokość – powiedział – nazywam się Brul i niegdyś... byłem mędrce Szerni.

– Jesteś zbójem, starcze – odparła cichym, ale pewnym głosem. – Zabierz ten posiłek, nie zamierzam przyjąć go od ciebie.

– Wasza wysokość...

– Nie skończyłam.

Okryta prostym płaszczem, spod którego wyglądała zmięta suknia, potargana, z nieudolnie związanymi (bo Brul nie umiał wiązać jeńców...) rękami, siedziała przed nim ze spokojem i godnością kobiety, której nic nie może odebrać znaczenia.

– Rozmawiamy po raz pierwszy i ostatni, zapamiętaj więc, co powiem. Żołnierze Księcia Przedstawiciela, mojego męża, wkrótce nas odnajdą. Zostaniesz pojmany, lecz nie spotka cię żadna kara, bez względu na to, co ze mną uczynisz. Książę podzieli moje zdanie. Pochyl się.

Uczynił to, zdumiony, a wtedy dmuchnęła mu w twarz.

– To wszystko, co mam dla ciebie. Jesteś pyłem, starcze – powiedziała z chłodną litością. – Czy to można skazać na twierdzą? Teraz odejdz, nie zamierzam cię słuchać.

Wyprostował się i odstąpił pół kroku.

– Wasza wysokość – zaczął stłumionym głosem – od nikogo nie

przyjmę takich słów. Widzę, że nie usłyszałaś, więc powtórzę: rozmawiasz z kimś, kto jako mędrzec Szerni był, od śmierci Wielkiego Dorlana, pierwszym człowiekiem na tym świecie.

Urwał. Nie słuchała go... po prostu nie słuchała. Zamyślona, spoglądała trochę w bok, rozważając, być może, piękno rymów armektańskiej „Pieśni Równin Ri Sillor”. Przestał dla niej istnieć, w rzeczy samej jak pył.

– Wasza wysokość! – powiedział.

Uczuł napływ prawdziwego gniewu. Nie przywykł, by go tak traktowano. Mogła być córką cesarza i żoną władcy prowincji – ale to nie zmieniało faktu, że wobec sił Szerni jawiła się niczym drobne ziarenko piasku. Odtrącony przez Pasma, przecież wciąż wiedział o nich więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Wiedział nawet zbyt wiele i dlatego Szerni go nie chciała. W całej rozciągłości pojął dwoistą naturę sił rozpostartych nad światem i zrozumiał, że owe siły same są tylko częściami czegoś, co rozpadło się w nieodgadnionej przeszłości. Umiał powiązać te moce z powrotem w jedną całość – spójną, doskonałą. Miała powstać JEDNOŚĆ IDEALNA.

– Nie rozumiesz, pani, jak doniosłą rolę masz spełnić – rzekł z wyższością. – Nie rozumiesz i zrozumieć nie zdołasz. Jesteś dziełem Aleru i, jako taka, możesz doprowadzić do stopienia jego treści z treściami Szerni. Kiedyś pragnąłem mieć następcę, by przekazać mu swoją wiedzę. Szukałem sposobu, lecz gdy wreszcie znalazłem, okazało się, że znalazłem coś ponadto. Już nie jest mi potrzebny następcą, bo wszystko, co warto uczynić na tym świecie, uczynię sam. Przy twoim udziale powołałam do życia istotę, która połączy w sobie moc Pasm Szerni z potęgą Wstęg Aleru, otwierając nową erę, erę idealnej jedności i harmonii...

Zamilkł znowu.

Oczy księżnej, zamglone i prawdziwie zamyślane, nie zmieniły swego wyrazu. Kobieta z taką pozycją musiała umieć panować nad twarzą i Brul w gruncie rzeczy wiedział o tym. Był pewien, że jest słyszany i słuchany. Jednak, nienawykły do obcowania z kobietami takimi jak jej wysokość Werena, popadał w coraz większe rozdrażnienie. Był śmieszny, mówiąc do kogoś, kto udawał, że go nie słyszy. Zdawał sobie sprawę z tej śmieszności – lecz przecież wciąż odruchowo szukał jej spojrzenia.

Księżna w samej rzeczy słuchała z najwyższą uwagą, ale też powoli wzbierał w niej lęk. Rozumiała już, że nie została porwana dla okupu. Była w rękach szaleńca, najwyraźniej pragnącego zbawić świat.



## ROZDZIAŁ 11



Przesłuchiwany żołnierz wyrzucał powietrze z piersi w krótkich, spazmatycznych wydechach. Twarz miał kredowobiałą.

– Urowadzono... upro...wadzono...

– Mmm? – ponagliła łagodnie.

– Jej wyso... jej wysokość księżną... Werenę...

Hel-Krehiri zdumiała się szczerze.

– Nie – powiedziała z uśmiechem. – Przecież to

niemożliwe?

Przekrzywiła głowę.

– Jeszcze raz: dlaczego Gromb śle w góry tak silne oddziały? To nie był zwykły patrol. Karna ekspedycja? Dlaczego?

– Przysięgam! – wrzasnął jeniec. – Tak... przysięgam!

Obejrzała się na słabnące ognisko Przyjętego. Wzięła do ręki topór.

– Do ognia z tym.

– Przysięgam! – zawył śmiertelnie przerażony żołnierz.

– No dobrze już, dobrze! – wrzasnęła w odpowiedzi. – Co, upiec sobie topora nie można?!

– Można... – wybełkotał.

Pokiwała głową.

– I jak tu wierzyć takiemu idiocie? Dobrze. I co z tym porwaniem?

Legionista zaczął mówić najprędzej jak potrafił. Słuchała uważnie.

– Więc starego miecznika znaleziono w jego domu... Oszalał, mówisz? – powtarzała z namysłem. – No, to masz towarzystwo, Łowczyński...

Żołnierz kontynuował. Wysłuchiwała o porzuconym wozie na trakcie.

– No dobrze – powiedziała, gdy skończył. – Dobrze.

Zamyśliła się.

– Gdzie ten topór?

– Powiedziałem wszystko... przysięgam! – krzyknął legionista.

– No i dobrze – westchnęła; wstała, rozcierając obolałą, zranioną nogę. – Ale przecież cię nie puszczę, prawda?

Znów przysiadła ostrożnie, lekko krzywiąc się z bólu.

– Rozwiązać go – poleciła.

Spełniono rozkaz w mgnieniu oka. Żołnierz próbował usiąść, lecz

w tej samej chwili liczne ramiona pochwyciły go za ręce i nogi. Rozebrano go od pasa w dół i ujrzał uśmiechniętą twarz kobiety.

– Powiedz... – szepnęła. – Powiedz: czy dobrze jest być mężczyzną?

Zrozpaczony, nagle splunął jej w twarz. Tylko na to czekała: zasłoniła się ręką i nim pojął, co zaszło, miał własną ślinę wtartą w oczy i wąsy. Zaśmiała się, uszczęśliwiona żartem.

– Mmm... – zamruczała leniwie.

Uniesiono mu głowę, by patrzył.

Rozbójniczka osunęła się w dół, pomiędzy rozwiedzione, potężnie trzymane nogi jeńca. Ujrzał nóż i wyprężył się gwałtownie, potem zaczął stękać przez zęby, wreszcie krzyknął przeraźliwie:

– Nie!... Proszę, proszę, nie, proszę...!

– Bądźże cicho, głuptasie! – ofuknęła go rozbawiona.

Opętany przerażeniem i bólem, widział ruchy ostrza i jej palców. Pokryte były krwią.

Szarpnęła nagle. Krzyk legionisty przeszedł w skowyt.

– O, to się zagoi... – mruknęła, po czym pokazała mu skrwawiony, owalny kawałek mięsa. – Żartowałam, wzięłam sobie tylko to jedno. – Wyciągnąwszy rękę, lekko rozwichrzyła mu włosy. – Głowa do góry, jeszcze nie wszystko stracone!

Położyła jądro na dłoni i oglądała z zaciekawieniem.

– Czy już? – zapytano.

Odwróciła się.

– O, mędrzec Szerni – powiedziała prawie wrogo. Odłożyła na bok to, co miała w ręku. – Czy zrobiłam coś nie tak jak należy?

Przyniesiono topór. Ujęła go i gorącym żeleźcem starannie przypaliła ranę. Bawiła się jeszcze, parząc członek i uda. Mięso skwierczało i zaczęło cuchnąć. Żołnierz ryczał, potem zemdłał.

– Przeżyje? Jak myślisz, mędrce? – Zmarszczyła brwi. – Chciałabym, żeby o mnie opowiadał. Opatrzysz go? Ma jeszcze ranę na plecach, może umrzeć...

Podniosła się. Przyjęty patrzył jej w oczy.

– Nie bój się mnie, Hel-Krehiri – rzekł spokojnie, choć lekko stłumionym głosem. – Dłaczegóż to zakładasz, że przyszedłem cię potępić? Wyobrażasz sobie, że będę biegał po górach i oceniał, ile dobra lub zła wyświadczacie tu sobie nawzajem? A może mam grzmocić mocą Pasm każdego, kogo zachowanie mi się nie spodoba?

Patrzyła uważnie. Wzruszył ramionami.

– Opatrzyłem rannych, bo rannych się opatruje. Ty torturujesz jeńca, bo jeńców się torturuje. Nie zamierzam mieszać się do tego.

– Och! – powiedziała z szyderczym zachwytem.

– Dzisiaj jestem w górach, jutro mnie nie będzie – mówił, bardziej chyba do siebie niż do niej. – Nic nie zmienię przez te kilka dni.

Przyszedłem zapytać, czy jency mówią? Bo jeśli nie, to... mogę ich wybadać.

– Użyjesz mocy Pasm? – zapytała z sarkazmem.

– Pasm? Nie. Jeszcze nigdy i do niczego nie użyłem sił Szerni, choć może wyda ci się to dziwne. Użyję rozumu i wiedzy, Hel-Krehiri.

Patrzyła w milczeniu.

– Bardzo dużo dziś mówisz, wasza godność – zauważyła po chwili. – Po co właściwie idziesz ze mną przeciw Brulowi? Skoro nie obchodzą cię góry ani to, co się w nich dzieje?

Uniósł brwi.

– Czyżbym tak powiedział? Nie zamierzam naprawiać świata, bo wszystko w nim działa jak trzeba. Ale bardzo mnie obchodzi, co się dzieje. Chcę to zobaczyć, Hel-Krehiri.

Lecz ona myślała już o czymś innym.

– Trzeba ruszać – mruknęła, spoglądając gdzieś w bok. – Wasza godność, mam dla ciebie misję...

Urwała.

– Mam... prośbę – poprawiła z lekkim przymusem. – Trzeba, by ktoś poszedł do Grombu.

Streściła to, co powiedział jeniec.

– I cóż teraz powiesz, mędrco? – zapytała na koniec. – Czy możliwe, by jej wysokość była jedną z tych twoich... „władczyń świata”?

– Tego akurat nie zdołamy sprawdzić, przynajmniej na razie – odparł Gotah. – Czy masz w oddziale kogoś, kto widział jej wysokość? Choć pasmo siwych włosów wcale nie musi być dowodem – zastrzegł.

Wydała parę rozkazów i wkrótce uzyskali potwierdzenie: księżna nosiła na skroni małe pasemko srebra.

– A jednak to dziwne – uznała Hel-Krehiri. – Księżna nie może być Brulowi do niczego potrzebna.

Gotah spojrział badawczo.

– A dlaczego?

– Jej wysokość nie może mieć dzieci, choć bardzo tego pragnie – powiedziała. – Książę Przedstawiciel bardzo nad tym boleje. Wszyscy o tym wiedzą.

Przyjęty znów popadł w zadumę.

– Pójdę do Grombu – oznajmił.

## ROZDZIAŁ 12

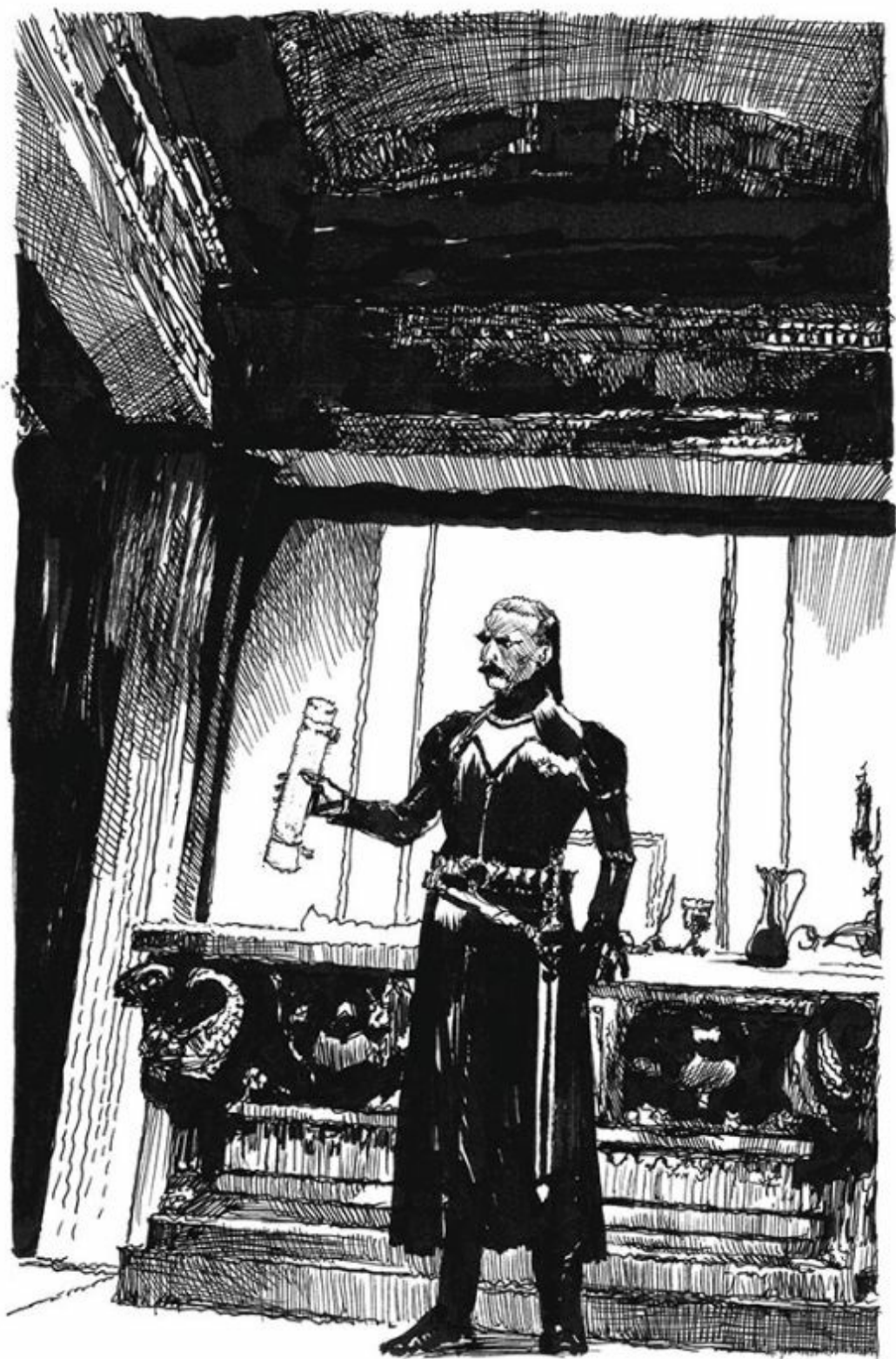


Książę Ramez wiedział, jak w oczach pokonanych mnożą się zwycięskie zastępy. Nie znaczyło to wcale, że sprawę zbagatelizował. Jednak, przesłuchawszy osobiście ocalałych z pogromu żołnierzy – czyli tych, którzy najprędzej uciekali, a więc raczej nie najodważniejszych – wysnuł właściwe wnioski: niedaleko Grombu kręciła się jakaś wyjątkowo silna banda rozbójników, wszakże raczej niebędąca pięciotysięczną armią, jak mu donoszono... Prawda, że w świetle porwania księżnej obecność takiego oddziału dawała do myślenia. Jednak na myślenie Ramez nie miał czasu, bo zaledwie odprawił przesłuchiwaną żołnierzy, a już doniesiono mu, że... zebrała się Rada i proszony jest o przewodzenie posiedzeniu.

Przedstawiciel wpadł we wściekłość; domyślał się, o czym i jak długo durnie pragną radzić. Wezwał S.M.Norwina, komendanta garnizonu.

– Idź tam – powiedział, podpisując jednocześnie pełnomocnictwa dla ruszających w góry oficerów – i rozpędź ich. – Uniósł wzrok, podsuwając dokumenty pisarzowi. – Legia może wszystko, bez żadnych konsultacji z Trybunałem – rzucił, zwracając się do tego ostatniego. – Przygotuj pisma. Rekwizycje, sądy, wyroki. Od podsetnika wzwyż. Na moją odpowiedzialność.

Znów spojrzał na Norwina.



TRUST 21

– Słyszałeś? Do Sali Rady. Masz ich rozpędzić, właśnie tak i dokładnie tak. W moim imieniu i z mojego rozkazu. Najlepiej weź żołnierzy, przewróć stół i porozrzucaj krzesła.

Przedstawiciel znany był z przykrego usposobienia. Powtarzano po cichu, że zapanować nad nim umiała księżna Werena i doprawdy nikt inny. Lecz od chwili, gdy stało się jasne, co właściwie zaszło ostatniej nocy, grombelardzki dwór prawdziwie zatęsknił do codziennego sposobu bycia swego władcy. Ramez nie szalał, o, bynajmniej... Popadł za to w rodzaj szczególnej, złośliwej wściekłości. Byle drobiazg wywoływał napływ, bo nie wybuch, lodowatego gniewu. Norwin, którego księżna zabrała ze sobą z Kirlanu, gdzie dowodził gwardią pałacową, bardziej niż inni wstrząśnięty był wieścią o jej uprowadzeniu. Pomimo to jednak, w przebłysku wisielczego humoru, spróbował wyobrazić sobie, że oto przypomina Ramezowi o wieczornych zabawach towarzyskich...

– Na co czekasz? Chcesz rozkaz na piśmie?

Komendant odetchnął głęboko. Była sprawa, którą musiał poruszyć.

– Wasza wysokość – zaczął.

Przedstawiciel uniósł spojrzenie. Norwin zamilkł, choć nie padło ani jedno słowo.

– Powiedziałem – rzekł po krótkiej chwili Ramez.

– Wasza wysokość – rzekł desperacko komendant, mimo woli cofając się o krok – ja nie o tym. Właśnie... pojmano człowieka, który żąda posłuchania. Mówi, że jest Przyjętym. Wie, kto uprowadził..

Ramez uderzył dłonią w stół i skrzywił się, chwytając za opatrunki na głowie.

– Na co czekasz? Sprowadź go tutaj natychmiast! Co za...

– Wasza...

– Kimkolwiek jest, masz mi go sprowadzić.

– Człowiek, który uprowadził jej wysokość, umiał kryć się pod fałszywą...

– Na wszystkie moce, masz mi go sprowadzić! – ryknął Ramez. – Niech się zmienia w cokolwiek, po to mam żołnierzy, żeby mnie pilnowali! Masz mi go sprowadzić, komendancie!

Norwin oddalił się biegiem.

W jakiś czas później z niedowierzaniem powtarzano plotkę, że Księżę Przedstawiciel rzucił wszystko i wraz z jakimś człowiekiem o skrzywionej twarzy zamknął się w swojej komnatce, pełnej ksiąg. Miała im towarzyszyć obłąkana kobieta, którą w nocy znaleziono obok księcia.

Samotni Rameza strzegł osobiście komendant stołecznego garnizonu, wsparty na włócznie odebranej jakiemuś gwardziście.

– Uwierz, książę, że nigdy jeszcze nie biegałem po górach tak szybko, jak dziś – powiedział Gotah, przejrzawszy zapiski Dorlana. – Ale warto było.

Przedstawiciel patrzył na wystraszoną kobietę, nieruchomo siedzącą pośród futer okrywających posłanie. Uderzał wyraz rozbieganych oczu. Jednak uwaga księcia skupiała się nie na oczach.

Widział tylko pasmo siwizny.

– „Naznaczone Wstęgą”...

– Tak, książę.

Dwaj mężczyźni w milczeniu spoglądali na skrzywdzoną, niegdyś tak niezwykłą i dumną kobietę. Ramez poczuł wdzierający się w serce kolec lodu. Na wszystkie Pasma – to samo mogło spotkać jego żonę. Może już spotkało.

Nieoczekiwanie, po raz pierwszy od chwili, gdy odzyskał przytomność, Przedstawiciel dopuścił do siebie strach, uczucie bezradności i zwątpienie. Wcześniej był tylko gniew, zakłęty w działaniu. Teraz kazano mu myśleć i rozumieć.

– Muszę i chcę ci zaufać, mędrco – rzekł cicho. – Widzę, że zbyt wysokie żywiłem mniemanie o swej wiedzy. Prawa Całości to rzecz twoja. Bawiłem się w mędrca Szerni... Ależ tak, bawiłem, prawdę powiedziała Werena.

Przetarł twarz dłonią.

– Pokory.

– Pokory – powtórzył jak echo Gotah. – Ja, książę, dzisiaj odebrałem jej lekcję.

Zbliżył się powoli do siedzącej.

– Lecz nie traćmy czasu.

Cofnęła się, gdy wyciągnął rękę.

– Łowczyni, czy jest już za późno?

Spuściła wzrok.

– Gdyby było za późno, nie przyszedłby po inną, prawda? – pytał dalej łagodnie.

Nie reagowała. Jeszcze raz wyciągnął rękę... Tym razem pozwoliła się dotknąć.

– Twoje oczy... – mówił niegłośnie, bardziej do siebie niż do niej. – Wiem, że utraciłaś je przed laty, a Dorlan przekazał ci inne. Dar kogoś, kto cię pokochał... Ale ten człowiek nie był Armektańczykiem, prawda?

Ramez w milczeniu patrzył, jak Przyjęty delikatnie obmacuje głowę kobiety, ujmuje ją oburącz i pochyla ku sobie, zdając się badać wzrokiem i dotykiem kształt czaszki, nachylenie czoła, wysokość kości policzkowych, profil nosa...

– Ale ty nie jesteś czystą Armektanką, Łowczyni – szeptał. – Zdaje się,

że masz niewielką domieszkę krwi dartańskiej. O, na pewno... A więc rację miała Hel-Krehiri. Twoja siwizna jest zupełnie naturalna. Nie przedstawiasz żadnej wartości dla Brula...

Oparł dłoń na jej głowie.

– Czy nie było tak, że naraz kazano ci zapomnieć o zbyt wielu rzeczach? O tym, co robiłaś i kim jesteś... Może też zakazano ci mówić?

Ujął ją pod brodę.

– Wasza wysokość – rzekł, nie odwracając spojrzenia od wynędzniałej twarzy – proszę o medalion, który nosisz na szyi.

Ramez spełnił żądanie, o nic nie pytając. Przyjęty ujął koniec łańcuszka i rozkołysał szczerozłoty wisior.

– Patrz tutaj. Czy rozumiesz, co mówię? Patrz tutaj...

Niegłówno, bardzo miarowo, mówił o Wielkich Równinach... o nadchodzącym zmierzchu... o nocy... o śnie... Potem zdania zaczęły gubić sens, słowa utraciły znaczenie, rymowały się tylko, w równym rytmie z tańcem medalionu...

Przerażający, zwierzęcy krzyk sprawił, że Norwin cisnął włócznię i wpadł do komnatki Rameza. Zastygł na chwilę, osłupiał; potem skoczył na pomoc. Kobieta wyła, próbując wyswobodzić się z trzymających ją ramion. Nogi miała wolne i potężny, na oslepek wymierzony kopniak osadził komendanta w pół kroku. Rzuciła się jak wściekła, wygięta w łuk, przygnieciona ciężarem dwóch mężczyzn. Już nie wyła, stękała tylko ochryple. Na twarzy miała zawziętość, lęk... i sto innych, niemożliwych do opisu uczuć. Wyzwoliwszy na chwilę jedno ramię, uderzyła Przyjętego w szyję. Puścił ją... i wtedy Ramez przypomniał sobie imię:

– Kareniro, przestań! Kareniro!

Spazmatycznie zaczerpnęła powietrza.

– Kareniro... – powtórzył po raz trzeci. – Karo... już dobrze. Wszystko dobrze, słyszysz? Wszystko... dobrze.

Nie walczyła.

Norwin, wciąż jeszcze zgięty, patrzył, jak grombelardzki władca, klęcząc na zimnej posadzce, ostrożnie, lecz mocno przygarnia do siebie kobietę w brudnych łachmanach. Na twarzy księcia widniało silne wzruszenie. Ramez czuł przedziwne ciepło, płynące przez gardło do piersi – przez moment było tak, jakby trzymał w ramionach swoją Werenę... Odzyskaną.

– Już dobrze... – powtarzał kojąco. – Już dobrze, dziewczyno. Już dobrze.

Płacząc, trzymała go za szyję.

Długo trwało, nim doszła do siebie.

Potem chciała mówić, lecz szybko stało się jasne, że po całych miesiącach milczenia jest to dla niej zbyt wielki wysiłek. Męczyła się,



próbując wyrzucić z siebie wszystko, co tak długo było uwięzione w niepamięci i w ciszy. Język odmawiał posłuszeństwa, myśli się plątały... Zapłakała znowu. Zamiast spodziewanej pomocy mężczyźni zyskali tylko nowy, wielki kłopot. Gdy znużona i wyczerpana zapadła w ciężki sen, nieomal odetchnęła z ulgą.

– Nie traćmy czasu, wasza wysokość – rzekł Przyjęty. – To lepiej, że zasnęła. Powinienem był się spodziewać. Tak, to moja wina. Myślę, że jutro lub pojutrze usłyszymy od niej niejedno. Ale dzisiaj czas nagli.

Ramez skinął głową.

– To prawda – potwierdził, nie odwracając spojrzenia od śpiącej. – A zatem celem Brula może być Czarny Las, czy tak?

– Na pewno, książę. Hel-Krehiri...

– Hel-Krehiri – przerwał Ramez – za pośrednictwem mędrca Szerni proponuje dziwny układ.

Po czym przywołał komendanta Norwina, który znowu wartował za drzwiami.

– Zechciej, mędrco, jeszcze raz przedstawić propozycję Hel-Krehiri.

Gotah milczał przez chwilę.

– Trzeba wycofać żołnierzy, książę – powiedział. – Tragiczne pomyłki mogą się mnożyć. Hel-Krehiri zapewnia, że Brul nie wyrwie się z pułapki, a jej książęca wysokość...

Ramez wydał komendantowi tylko jeden zwięzły rozkaz. Gotah zdumiał się, słysząc, czego dotyczył.

– Wasza wysokość, uważam...

– Wasza godność, słuchałem cierpliwie, gdy wykladałeś mi prawdziwy sens Przepowiedni. Teraz ty posłuchaj mnie. Otóż wszystkim, czym w Grombelardzie nie zarządza Szern, zarządzam ja. A najbardziej zarządzam wojskiem i własnym swoim życiem, choć wielu sądzi, że to niemożliwe. Jeśli zechcę wodzić legie po górach, będę to czynił codziennie. Aż do chwili, gdy Imperator zdejmie mnie z urzędu.

Przyjęty milczał.

– Pozwól też sobie powiedzieć, wasza godność – dodał Przedstawiciel – że pomyśl, iż będę tu siedział, czekając na to, co zrobi jakaś Hel-Krehiri, jest niezwykle... niezwykle co się zowie.

– Jej wysokość księżna... – zaczął Gotah.

Przerwano mu raz jeszcze.

– To moja żona – powiedział zimno Ramez. I dorzucił niegłośnie: – Nie jest dla mnie jej wysokością ani córką Imperatora. To moja kobieta, jestem jej mężczyzną. Wiesz coś o tym, mędrco?

Przyjęty zrozumiał. W ciągu zaledwie jednego dnia dwoje tak różnych ludzi uświadamiało mu to samo. Że stale patrząc ku Szerni, stracił z oczu świat.

– Nie, książę. To prawda, nic o tym nie wiem.

Po czym zadrwił sam z siebie:  
– Pokory...

## ROZDZIAŁ 13



**H**el-Krehiri, wyprawivszy Gotaha do Grombu, wkrótce sama ruszyła jego śladem. Nie widziała powodu, dla którego Przyjęty – czy ktokolwiek – miałby wiedzieć więcej niż trzeba. Na przedmieściu grombelardzkiej stolicy mieszkał człowiek, którego, wraz z władzą nad górami, otrzymała niejako „w spadku” po swym poprzedniku Kragdobie. Leczył konie – stąd powszechnie zwany był Koniarzem. Właśnie w jego domu Hel-Krehiri miała spotkać się ze swoim wywiadowcą.

Budzący respekt osilek, który nie tak dawno stoczył pięściarski pojedynek na rynku, także był kiedyś człowiekiem Króla Gór. Legendarny władca Grombelardu miał w nim swego przybocznego gwardzistę, ale i przyjaciela. Kaga małodusznie uczyniła zeń swego sługę. Raner szczerze chciał porzucić pieską służbę. Nie potrafił, bo Grombelard był całym jego życiem, Ciężkie Góry zaś domem. W domu tym rządziła Hel-Krehiri. Raz wypowiedziawszy posłuszeństwo, musiały odejść z Kraju Chmur albo oddać srogiej pani swą głowę.

Hel-Krehiri, krótko rozmówivszy się z Koniarzem, odprawiła go, po czym weszła do małej i brudnej izby, gdzie prócz licznych rupieci gospodarza stały jakieś przetrącone zydle i stół. Ujrzawszy Ranera, rozbójniczka zmarszczyła lekko brwi, liczyła bowiem na spotkanie z Wemirem. Wychowany przez Kragdoba osilek, pomimo swej przydatności, budził w niej żywą niechęć, rozumiała bowiem, że ten człowiek stale porównuje ją z poprzednim swoim dowódcą. Uważała, że dorównuje Kragdobowi, i w żaloszny, kobiecy sposób udowadniała to Ranerowi za pomocą siły.

– Cóż? – zapytała, nie bawivc się w powitania. – Szybko, nie mam czasu. Gdzie jest Wemir?

Raner milczał.

– Pytam! – ponagliła.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie wiedziałem, że mam śledzić Łowczynię. Mówiłaś o obłąkanej kobiecie, ale kiedy pokazano mi ją tutaj...

– Nawet nie wiedziałam, że ją znasz. A, prawda... Kiedyś, przed laty...

I co z tego?

– Obłąkana czy nie, rozpoznała mnie w każdym razie – padła nieprzyjazna odpowiedź. – To z kolei sprawiło, że ja też zostałem rozpoznany, jako jej „opiekun”. Przez Brula.

Hel-Krehiri zaklęła.

– Wemir naprawił to, co ty zepsułaś – ciągnął Raner – ale przez dwa dni był zdany tylko na siebie, bo nie mógł spuścić Brula z oczu. Czy wiesz, że księżna Werena...

– Wiem – przerwała ze złością.

– Wemir poszedł za nimi. Gdy wyszli z miasta, upewnił się, czy naprawdę idą do Lasu, i wrócił tutaj, do Koniarza. Zostawił wiadomość i znów pobiegł. Rozmawiałaś z Koniarzem?

– Nie o tym.

– Brul nie sypia. Może nie potrzebuje. Ale Wemir tak. Przez twoją głupotę ten kot...

– Powściągnij ten parszywy ozór!

Była wściekła.

– ...może zginąć – ciągnął niewzruszenie siłacz. – Koniarz mówi, że był ledwie żywy, gdy tu przybiegł. Teraz idzie za Brulem i nie wierzę, że ma dosyć siły, by zachować należytą ostrożność.

Zaległo milczenie.

– Chcę wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Dokładnie – zaznaczyła.

Wysłuchiwała sprawozdania.

– Dobrze – powiedziała na koniec. – Teraz słuchaj: idę do Czarnego Lasu, natychmiast. Posłałam kogoś do Przedstawiciela. – Krótko objaśniła sytuację.

Raner słuchał uważnie.

– Nie mam pojęcia, co wymyśli Ramez – przyznała. – Może posłucha i wycofa wojsko, a może akurat odwrotnie. Masz warować przed bramą Grombu i czekać na Przyjętego. Powiadomisz go, że wyruszyłam, i dowiesz się, jak sprawy wyglądają. Potem pchniesz za mną gońca. Przyślę ci tutaj kota. Zdaje się, że tylko na nich mogę jeszcze polegać – dorzuciła z pogardą i złością.

Raner nie odpowiedział.

o o o

Czarny Las leżał w odległości dwóch dni drogi od Grombu. Wiele było w Drugiej Prowincji dziwnych miejsc, ale to skupisko kamiennych, karłowatych niby-dębów należało do najniezwykleszych. Płatanina czarnych pni i konarów pokrywała zbocze na ogromnej przestrzeni.

Pośród uporczywej mżawki wiatr z posępnym skowytym przedzierał się przez martwe ostępy, zawodząc pieśń, której nigdy nie słyszano w innych stronach gór.

Hel-Krehiri знаła to miejsce. Wiedziała, że odnalezienie kogokolwiek w labiryncie skamieniałych drzew, pełnym różnorodnych kryjówek, nie jest sprawą łatwą. Potrzebowała całej armii, by zamknąć wielką pułapkę, a i tak skończyło się na słabym kordonie patroli. Pozostawało do zrobienia tylko jedno: wdrzeć się do Lasu i... polować.

Jednak wciąż czekała na Wemira.

Czekała – bo jeśli śledził Brula do końca, mógł poprowadzić ją prosto do niego. Ale przede wszystkim chciała... żeby przyszedł. Żeby krakanie tego durnia Ranera nie okazało się prawdą.

Wemir był jej przyjacielem.

Dotarła na miejsce wieczorem. Tak czy inaczej, nocne poszukiwania nie mogły przynieść efektu. Lubiła noc. Gdyby tylko wiedziała, gdzie jest Brul, ruszyłaby natychmiast. W starciu z jakimkolwiek człowiekiem noc była po jej stronie. Jednak co innego starcie, co innego zaś szukanie po omacku.

Niewiele spała. Budził ją każdy szmer, każde poruszenie drzemiących obok wojowników. Choć dobrze wiedziała, że akurat Wemir przyszedłby bezszelestnie.

Gdy wreszcie przyszedł, rzeczywiście nie zauważyła.

– Czekasz, siostrze? – zapytał.

Przez długą chwilę patrzyła w żółte ślepie.

– Czekam, Wemir – powiedziała niegłośnie. – To dobrze... dobrze, że jesteś.

Przez krótką, nocną chwilę wisiało w powietrzu między nimi to wszystko, co nigdy i przenigdy nie mogło się urzeczywistnić.

Uniósł łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

– Zaprowadzę cię do niego, Kaga. Musimy się śpieszyć. Wiesz o księżnej?

Potwierdziła.

– Ale nawet nie to – wyjaśnił swym niskim, niewyraźnym głosem, przywodzącym na myśl pomruk. – Nie możemy zwlekać, bo nie trafię. Jestem zmęczony, Kaga.

– Wiem – powiedziała, powstając.

Wydała kilka rozkazów.

– Gdyby pojawili się żołnierze – powiedziała na koniec – przepuścić! Nie chcę żadnego zamieszania, a już zwłaszcza bitwy. Macie pilnować, by zwierzyna nie uszła, nic więcej. Przekaż dalej, co powiedziałam.

Zastępca skinął głową.

– Zresztą wkrótce z Grombu powinna nadejść wiadomość – dorzuciła.  
– Okaże się, czy wojsko wyruszy.

– Pójdiesz sama? – zapytał kot.

– Tak. Dlaczego?

– Chodźmy już.

Wzięła broń i ruszyła za swym przewodnikiem. Oddalwszy się od miejsca noclegu, rozmawiali trochę inaczej – tak jakby z tyłu zostało coś krępującego i niewygodnego. Cicha, kocia rozmowa, bardziej zwięzła, niż gdyby rozmawiali ludzie.

– Dlaczego? – powtórzyła pytanie.

– To słaby, chory starzec. Dość sama.

– To Przyjęty.

– Werk, Kaga. Słyszałaś o Pierścieniu Ułudy?

– Werk – potwierdziła.

– Wszystko. Ukrył się w kręgu Pierścieni. Zniknął. Tam są tylko drzewa, jak wszędzie.

– To dlatego?

– Werk. Musiałem dobrze zapamiętać. Miejsce i drogę. Odchodziłem, wracałem. Wielokrotnie.

– Pierścienie. Ma coś jeszcze?

– Chyba nie. On umrze.

– Nie rozumiem?

Wytłumaczył obszerniej:

– On chyba powinien umrzeć wczoraj. Coś go trzyma przy życiu. Ale jego czas już się skończył. Umiera.

Pomimo nocy i deszczu dość szybko pokonali zbocze. Wkrótce osiągnęli skraj lasu. Odtąd nie rozmawiali.

Ciemność panująca na odkrytym stoku była niczym w porównaniu z gęstym mrokiem, uwięzionym między drzewami. Hel-Krehiri uświadomiła sobie, że gdyby ruszyła od razu, nie czekając na kota – musiałaby zawrócić. Bez pomocy Wemira nie poradziłaby sobie. Szła pochylona ze względu na niskie konary, przede wszystkim jednak stale musiała opierać dłoń na silnym karku kocura albo wprost chwyciła go za ogon. Prowadził pewnie, ale bez pośpiechu. Odbywali już podobne wyprawy, choć nigdy w miejscu tak upiornym, jak ten ponury las śmierci. Potrafiła reagować na umowne znaki, które przekazywał jej towarzysz: gdy uginał kark, rozumiała, że ma się pochylić – i czyniła to bez namysłu, ufając jego oczom. Był kotem...

We własnym swoim ciele.

Świtało, gdy stanęli u celu.

– Teraz wróć. Gdyby przyszedł Przyjęty, przyprowadź go tutaj – powiedziała.

Nie zaprotestował. Uniósł łapę w kocim pozdrowieniu.

– Zabij go, siostrze, zanim umrze. To taki, co zbawia świat. Nie powinien odejść bezkarnie.

Zniknął, ale jeszcze usłyszała:

– Werena jest taka jak my.

Ruszyła ku miejscu, które wskazał. Z pochyloną głową przemknęła pod konarem kamiennego dębu – i przebiwszy Krąg Złudzeń, ujrzała płonące ognisko.

## ROZDZIAŁ 14



**W**ojsko nadciągnęło przed południem. Dzięki rozsądnym instrukcjom Hel-Krehiri czatownicy zbójeckiego oddziału ujawnili się i doszło do zawieszenia broni. Gotah, znając górską królową, mógł zapewnić Przedstawiciela, że rozejm nie zostanie zerwany. Ramez zresztą nie zniżył się do żadnych pertraktacji; przyjął do wiadomości, że nie musi przechodzić po trupach, i zamierzał ruszać.

Nieoczekiwaną przeszkodą okazał się upór Norwina. Tysięcznik nie ufał Hel-Krehiri, a tym bardziej jej wojownikom. Pod komendą miał niespełna dwustu ludzi, i to raczej gorszego sortu, bo doborowych żołnierzy posłał w góry już wcześniej. Brakowało kuszników, bez których w ciężkim terenie trudno było myśleć o wygraniu bitwy z silniejszym nieprzyjacielem. Komendant przeczuwał zasadzkę. Myśl, że dwie najważniejsze osoby prowincji mogą znaleźć się w jakimś niesamowitym miejscu, otoczonym przez kilkuset rzeźników, mając za ochronę pałacowych halabardników i gońców, budziła w nim prawdziwe przerażenie. Postawił się hardo, jak nigdy dotąd; gotów był przetrzymać gniew księcia, stracić stanowisko – byle nie dopuścić do realizacji szaleńczych zamiarów. Rozumiał, co działo się w duszy grombelardzkiego władcy, ale rozumiał też swoje obowiązki. Chciał niezwłocznie iść do przekłętego lasu na ratunek księżnej, ale nie zamierzał puścić tam Przedstawiciela. Przy tym miał świadomość, że czas płynie, a każda chwila jest droga; ta świadomość przywodziła go niemal do rozpacz.

– Wasza wysokość! – tłumaczył, prosił i wręcz groził. – To szaleństwo, to... Błagam, wasza wysokość! Tracimy czas! Wasza wysokość, ja dowodzę tymi żołnierzami, nie odbierzesz mi tej funkcji tu i teraz! Wasza wysokość... choćbym miał użyć siły, nie pójdziesz tam! Proszę!

Po pierwszym wybuchu gniewu Ramez uspokoił się nieoczekiwanie, jakby czując, że tysięcznik naprawdę może podjąć desperacką próbę wprowadzenia w czyn swojej groźby. Szarpanie żołnierzy sprzecznymi rozkazami nie mogło przynieść nic dobrego.

Koci przewodnik czekał. Niedaleko stali obwiesie Hel-Krehiri,



obserwujący zajście z wyraźną ciekawością. Sytuacja stawała się po prostu nedorzeczna.

– Komendancie – rzekł Ramez ze spokojem – jeśli to pułapka, poddamy się. Sądziś, że nas zabiją?

Tysięcznik patrzył przez chwilę, po czym zagryzł usta.

– A więc wezmą nas do niewoli – stwierdził Ramez. – Zażądamy okupu, czy tak? Więc zapłacę im ten okup. Czego mi chcesz zabronić? Korzystania z własnej sakiewki? Tylko pomyśl.

Po czym zbliżył się do oficera i przytrzymał go, gdy ten – odruchowo chciał z szacunkiem odstąpić.

– Norwin – powiedział tak cicho, że nikt postronny nie mógł usłyszeć – puść mnie do tego lasu. Proszę cię.

Żołnierz wziął się za głowę.

– Na wszystko... wasza wysokość... – powiedział bezradnie. – Wasza wysokość! – powtórzył.

Odwrocił się i pobiegł wybrać najlepszych żołnierzy.

Czarny kocur siedział w milczeniu.

– Dogonią nas, chodźmy – rzekł sucho Przedstawiciel. – Mędrcze.

Gotah skinął głową.

Nie czekając na Norwina i jego legionistów, ruszyli w dół stoku. Jego wysokość Ramez, w zwykłej wojskowej kolczudze, z łukiem i przy mieczu, wyglądał jak armecktański Jeździec Równin. Nie inaczej się zachowywał. Było tak, jakby jednym ruchem odsunął wszystkie swoje godności i tytuły, zapomniał, kim jest, i myślał tylko o celu, do którego zmierzał. Przyjęty w milczeniu dotrzymywał kroku. Cała sytuacja od dawna już go przerastała. U boku zawziętej rozbójniczki wyruszył na spotkanie z tajemnicami świata... Potężny, szalony mędrzec chciał wskrzesić wrogie, pokonane przed wiekami siły, lada chwila mogło stać się... cokolwiek. Przeczytawszy zapiski Dorlana, Gotah sądził, że zamiary Brula spełzną na niczym. Ale przecież mógł się pomylić. Jednak spośród tych, którzy szli zmierzyć się z nieodgadzionymi mocami – nikt o tym nie myślał. W grę wchodziły małe, powszednie uczucia: żądza zemsty u Hel-Krehiri; urażona godność władcy Grombelardu i jego miłość do kobiety. Gotah odkrył z prawdziwym zdumieniem, że odczuwa głęboką litość dla nieszczęsnego, opętanego szaloną wizją starca, upadłego mędrca, który miał oto zostać rozszarpany przez dzikie, ogarnięte żądzą mordy wilki. Zwierzęta pojmujące to tylko, co ich w danej chwili dotyczyło. Ból i rozkosz; nienawiść i miłość. Fałszywe, bo umowne, zło i dobro. Każdy chciał nosić tylko swoje, nie oglądając się na nic i nie patrząc, czym jest jego dobro – albo zło – dla innych...

Hel-Krehiri błąkała się pomiędzy drzewami, bezmyślnie spoglądając dokoła. Gotah przystanął, bo w pierwszej chwili był pewien, że spotkał ją los Łowczyni... Ale nie. Ujrzawszy nadchodzących, rozbójniczka przymknęła oczy i pokazała drogę.

Przyjęty stał, patrząc, jak Ramez i jego żołnierze, prowadzeni przez czarnego kocura, znikają za ścianą Kręgu Złudzeń, pośród których ukrył się Brul. Współistnienie jakichkolwiek sił Aleru i Szerni było niemożliwe; Przyjęty wiedział, że już nie musi się śpieszyć. Poszarpanych Wstęg nie udało się podnieść.

Patrzył na Hel-Krehiri.

Cokolwiek zaszło, zdruzgotało ją. Królowa rozbójników krążyła między pniami czarnych drzew, czasem dotykała ich dłońmi, zbierając spływające w dół krople grombelardzkiego deszczu, to znów, przygryzając usta, rozglądała się wokół, jakby czegoś szukała. Owa tępa beczynność istoty, która dotąd nie wiedziała, co to bierność, była przerażająca.

Usiadła, opierając plecy i głowę o kamienny pień.

– Złamałam słowo – powiedziała.

Nie zrozumiał.

– Co zrobiłaś? – zapytał.

Wolno, bezmyślnie kręciła głową na boki. Po twarzy spłynęły dwie łzy.

– Złamałam słowo – powtórzyła. – Dałam mu życie... I czas... – Urwała, nie mogąc mówić dalej.

Gotah patrzył w milczeniu.

– Złamałam... słowo – powtórzyła raz jeszcze.

Z wnętrza Kręgu Złudzeń nie dobiegał żaden dźwięk – zupełnie tak, jakby ci, co tam weszli, zniknęli ze świata naprawdę.

– Kupił mnie – powiedziała z płaczem. – Za tę jedną... jedyną rzecz, za którą mógł... Nie rozumiesz?

Łzy płynęły. Zagryzając usta, wyciągnęła ręce i oglądając je, jakby nie wierząc, że wciąż istnieją... że są.

– Obiecał, że... zdejmie to... ze mnie...

Załkała głośno.

– Na Pasma Szerni, dziewczyno – powiedział, zdjęty litością. – Przecież to niemożliwe.

Opuściła dłonie.

– Już wiem.

Bezradnie pokręcił głową.

Wreszcie odwrócił się, przytłoczony, i poszedł do ostatniej kryjówki oszalałego Przyjętego.

Las był taki jak wszędzie. Pomiedzy martwymi dębami migotał płomień, zawieszony nisko nad ziemią. Garść małych obrączek dawała

mu purpurowe życie.

Stojący z boku żołnierze zachowywali milczenie, nie śmiać nawet szeptać. Pod jednym z dalszych drzew Norwin okrywał właśnie swoim płaszczem ramiona księżnej Wereny. Błada, z podkrążonymi oczami i mokrymi włosami, splecionymi w prosty węzeł, mówiła coś cicho do klęczącego obok męża. Ramez kiwał głową, marszcząc brwi. Uniósłszy spojrzenie, dostrzegł zbliżającego się Przyjętego. Ponaglił go gestem. Już nie był armektańskim wojownikiem równin. Gotah znów miał przed sobą grombelardzkiego namiestnika cesarza.

Między wielkim kamieniem a grubym czarnym pniem leżał na cienkim płaszczu człowiek, którego życie było czymś niezmiernie dla Szereru doniosłym – a którego śmierć nie wabiła nikogo. Posłyszawszy chrapliwy, wysilony oddech, Gotah pochylił się nad nim. Jeden z największych mędrców świata konał na ziemi jak pies.

Ujrzał Gotaha, ale nie poznał go. Poruszył sinymi ustami, potem przymknął oczy.

Do Gotaha zbliżył się Norwin.

– Książę prosi, byś przeczytał to, panie – powiedział, podając zapisaną kartę. – Jej wysokość czuje się dobrze – dorzucił, choć Przyjęty nie pytał.

Gotah, mimo woli, odpowiedział pogardliwym spojrzeniem... na jakie przecież ten człowiek wcale nie zasługiwał. Wciąż słysząc wysilony oddech umierającego, ujął pismo i osłaniając przed deszczem, zaczął czytać niewyraźnie nakreślone litery. Gdy uniósł spojrzenie, ujrzał, że oprócz Norwina zbliżyli się doń Ramez i księżna Werena. Pomimo zmęczenia i przebytych wzruszeń kobieta trzymała się prosto.

– Wiem już, kim jesteś, wasza godność – powiedziała spokojnie. – Wytłumacz nam, proszę, co oznacza ten list.

Gotah powoli zwinął pismo, patrząc w twarz leżącego.

– To wszystko nieprawda – rzekł cicho.

Policzki poczerwieniały jej lekko.

– Co chcesz przez to, panie, powiedzieć? Ten człowiek wyjawiał mi swoje zamiary. Przez całą minioną noc byłam nieprzytomna i nie wiem, co się mogło wydarzyć...

– Nic się nie wydarzyło – powiedział ciężko Gotah. – Ten list dyktowało szaleństwo. Jeśli w samej rzeczy wasza wysokość... jeśli wasza wysokość jest brzemienna, to nie za sprawą tego obłąkanego starca.

Norwin oddalił się niepostrzeżenie.

– Brul chciał sprawić, przy wsparciu Wstęgi Aleru, by wasza wysokość zaszła w ciążę – tłumaczył z wysiłkiem Przyjęty; to nie były sprawy, o których umiał mówić. – W tym liście jest napisane, że nie uczynił tego, bo już jesteś, pani, brzemienna. W ten sposób... wasza wysokość nigdy by się nie dowiedziała, kto naprawdę jest ojcem,

a wielkie pragnienie posiadania dziecka kazałoby wam uznać je za własne. Lecz to wszystko wymysł szaleńca. Powołanie istoty, która będzie mogła się odwołać do dwóch Potęg... Mógłbym opowiadać do rana, dlaczego to niemożliwe, ale lepiej wytłumaczę jednym słowem: brednie. Wielki Brul... zamknął się w podwójnym kręgu złudzeń. – Gotah zatoczył ręką, po czym wskazał pismo. – Te tutaj dotyczą tylko jego.

– Więc... nieprawdą jest...?

– Raz jeszcze mówię: jeśli nawet istotnie nosisz dziecko, pani, jego ojcem nie może być Brul. Mimo iż dano mu czas, którego tak potrzebował.

– Skąd możesz mieć pewność, mędrcze?

– Ależ stąd, wasza wysokość, że Wstęgi, których znak nosisz, nie zostały podniesione, ani nawet poruszone... bo ich tutaj nie ma. Brul pomylił się, pani.

– To nieprawda – rzekł Przedstawiciel. – O tym, że leżą właśnie tutaj, wspomina się w Księdze Całości. To udowodnione.

Przyjęty pokiwał głową.

– Zarzucasz mi kłamstwo, książę? A jednak wiem na pewno, że Brul się pomylił. Tak dalece, że nie skorzystał nawet z szansy, danej mu w ostatniej chwili życia. Okłamał podle jedyną istotę, która mogła tutaj, w tym miejscu odwołać się do Aleru. W Czarnym Lesie leży Złota Wstęga, nie Srebrna. Wielki Dorlan chyba o tym wiedział.

– Potrafisz to udowodnić?

– Wciąż istnieje Krąg Złudzeń. Wskreszenie sił Aleru w tym miejscu wywołałoby... nie, nie ciężę u waszej wysokości. Wywołałoby bitwę Potęg. Nie wojnę, bo do wszczęcia wojny potrzebne by było całe Pasma Szerni. Ale dość tutaj tego wszystkiego – wskazał muszlę wywołującą Krąg Złudzeń i obrączki żywiące płomień – by doszło do... czegoś. Nie wiem czego. Na pewno do starcia sił Aleru i Szerni.

Pokiwał głową.

– A przecież nic się nie stało. Wielki Brul nie rozpoznał władczyni świata naznaczonej symbolem Złotej Wstęgi.

Raz jeszcze spojrzął na umierającego i rzekł trochę do siebie, a trochę do księcia:

– Pokory.

Po czym wskazał siedzących poza kręgiem młodą kobietę i kota.



## Część druga Wiatr i deszcz

## ROZDZIAŁ 15



Noc była zimna i dżdżysta. Czarne chmury kłębiły się wokół posępnych szczytów, spływały ku przełęczom. Kamienne grombelardzkie miasto spało. Pojedyncze wątle światełka, migoczące tu i tam, przywodziły na myśl raczej błędne ogniki, spotykane czasem na dartańskich bagnach. Niewiele było ciepła w tych ogniach. Przeklęta przez Szerń kraina miała dla swych mieszkańców tylko chłód, wiatr i deszcz. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł kochać ten kraj.

A jednak kochało go wielu.

Ponura grombelardzka warownia, będąca siedzibą Księcia Przedstawiciela Cesarza, była równie zimna, jak wszystko inne w Drugiej Prowincji, choć nie szczędzono wysiłków, by przemienić tę pradawną zbójceją sadybę w wykwintną rezydencję. Na próżno. Tkaniny i futra, którymi pokrywano ściany, szybko przechodziły wilgocią, pleśniały, cuchnęły stęchlizną. Koberce gniły. O wszelkie dokumenty i księgi należało mieć specjalne staranie – w pomieszczeniach, gdzie były zgromadzone, utrzymywano ogień dniem i nocą. Było to wielce kosztowne, zważywszy, że węgiel drzewny i drewno opałowe sprowadzano do Grombu z daleka.

Jej książęca wysokość Werena, małżonka N.R.M.Rameza, cesarskiego namiestnika w Grombelardzie, codziennie rano wkładała wilgotną suknię. Córka Imperatora, pierwsza dama Grombelardu i jedna z pierwszych kobiet Szereru, bywało, po prostu marzła.

Teraz, w samym środku nocy, stała przy wąskim oknie, opierając przedramię na murze, a czoło na przedramieniu. Patrzyła w mrok, pozwalając, by mokry wiatr owiewał jej twarz.

– Czasem czuję rozpacz, naprawdę – powiedziała.

W komnacie migotała tylko jedna świeca. Towarzysząca księżnej kobieta, do której skierowane były słowa, miała twarz skrytą w cieniu. Blask świecy prześwietlał od tyłu jej włosy, tworząc wokół głowy pomarańczowy nimb.

– Tutaj nic nie ma. Zupełnie nic – podjęła Werena cicho. – Rozumiesz

mnie? Nic. Tylko te mury, wiecznie i wiecznie wilgotne. Nie mam ogrodu, do którego mogłabym wyjść. Nawet gwiazd, które mogłabym liczyć. Ja... Przecież ja od lat, słyszysz? od lat nie widziałam drzewa. Ani trawy. Nie jeździłam konno. Zapomniałam już, jak wydłuża i kurczy się cień w słońcu. Nigdy nie ma tu słońca. Z własnej woli poślubiłam człowieka, którego mój ojciec uczynił władcą tej prowincji. Tego nie żałuję. Ale umieram w tym potrójnym więzieniu, jakim są te ściany, potem całe to miasto i w ogóle cały ten kraj. Umieram, rozumiesz? Nie, nie rozumiesz... Przecież ty kochasz ten przeklęty kamieniołom, który jakimś cudem jeszcze nie rozpuścił się w deszczu. Kochasz, powiedz.

– Ale kocham też to, za czym wasza wysokość tak tęsknisz – nadeszła odpowiedź; mówiąca miała niski, leciutko schrypnięty głos. – Czy uważasz, że ja już nie chcę wysokiego nieba nad Armektem?

– Co więc cię tutaj trzyma?

Długo nie było odpowiedzi.

– Nic. To tylko, że jestem kawałkiem tych gór. Należę do nich, wzięły mnie tak, jak książe Ramez wziął ciebie, wasza wysokość. Na dobre i na złe.

Zaległo milczenie.

– Wracasz w góry?

– Tak, pani.

– Czy to nieodwołalne? – Księżna odwróciła się tyłem do okna i spojrzała na okrytą cieniem twarz rozmówczynie. – Kareniro, czego brakuje ci u mnie? W ciągu tych kilku miesięcy uczyniłam cię kimś więcej niż... Masz moją przyjaźń, prawdziwą przyjaźń. W zamian nie chcę nic prócz twego towarzystwa. Zostań ze mną. Proszę.

Odpowiedzi nie było.

– Dlaczego uciekasz? Czego wciąż szukasz na tych bezdrożach? – nalegała księżna. – Wiatr i deszcz, deszcz i wiatr... Zostałaś królową pustkowi, opowiadają o tobie legendy, żołnierze cię podziwiają, zbóje omijają, koty szanują, sępy nienawidzą... Czego chcesz jeszcze? Co jeszcze czeka na ciebie?

– Deszcz i wiatr – powtórzyła z lekkim uśmiechem zapytana. – A tak, jestem legendą. Najpiękniejszą legendą Grombelardu, o zemście długiej jak życie. Tutaj kocha się takie legendy.

– To niskie...

– To wielkie, bo moje.

Księżna nie ustąpiła.

– Ale... o co ci chodzi tym razem? Znowu sępy? Czy dlatego, że przed laty wyrzuciły ci krzywdę, będziesz na nie polować już zawsze? W ten sposób stracisz więcej, niż próbowały ci zabrać. Zmarnujesz życie, Łowczynie. – Urwała urażona, bo mimo mroku dojrzała na twarzy tamtej lekko kpiący uśmiech.

– Przepraszam, wasza wysokość. To nie sępy. Nie są najważniejsze, chociaż długo tak mi się zdawało. Może kiedyś... na samym początku, były najważniejsze. Ale później... teraz... już tylko wiatr i deszcz.

– Nie rozumiem.

– Kocham ten wiatr i deszcz. Sępy pewnie zostawię w spokoju. Albo nie zostawię, czy ja wiem? W każdym razie chcę chodzić po górach.

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie rozumiem tego. Ale dobrze. Mówiłaś, że odszukasz pewnego człowieka?

– No tak. Przecież muszę robić coś jeszcze oprócz tego, że zmoknę i potarga mnie wiatr.

– Nie zależy ci więc na odnalezieniu go?

– Zależy, nie zależy...

Księżna wzruszyła ramionami i podeszła do stołu. Oprócz lichtarza, w którym płonęła świeca, stała tam patera z owocami i kielichy napełnione winem. Wzięła jeden i upiła łyk.

Łowczyni stanęła obok. Migoczący płomyk wyłowił z ciemności jej trzydziestoosmioletnią twarz o regularnych rysach, do której nie pasowały szare, męskie oczy.

– Wasza wysokość – powiedziała, biorąc do ręki swój kielich – opowiedziałam ci o całym swoim życiu. Wiesz przecież, że już raz uciekłam z gór. Poślubiłam wspaniałego mężczyznę, dartańskiego wojownika, który dał mi złoto i wielkie nazwisko. Okazało się, że bardziej kocham góry niż jego. Dziś pożytek z tej przygody taki, że w ogóle chcesz ze mną rozmawiać.

– To nieprawda – przerwała Werena.

– Ależ prawda, wasza wysokość. – Karenira była ubawiona. – W Armeckie nie jesteśmy tak wrażliwi na tytuły i rangę urodzenia, jak to się dzieje w Dartanie, jednak przepaść między córką Imperatora a niebogatą kobietą Czystej Krwi jest nie do przebycia. Niweluje ją dopiero moja dartańska przygoda: krótko, ale jednak noszone monogramy Domu A.B.D. I pieniądze, których były małżonek dostarczył mi tyle, ile zażądam. Ta niezależność i przeszłość sprawiają, że moja obecność przy tobie traktowana jest jak coś normalnego. Brudna, półdzika łuczniczka z gór wzbudziłaby może twoją ciekawość, ale taką, jaką wzbudza rzadki okaz drapieżnego zwierzęcia... Ech, nie o tym chciałam! – mruknęła.

Odwróciła się i oparła biodrem o stół.

Niezwykły szczegół czynił obie kobiety bardzo podobnymi: każda z nich miała na prawej skroni niewielkie pasmo siwizny. Podobieństwo nie kończyło się na tym. Obie pochodziły z Armektu – miały lekko śniadą cerę, proste czarne włosy i podobny wzrost. Były w różnym wieku, ale u Armektanek to nigdy nie rzucało się w oczy. Szerń bardzo kochała



swoje córki, niezwykle przedłużając ich młodość, a potem wspaniały wiek średni, który rodził się tam, gdzie u innych kobiet zaczynała starość.

Księżna była ładniejsza; jej towarzyszka – mocniej, ale także bardziej harmonijnie zbudowana.

Karenira upiła łyk wina.

– Już raz uciekałam z Grombelardu – powtórzyła. – Nikt mi nie powie, że nie próbowałam. Wróciłam po roku i nie zamierzam uciekać nigdy więcej. Tutaj moje miejsce. Chcę w Góry. Są moje. Przed rokiem zostały poranione przez człowieka, który wpędził mnie w obłąd, a ciebie upokorzył i porwał. Wybaczysz mi, bo był szaleńcem. Ja mu także wybaczam... a tym łatwiej, że umarł. Ale to nie wszystko. Opowiada się historie o jakichś moich czynach, których nie pamiętam. W górach siedzi kaleka, który ponoć był moim sprzymierzeńcem w walce z Brulem-Przyjętym. Może był. Ale jeśli nie był, a tylko tak opowiada, to mój honor... Chcę sprawdzić te opowieści.

– Twój honor. Kobiety nie mają honoru – powiedziała księżna w zamyśleniu, wąską strużką wylewając wino z kielicha do patery z owocami. – Nie taki, o którym mówisz. Kobiety mają cześć. Honor, ten honor, jest sprawą mężczyzn. Tylko mężczyzn, na szczęście. No i chyba jeszcze kotów, jak słyszałam.

– Hm... – mruknęła Karenira.

Wypiła wino do końca. Odstawiła kielich.

– No tak, chyba skłamałam – powiedziała po chwili z uśmiechem. – Widzisz? Wciąż pracuję na swoją legendę. To prawda, jaki tam honor. Złości mnie, że ktoś wymachuje moim nazwiskiem, a ja nawet nie pamiętam... nie wiem, kto to jest. Chcę zobaczyć tego człowieka.

Werena skinęła głową.

– Ach, to co innego. To rozumiem.

Z roztargnieniem obejrzała pusty kielich, po czym wzięła duże jabłko i z namysłem zaczęła wtłaczać je do środka. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie wejdzie... A jednak. Krawędzie naczynia przecięły delikatną skórkę i okaleczony owoc został wepchnięty do kielicha.

Werena oblizwała mokre od soku palce. Triumfalnie pokazała swe dzieło Karenirze.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytała, biorąc drugi kielich i gruszkę. – Ludzi, broni, pieniędzy? Może konia?

– Mam wszystko, wasza wysokość. Koń mi na nic. Chociaż, hm... może ogier?...

Księżna skrzywiła się lekko. Dowcip wyraźnie nie przypadł jej do gustu.

– Kiedy ruszasz? – zapytała chłodno.

– Rano. Wcześniej rano.

Grombelardzkie góry dawały bardzo dużo. Ale też niemało zabierały. Patrząc w ogromne zwierciadło, Karenira zdawała sobie sprawę, że lubi być pożądaną. Że lubuje się w słownych... i nie tylko takich grach, które chętnie podejmowano z nią zarówno tu, w Grombelardzie, jak i kiedyś w Dartanie. Podobała się mężczyznom prawie zawsze. Prawie wszędzie. Ale w górach była tylko samicą. Tutaj, u boku księżnej – kobietą klejnotem. Bo jak klejnot, miała właściwą oprawę.

Zielono-biała suknia kosztowała majątek, ale była warta swojej ceny. Mistrz prawdziwy zaprojektował ją i uszył. W trudny do opisanie sposób połączono rzeczy skrajne – a więc bogactwo ze skromnością i prostotą; powagę z frywolnością. Prawdziwie czarodziejska szata, podkreślająca wszystkie zalety, tuszująca zaś wady ciała. Marzenie każdej kobiety.

Wcale nie chciała odchodzić. To, co mówiła księżnej, było prawdą tylko częściowo.

Rozebrała się do naga. I znów patrzyła w lustro. Niezbyt wysoka, miała dość długie nogi, okrągłe biodra i bardzo wąską talię. Mankament stanowiły zbyt szeroko rozstawione, małe piersi, ale jakoś nigdy nie marzyła o wymionach, które w trakcie biegu skakałyby od ramion do pępka i z powrotem – w górach nie mógł tego przytrzymać ciasno sznurowany stanik sukni. Niezwykle mocny, czarny zarost uciekał na wewnętrzne części ud, strzelał wąską smużką ku górze, ale u smągłych, czarnowłosych cór Armektu nie poczytywano tego za wadę urody. Nawet czarne włoski na kobiecych przedramionach i nogach, czy też delikatnie ocieniona górna warga, uważane były w Armekcie za rzecz zwykłą. Inaczej niż w Dartanie, gdzie kobieta musiała pamiętać o depilacji. Nienawidziła tego.

Smętnie przyjrzała się bliznom. Twarz bez skazy, jeśli nie liczyć lekko rozdwojonej lewej brwi, pamiętce po orężu rozbójnika. Wyraźna szczerba szpeciła natomiast prawą pierś, a na przedramionach i boku mimo cudownego działania maści Brula widać było nierówne, jasne szramy. Tak samo wyglądały łydki, a plecy... No, na szczęście plecy były z tyłu i nie musiała na nie patrzeć.

Jeśli zważyć, ile czasu spędziła w Ciężkich Górach, mogła wyglądać gorzej. Znacznie gorzej. Mogła nie mieć nosa, zębów albo uszu.

Roześmiała się kwaśno.

Stała w lekkim rozkroku i splotła dłonie na karku. Rozluźnione dotąd mięśnie naprężyły się, w okamgnieniu zmieniając sylwetkę. Powoli prostowała ramiona, oglądając rozdwojoną fałę mięśni brzucha, pogrubiałą nagle, masywną szyję, rozłożyste barki, sploty mięśni na ramionach i udach. Opuściła ręce, po czym założyła je do tyłu. Drobne piersi drgnęły, unosząc się wyraźnie. Ironicznie przygryzając wargę,

oceniła całość.

– Nieźle – zawyrokowała. – Bojowa wersja pani Kareniry. Mogło być gorzej, sporo gorzej. Ale chyba nie dasz się zabić byle komu. Wygląda na to, że nie.

Pomyślała o starym człowieku, który był jej opiekunem. Wielki Dorlan-Przyjęty włożył wiele trudu, by nauczyć ją sztuki przeżycia w Ciężkich Górach.

Kpiący grymas powoli przeobrażał się w coś innego. Postronny obserwator mógłby odczuć niepokój, widząc zmiany dokonujące się na twarzy kobiety. Widok własnej siły wyraźnie ją odurzał; w szeroko otwartych oczach czaiło się coś groźnego i dziwnie odpychającego.

Wszystko było kłamstwem. Zarówno ciało, jak i twarz czy spojrzenia – nic nie oznaczały. Myślała o tym, że można zmieniać je i kształtować do woli. Nagi człowiek jest nikim. Nic o nim nie można powiedzieć, może być żebrakiem albo królem. Wojenna machina w zwierciadle była przecież jedną z pierwszych dam Rollayny, tutaj zaś – osobistą przyjaciółką księżnej Grombelardu.

Ale znów: czy prawdę mówiły ubiory?

– Ech, wszystko jest kłamstwem! – parsknęła.

Otwarta lewa dłoń znalazła się na wysokości twarzy, jakby osłaniając ją przed ciosem, tułów wykonał błyskawiczny półobrót, prawy łokieć zatoczył bardzo krótki łuk, na mgnienie oka stykając się z powierzchnią zwierciadła.

Tafla pękła z trzaskiem, wplecionym w gardłowy okrzyk kobiety.

Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo. Dziki grymas na twarzy przemienił się w wyraz zaskoczenia... a potem niejakiego zmieszania.

– Ou? – powiedziała kpiąco, zdziwiona, oglądając skaleczony łokieć. – No nie wiem... Te miesiące beczynności zrobiły jednak swoje. Na razie... hm, na razie nie popisuj się za często. Zrobisz sobie krzywdę i wyśmieję cię.

Pokręciła głową. Opatrzyła krwawiącą rękę, potem zaczęła splatać włosy w warkocz.

## ROZDZIAŁ 16



**N**ieopodal rynku w Grombie mieszkał kiedyś człowiek, który jako jedyny podał jej rękę, wtedy gdy bezradna, niema i półobląkana, najbardziej tego potrzebowała. Był miecznikiem, znakomitym miecznikiem. Z prawdziwym bólem pomyślała, że nigdy już nie zdoła spłacić długu, jaki u niego zaciągnęła. Uwikłany w jej wojnę z Brulem, stary rzemieślnik zapłacił życiem za chęć udzielenia pomocy kobiecie, której prawie nie znał... Sponiewierany przez szaleńca, który przybrał potem jego postać, już nie odzyskał zdrowia. Podeszły wiek sprawił, że mistrz Haaghen, człowiek o złotych rękach i wielkim, wielkim sercu – zgasł, nim zdołała w jakikolwiek sposób wyrazić mu swoją wdzięczność.

Bolała nad tym. Tym bardziej że w ostatnich dniach życia starca migotało w jego skołatanej głowie jakieś światło – i była to myśl o niej. Umarł, nie wiedząc, że los jego podopiecznej odmienił się na lepsze; przecież musiał wierzyć, że taka odmiana nastąpi, bo w skrzyni, gdzie przechowywał jej rzeczy, znalazła wetknięty do podróźnej sakwy znakomity miecz gwardyjski – broń, której chętnie używała. Starzec wiedział o tym. Rozpłakała się, ujrawszy ten ostatni podarunek. Teraz, wspominając swego dobroczyńcę, ze wzruszeniem dotknęła rękoiści wiszącej u pasa oręża.

Przesycony deszczem wiatr, najwyraźniej zachęcony ruchem jej ramienia, wtargnął pod brunatną pelerynę, odsłaniając niedbale zawiązany kaftan z łosiowej skóry i krótką męską spódnicę, ledwie kryjącą cholewy mocnych, sięgających nad kolana butów. Niecierpliwie szarpnęła poły płaszcza. Łubie skrywające niezbyt duży łuk zsunęło się nieco; poprawiła szeroki pas na ramieniu i ruszyła dalej.

Pora była bardzo wczesna, na ulicach spotkała niewiele osób. Skuleni pod naporem wiatru ludzie mijali ją obojętnie. Przystanąła zaskoczona, gdy drogę zastąpił jej wysoki mężczyzna. Uniosła spojrzenie i przez długą chwilę patrzyła prosto w twarz, skrytą w cieniu obszernego kaptura.

– Nie – powiedziała wreszcie – ja chyba śnię. Raner? Przecież nie oszalałam? No nie, nie tym razem.

– Kiedy właśnie oszalałaś, Łowczyni – odparł, rozglądając się dokoła.  
– Od trzech dni waruję tutaj jak pies. Daj mi to. – Wyciągnął rękę.

– Mój łuk? – zdumiała się.

– Właśnie łuk najbardziej zwraca uwagę – rzucił niecierpliwie. – Kobieta bez łuku to nic nadzwyczajnego. No, dajże mi te kłamoty! Szybko, Łowczyni, nie ma czasu.

Z wielkim trudem upchnął łubie i kołczan pod płaszczem.

– Chodź, pani. Będę mówił, idąc.

Ruszyli. Milczała wyczekująco, ale mimo danej obietnicy mężczyzna przez pierwszych kilkadziesiąt kroków nie odezwał się ani słowem.

Był wszystkim, co pozostało w Grombie po Basergorze-Kragdobie. Gdy Król Gór porzucił Grombelard, groźny siłacz nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Chciał i umiał być tylko narzędziem, pragnął służyć, być przydatnym, ale nie miał komu. Hel-Krehiri, następczyni Kragdoba, uczyniła zeń swego niewolnika; nie lubiła go i nie ceniła, o przyjaźni nie było nawet mowy. Raner, który kiedyś powiadał: „Powiedz co, a ja to zrobię”, męczył się, służąc komuś, kto nie umiał, a nawet nie chciał wykorzystać jego możliwości. Jednak Ciężkie Góry były tylko jedne i rządziła w nich właśnie Hel-Krehiri. Kiepsko te rządy wyglądały; przecież jednak dość krzepko, bo pojedynczy człowiek nie mógł się spod nich wyłamać. Wymówiwszy rozbójnicze posłuszeństwo, Raner musiałby uciekać z Grombelardu. Tego zaś zrobić nie chciał. Nie mógł, nie potrafił.

Milczenie przeciągało się. Karenira straciła cierpliwość.

– No? – fuknęła ponaglająco.

– Hel-Krehiri chce cię dostać – wyjaśnił... a przynajmniej sądził, że wyjaśnia.

Po czym znowu zamilkł.

– No nie. – Po długiej chwili daremnego wyczekiwania rozzłoszczona łuczniczka przystanęła. – I to już wszystko? Nic więcej nie powiesz?

– Chodź, pani. Wyznaczyła nagrodę za twoją głowę. Wysoką nagrodę.

Armektanka zdumiała się.

– Raner, ty majaczysz. Majaczysz? – zapytała.

– Parę dni temu usłyszałem o tym w gospodzie. Słyszysz, pani? W gospodzie. Jak gadają takie rzeczy przy piwie, znaczy wie o tym cały Grombelard. Ty nie wiedziałaś? – raczej stwierdził, niż zapytał. – Byle rzezimieszek na trakcie gotów pchnąć cię nożem, Łowczyni. Twój łuk głośno woła, kim jesteś. Nikt tu nie nosi takiej broni. Chodźże wreszcie.

– Nie, to niemożliwe – zaprotestowała, ruszając. – Wiesz coś więcej?

– Nie – uciął. – Nie lubię wiedzieć więcej niż trzeba – dodał z głęboką szczerością.

– Ale przecież ty jesteś wojakiem Hel-Krehiri? – zauważyła po chwili milczenia.

– Wojakiem, który o takiej sprawie jak nagroda za głowę Łowczyni musiał dowiedzieć się w knajpie – rzekł cierpko. – Już nie należę do niej. Znalazłem sobie lepszą komendantkę.

– No, a kogóż to?

– Siostrę – powiedział z uśmiechem.

Arma?... Opuściła Grombelard z Basergorem-Kragdobem.

– Arma wróciła? – Karenira przystanęła znowu.

– Chodź, pani. To cię martwi czy cieszy?

Jeśli była to kpina, to Raner zakpił umiejętnie. Trudno powiedzieć, żeby lubiły się z Arma. Chociaż... Stosunki, fatalne na początku, zamiast ulec dalszemu pogorszeniu, po jakimś czasie poprawiły się nieco – rzecz niezwykła między kobietami.

– Hel-Krehiri już się nie liczy – stwierdził Raner. Nie ukrywał zadowolenia.

Karenira pokręciła głową. Znała Hel-Krehiri... Ale Arma faktycznie stanowiła twardy orzech do zgryzienia. Dla każdego. Przebiegła intrygantka, była najlepszym szpiegiem Kragdoba. Rzadko ruszała w góry. Ranera znali wszyscy ludzie Króla Gór – o Armie wiedziało niewiele. Ba, mało kto słyszał, że siłacz w ogóle ma siostrę.

– Dokąd idziemy?

– Mieszka tu pewien kupiec, który wiele podróżuje. Jak to kupiec. Opiekuję się jego domem.

– Aha.

Rozbójnik strzegł domu kupca.

Arma zmieniła się niewiele. Trochę inaczej niż kiedyś upinała swe niezwykle bujne włosy, widać też było, że bardziej dba o siebie. Karenira ze zdziwieniem odkryła, iż widok tej nie lubianej niegdyś kobiety teraz sprawił jej prawdziwą przyjemność. Może dlatego, że Arma, podobnie zresztą jak jej brat, była częścią starych, dobrych czasów? Łowczyni zatęskniła nagle do olbrzymiego, zawsze spokojnego mężczyzny, który wspólnie ze swym kocim przyjacielem tak łatwo i pewnie rządził w Ciężkich Górach. Nim zdążyła zapytać, Arma powiedziała sama:

– Mają się świetnie. Pozdrawiają cię.

Armektanka skinęła głową.

– Rbit kazał ci powiedzieć – dorzuciła blondynka – że... czekacie oboje. Powiedział, że zrozumiesz. Tak?

Karenira uśmiechnęła się.

– Rozumiem.

Posmutniała nagle.

– O co chodzi? – zapytała Arma po chwili. – Nie odbierz tego źle – zastrzegła szybko. – Chcę tylko... chciałam...

– Nie, nic. Ostatnie, co usłyszałam od Rbita, to właśnie „czekaj” – westchnęła łuczniczka. – Powiedział, że jeszcze tu wróca. Słowo kota,

więc... czekam.

Blondynka przygryzła wargę.

– Odeszłam razem z nimi, bo myślałam, że uda mi się nakłonić Glorma do powrotu. Ale już zrezygnowałam. Basergor-Kragdob jest szczęśliwy w Rollaynie – powiedziała trochę kpiąco, ale jednocześnie z żalem i z goryczą. – Rbit to co innego. Przecież to kot. Wszędzie mu dobrze, jednak najlepiej czuł się tutaj. Postanowienie Glorma o spędzeniu reszty życia w Dartanie jest jak mur, ale jeśli tylko zrobi się w tym murze choćby najmniejsza szczelina, to Rbit natychmiast w nią wlezie. Potrafi być cierpliwy... i czekać. – Skinęła wolno głową. – Już rozumiem, co chciał ci powiedzieć. Nie wiedziałam, że ty tak bardzo... – Urwała.

Armektanka milczała.

– Bardzo – powiedziała po chwili.

Pociągnęła nosem i uniosła głowę. Obejrzała się, ale Raner na szczęście wyszedł z izby jakiś czas temu, pozostawiając kobiety same sobie. Wzruszyła ramionami, trochę niepewnie, zmieszana okazaną słabością.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Do Dartanu od jakiegoś czasu docierają, hm, dziwne wieści – Arma zmieniła temat. – Dla kogoś, kto nie zna Grombelardu, to po prostu kolejne bajędy z końca świata. Ale ja urodziłam się tutaj. Rozmawiałam z Rbitem i przyznał mi rację. Jestem tu na zwiadach. – Rozłożyła ręce. – Od trzech tygodni. W Grombie. Bo w Grombelardzie trochę dłużej. Rozejrzałam się już w Riksie i Badorze.

– Trzy tygodnie?

– Dokładnie trzy tygodnie – powtórzyła Arma. – A od dwóch tygodni – dodała po krótkiej chwili – próbuję wyciągnąć z pałacu Przedstawiciela pewną armektańską wojowniczkę. Nie pamiętam już, kiedy trafiło mi się równie beznadziejne zadanie – skonstatowała.

Karenira zmarszczyła lekko brwi.

– Nie rozumiem?

– Sądzisz, wasza godność – zapytała tamta, wzruszając ramionami – że do prywatnych apartamentów księżnej można wejść ot, tak sobie? To nie takie łatwe. Przekazałam list dla ciebie, oczywiście podpisany innym imieniem, ale chybabyś się domyśliła. Po tygodniu w kancelarii księcia czekała na mnie odpowiedź... – Po krótkich poszukiwaniach odnalazła pismo. – Czytaj. Nie ma cię na dworze ani w ogóle w Grombelardzie. Wyjechałaś do Armektu. Dość zapytać pierwszego z brzegu dworaka, by usłyszeć, że to nieprawda. Wniosek? Adresatka listu nie życzy sobie żadnych kontaktów, poprosiła więc o udzielenie takiej odpowiedzi.

– Mała pieczęć – rzekła łuczniczka, unosząc zdumione spojrzenie. – Pisma o takiej treści Książę Przedstawiciel dyktuje pisarzom. Albo nawet

nie dyktuje, określa tylko ich treść. Sygnuje się je pieczęcią kancelaryjną, nie małą pieczęcią książęcą.

– Przecież wiem.

Karenira oddała dokument.

– To jest pismo Wereny. Nie miałam o niczym pojęcia. Odpowiedź napisała jej wysokość Werena.

– Rozumiesz coś z tego?

– Może więcej, niż ci się wydaje.

– Wyjaśnisz mi?

Armektanka zamyśliła się.

– Nie... Na razie nie – powiedziała po długiej chwili.

Arma skinęła głową, starając się ukryć, jak dotknęła ją ta odmowa.

– Dobrze – skwitowała. – W gruncie rzeczy nie obchodzi mnie, jakie gierki prowadzone są teraz na dworze – pozwoliła sobie na małą złośliwość. – Słuchaj: wiem z grubsza, co ostatnio działo się w górach. – Zaczęła spacerować po izbie. – Popraw mnie, jeśli coś pomyłę. Brul-Przyjęty uroił sobie, że można wskrzesić szczątki Wstęg Aleru, rozerwanych przez Szerń podczas pradawnej wojny Potęg. Chciał stopić siły Szerni z siłami Aleru, by uzyskać jakąś nową, doskonałą moc ponad światem. Nie pamiętam dokładnie, zresztą cały ten bełkot nie ma większego znaczenia. Potrzebna mu była kobieta od urodzenia naznaczona symbolem Srebrnej Wstęgi. – Wymownie spojrzała na skroń rozmówczyni.

– No, to akurat...

– Oj, wiem. Wiem, że masz to pasemko od niedawna, a dokładnie od czasu, gdy Brul odebrał ci pamięć. Na szczęście zajął się tobą inny mędrzec Szerni, i znowu jesteś sobą. Wielu miałas ich w życiu? – zagadnęła z głupia frant.

– Kogo?

– Mędrców Szerni. Dorlan, Brul, teraz ten... Lgną jakoś do ciebie, nie uważasz? Ludzie przeżywają całe życie i nie są do końca pewni, czy Przyjęci w ogóle istnieją. Ty piłas z trzema.

– Daj mi spokój – skrzywiła się Karenira. – Wciąż wielu rzeczy nie pamiętam – powiedziała, wracając do tematu.

– Ale z twoją głową już wszystko w porządku. Czeka, skończę. Jej wysokość Werena nosi swoją siwiznę od zawsze, Brul porwał ją, ale zginął, nim zdążył zrealizować swe plany.

– Umarł. Brul umarł – sprostowała Armektanka. – Był stary, nikt go nie lubił, miał słabe serce i fajną.

– Nie wiedziałam o tym – zdziwiła się Arma. – No ale mniejsza, to chyba bez znaczenia? Dość, że jeszcze przed uprowadzeniem księżnej miał przyjemność spotkać na swojej drodze ciebie.

– Zniszczył Wodogrzmoty Medevy – powiedziała ponuro Karenira. –



Największy wodospad świata jest teraz mokrą kupą skał. Brul próbował wskrzesić Wstęgę leżącą u źródeł Medevy.

– Ktoś ci pomagał w walce z Brulem, czy tak?

Łuczniczka pokiwała głową.

– Otóż, Armo – rzekła w zamyśleniu – właśnie na ten temat wiem niewiele. Możliwe, że mniej niż ty. Brul próbował wykorzystać Wstęgę leżącą u źródeł Medevy – powtórzyła. – Jakoś mu w tym przeszkodziłam. Nie wiem jak. Nie wiem, kto mi pomagał. Podobno uczeń Brula. Brul stracił swoją Wstęgę, ja straciłam mowę i poprzestawiały mi się klepki – zakręciła palcami przy skroniach; wyraźnie odzyskiwała zwykłą werwę – a mój sprzymierzeniec podobno został okaleczony, chyba stracił nogi. Podobno, podobno i podobno. Troszeczkę mnie to złości, więc postanowiłam sprawdzić, co i jak.

– Przed paroma dniami – powiedziała Arma ostrożnie – dotarły do mnie plotki, że zamierzasz podziękować księciu za gościnę. Plotki – powtórzyła, widząc pytające spojrzenie tamtej. – Wciąż jeszcze umiem zbierać potrzebne wiadomości. Umieję też nie mówić, od kogo je mam... Posłałam Ranera na wypadek, gdyby te pogłoski okazały się prawdziwe. Czekał na ciebie i doczekał się.

– Naprawdę nie znalazłaś sposobu, by jakoś do mnie dotrzeć?

Arma uniosła brwi.

– Po tym, jak dostałam pismo, że nie ma cię w Grombelardzie? Co niby miałam zrobić? Powiedzieć Przedstawicielowi, że to łgarstwo? A sekretne przeniknięcie do pałacu nie wchodziło w rachubę. Za mało mam tu ludzi, a wśród nich nikogo, komu mogłabym powierzyć taką misję. Miałam iść sama? Tam wciąż siedzą ludzie, którzy mnie kiedyś znali. Postawiona przed księciem, co bym powiedziała? „Oto jestem, wasza wysokość, przecież mnie pamiętasz. To ja parę lat temu udawałam kuzynkę jednego z twoich doradców, który dał się przekupić niewielką sumą stu sztuk złota...”

Karenira machnęła ręką.

– Dobrze, czego chcesz ode mnie? Wciąż nie wiem, do czego ci jestem potrzebna.

Blondynka pokiwała głową, po czym rozłożyła ręce.

– Właściwie to i ja nie wiem – wyznała. – Czekaj, to znaczy wiem, ale... Dziwne rzeczy dzieją się w górach. I nie tylko w górach. Nic nie słyszałaś?

– Jakieś małe wojny, tak? Porachunki różnych grup... Obiło mi się o uszy.

– Porachunki – mruknęła Arma. – Porachunki. Hel-Krehiri wyrzyna wszystkich i wszędzie. To aż dziwne, że tak głośna sprawa nie dotarła do ciebie. Ktoś bardzo się starał utrzymać cię od tego z daleka. Hel-Krehiri usiłuje zrobić to, czego nie dokonały nawet cesarskie legie podczas

wojny o Grombelard. Tępi w górach wszystko, co żyje. Puszcza z dymem wioskę za wioską. Rzuca się jak wściekła na kupieckie karawany, bez względu na to, co wiozą, przy czym więcej niszczy, niż zabiera. Zdaje się, że pragnie tylko tego, by zrujnowani kupcy przestali jej płacić haracz. W miastach coraz częściej giną ludzie, ktoś morduje ich gdzie i jak popadnie. Bez wyboru, napadani są dorośli mężczyźni, dzieci, kobiety, bogaci i biedni, uczciwi i nieuczciwi. A od trzech dni chodzą słuchy o nagrodzie za głowę Łowczyni. Jeszcze mało? No to teraz uważaj: właśnie przepadł gdzieś w górach cały oddział cesarskich. Karna ekspedycja, ponad czterdzieści głów.

– To akurat nic nadzwyczajnego.

– Czyżby? Nie zapytasz, jaki to oddział? Już ci mówię: gwardziści. A wiesz skąd? Z Rahgaru. Ależ tak, właśnie tych gwardzistów mam na myśli, nie innych.

Karenira milczała.

Gwardziści z Rahgaru. Zetknęła się z nimi tylko raz. I nie miała żadnych wątpliwości, że uczciwie zapracowali na miano „morderców”. Kompletne zaskoczenie i wybicie tych kilkudziesięciu gadba było rzeczą niemieszczącą się w głowie.

– Odeszli? Porzucili służbę? – zastanawiała się na głos. – Niemożliwe! Przecież wiąże ich słowo. Kot dezertter?...

Arma skinęła głową. Pięćdziesięciu gwardzistów gadba jednocześnie dopuszczających się zdrady bądź dezercji, to nie mogło być brane poważnie.

– Wybito ich do nogi? – poddała.

– Żartujesz?

– No więc co się z nimi stało? Możesz mi powiedzieć?

Karenira kręciła głową.

– I to jest pewna wiadomość? – zapytała.

Arma zachnęła się. Łuczniczka uniosła rękę.

– No, już dobrze, dobrze, tylko pytam. Nic nie wiem, nic nie przychodzi mi do głowy.

– No, to tak właśnie wyglądają te „porachunki” w Górach. Wiesz, co teraz robi Hel-Kreheri?

– Skąd mam wiedzieć?

– Słusznie. Nikt nie wie. Od dłuższego czasu nikt jej nie widział. Za to ciągle napływają wieści o nowych jej dokonaniach, coraz bardziej głośnych i mających coraz mniej sensu.

– Do czego zmierzasz?

– Jest wioska, nazywa się Jar. Widywano tam kalekę, który ponoć pomagał ci w walce z Brulem.

– To prawda. Właśnie do tej wioski się wybieram.

– Znakomicie. Cudownie. Czyli że znasz to miejsce?

– W okolicach Badoru i Grombu nie ma miejsc, których nie znam. Chodzę po tych górach od kilkunastu lat. Nie nocowałam w tej wsi, jeśli o to ci chodzi, ale wiem dokładnie, gdzie leży i jak można tam dotrzeć.

– W Jarze po raz ostatni widziano Hel-Krehiri – oznajmiła Arma. – Wygląda na to, że ta wieś jest z jakichś powodów niesłychanie ważna. Dowodem chociażby fakt, że wciąż istnieje. O ile wiem, wszystkie inne wioski w tamtej okolicy zniszczono. Trzy czy cztery... A tak. – Skinęła głową, widząc pytające spojrzenie tamtej. – Tam nie ma pasterskich wiosek. Wygląda na to, że Krehiri poniszczyła własne stacje.

Karenira zamyśliła się.

– Nie powiem, żebym miała wielką ochotę na spotkanie z Kagą – rzekła wreszcie. – Ale ta nagroda za moją nieszczęsną głowę... Wierzyć mi się nie chce. Krehiri to wredna sucz. – Uniosła wzrok i uważnie popatrzyła na Arme. – Ale nasyłanie morderców? Na każdego, tylko nie na mnie. Gdyby rzeczywiście znalazła jakiś powód, żeby chcieć mojej śmierci, to zjawiłaby się osobiście i z największą radością przystrzeliła mnie z kuszy do ściany. Przynajmniej próbowałaby to zrobić. Coś tu cuchnie. Najlepiej pójdę i po prostu ją zapytam, o co chodzi. A czego ty ode mnie oczekujesz?

– Wyobrażałam sobie, że powiesz mi coś o tym, co się dzieje na dworze Księcia Przedstawiciela. – Arma wzruszyła ramionami. – Bo przecież coś się dzieje, tak? Czy nie? Ale skoro to tajemnica... Niczego nie oczekuję. Wiadomości. Chcę wiedzieć, co dzieje się w Górach i dlaczego. Dam ci kilku ludzi do pomocy i jako gońców. Chcę wiedzieć, kto... albo CO siedzi w tej wiosce i jakie ma zamiary. Myślę, że Hel-Krehiri jest tylko tarczą osłaniającą jakąś dziwną sprawę. I dopiero to naprawdę mnie niepokoi – wyznała. – Znasz Kagę. Przyznam, że nie wiem, jak można nią kierować. Glorm miał z tym poważne kłopoty, podlegała mu tylko nominalnie, a naprawdę to zawsze robiła, co chciała. Nawet Rbit, którego szanowała jak nikogo innego na świecie, nie potrafił nad nią zapanować. A jednak teraz ktoś chyba zrobił z niej narzędzie. Nie znam tego kogoś, ale już się go boję.

– Pójdę tam. Twoi ludzie nie będą mi potrzebni. Nigdy nie dowodziłam wojskiem.

– Dowodziłaś – uśmiechnęła się Arma.

– Och, ale kiedy to było?... Podsetniczka A.J.Karenira.

– A Raner?

Karenira przekrzywiła głowę.

– Raner? Hm... Bez obrazy, Armo, ale chyba nie. Twój brat...

– Nie jest wcale głupi, nie daj się na to nabrać. Wielu gorzko żałowało, że ulegli pozorom. Jest leniwy, myślenie nuży go i męczy, czasem trudno się z nim dogadać... Ale w sytuacji, gdy nie ma innego wyjścia, umie zrobić dobry użytek z rozumu. Jest odważny i położy głowę za ciebie,

jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Same zalety... No dobrze.

Machnęła warkoczem, przerzucając go z pleców na pierś.

– Teraz słuchaj. Na dworze nie dzieje się nic.

– Świetnie – skwitowała Arma. – Daruj sobie, już mówiłam, że jeśli to tajemnica...

– Przestań. Słuchasz mnie? Na dworze nie dzieje się nic – powtórzyła z naciskiem. – Nic a nic.

Blondynka zmarszczyła brwi.

– Co mi chcesz powiedzieć? Co to znaczy: nic?

– Właśnie to. Powiedziałaś mi dzisiaj wiele ciekawych rzeczy. Ja... no, rzeczywiście, na dworze bawiłam się i właściwie niewiele więcej. Ale jednak, chociaż starałam się, jak mogłam, by nie wiedzieć nic o niczym, coś tam z zewnątrz dotarło. Wystarczająco dużo, bym zdała sobie sprawę, że Grombelard zaraz się rozleci. A na dworze nie dzieje się nic... Pożegnałam więc ich wysokością.

Arma milczała, głęboko zamyślona.

– Prawdę mówiąc, tak to wyglądało. Nie wierzyłam. Mówisz, że cała ta burza z piorunami nie wzrusza w pałacu nikogo?

– Nikogo, nikogo... Co to, nie znasz dworu? Nie wzrusza księcia, i to w zupełności wystarczy. Jeśli jutro spadnie na góry ogień z nieba, a książę spojrzy w okno i raczy zachichotać, to wszyscy w pałacu natychmiast położą się ze śmiechu. No jak, wasza godność? Tak czy nie?

– Ale książę Ramez? – nie dowierzała Arma. – Przecież ten człowiek to istny demon czynu, absolutny władca, jakiego Grombelard nie miał od stu lat! O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie wiem i wątpię, by ktokolwiek wiedział. Ale jest coś... – Zamyśliła się na krótką chwilę. – Gotah, ten Przyjęty, który oddał mi mowę i rozum. Po śmierci Brula, po powrocie z Czarnego Lasu, bardzo długo rozmawiali z księciem o czymś ważnym. Ramez jest świetnie obeznany z tym wszystkim, co łączy się z Szernią, to prawie jeden z Przyjętych. Studiuje kroniki, roczniki, przecież wiesz. Ponadto dostał ode mnie wszystkie księgi i zapiski Dorlana. Może być, że ta jego dziwna bierność jest wynikiem tej rozmowy z Przyjętym. Może coś odkryli... Nie, nie wiem – zmytygowała się. – Przypuszczenie warte tyle, co nic. Zgadywanie. Nie bierz tego pod uwagę zbyt serio.

Arma skinęła głową.

– Więc dlatego uciekłaś z pałacu.

– Nie dlatego. – Karenira zamilkła. – Tak, dlatego. Przede wszystkim dlatego, choć nie tylko.

– Ach, więc jednak mała tajemnica?

– Tajemnica, zaraz tajemnica! – rozzłościła się Armektanka; nieoczekiwanie poczerwieniała jej twarz, a nawet szyja. – Nie powiem

ci, bo nie! Już prędzej powiedziałabym Ranerowi. A tobie nie powiem... bo się wstydzę.

Blondynka otworzyła usta.

– I już – powiedziała. – Teraz sobie pójdiesz, a ja tu zostanę. I po prostu zdechnę z ciekawości.

## ROZDZIAŁ 17



Kręty, wychłostany deszczem szlak, łączący górskie miasta, od biedy dało się przemierzyć konno, ale podróż trwała przez to niewiele krócej, a stawała się bardziej ryzykowna. Na wertepach konie czasem łamały nogi, ponadto wierzchowiec był łakomym kąskiem dla rabusiów.

Karenira i Raner poszli pieszo. Tak czy owak, musieliby zostawić konie w Badorze. A Łowczyni tyleż cierpko, co szczerze oznajmiła, że chce sobie przypomnieć, jak się chodzi. I to jeszcze zanim zejda na bezdroża.

Na szlaku przywitała się z górami. Trudno powiedzieć, by odwzajemniły pozdrowienie. Zimny wiatr, wiejący od szczytów, bez trudu przenikał aż do skóry, za nic mając przemoczoną pelerynę i kaftan. Wróciły stare bóle w kościach. Karenira świetnie wiedziała, co to znaczy. Za parę lat jej ręce miały wyglądać tak, jak ręce wielu innych mieszkańców Drugiej Prowincji. Przekłęta deszczowa kraina w nagrodę za wytrwałe życie pod jej niebem zsyłała niemoc na powyginane, sztywne palce, zniekształcała stawy nóg i ramion, wiatrem i wilgocią podsycala nieustanny, tępy ból wszystkich gnatów. Zaiste warto było kochać Grombelard. Już teraz zdarzały się dni, gdy napięcie cięciwy łuku przychodziło Łowczyni z dużym trudem...

Bała się starości, nie myślała o niej. A była niedaleko. Tutaj, w Ciężkich Górach, przychodziła dziesięć, piętnaście lat wcześniej niż w Dartanie albo Armekcie. Karenira żywiła nadzieję, że nim starość nadejdzie, jakiś niechybny grombelardzki kusznik zlituje się i pomoże jej rozwiązać problem.

Tymczasem szła do Badoru i czuła się całkiem nieźle. Niezbędne w podróży kłamoty dźwigał Raner. Przyjemnie było oglądać rozmazane w strugach deszczu góry, niosąc na grzbiecie tylko własną broń.

Na nocleg zatrzymali się tak, jak zwykli to czynić wszyscy znający grombelardzki trakt podróźni: na tyle blisko drogi, by widzieć, kto nią idzie; zarazem na tyle daleko, by samemu pozostać niezauważonym.

Sakwy z natłuszczonej koziej skóry robione były tak, by po rozwiązaniu dwóch rzemieni dało się je rozpostrzeć na suchych pledach

(suchych – bo wszystko, z czego nie kapiała woda, uważane było w Grombelardzie za suche). Z kolei pod te pledy należało wpełznąć. Było kilka sposobów na rozgrzanie się przed zaśnięciem. Pierwszy i najszybszy zapewniała wódka. Drugi sposób nie zawsze był przydatny, teraz jednak mogli zeń skorzystać, albowiem nie żywili do siebie niechęci i było ich dwoje, nie zaś dwie czy dwóch. Rozgrzawszy się należycie, zasnęli blisko siebie, by nie tracić tak ciężko zdobytego ciepła.

Wczesnym rankiem ruszyli w dalszą drogę.

o o o

Ciężkie Góry nie przypominają żadnych innych gór na świecie. Obraz postrzępionych, lśniących od śnieżnych czap szczytów ma się zupełnie nijak do mglistych, nierealnych, dziwnie nieokreślonych kształtów, które można oglądać w Grombelardzie. Miotane wiatrem, przemieszczające się fale dżdżu sprawiają, że obraz nieustannie przeobraża się i zmienia; trudno nie ulec wrażeniu, iż masywy stale drgają, wędrują... O przysłowiowej górskiej przejrzystości powietrza można tylko pomarzyć. Nawet jeśli nie pada (co zdarza się czasem zimą albo latem, ale prawie nigdy jesienią), wszędzie kłębią się chmury i mgły – przemieszane, przenikające się nawzajem, sunące ponad głową, spływające z górskich stoków, to znów skotłowane w dolinie lub płynące u stóp, wzdłuż stromej ściany przepaści... Dodatkowo przenika je deszcz. Od czasu do czasu napływa skądś silniejszy, lodowaty strumień wiatru i porывa wszystko – chmury, mgły i pajęczynę dżdżu. Wtedy widoczność poprawia się na krótko i można oglądać coś jak wnętrze olbrzymiej jaskini, długiej i szerokiej na milę albo parę mil – bo przecież tam, daleko, chmury pozostają, po starym przewalając się wśród mgieł, spływając deszczem.

Siedzieli z nogami na skraju przepaści, wzdłuż której wił się trakt. W kotlinie poniżej majaczyły fragmenty czarnych murów Badoru, spowite w mgły. Pół dnia drogi.

Był czas na krótki posiłek. Karenira zapchała usta serem. Jadła ze smakiem, nawet trochę zachłannie, popijając wodą, to znów wódką. Raner nie przejawiał większego apetytu. Powoli żuł kęs chleba.

– Taki duży mężczyzna – powiedziała – powinien dużo jeść. Co ci daje siłę?

Nie podjął żartu, nie zamierzał się przekomarzać. Zamyślony patrzył na kanciaste kształty starej twierdzy badorskiej, wbitej w środek miasta. Potężne wieżycy brodziły w morzu mgieł, a zarazem dotykały chmur.

– Nie wiem, nigdy nie jadłem zbyt wiele – rzekł krótko. – Łowczyni, co ty wiesz o Hel-Krehiri? – zapytał, zmieniając temat.

Przełknęła kolejny kawałek sera i popiła wodą.

– A co niby mam o niej wiedzieć?

– Znasz ją dobrze?

– Właściwie to nie. Poznałyśmy się bardzo dawno, ale nigdy mi się nie zwierzała. Kiedyś pomogłyśmy sobie trochę. Innym razem solidnie ją stłukłam... No ale wcześniej wyciągnęłam z pułapki zastawionej przez kocich gwardzistów. O co ci chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. To dziwne, że tak mało wiesz o kimś, kto chce zapłacić za twoją głowę.

– Dlaczego dziwne?

– Nie wiem. Dziwne.

Teraz ona wzruszyła ramionami.

– Dobrze, dziwne. No i...?

Wzruszył ramionami. Wzruszyła ramionami. Zerknął na nią... i wzruszył ramionami. Uśmiechnęli się.

– Do wieczora będziemy w Badorze – powiedział. – To jakby jej stolica. Hel-Krehiri – wyjaśnił. – Pełno tam jej ludzi. Nie wiem, czy potrafię bronić kogoś, kto wcale nie chce być broniony.

– Nie potrzebuję... – zaczęła. Dotarło do niej, co powiedział, i urwała. – No właśnie. Nie chcę być broniona.

– To niedobrze. To źle.

– A niby dlaczego? Potrafię sama sobie radzić.

– Nie.

– Nie? – zdziwiła się. – Nie potrafię?

– Nie. Nikt nie potrafi sam sobie radzić. Nie wtedy, gdy na niego polują. Przez wiele lat broniłem kogoś, z kim naprawdę nie możesz się mierzyć, Łowczyni. Prawda? Glorm...

– Glorm udusiłby mnie jedną ręką – przyznała. – Myślę, że ciebie również. Ale...

– W moim wypadku musiałby użyć obu rąk – rzekł bez uśmiechu Raner. – Posłuchaj, Łowczyni, niewiele rzeczy umiem robić naprawdę dobrze. Ale umiem bronić moich przyjaciół. Pozwól, żebym cię bronił.

– No to broń. Nieżywa i zimna rzeczywiście do niczego się nie przydam, to lepsza będzie wódka...

– Nie śmieję się ze mnie, Łowczyni. – Zdecydowanie nie rozumiał, czym jest żart. – Jest na świecie kilka istot, które zasługują na to, by ich bronić. Jesteś jedną z nich, wasza godność. – Rzadko tytułował ją w ten sposób. – Jeśli zginę w twojej obronie, cały Grombelard powie: zginął, broniąc Łowczyni. Zresztą jeśli zginę, wszystko mi jedno, co powiedzą. Ale jeśli ty zginiesz, a ja ocaleję, wszyscy powiedzą: pozwolił, by zabito Łowczynię. Może ktoś powie: stchórzył. Nie chcę słyszeć czegoś takiego.

Zmarszczyła brwi.



– Raner, ja nie zamierzam ginąć! Popatrz na mnie: jestem ładna i przyjacielska, ale tak naprawdę to siedzi przed tobą strasznie groźna wojowniczką! Nie wiesz o tym? Mówiłam ci już, że...

– Ja też ci mówiłem, ale nie zrozumiałaś. Jest nagroda za twoją głowę. W takiej sytuacji nikt na świecie nie obroni się sam. Prawda, że nikt? Glorm to rozumiał. Miał wielu wrogów.

Sięgnął po łuk i kołczan. Podał jej.

– Umiesz strzelać z tej broni? – zapytał.

Pytanie było raczej głupie, więc nie odpowiedziała. Wziął bukłak z gorzałką i odszedł dziesięć kroków w bok.

– Trafisz mnie w głowę, Łowczyni?

– Gdybym chciała, to nawet w oko.

– A teraz? – Wyciągnął przed siebie rękę, unosząc bukłak na wysokość twarzy.

– Mogę trafić bukłak – powiedziała, widząc już, do czego siłacz zmierza.

– Właśnie – rzekł, opuszczając rękę. – Możesz najwyżej przedziurawić bukłak. Ale po co? Nie zależy ci na zniszczeniu bukłaka.

– Przeszkadza mi. To wystarczający powód. Potem trafię ciebie.

– Jeśli zdążysz. Za zniszczenie bukłaka nie dostaniesz nagrody. A ten, kto go trzyma, może urwać ci łeb, zanim pošlesz drugą strzałę. Łowczyni, przecież ja także umiem dbać o siebie. Po co więc użyłem bukłaka? Ten bukłak – mówił, podchodząc i kucając przed nią – wcale nie jest lepszy ani silniejszy ode mnie. Ale jest mi potrzebny, a ja jestem dość mądry, by go użyć. Czasem wystarczy pokazać, że ma się jakąś osłonę, by atak w ogóle przestał się opłacać.

– A jeśli mimo to nastąpi?

– Wtedy go odeprzemy. Pozwól się bronić, Łowczyni.

Z namysłem przygryzła wargę. Po dłuższej chwili ujęła rozchylone poły kapoty Ranera, przyciągnęła go lekko i bodnęła głową w czoło.

– No dobrze – mruknęła. – Niech tak będzie... bukłaku.

o o o

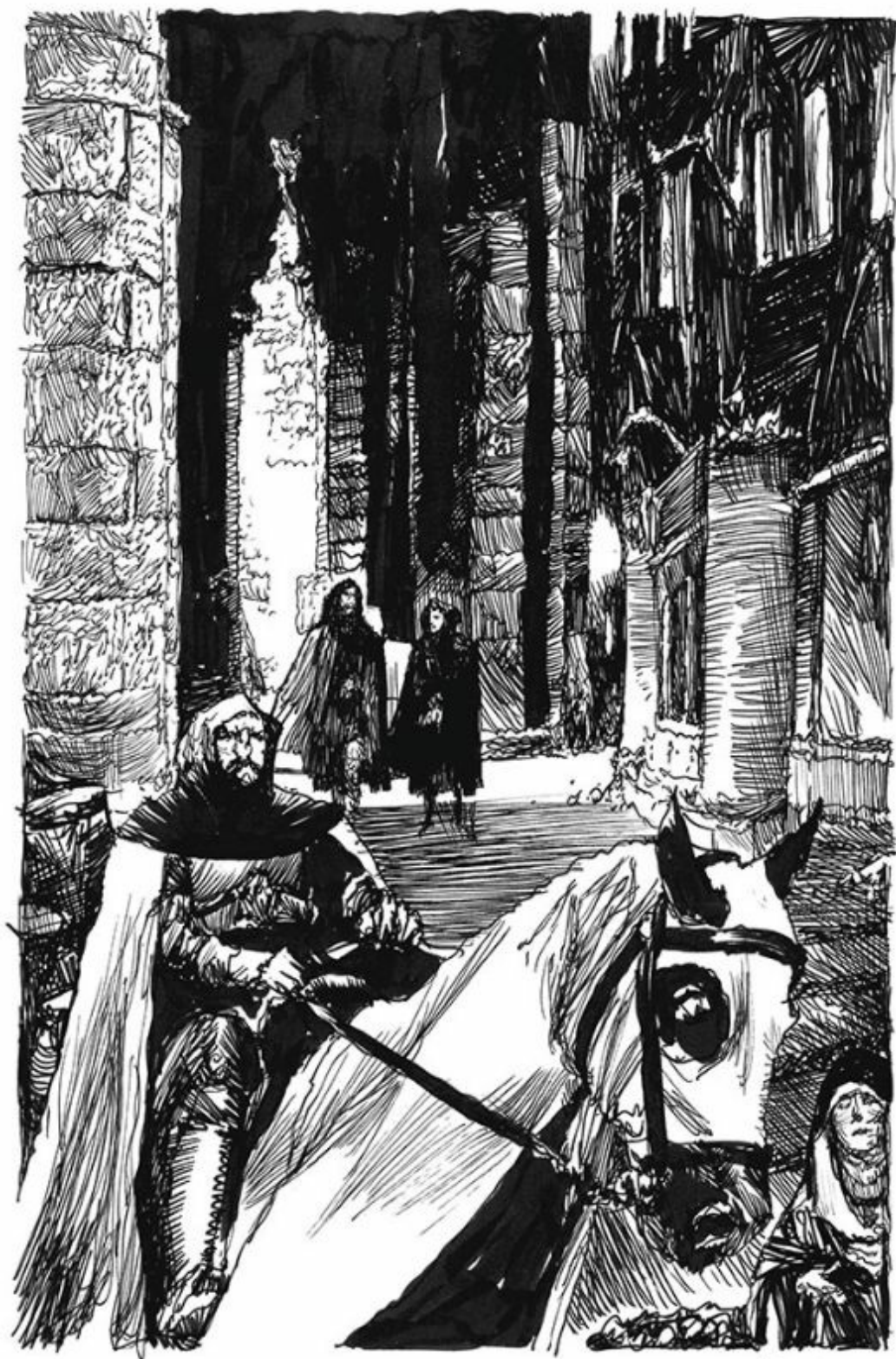
Wszystkie grombelardzkie miasta były do siebie podobne, a najbardziej rzucającą się w oczy wspólną cechą stanowiła ich brzydota. Kamień i gdzieśgdzie brunatna cegła posłużyły za budulec zarówno przy wznoszeniu baszt i murów, jak też skrytych w ich pierścieniu domów. Prawie wszystkie budowle miały od strony ulicy wąskie, niewielkie okienka, przez które dało się wyrzucić bełt z kuszy – ale już naprawdę nic więcej. Wszystkie schody były strome; wszystkie izby – mroczne, ciasne, zagrzybione i zimne; ulice wąskie; dachy domów czarne... Każdy,

kto po raz pierwszy zawitał do Grombu, Badoru, Rahgaru albo Riksu, odnosił upiorne wrażenie, że oto zamknięto go w jakimś ponurym, ciemnym i mokrym labiryncie. Domy różniły się wyłącznie wysokością; w każdym mieście miejsce było cenne, więc wszystko rosło wzwyż. Skryte w wiecznym cieniu ulice-wąwozy, pocięte odwadniającymi rowami, były łądzaco podobne do siebie, prawie identyczne. Wymywane z nich nieczystości śmierdziały nie tak bardzo, jak gdzie indziej w promieniach słońca – i to może była jedyna zaleta grombelardzkiego miasta.

Jednak Raner i Karenira czuli się w Badorze zupełnie dobrze. Swobodnie. Armektanka za namową towarzysza ukryła sajdak pod płaszczem i mocno nasunęła kaptur na czoło, by schować czarne włosy, będące w Grombelardzie rzadkością. Złościły ją podobne środki ostrożności, ale miała dość rozsądku, by wziąć dobre rady pod uwagę.

Prowadził Raner. Przy jednej z większych ulic mieszkał znajomy kupiec. Jak na rozbójnika, miał Raner dość szczególnych przyjaciół – ale prawda, że obie profesje nie różniły się od siebie aż tak bardzo...

Dom, mieszczący duży skład kupiecki, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Kiedyś opatrzone go specjalnym szyldem. W Grombelardzie, inaczej niż w Armekcie, sztukę składania liter znało bardzo niewiele, zapewne więc na szyldzie wymalowano odpowiednie obrazki. Zapewne – bo trudno powiedzieć, co tam właściwie było. Szyld najwyraźniej stanowił i pierwsze, i ostatnie zarazem dzieło nieznanego artysty; człowiek ów, wykonawszy swą pracę, niechybnie zmarł zaraz potem albo wywędrował daleko, albowiem nigdy już dzieła nie poprawił. Nie uczynił tego także nikt inny. Szkoda. Wszystko zmył deszcz. Różnobarwne, blade plamy naprawdę niewiele mówiły.



TRUST 21

Zamożniejsi mieszkańcy oznaczali swe warsztaty i sklepy szyldami tłoczonymi lub wyciętymi z blachy. Ta z kolei szybko rdzewiała. Miedzianą zaraz ktoś ukradł.

Raner w jakiś sposób rozpoznał właściwy dom i szyld; rzecz niezwykła o tyle, że podobnych domów i szyldów było w Badorze ze sto.

– Nabędziemy tu wszystko, co potrzebne – powiedział z zadowoleniem. – Dostaniemy też nocleg. Darmo, ciepło, bezpiecznie.

Armektanka skinęła głową.

Wielka izba na parterze wypełniona była wszelkim dobrem. Wzdłuż ścian leżały kulbaki; czwartą część pomieszczenia zajmowały worki i skrzynie z żywnością, widać było kaszę, groch i fasolę, a obok trochę suchych kiełbas. Na rozmaity oręż przeznaczono specjalne kozły i stojaki. Dalej znajdowały się derki, pledy, torby i sakwy; jeszcze dalej wszelkie ubiory. Ponadto na licznych półkach i półeczkach można było znaleźć najprzeróżniejsze drobiazgi, sprzęty domowe, naczynia, ech! nawet przybory do pisania (ale nic do malowania szyldów) – słowem wszystko, co mogło się przydać, a nawet to, co przydać się nie mogło absolutnie nigdy, nigdzie i nikomu. Zresztą to właśnie było najdroższe.

Dostatnio ubrany, wykształcony i obyty służący szybko poznał po akcencie, że klientka jest Armektanką. Niezwłocznie pochwalił uroki jej kraju, w którym, jak powiadał, często bywał. Zaskarbił sobie kilka przychylnych spojrzeń. Karenira, wiedząc doskonale, że kupiecką rzeczą jest pochwalić nawet gnojówkę, jeśli klient do gnojówek ma słabość, przecież nie umiała oprzeć się człowiekowi, który w mokrej norze badorskiej z zapalem chwalił Równiny. Okazało się jednak, że czynił tak raczej z nawyku, niż licząc na grubszy interes – oceniwszy stroje, uznał, iż przybyli nie należą do bogaczy, bo nie pobiegł po pryncypała. Dopiero trzos wydobyty przez kobietę uświadomił mu, jak poważna jest sprawa. Ogarnąwszy wzrokiem wór, którego zawartość wystarczyłaby pewnie na zakup wszystkiego, co znajdowało się w izbie, a może i całej kamienicy, wycofał się pospiesznie i pobiegł szukać swego pana.

Raner zapalał szczerym gniewem.

– Na Szerń, pani! – powiedział. – Nim noc minie, całe miasto będzie wiedziało o tym złocie! Co chcesz udowodnić i komu? Kupieckiemu pachołkowi?

– Co takiego zrobiłam? – zapytała zdumiona. – Raner, czy nie pozwalasz sobie na zbyt wiele?

Mężczyzna rozłożył ręce.

– Polują na ciebie. Wszyscy! Właśnie wykrzyczałaś: „Tutaj jestem!”. Mogłaś robić tak kiedyś, ale dziś? Dziś polują na ciebie, rozumiesz?

– Raner, mam tego dosyć! – rzuciła ostrzegawczo. – Zdawało mi się, że znasz tego kupca?

– Kupca tak, ale nie pachołka... Cicho! – syknął, bo służący właśnie

wrócił, puszczając przodem pryncypała.

Ujrawszy klientów, kupiec natychmiast odprawił pomocnika, po czym zbliżył się do Ranera i zamienił z nim kilka cichych słów. Obrażona Karenira odeszła na bok i zaczęła grzebać w stercie jakichś gratów.

– Przenocujemy tutaj – powiedział Raner, podchodząc. – Czy trzeba kupić coś specjalnie dla ciebie?

– Purpurową suknię – odparła. – No i to. – Pokazała worek z kiełbasami.

Raner wyciągnął skądś trochę srebra i dał kupcowi.

– Dwa porządne płaszcze, pięćdziesiąt łokci liny, żywność na dziesięć dni dla dwóch ludzi – powiedział. – A, i jeszcze dobre krzesiwo. Wystarczy?

– Aż nadto – padła odpowiedź. – Przygotuję wszystko na rano. Czy tak, wasza godność?

– Bardzo dobrze.

Wkrótce znaleźli się w dużej izbie, dość skromnie urządzonej, bo prócz stołu, ławy i trzech łóżek nie było w niej nic więcej. Gospodarz przyniósł świecę i odpalił od niej kilka innych, znajdujących się w pomieszczeniu. Potem zostali sami.

– Kiedyś – rzekł chełpliwie Raner, bezceremonialnie kładąc się na jednym z łóżek – oddałem temu człowiekowi niemałą przysługę. Ocaliłem mu życie, no a w każdym razie majątek, co dla kupca znaczy to samo. Hel-Krehiri nie wie, że mam prywatną kwaterę w Badorze. Zresztą poza Armą nikt o tym nie wie. Myślę, że jesteśmy tu bezpieczni.

– Posłuchaj, Raner – powiedziała po chwili milczenia. – Nie podoba mi się to wszystko. Przyznaję, nie przywykłam do towarzystwa. Czyjegokolwiek. Nie chcę być niesprawiedliwa, ale mam wrażenie, że stale próbujesz mi narzucać swoją wolę. Mam dość słuchania, jak to wszyscy na mnie polują, co mi grozi, gdzie jestem bezpieczna, a gdzie nie. Odtąd zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, a tym bardziej wprowadzisz ją w czyn, rozmów się najpierw ze mną. Być może potrzebuję ochrony. I, być może, naprawdę ty ochronisz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Ale na tym koniec. Myśleć za oboje będę ja. Wychodziłam już cało z tarapatów, o jakich ci się nie śniło.

Mężczyzna przyjął reprimendę. Po pewnym czasie wstał z łóżka i zaczął przechadzać się po izbie.

– Byłaś kiedyś w takim położeniu? Wiesz, jak się zachować? – zapytał wreszcie.

Usiadła na brzegu stołu.

– Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz – skonstatowała. – Raner, gdyby przerastała mnie każda nowa sytuacja, w jakiej się znalazłam... Tyś po prostu zapomniał, kim ja jestem.

Popatrzył pod nogi.

– Może – zgodził się nieoczekiwanie. – Ale jakiś czas temu – podjął po krótkiej pauzie – Hel-Krehiri zleciła mi śledzenie pewnej obłąkanej kobiety w łachmanach. Prawda? Chodziłem za tobą po Grombie i napatrzyłem się dosyć, by bajka o niezwykłej Łowczyni wyleciała mi z głowy raz na zawsze. Nie dziwisz się temu, prawda? Powiedz.

Teraz ona odwróciła spojrzenie.

– Jednak jakoś poradziłam sobie. Zdaje się, że już nie noszę łachmanów, a nawet umiem mówić, nie zauważyłeś?

– Zauważyłem. Poradziłaś sobie, ale wcale nie sama.

– Raner – rzekła spokojnie, ale spod tego spokoju przebijała złość – ja naprawdę mam tego dosyć. Miałabym ochotę cię uderzyć. Ale wpadłam na lepszy pomysł, otóż jutro wrócisz do Grombu. Znudził mnie widok twojej gęby, tym bardziej że rzadko ma mądry wyraz. Pójdę do Jaru sama.

– Posłuchaj, Łow...

– Sama albo wcale. Zamknij się.

Uniosła palec.

– No, to teraz zostawiam cię w tej norze.

– Dokąd idziesz? – zapytał gniewnie.

– Ależ Raner. Gdzie mi się spodoba. Na piwo.

To powiedziawszy, wzięła swoje rzeczy, zarzuciła płaszcz na plecy i wyszła.

o o o

Powiedziała Ranerowi szczerą prawdę: czyjekolwiek towarzystwo prędzej albo później zaczynało jej ciążyć. Lubiła i chciała być zdana tylko na siebie. W tym, co mówił Raner, kryło się wiele racji. Ale nie umiała tak z dnia na dzień odrzucić starych przyzwyczajzeń. Ponadto miała wrażenie, że ona i Raner po prostu do siebie nie pasują. Wyraźnie widziała, że ten człowiek pomyśli o ucieczce zawsze wtedy, gdy ona uzna, że warto się schować; schowa się, gdy ona stanie do walki; będzie walczył, gdy ona wybierze ucieczkę... Różnili się. Mieli inne nawyki, niepodobne zalety i wady. Basergor-Kragdob urobił gwardzistę na swoją modłę. Nie wątpiła, że Raner był dlań znakomitym towarzyszem i świetnym pomocnikiem. Ale to, co było dobre dla Glorma, nie chciało pasować do niej.

Ochłonawszy trochę, miała ochotę wrócić i wyjaśnić wszystko. Wiedziała już, że niepotrzebnie się zeźliła. Nie zasługiwał na to.

Nie wróciła jednak.

– Głupstwo – rzekła sama do siebie, jak to miała we zwyczaju. –

Oczywiście, że nie wrócisz. Przecież wstydy.

Było już całkiem ciemno. Rozejrzała się dokoła, ale wątle światło padające z okien domów raczej mamiło oczy, niżli dozwalało coś naprawdę dojrzeć. Po zmroku mało kto miał ochotę na spacer po ulicach miasta. Jednak odniosła wrażenie, że jakiś cień podąża jej śladem. Pewno Raner. Prawdę mówiąc, spodziewała się tego.

Sporo czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz bawiła w Badorze. Z niejakim trudem odnalazła w ciemnościach ulicę wiodącą do rynku. Zwykle zatrzymywała się w gospodzie leżącej tuż przy bramie miejskiej, teraz jednak do rynku miała bliżej. Tam też był zajazd. Nawet dwa.

Przystanąła pod ścianą domu. Łubie z łukiem i kołczan ze strzałami zwracały uwagę – akurat w tym wypadku jej „opiekun” miał słuszność. Skrzywiła się, bo padało dość solidnie, ale rada nierada zdjęła pelerynę i owinęła nią obie części sajdaka. Trzeba było zostawić to u kupca; zabrała broń odruchowo.

Sytuacja ściganej zwierzyny rzeczywiście była dla niej czymś nowym. Przywykła do niebezpieczeństw innego rodzaju. W górach każdy mógł okazać się wrogiem, tam jednak potrafiła dbać o siebie. Lecz w miastach? Pewnie, czasem ktoś szukał zwady. Ale nigdy nie było tak, by każdy napotkany człowiek mógł mieć powód do rzucenia się na nią.

Zamyślona oparła plecy o mokrą ścianę. Po jakimś czasie raz jeszcze rozejrzała się dokoła, odpięła pas z mieczem i także zawinęła w pelerynę. Wydobyła z sakwy mocny nóż myśliwski, wetknęła go za cholewę buta, po czym przystąpiła do rozplatania warkoczy. Łuk... miecz... warkocze... Z czym jeszcze kojarzono Łowczynię? Zresztą nic więcej zrobić nie mogła. Samotnie podróżująca kobieta zawsze zwracała w Grombelardzie uwagę. Po ulicach mogła chodzić w płaszczu i chować twarz pod kapturem. Siedząc tak w gospodzie, dopiero by wzbudziła ciekawość.

Zatęskniła za Rollayną; tam mogłaby chodzić w maseczce. Raz chodziła... Baylay nie zawsze był nudny, wyprawili się kiedyś na przedmieście pooglądać tanich akrobatów, zapaśników, połykaczy ognia. Kupowała ozdóbki na ryneczku, potem się upili w podłej knajpie. Oboje przy mieczach, jak za starych czasów w Grombelardzie...

Westchnęła bardzo cichutko.

Opasała czoło rzemykiem, by choć trochę poskromić ciężkie od deszczu włosy. Obrzydliwie oblepiły kark i szyję. Warkocze były jednak wygodniejsze.

– No już dobrze, jesteś bardzo nieszczęśliwa – mruknęła. – Zasłużyłaś na grzane piwo. Posłodzone miodem, z korzeniami.

Rozejrzała się znowu, pomachała do cienia, który prawie na pewno był Ranerem, i ruszyła w stronę rynku.

Nie było jeszcze zbyt późno. Wieczorami w miejskich gospodach

zbierało się dość liczne towarzystwo. Nie zdziwiła się, gdy z otwartych drzwi buchnął ku niej gwar rozmów i wykrzywiający twarz kłęb rozmaitych woni. Trochę już zdążyła zapomnieć, jak pachną podrzędne gospody, gdzie siedzą prawie sami mężczyźni.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Goście hałasowali przy stołach; na największym, zajmującym cały środek izby, tańczyła dziewczyna. Garbaty grajek, zachęcany okrzykami, coraz głośniej przygrywał do rytmu. Karenira zmarszczyła lekko brwi, patrząc na dziwny instrument, trzymany przez muzykanta. Widziała już gdzieś tego człowieka, czy też raczej – widziała ten instrument, bo twarz starca nic jej nie mówiła. Na moment jej oczy zetknęły się z oczami garbusa; puste, obojętne spojrzenie tego człowieka zdawało się mówić, że jest mu wszystko jedno, jakie wygrywa melodie i czemu to granie ma służyć.

Zwróciwszy się w inną stronę, Karenira ujrzała, że armektańska moda dotarła do Badoru: oberżysta krzątał się za czymś, co wyraźnie miało być szynkwasem. Szorstka, byle jak przycięta decha, wsparta na grubych belkach, niewiele miała wspólnego z tym, co widywało się w jej kraju. No, ale tak czy owak, to był szynkwas. Gdy szło o gospody, Grombelard stanowczo zaczął wyprzedzać Dartan.

Trzymając swój długi i niezgrabny pakunek wzdłuż nogi, by nie zwracał uwagi, przepchnęła się do szynkwasu. Znalazłszy trochę miejsca, oparła ręce na desce.

– Izbę – zażądała, gdy oberżysta znalazł się w zasięgu jej głosu.

– Pierwsza wolna jak zwykle, pospiesz się – rzucił; zaraz jednak spojrzał uważniej. Zauważył pomyłkę. – A nie, nie mam. Może być miejsce we wspólnej, na słomie.

– Pierwsza wolna, tak?

– Ale nie dla ciebie, pani – teraz już ją zatytułował; miała nie zwracać uwagi, dobre sobie. – Tam jest tylko wyro. Dla nich. – Wskazał za jej plecy.

Obejrzała się i z namysłem popatrzyła na solidnie wymięte kurwiska.

Oberżysta obsłużył pijaka: najpierw dał garniec piwa, a natychmiast potem, bardzo szybko i czujnie, miskę do rzygania. Pijak wypił piwo i wyrzygał się – niestety, nie do miski, choć trzymał ją z całej siły.

– Wezmę – powiedziała. – Chcę tę izbę.

– Twoja sprawa, pani! – rzekł oberżysta przez ramię, starając się przekrzyczeć huczną piosenkę biesiadną. Dał w mordę pijakowi i odebrał mu miskę. – Twoja sprawa, pani – powtórzył, ukazując jej, nie wiedzieć czemu, puste dno odzyskanego naczynia. – Jak mi się opłaci, to dłaczego nie? Ale sporo zarabiam na tej izbie.

– Wierzę.

Nieznacznym ruchem podała mu sztukę złota.

– Tyle?



– No proszę – powiedział. – Tyle nie. Izba jest twoja, pani. Coś jeszcze?

– Przyślij mi grzane piwo, jak najwięcej. I najlepsze, co masz do jedzenia.

Trafiwszy do izby, stwierdziła z wielkim żalem, że gospodarz był człowiekiem prawdomównym – oprócz wyra nie znalazła tam nic. Z siennika ktoś ukradł siano, a z podłogi deskę. Ze świecy złośliwie usunięto knot. Ponieważ bez knota i tak nie miała sensu, przylepiono ją do sufitu. Obok wisiały odchody.

– No dobrze – mruknęła.

Schowała broń pod łóżkiem i czekała, siedząc w smudze szarego światła, wpadającego przez otwarte drzwi. Po niedługim czasie pacholek przyniósł świecę, wyszedł i zaraz wrócił, dźwigając półmisek oraz dwa duże dzbany. Postawił wszystko na podłodze, zabrał odchody z sufitu i wybiegł. Zamknęła za nim drzwi. Skobel wyglądał porządnie.

Piwo było ciepłe i bardzo, bardzo mocne. Zaprawiono je gorzalką, dodając dla niepoznaki więcej miodu i korzeni niż trzeba.

– Raner – powiedziała markotnie – ja już tęsknię za tobą. Obiecaj, że dasz mi zwykłego, grzanego piwa, a wrócę i do rana będę nago tańczyła dla ciebie.

To nie pierwszy raz próbowano ją upić, żeby potem – gdy zaśnie – okraść. Zwykle w takich przypadkach szła do oberżysty, oblewała go paskudztwem, które przysłał, i po prostu mówiła, kim jest. Jej grombelardzki przydomek z reguły załatwiał sprawę.

– Ja wiem – rzekła jeszcze, skubiąc niezłą pieczeń – że złota pokazywać nie wolno. Ale co mam robić? Zawsze płacę złotem, bo nie noszę przy sobie miedziaków. Już od dawna.

Ale wiedziała, że to zwykły wykręt. Mogła mieć i miedziaki, i srebro... Po prostu zapomniała, że trzeba.

Zjadła. – I co teraz? A piwo? Och, mam tego dosyć – stwierdziła z nagłą goryczą. – Nie wytrzymam, nie umiem. Przecież to strasznie głupie udawać, że się nie jest Łowczynią. Nikt tego nie wytrzyma; prawda, Raner?

Podeszła do okna i pchnęła okiennice. Rozwarły się, wpuszczając wiatr i deszcz.

– Raner! – zawołała niegłośnie. – Czaisz się tu, powiedz?

Niestety. Nie czaił się.

Załomotano do drzwi.

– Czego?! – wrzasnęła.

– Ścinaj, no! – zażądano w odpowiedzi.

Otworzyła drzwi. Wielka, niezbyt brudna, nawet całkiem niewstrętna dziewczyna trzymała pod pachą zupełnie pijanego konusa.

– Co jest, no! Sama robisz? – zagadnęło dziewczę, pakując się do izby.

Karenira nie ustąpiła.

– Daję nocałkę – powiedziała, blokując drogę. – Wypadaj na ściachę, mało kapie. Weźmiesz ciało na mowę, co ma ci wyro?

– Kwas ci puścił robić nocałkę? – zdziwiła się wysoka. Przyjrzała się Karenirze. – Coś ty, nowa?

– Nowa, poginaj.

– Co poginaj? – rozsierzdziła się kurwa. – Ty mi? Mi poginaj?!

Upuściła konusa na podłogę, zaciskając pięści. Karenira z westchnieniem trzasnęła ją kolaniem w warsztat pracy i z rozmachem zamknęła drzwi, waląc nimi w wykrzywioną twarz „koleżanki”. Łomot i skowyt rozbrzmiały jednocześnie.

Karenira zasunęła skobel i cofnęła się na środek izby.

– Nie – powiedziała – to już wszystko, prawda? Tyle ile mogłaś wytrzymać, w sam raz tyle, wasza godność. Teraz jeśli zdarzy się jeszcze cokolwiek, pójdziesz napić się piwa. Po prostu.

Usiadła na łóżku i – na wszelki wypadek – splotła włosy w warkocz. Zaledwie skończyła, ktoś zaczął wyważać drzwi.

– Gospodarzu – mruknęła – jak mam zasnąć po tym piwie z gorzałą, kiedy tu taki ruch? Bardzo źle pilnujesz interesu.

Zapięła na biodrach pas z mieczem. Zbliżyła się do drzwi, wybrała odpowiedni moment i otworzyła je. Wysoką dziwkę wyrzuciła przez okno, rudą wykopała za drzwi, a starą pobiła do nieprzytomności. Wzięła dzban (bo jeden ocalał) i poszła do wielkiej izby, mijając po drodze osłupiałego pacholka, którego posłano widocznie, by zbadał źródło hałasu.

– Gospodarzu. Piwa.

Wielki dzban z hukiem roztrzaskał się nad głową oberżysty, sypiąc skorupami. Kaskada złotej cieczy chlusnęła na podłogę, pieniąc się, spłynęła po ścianie.

W izbie zaległa cisza. Wszystkie spojrzenia pobiegły w stronę szynkwasu. Mokry oberżysta prostował się powoli. Na ramieniu miał dużą skorupę.

– Zapłaciłam za piwo. Przyślij mi dwa następne dzbany i tym razem nie dolewaj gorzałki – powiedziała dobitnie. – Słyszysz, śmieciu? A, i trzymaj dziwki z daleka ode mnie. Nie korzystam.

Ktoś zaśmiał się, zawtórowali mu inni. Gospodarz doszedł do siebie.

– Hola, hola! – zawołał, zdjęty gniewem.

– Gospodarzu! – ostrzegła.

– Ta kobieta za dużo wypila! – krzyknął oberżysta, zwracając się do swych gości.

– Kiedy właśnie za mało – odparła ku powszechnej ucieście.

Czuła się znakomicie. Bycie sobą sprawiało istną rozkosz. Wyjęła miecz i podała stojącemu obok mężczyźnie, po czym zwróciła się do jego towarzysza, wysokiego i muskularnego:

– Silny jesteś? To mnie przełoż na drugą stronę, a zobaczysz coś ciekawego. – Wskazała miejsce za szynkwasem, obok oberżysty.

Mężczyzna radośnie zatarł ręce, uniósł ją bez wysiłku i pomógł przeleźć przez szynkwasa pomimo protestów karczmarza. Zgromadzeni w gospodzie goście poczęli wstawać i hurmem cisnąć się ku miejscu, gdzie wydarzenia nabierały tempa.

– Ta kobieta... – Oberżysta zachłysnął się gniewem i zaczął wołać pacholków.

– Ta kobieta – powiedziała, wyciągając rękę po swój miecz – jest Armektanką Czystej Krwi i trzeba tytułować ją godnością.

Po czym zaczęła demolować oberżę. Porąbała mieczem wielką beczkę piwa i rozniosła mniejszą na kawałki. Potłukła kilka dzbanów i gąsiorów, zmasakrowała wiszącą na kołku kiełbasę. Widzowie wyli ze szczęścia. Kwas próbował ratować swe mienie, rycząc, rzucił się na zbrojnego demona z warkoczem, ale dostał w głowę głowicą rękojeści. Potem zaczęła walić płazem. Nieszczęśnik upadł. Stratowała leżącego i zerwawszy postrzępioną matę ze słomy, wpadła do izby na zapleczu. Dobiegł stamtąd jej radosny okrzyk, a zaraz potem, pośród gromkich wiwatów, trzasnął o szynkwasa wielki kosz z jajami.

– Po patrol pobiegli, po patrol! – krzyknął ktoś od strony drzwi. – Zaraz przyjdzie patrol!

Rzeczywiście, jakiś mały rostek, może syn oberżysty, wypadł na zewnątrz i pognał ulicą, wzywając żołnierzy z patrolu. Kwas pozbiierał się jakoś, wysmarkując krew z nosa, a dojrawszy pacholka przeciskającego się przez cizbę, ryknął nań i przypuścił szturm do drzwi własnej spiżarki. Wewnątrz wciąż srożyły się niszczycielskie moce.

Pachol dotarł do pryncypała nadspodziewanie szybko: wiosłując ramionami, mknął przez powietrze. Zakreślił płaski łuk i wyrznął w ścianę, po czym osunął się do nóg chlebowawcy.

Potężny mężczyzna torował sobie drogę do szynkwasu. Włókł za kołnierz drugiego służącego. Uniósł go jak szczura i położył na dartańskiej nowince.

– Raner, no nareszcie – powiedziała Armektanka, pojawiając się z wielką szynką w dłoni. – Pokłóciłam się z gospodarzem.

Oberżysta zmierzył wzrokiem postać przybyłego, a następnie popatrzył na trzymaną w dłoni deszczułkę, klepkę z beczki, którą pragnął podnieść do godności broni. Upuścił drewnienko na podłogę.

Z wielkiej baryły wyciekało piwo. Kobieta schowała miecz, wzięła szynkę pod pachę i podetknęła pod spienioną strugę jeden z ocalałych dzbanów.

– Też chcesz?

Raner pomógł jej wyjść z szynkwasu.

– Zaraz będzie tu patrol – powiedział.

Obecni w milczeniu śledzili przebieg ciekawej rozmowy.

– To dobrze – odparła. – Chodź, wynajęłam tu izbę. Aha, zapłać za szynkę.

Raner wysupłał trzy miedziaki. Oberżysta zapłakał jak bóbr.

Klepano ich po plecach i ramionach, gdy przeciskali się przez ciżbę. Pośród wesołego gwaru ten i ów częstował piwem, inny wołał, by siedli do stołu. Odmawiali.

Usunąwszy z pokoju półprzytomną dziwkę, Raner zasunął skobel.

– No i jak? – zapytała.

Wzruszył ramionami i usiadł na pryczy, z nogami w kałuży rozlanego piwa.

– Nie wrócę do Grombu – rzekł, jakby właśnie o tym mówili.

– Jasne, że nie – skwitowała.

Zjedli szynkę i wypili piwo.

Żołnierze pojawili się niedługo potem. Wyciągnęła z torby malutki zwitek pergaminu i rzuciła dziesiątnikowi. Żołnierz ujrzał pieczęć Przedstawiciela, podpis księżnej Wereny, jeśli nawet umiał czytać – to nie czytał. Może dojrzał dwa lub trzy słowa. Powiedział „wasza godność”, oddał zwitek i zniknął.

– Co to jest? – zapytał Raner.

– Nic. Naprawdę nic – mruknęła, wzruszając ramionami. – Temu tutaj wystarczyła sama pieczęć.

Położyła się, podkładając ręce pod głowę.

– Werena wepchnęła mi to siłą. Nazywa mnie tam swoją przyjaciółką i prosi, bym nie miała utrudnień w podróży.

– Jej wysokość... – zaczął Raner.

– Jej wysokość – przerwała – czuła do mnie zbyt wiele.

Raner nie pojął. Rozzłoszczona niepotrzebnym rumieńcem, wyjaśniła:

– Jej wysokość widziała we mnie to, co powinni widzieć tylko mężczyźni, chociaż sama jeszcze nie zdawała sobie sprawy... Rozumiesz? Uciekłam, Raner, bo najdalej za tydzień albo dwa musiałabym wprost jej powiedzieć, że nie chcę mieć kochanki, choćby nawet była córką cesarza. No. Zatrzymaj to tylko dla siebie. Nawet Armie... tak? Chciałam to komuś powiedzieć. Jakoś, wiesz...

Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka mężczyzny.

– Przepraszam za dzisiejsze. I ostrzegam: nie rządz mną więcej, bo naprawdę nie wiem, co ci zrobię.

Zdjęła kaftan.

– Chcesz?

Chciał.

Dała.

## ROZDZIAŁ 18



Ciasny i kręty wąwóz wyglądał tak, jakby powstał na skutek pomyłki – wysokie ściany skalne wyraźnie miały się zewrzeć, ale coś je powstrzymało. Wisiały teraz nachylone ku sobie i doprawdy trudno było oprzeć się wrażeniu, iż przepaść między nimi zniknie lada moment. Dość, by zbocza podjęły swój, zahamowany z niewiadomych przyczyn, ruch.

A jednak żyli ludzie, którym to przedziwne miejsce musiało wydać się wcale bezpieczne. Wejścia do wąwozu strzegł mocny, chociaż niezbyt urodziwy mur; wyzierały spoza niego dachy kilku domów. Dołem płynął strumień, podczas większych deszczów niewątpliwie zmieniający się w rzekę. Mieszkańcy zrobili, co w ich mocy, by ustrzec chałupy przed zalaniem – wykopali, czy też raczej wykuli w skalistym podłożu głęboki rów, biegnący środkiem wsi. Należało jednak powątpiewać, czy ów środek zaradczy zawsze okazywał się wystarczający.

Wieś nazywano Bezpowrotem lub Jarem.

Człowiek nieznający Ciężkich Gór mógłby zadać sobie pytanie, z czego żyli mieszkańcy Bezpowrotu. Nie trudnili się pasterstwem, bo ich owce musiałyby jeść skały. Co więc było źródłem utrzymania tych ludzi?

Odpowiedź nasuwała się sama – oto przed bramą w palisadzie stał wartownik, a gdyby nawet jego wygląd i oręż nie powiedziały wszystkiego, uczyniłaby to zwierzęca, czysto zbójecka gęba odzianego w skóry bydlaka, który właśnie wychynął z domu na samym końcu wsi. Człowiek ten (że człowiek, znać było po dwunożnej postawie) wyryczał coś absolutnie niezrozumiałego, podrapał kudły na gębie, przeciągnął się i wydał szereg gromkich odgłosów bodaj bardziej ludzkich niż cokolwiek innego w tej postaci. Potem, stawiając stopy do środka, ale tak, że prawie zawadzały o siebie, powłókł się ku jednej z czarnych dziur, ziejących w skalnej ścianie. Przystanął. Zawrócił. Wszedł do kamiennej chaty i wynurzył się znowu, niosąc wypełnioną czymś miskę. Po kilku krokach zatrzymał się, zamyślił – zmarszczył bowiem czoło – i wrócił jeszcze raz. Okazało się, że prócz miski potrzebna będzie dzida.

Mając jedno i drugie, rozbójnik bez dalszych przeszkód dotarł do jaskini i zniknął w jej czeluści.

Jaskinia nie była duża. Dwa kroki od wejścia, dobrze skryty przed wiatrem i deszczem, drzemał uzbrojony w kuszę wartownik, kubek w kubek podobny do kamrata niosącego żarcie. Bo żarciem było w istocie, nie jedzeniem, to, co wypełniało miskę. Migotliwe światło łuczywa bezlitośnie pokazało obgryzione kości, pływające w jakiejś wstrętnej brei. Przybyły minął wartownika i stanął przed solidną kratą, przedzielającą jaskinię na dwie części. Postawił miskę na ziemi i za pomocą dzidy wepchnął ją do zagrody.

– Żryj.

Jakaś obdarta postać wynurzyła się z ciemnego zakamarka. Kopące łuczywo miało dosyć siły, by ukazać wynędzniałą twarz brudnej, ale niewątpliwie bardzo ładnej – kiedyś – kobiety. Sięgnąwszy po miskę, uwięziona cofnęła się trochę, po czym siadła na ziemi i zaczęła siorbać przyniesione pomyje. Potem obgryzła gnaty do czysta, połamała je zębami i wyssała resztki szpiku, bo większość tego przysmaku ktoś już wyjadł.

Zbój przyglądał się, wsparty na orężu.

Kobieta zjadła wszystko, postawiła miskę blisko kraty i cofnęła się. Drab ani myślał sięgnąć po naczynie ręką; wyraźnie było widać, iż wewnątrz zagrody jawi mu się niczym legowisko groźnego zwierzęcia. Wsunąwszy między pręty drzewce dzidy, przyciągnął naczynie do siebie, po czym wziął je i odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Spoza kraty śledziły go dwie błyszczące źrenice.

Uwięziona kobieta miała na imię Kaga, ale bardziej znany był jej wojenny przydomek: Hel-Krehiri, czyli Pani Łez.

Wartownik wciąż drzemał przy wejściu. Po jakimś czasie zmienił go inny. Najpierw majstrował coś przy kuszy, potem kręcił się trochę tu i tam, wziął łuczywo i próbował dojrzeć skuloną w kącie sylwetkę uwięzionej. Następnie, używając bełtu, skrobał na ścianie jaskini różne znaki. Raczej nie było to pismo. Gdy kiepski grot odpadł od drzewca, zniechęcony artysta usiadł na miejscu swego poprzednika.

Przed jaskinią nic się nie działo, a jeśli nawet, to nie było widać. Ciemna noc grombelardzka dawno już zagościła w wąwozie. Po jakimś czasie strażnik skłonił się do snu.

W jaskini panowała cisza, podkreślana dobiegającym z zewnątrz szmerem dżdżu.

Kobieta podniosła się z miejsca, oddała mocz w kącie jaskini i wróciwszy do swego legowiska, znów zastygła w bezruchu. Czerwone światło pochodni pochwyliło jej czujne spojrzenie. Obserwowała wartownika. Nic jednak nie wskazywało na to, by poruszenie w zagrodzie zostało przezeń zauważone. Spał. Doszedłszy do takiego

wniosku, kobieta prawie bezgłośnie tchnęła ku wyjściu:

– Wemir!

Przez chwilę nic się nie działo. Potem wzdłuż nierównej ściany przemknął jakiś cień. I dalej nic... Może tylko ciemność przy głowie leżącej nieznacznie zgęstniała, zbiła się w twardszy kłęb. Przez mgnienie oka lśniły w tej ciemności dwie tarcze żółtych ślepiów; zaraz zgasły. Czarny kocur gadba dotknął nosem policzka uwięzionej.

– Sprowadziłem ich.

– Werk, dobrze. Nareszcie. Ja już tu nie mogę.

Rozmawiali na granicy słyszalności, mimo to w głosie kobiety wyraźnie znać było ulgę, wielką ulgę.

– Kiedy? – zapytała.

– Dzisiaj, już. Czekają na sygnał.

Zamknęła oczy i wepchnęła w usta kostki palców. Zacisnęła zęby, jakby bojąc się, że dzika radość wyrwie jej z piersi niepotrzebny okrzyk.

– Ale najpierw muszę stąd wyjść – szepnęła po długiej chwili. – Ten tutaj strzeli do mnie, jak tylko zaczniesz się coś dziać.

– Przyniosłem nóż.

Wyciągnęła rękę. Kocur opasany był mocnym rzemieniem. Na piersi, między łapami, namacała skórzaną pochwę kryjącą nieduże ostrze.

– Schowaj się. I spróbuj mi pomóc.

– Werk, Kaga.

Skłębiona przy kobiecie plama czerni zniknęła, bezgłośnie rozpuszczając się w mroku.

Hel-Krehiri podpełzła do kraty, położyła nóż przy jednym z prętów, po czym cicho jęknęła.

Wartownik nie zareagował.

Kobieta jęknęła raz jeszcze. Tym razem rozbójnik uniósł głowę, powstał i wziął łuczywo. Dogasało, dając więcej dymu niż światła. Odpalił odeń nowe, po czym uniósł je i trzymając się w bezpiecznej odległości od kraty, próbował dojrzeć, co się dzieje po drugiej stronie.

– Daj mi jeść – powiedziała ochryple. – Już nie mogę. To, co mi dajecie, to rzygi. Daj mi cokolwiek, słyszysz?

Wartownik przestąpił z nogi na nogę, obejrzał się, wziął pałkę opartą o ścianę, po czym przełożył ją z lewej ręki do prawej, pochodnię zaś z prawej do lewej.

– Daj mi jeść! – stęknęła. – Zabiję cię, jeśli nie dasz mi jedzenia! Słyszysz? Przynieś mi cokolwiek. Co chcesz w zamian? – Zerwała się i uczepiła kraty. – Ja nic nie mam! Nic...

Trzymające pochodnię zwierzę znowu przestąpiło z nogi na nogę.

– Nie wolno – powiedziało. – No bo już się żarła.

Puściła kratę i usiadła na ziemi. Powoli zaczęła zwlekać z siebie resztki gałganów.

– Zobacz... – rzekła przytłumionym głosem. – Chcesz? Ja... wszystko ci pokażę, wszystko, co mam. Widziałeś kiedyś taką? Zobacz, no śmiało. Tylko daj mi jeść. Słyszysz? Daj mi jeść.

Osunęła się na plecy, rozkładając uda. Zmierzwiała dłońmi czarne, sztywne włosy. Była brudna jak wszystkie nieszczęścia, a cuchnęła tak strasznie, że normalny mężczyzna natychmiast rzuciłby się do panicznej ucieczki – wszak są w życiu chwile, gdy lepiej nie ufać nawet kracie. Ale strażnik śmierdział jeszcze gorzej, a wobec tych wszystkich kobiet, których zaznał w życiu, Hel-Krehiri jawiła mu się właśnie niczym cudowna rusalka. Wyciągając szyję i coraz wyżej unosząc pochodnię, pożądliwie chłonał wzrokiem apetyczny kąsek. Przetoczyła się na brzuch i uklękła, wypinając ku niemu pośladki; potem wstała, zatoczyła się w stronę kraty i przywarła do niej siedzeniem, opierając ręce na ziemi.

– Daj mi jeść! – zajęczała. – Jak dasz mi jeść, to zrobię wszystko... Chcesz?

Pokusa zwyciężyła. Wartownik podszedł, kłapiąc paszczą i drapiąc się po przyrodzeniu. Nie bardzo wiedział, co zrobić z pochodnią. Zatknął ją w szczelinę ziejącą w skalnej ścianie. Pałki jednak przezornie nie odłożył. Odwrócona tyłem, trzymająca dłonie na ziemi kobieta w żaden sposób nie mogła być groźna, gdyby jednak zechciała uczynić jakiś wrogi ruch, pałka mogła być użyteczna.

Tak sądził.

– Nie dałeś mi jeść – powiedziała. – Mówiłam, że zabiję. Słowo kota.

Z niesłychaną łatwością włożyła głowę między własne kolana i nim pojął, co się dzieje, miał nóż wbity od dołu, tuż za workiem kryjącym klejnoty. Wyrwała broń z rany, poderwała tułów i – wciąż odwrócona – sięgnęła ręką do tyłu, chwytając go za kark. Rycząc przeraźliwie, odepchnął się od kraty; trzymała jednak dość mocno, a ponadto jakiś ciężar znienacka runął mu na plecy, popychając w kierunku prętów. Miała dosyć czasu, by pchnąć nożem do tyłu. Trafiła w szyję. Wemir po raz drugi skoczył na strażnika. Odwróciła się, chwyciła mężczyznę raz jeszcze i kilkakrotnie wbiła krótkie ostrze w brzuch, pierś, gdzie popadło. Zaczął osuwać się w dół na mięknących nogach. Nie pozwoliła, by upadł zbyt szybko, zdołała pchnąć jeszcze parę razy. Puściła krwawiące ciało i zaczęła ciąć sznury, którymi powiązane były żerdzie. Wkrótce pręty kraty pozwoliły się rozgiąć. Do krwi ścierając skórę na piersiach, brzuchu i plecach, wydostała się na zewnątrz. Wartownik próbował pełzać, charcząc poprzez krew buchającą z rany na szyi. Rzuciła się nań, przetoczyła na plecy i usiadła okrakiem. Raz jeszcze wsadziła mu nóż między żebra, po czym półprzytomna z nienawiści, pryskając śliną i charcząc tak, jakby to jej gardło przecięto, chwyciła kudłaty łeb. Z urywanym rykiem rzuciła się głową w dół i tłukła czołem



w twarz tamtego tak długo, aż nos i wargi przemieniły się w miazgę. Wyrzuciła ramiona ku sklepieniu jaskini i z zamkniętymi oczami, zacisnąwszy pięści, skowyczała przepelniona rozkoszą. Włosy na czole zlepione miała krwią. Zerwała się, kopnęła zabitego i pognęła ku wyjściu z jaskini.

– Zaczynaj! Wemir, zaczynaj!

Czarny kot wyprysnął w mrok nocy. W następnej chwili powietrze przeszył bojowy wrzask wojownika gadba.

Powtórzyło go czterdzieści kilka gardeł.

Noc była ciemna choć oko wykol. W kilku domach i jaskiniach migotały jakieś marne światełka, ale żadną miarą nie mogło to rozproszyć mroku skłębionego na dnie rozpadliny. Bojowy wrzask przebrzmiał – i zaległa cisza. Nie było słycać tupotu nóg biegnących wojowników, nie szczekał oręż.

Przeraźliwy krzyk dobiegł z wnętrza chałupy. Powtórzył się i światło w domu zgasło.

Lecz oto z pozostałych domów i mieszkalnych jaskiń wybiegać zaczęli zbrojni ludzie. Ten i ów trzymał pochodnię. Ale płomienie, wabiąc wzrok, raczej oślepiały, niżli pozwalały dojrzeć cokolwiek. Jednak niedaleko muru piętrzył się wielki stos drewna, przygotowany chyba na wypadek podobnego zagrożenia. Okryty był skórą dla ochrony przed deszczem. Trzymający pochodnię rozbójnik podbiegł doń i podłożył ogień. Stos zajął się najpierw niemrawo, wkrótce jednak zapłonął potężnie.

Wszędzie wokół, przy ziemi, przemykały jakieś szybkie cienie, skupiały się w gromady i niknęły w głębi poszczególnych domów albo jaskiń, skąd natychmiast dobiegały wrzaski, jęki i przekleństwa. Od czasu do czasu wtórował im głuchy, groźny okrzyk bitewny, wydany przez gardło niebędące gardłem człowieka.

Stos wybuchnął wielkim płomieniem.

Napastników było czterdziestu, lecz z powodu nadzwyczajnej ruchliwości mogło się wydawać, że jest ich trzy razy tyle. Niskie sylwetki kotów gadba pojawiały się wszędzie, skupiały i rozbiegały. Zdobywano kolejne jaskinie i domy. Pojedynczy ludzie, z bronią w ręku miotający się po placu, atakowani byli przez błyskawicznie powstające oddziały. Ten i ów próbował ścigać samotnego kociego wojownika. Bezskutecznie. Żaden gadba nie myślał o staczaniu pojedynków; owszem, chaotyczna na pozór bieżanina służyła rozproszeniu wysiłku napadniętych. Bo co chwila w miejscu, gdzie było to potrzebne, tworzył się z niezwykłą sprawnością nowy oddział, skupiający kilkanaście kocich głów, i porywał samotnego rozbójnika, by – dokonawszy dzieła – znowu pójść w rozsypkę. Przywodziło to na myśl jakąś upiorną gonitwę, zabawę. Nie było zażartej, wysilonej młócki, jak to zwykle bywa, gdy ludzie walczą

z ludźmi. Zamiast tego wszędzie trwała desperacka bieganina.

Jednak płonący coraz potężniej stos z niezwykłą siłą zaczął wabić ku sobie tych wszystkich, którzy jeszcze chcieli i mogli myśleć o obronie. Szeroki krąg światła odbierał przewagę kocim oczom; przede wszystkim jednak był ów stos po prostu jedynym miejscem przyciągającym uwagę. Pojawiło się tam najpierw czterech, potem jeszcze kilku rozbójników i wkrótce cała bitwa skupiła się w jednym punkcie. Co więcej, stężała i straciła swój beładny charakter. Zwartego kręgu kilkunastu uzbrojonych ludzi nie dało się łatwo rozerwać. Próba dokonania tego natychmiast przyniosła napastnikom straty w rannych i zabitych. Bezradnie miotający się w ciemnościach człowiek był dla kocich wojowników łatwym łupem. Lecz zwarty oddział, gotów do walki w dobrym świetle, stanowił poważny problem.

Horda skłębiła się na granicy mroku, od czasu do czasu wszczynając dziką bieganinę, która miała sprowokować ludzi do ataku. Ale osaczeni rozbójnicy potrafili patrzeć i myśleć. Niejeden raz zajrzeli śmierci w oczy i umieli zabijać; lecz wiedzieli też, jak nie dać się zabić.

W zdobytej wsi zaległa cisza. Kocia bieganina ustała. Otoczona zewsząd grupa zbrojnych przywoziliła na myśl niedźwiedzia, wokół którego zebrały się zziębnięte, pokaleczone psy, niekwapiące się do ataku – lecz i niezamierzające odstąpić.

Rozbrzmiał w ciemnościach niewyraźny koci głos, brzmiący trochę jak pomruk, a trochę jak gardłowy szept:

– Do rana ogień zgaśnie.

Zaczęło to docierać także do obrońców. Niewielki zapas mokrego drewna, zgromadzony przy murze, mógł okazać się niewystarczający.

Koty siadały na ziemi. Teraz gdy zanikła ich ruchliwość, wyraźnie było widać, że to nie jest doraźnie zebrana horda. Większość wojowników nosiła kolczugi, a prawie wszyscy specjalne kocie hełmy, raczej będące zaczepnym orężem niżli osłoną głowy.

Najbardziej jednak rzucały się w oczy zielono-szare tuniki. Nosiło je ledwie kilku wojowników, choć – zgodnie z regulaminem – powinni nosić wszyscy. Ale żołnierzom wchodzącym w skład oddziałów elitarnych pozwalano czasem na znaczne odstępstwa od przepisów. Zresztą „mordercy z Rahgaru” nie zamierzali nikogo pytać o zdanie. Umundurowani i wyposażeni byli tak, jak uznali za słuszne i wygodne.

Wieś została zdobyta przez półsetkę Gwardii Grombelardzkiej.

Otoczeni rozbójnicy skupili się jeszcze ciaśniej, nieustannie czujni, gotowi do odparcia ataku. Wymieniali uwagi. Było jasne, że jeśli dREW zabraknie, stanie się konieczne przerwanie kręgu napastników. Jednak próba wydostania się z pułapki oznaczała walkę w ciemności – a więc to, czego oblężeni właśnie się obawiali. Jedynym wyjściem było oszczędzać opał i próbować dotrwać do rana.

Ukryta w mroku kobieta z ciekawością patrzyła na tych, którzy dopiero co byli strażnikami jej więzienia. Przykucnęła. Po chwili zjawił się Wemir, prowadzący dwa inne koty. Pierwszy z nich, czarny tak samo jak zwiadowca Hel-Krehiri, nosił na kolczudze tunikę z oznaczeniami setnika gwardii. Oznaczało to – ni mniej, ni więcej – że jest jednym z najwyższych rangą wojskowych w całej Drugiej Prowincji. Setników legii było wielu. Setników gwardii w Grombelardzie – dwóch. Nawet nad tysięcznik niegwardzista, zanim objął komendę nad takim, musiał najpierw zapytać go o zgodę. I nie zawsze była to formalność.

Setnik pochylił łeb, ozdobiony mocno przypiętym, trochę groteskowym płaskim hełmem. Między wycięciami na uszy widniała mocna ostroga. Umazana była krwią – znak, że koci dowódca nie ograniczył się w tej bitwie do samego tylko wydawania rozkazów... Pół kroku za nim podążał rudy kocur, wielki nawet wśród swoich pobratymców gadba.

– Cóż za dziwne przymierze, Hel-Krehiri – rzekł mrukliwie setnik, unosząc łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

Odpowiedziała podobnym gestem.

– To już drugi raz się spotykamy – powiedziała. – Wtedy wybiliście mi oddział. Dzisiaj proszę o pomoc.

– Już ją otrzymałaś, chociaż ciągle nie wiem, w imię czego. Uwierzyłem ci na słowo. Słowo kota, nie królowej rozbójników – podkreślił. – Czy zrobiłem błąd?

– Niedawno... złamałam słowo – rzekła posępnie. – Mimo to postanowiłeś mi zaufać?

– Coś słyszałem. Chyba rozumiem, co tobą powodowało, Hel-Krehiri. Nie rozmawiajmy o tym. Nie ma we wsi kalekiego człowieka, o którym mówił mi Wemir – oznajmił, zmieniając temat.

Kobieta rzuciła przekleństwo.

– To źle.

Kocur stulił uszy.

– Będzie jeszcze czas na rozmowę. Na razie mamy problem. Jeśli ogień utrzyma się do rana, to tych kilkunastu ucieknie. W ciemnościach rozproszymy ich i wybijemy. Za dnia nie ma mowy, możemy im najwyżej schodzić z drogi.

Spojrzał w stronę orężnej grupy.

– Jest w Armeckie piękna, mądra gra – powiedział. – Czasem dochodzi w niej do sytuacji, gdy żaden z graczy nie może wykonać ruchu. Nazywa się to pat. Jeśli teraz uderzą, rozbijemy ich. Ale wątpię, by byli tacy głupi. A ja także nie zamierzam szarżować, to robota dla ciężkozbrojnych. Przy tym świetle dostaniemy łupnia – ocenił treściwie.

– Wiem – rzekła ponuro. – Zaraz ruszę ich z miejsca, będą atakować na wysłigi. Tylko znajdźcie mi jakąś kuszę i bełty.

Kot poruszył wąsami.

– Werk – skwitował. – Dobry pomysł.

Wydał rudemu zastępcy kilka krótkich rozkazów.

Czas płynął.

Otoczeni przez gwardię rzeźnicy nie znali armektańskiej gry, o której mówił setnik, nie mieli więc pojęcia, co znaczy słowo pat. Niemniej gdy z ciemności, spoza kręgu światła wyleciał pierwszy pocisk, powalając barczystego draba z mieczem i maczugą, bez trudu pojęli, co się święci. Zebrali siły do desperackiego, rozpaczliwego ataku.

Rozbrzmiał słodki kobiecy głos:

– O, nie radzę... Naprawdę nie radzę. Raczej pozwólcie się wystrzelać, pozabijam was, tylko tyle. Jeśli zaatakujecie, wpadnie w moje ręce wielu rannych. Wielu rannych... – powtórzyła z lubością i stęknęła, napinając lewarem cięciwę.

Drugi bełt wyprysnął z ciemności.

Rozbójnicy, wyjąwszy z ogniska co większe płonące żagwie, rzucili się do ataku.

Uderzenie trafiło w próżnię. Gwardzistów nie było.

Hel-Krehiri wypadła z mroku i błyskawicznie znalazła się przy płonącym stosie. Trzymała tęgą gizarmę. Zawinęła nią nad głową i rozmiotła żelźcem wciąż potężnie płonące ognisko. Gorejące główne prysnęły w mrok. Następnymi uderzeniami rozwalila stos do reszty i z powrotem przepadła w ciemnościach – rozczochrane nagie widmo.

Koci taniec rozpoczął się na nowo. Pochodnie były bronią obusieczną – w migotliwym świetle kilkunastu płomieni rodziły się liczne, padające ze wszystkich stron cienie, a niektóre z nich wcale cieniami nie były. Ludzie zaczęli się miotać, bezładnie wymachując żagwiami i orężem. Zamieszanie trwało dość długo bez większego skutku. Ktoś ryknął z bólu. Inny wzywał pomocy. W powietrzu rozszedł się swąd przypalanej sierści.

Nikt nie zginął.

Potem wszystko ustało. Koty odstąpiły.

I było jasne dlaczego: prowizoryczne pochodnie dopalały się bardzo szybko. Gasły jedna po drugiej. Ludzie jeszcze próbowali zbierać niedopalone szczapy, przenosić płomień. Ratowali resztki światła.

Wkrótce na dnie wąwozu, w nieprzenikniętych ciemnościach, migotały tylko rozrzucone jak gwiazdy na niebie drobne, czerwone węgielki.

Wtedy ze wszystkich stron ozwały się mrukliwe głosy, przepełnione dobrym humorem:

– Widzimy was. Dobrze was widzimy.

Jakiś gwardzista podszedł do samych nóg jednego z mieszkańców wioski i zbadał trzymane przezeń drzewce włóczni, prawie dotykając go

nosem. Potem podniósł łeb i z wielką ciekawością oglądał przerażoną twarz ślepego niczym kret stworzenia. Grot na hełmie kołysał się w rytm poruszeń okrągłej kociej głowy.

– Werk. Zabić – rozbrzmiała komenda.

Rozbójników zmasakrowano. Hel-Krehiri dostała kilku rannych.

o o o

Przeszukawszy kilka chałup i jaskiń, Hel-Krehiri rzuciła się na znalezione jadlo. Prawie udławiła się nadpsutym mięsem. Setnik znalazł sobie dobre miejsce na stole, tuż obok kopającego kaganka. Ułożył się na boku i uważnie obserwował samobójcze próby kobiety. Pakowała do ust tyle, ile się zmieściło, po czym przełykała prawie bez gryzienia. Oczy wychodziły jej z orbit.

– Karmili mnie... pomyjami... – wyjaśniła między jednym kęsem a drugim.

Popiła wodą.

– Cieszę się, że ci smakuje, Hel-Krehiri. I doceniam twą dbałość o ubiór – rzekł gwardzista. – Chciałbym wreszcie wiedzieć, po co cię uwolniłem. Przemierzyłem pół Grombelardu.

– Co powiedział ci Wemir?

– Że nie odpowiadasz za nic, co dzieje się w górach. Że zostałam uwięziona przez człowieka, żyjącego w tej wiosce. Ma to mieć związek z niedawnym uprowadzeniem księżnej. O ile zrozumiałem, cała ta zabawa ze Wstęgami Aleru dopiero się zaczyna. Nie lubię Szerni, a już najmniej interesuje mnie jej wojna z innymi Potęgami – oświadczył z głęboką niechęcią. – Dla mnie nad światem może wisieć cokolwiek. Ale góry to co innego. Dzieją się rzeczy groźne, widzę to i bez ciebie. Dlatego wszystko, co przekazano mi w twoim imieniu, nie jest dla mnie pozbawione znaczenia. – Nie dodał, że gdyby takie rewelacje, niepoparte żadnymi dowodami, usłyszał od człowieka, to nawet by go do końca nie wysłuchał.

Znowu jadła.

– Hel-Krehiri – rzekł ponaglająco gwardzista, gdy milczenie się przeciągało.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyznała bezradnie. – Myślałam, że zabijemy go dzisiaj. Gdybym wiedziała, że opuścił wioskę, nie potrzebowałabym waszej pomocy, żeby uciec. Ten człowiek jest kimś w rodzaju mędrca Szerni – wyjaśniła. – Myślałam, że go dzisiaj zabijecie.

– Wemir wskazał mi właściwy dom. Tam uderzyliśmy najpierw – potwierdził setnik. – Powtarzam: nie ma we wsi beznogiego człowieka. Dwaj jeńcy nie wiedzą nawet, o kogo pytam. Trzeci opowiada, że go

widział kilka dni temu. Twój kaleka nie jest towarzyski.

Nagle wpadła we wściekłość, czysto kocią, przychodzącą zupełnie nagle, bez wcześniejszych objawów złości albo gniewu.

– Syn kurwy i szakala! – zaskowyczała, chwytając leżącą obok kuszę; wyrznęła orężem w ścianę i waliła tak długo, aż broń przestała być zdalna do użytku. – Śmierzący kawał gnoju! Okłamał mnie! Ścierwo, aaa! – wycharczała. – Tropiłam Brula jak głupia suka! A to narzędzie, tylko narzędzie, rozumiesz?! Brul! Wielki, potężny Brul! Kpinaaaa! – zawyla, demolując izbę.

Gwardzista przeczekał wybuch.

Opadła na ławę i walnęła parę razy potylicą o ścianę. Wściekłość przeminęła równie nagle, jak przyszła.

– Ciągłe jestem głodna – powiedziała. – A nic tu nie mają do żarcia. Dziwne, że w ogóle mnie karmili.

– Co się dzieje w górach?

Przez chwilę zbierała myśli.

– A co ja o tym wiem? – zapytała wreszcie z głupia frant. – Siedziałam w klatce dwa miesiące. Kilka razy przekradł się do mnie Wemir. Nie ucinaliśmy pogawędek, były do omówienia ważne sprawy.

– Hel-Krehiri – rzekł setnik z wyraźnym znużeniem – czy można usłyszeć od ciebie chociaż jedno słowo warte chwili uwagi? Jeśli pożałuję, że tu przyszedłem, to pożałujesz i ty.

Pokiwała głową.

– Werk. Nie groź, już mówię. Dawno z nikim nie rozmawiałam.

Były to przeprosiny.

– Po śmierci Brula – powiedziała – wróciłam tutaj, do Jaru. Dowiedziałam się o kilku dziwnych rzeczach i zażądałam wyjaśnień od człowieka, który właśnie nam uciekł. Miałam go za sprzymierzeńca, był kiedyś uczniem Brula. Przedstawił na to dowody, które uznałam za wystarczające, a nie jestem specjalnie łatwowierna. Przy pomocy Łowczyńni człowiek ten udaremnił pierwszą próbę poruszenia Wstęg Aleru.

– Hel-Krehiri, nie obchodzi mnie historia Szereru – rzekł kot z niezadowolaniem. – Ten człowiek to wróg. Dlaczego?

Parsknęła przez nos.

– Posłuchaj, ja także nienawidzę częściej gadaniny, możesz mi wierzyć, myślę. Ale nie umiem krótko opowiedzieć. Nie o tym. Możesz się obrazić, gwardzisto, i nie słuchać. Wybiliście bandę zbójów, rozedrzyjcie jeszcze mnie i wracajcie do Rahgaru. Piękny sukces.

Kot nie odpowiedział.

– Tu nie chodzi o jakieś Pasma Szerni czy Wstęgi Aleru – podjęła po chwili. – Nie wiem, o co tu chodzi. O zniszczenie wszystkiego, co tylko można zniszczyć? Ten człowiek, który nam uciekł... W nim jest coś

dziwnego, on jest... trochę jak ja... – Zaplątała się. – Na wierzchu człowiek, a w środku siedzi... coś. Ale nie kot. Zaczęła się jakaś wojna, gdzie wszyscy zaczynają walczyć ze wszystkimi. Łowczyni i ja. Rozumiesz? Dwie wojowniczkę gór wplątują się w wojnę z największym Przyjętym. Ten Przyjęty porywa żonę Księcia Przedstawiciela... Rozumiesz? Przecież to aż trudno wyobrazić sobie jakiś powód, dla którego cesarski Przedstawiciel miałby walczyć z Przyjętym, a Przyjęty z Łowczynią i ze mną! Co ja mam do Przyjętych? Dwadzieścia parę lat przeżyłam, nim ujrzałam takiego na oczy! Co Przyjęty może mieć do mnie? A jednak zaczyna się wojna i wszyscy ponoszą straty, wszyscy przegrywają, nikt nie wygrywa. Łowczyni traci rozum, Przyjęty umiera, Werena zostaje upokorzona, ja... ja łamię dane przyrzeczenie i zostaję zamknięta w klatce. – Odwróciła wzrok. – A Wstęgi po staremu leżą w górach i znów ktoś chce przy nich grzebać. Znowu będzie wielka bitwa wszystkich ze wszystkimi, a na koniec może znowu się okaże, że stoczono ją o nic, bo przecież tej Wstęgi w Czarnym Lesie w ogóle tam nie było! Chaos! Ktoś... coś chce chaosu, zamętu, coraz większego i większego. Bo to wcale, myślę, nie o te Wstęgi chodzi. One, myślę, obojętne, jak są potężne, do niczego więcej nie służą, jak tylko do wzniesienia głupich wojen. To te wojny są celem, nie jakieś tam wykorzystanie różnych sił.

– Mów – ponaglił, gdy przerwała na chwilę.

– Wróciłam tutaj i zostałam uwięziona. Wszyscy, których miałam pod komendą, wypowiedzieli mi posłuszeństwo. Sfora psów moczących się ze strachu na sam mój widok – rzekła z niedowierzaniem, wyciągając rękę, jakby chciała wskazać trupy leżące gdzieś za ścianą domu. – Takie rzeczy się nie zdarzają, bo psy nie są zdolne do buntu. A zbuntowały się wszystkie. Wemir ledwie zdołał ująć z życiem, ja siedziałam w śmierdzącej jaskini i żarłam pomyje! – rzuciła z powracającą wściekłością. – A wiesz, po co, w imię czego? Bo ja nie wiem! Nikt w ogóle ze mną nie rozmawiał, nawet się nie domyślam, do czego chciano mnie użyć, bo przecież potrzebna byłam żywa, tak? Każdego dnia mogli mi wpakować tyle bełtów z kuszy, że leżałabym za tą kratą i wyglądała jak jeź. Ale tego nie zrobili, trzymali mnie dwa miesiące. Wiem, że ktoś ujarzmił wszystkie moje oddziały w całym Grombelardzie. W jaki sposób, kto?! W górach toczy się znowu bezsensowna wojna, czy tak? Wiesz o tym więcej ode mnie. Co właściwie dzieje się w górach? Zostałam tutaj sama! Swoich żołnierzy już nie mam, no to posłałam po cesarskich, jesteście tu, tak czy nie? Powiedz – zapytała znów cicho, wyczerpana przemową – powiedz, gwardzisto, co dzieje się w górach? Czy coś złego? Ale naprawdę złego?

– Tak – powiedział krótko. – Gdyby nic się nie działo, tobym się nie mieszał w porachunki między zbójami – dorzucił.

Czekała.

– Coś się zaczęło – oznajmił. – W miastach porywani i mordowani są ludzie. Różni ludzie, nie wiadomo, kto ich zabija i dlaczego. Po zmroku nie spotkasz samotnego człowieka na ulicy. Ale w miastach na razie to wszystko. Za to w górach jest tak, jak powiedziałaś. Chaos. Wszyscy biją się ze wszystkimi, a powody są niezrozumiałe. Może źle, że mówię coś takiego rozbójniczce, ale Legia Grombelardzka już w ogóle nad tym nie panuje. Ostatnie dwa miesiące przyniosły takie straty, że wojsko nie jest zdolne do niczego więcej, jak tylko służby patrolowej na ulicach. Morale prawie nie istnieje. Dowodzę ostatnim pełnowartościowym oddziałem w całym Grombelardzie. A dlatego, że Książę Przedstawiciel Cesarza chyba chce, żeby tak było. Znasz Rameza? – zapytał.

– Wiem, jaki to człowiek, jeśli o to ci chodzi.

– Robi wszystko, by nikt niczym się nie przejmował. Gotów za to nagradzać. W Grombie zajmują się głupstwami, jakby nigdy nic. Podobno sam cesarz przerażony jest raportami, jakie posłali do Kirlanu urzędnicy Trybunału Imperialnego. Po raz pierwszy szczerze trzymam ich stronę – wyznał. – Chętnie bym im pomógł. Tylko Trybunał robi jeszcze cokolwiek.

Przygryzła usta. Wysoki stopniem wojskowy – a do tego kot – przychylnie mówiący o armii cesarskich szpiegów, donosicieli i oprawców, to było coś nowego. Legie cesarskie, podlegające wicekrólom prowincji, stale próbowano uzależnić od Trybunału, kierowanego bezpośrednio przez Kirlan. Samodzielność dowódców bardzo na tym cierpiała.

Przez jakiś czas milczeli.

Kocur, którego natura burzyła się przeciw snuciu dalekosiężnych planów i domysłów, stale jednak przebywał między ludźmi i nauczył się, że czasami warto uczynić coś wbrew sobie. Teraz zmusił się do wysiłku.

– Hel-Krehiri – powiedział – pomóż mi myśleć. Powiedziałaś coś, co zwróciło moją uwagę. Powiedziałaś, że w tę wojnę wciągani są wszyscy wielcy, tak? Najpotężniejszy Przyjęty, najlepsze wojowniczkę Gór...

– Co z tego?

– Może... Nie wiem – powiedział niezadowolony i prawie rozgniewany, bo musiał bawić się w domysły. – Może trzymano cię po to, żeby ktoś tu przyszedł? To trochę dziwne, że wiedząc o ucieczce Wemira, pozwolono mu cię odwiedzać. I to chyba dość często?

– Parę razy.

Zamilkli.

– No tak – przyznała niechętnie po długiej chwili namysłu. – Ale niby... chciano, żebym kogo tu sprowadziła? Przedstawiciela? – parsknęła. – Łowczynię? A może Łowczynię? – Zastanowiła się. – Prawdę mówiąc... nawet o niej myślałam.



Prawie zabawny był wysiłek, z jakim te dwie istoty oddawały się zajęciu uwielbianemu przez ludzi.

– Nie wiem kogo! – rzekł setnik. – Wiem, kto przyszedł: ja. I przyprowadziłem tu jedyny grombelardzki oddział, który jest jeszcze zdolny do wyjścia w góry. Jeśli coś nas wykończy, to będzie oznaczać, że wojska w Grombelardzie już nie ma. Cała reszta to najwyżej straż miejska.

Podniósł się i zeskoczył ze stołu.

– Dostyc tego – powiedział. – Twierdzisz, że przyczyną wszystkiego jest człowiek, który cię uwięził.

– Jestem pewna.

Nic więcej go nie obchodziło.

– Więc odnajdźmy go i zabijmy.

– Werk. Jeszcze raz przepytam jeńców.

## ROZDZIAŁ 19



Siedząc z plecami opartymi o skałę, Karenira leniwie śledziła skłębione, ale wyjątkowo jasne chmury, płynące z zachodu na wschód. Wiatr zmienił kierunek. Oznaczało to, że pogoda znacznie się poprawi. Można było oczekiwać słabej mżawki w miejsce nieustannej ulewy. Koło południa mogło wcale nie padać.

– No, no – mruknęła z zadowoleniem.

Zobaczyła Ranera maszerującego środkiem szlaku, między skalnymi ścianami. Wstała i machnęła ręką. Skierował się wprost ku niej. Wkrótce usiadł obok i sięgnął po bukłak.

– Ciągłe idą za nami. Stracili nas z oczu, ale chyba nieźle znają okolicę i wiedzą, że ten szlak jest jedyny. Dogonią nas tak czy owak.

– Ilu? – zapytała krótko.

– Pięciu.

– Czyli tych dwóch ich dogoniło?

– Tak.

Westchnęła.

Dzień wcześniej podsłuchiwała rozmowę na biwaku. Ci ludzie nie szli za nią przypadkiem. Trzej zbrojni wędrowcy wyglądali jeszcze dwóch towarzyszy.

– To co? Poczekamy tu na nich?

Nie usłyszał pytania.

– Dziwna rzecz – powiedział w zamyśleniu. – Chyba znam jednego z tych ludzi.

Czekała, ale ciągu dalszego nie było.

– No i? – ponagliła.

– Co? A... No i nic. Nie wiem skąd.

Wzruszyła ramionami.

– Poczekamy tu na nich? – zapytała ponownie.

– Chyba tak.

– To przejdźmy trochę w bok. – Pokazała skalne okruchy, spiętrzone u stóp prawego zbocza.

Zapytał spojrzeniem.

– Światło – rzuciła wyjaśniająco. – Dziś jest wyjątkowo jasno, mam strzelać pod światło? No co ty? – zdziwiła się szczerze. – Nigdy nie strzelałeś? Nawet z kuszy?

– Nie lubię kuszy – mruknął. – Nigdy w nic nie trafiłem.

– O... – westchnęła, przesadnie zmartwiona.

Miała ochotę podokuczać mu trochę, ale w porę przypomniała sobie, że ten człowiek wcale nie ma poczucia humoru; żartu nie pojmie, a przyjacielską kpinę gotów wziąć sobie do serca. Pokręciła więc tylko głową.

– Chodźmy do tych skał, Raner.

Poszli.

Byli na niezwykłym szlaku. Wiatr i woda, zabójcze dla brunatnej cegły, której używano w Grombie czy Badorze, zabójcze nawet dla samych Ciężkich Gór, okazały się bezsilne wobec znakomicie obrobionych kamiennych płyt i bloków, służących za budulec Shergardom.

Drogę, ułożoną z takich właśnie czworokątnych płyt kamiennych, obserwowali Karenira i Raner. Nie zdołały rozmyć jej deszcze, chociaż wypłukały podłoże, po którym biegła. Popękane tafle już tylko gdzieniegdzie przezierały spod naniesionych przez wodę okruchów wietrzejącej skały. Jednak ten wyboisty, zapadnięty tu i ówdzie gościniec wciąż stanowił najlepszy ze wszystkich grombelardzkich traktów.

Lecz gościniec ów prowadził donikąd. Poprzecinany licznymi przepaściami – bo kamienne mosty Shergardów dawno przestały istnieć – urywał się nagle w samym sercu gór, kilkanaście mil od Badoru. Czy było kiedyś miasto, do którego wiodła ta droga? Chyba nie, bo pozostałyby przecież ruiny. Wyglądało na to, że budowniczowie traktu zarzucili nagle swą pracę. Z jakiego powodu? Nikt nie znał odpowiedzi. Tak jak nikt nie wiedział, dokąd wywędrował ten potężny naród; najpotężniejszy, jaki kiedykolwiek żył pod niebem Szerni.

Karenira, usadowiwszy się między skałami, milczała zamyślona. Przeglądała strzały, wyjmując z kołczana te, które z jakichś przyczyn uznała za lepsze od innych. Widać było jednak, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

– Chciałabym wiedzieć, jacy byli naprawdę – powiedziała. – Chciałabym ich poznać.

– Kogo? – Raner obserwował szlak.

– Shergardów.

– A. No tak – powiedział i mądre to nie było.

Uśmiechnęła się lekko. Odłożyła kołczan. Obejrzał się na nią przez ramię.

– Te strzały są lepsze?

– Lepsze, co nie znaczy, że dobre. W Grombelardzie nie ma dobrych

strzał. Wilgoć – wyjaśniła.

Wyjęła łuk z łubia.

– Ja nawet ci się nie dziwię – mruknęła – że nie możesz w nic trafić. A ja? Chcesz usłyszeć, jak się ma legenda do prawdy? – zagadnęła drwiąco.

Położyła łuk w poprzek kolan.

– W Armekcie za takie strzelanie wyrzuciliby mnie z legii. Na pięćdziesiąt kroków mogę trafić człowieka, ale w które miejsce... to już się nie założę. Cięciwa raz jest mokra, a raz sucha; strzały czasem lekkie, czasem ciężkie, bo wycisnąć można z każdej wodę. Zresztą obojętne: suche, mokre... Grunt, że zawsze źle wyważone i lecące gdzie im się podoba, bo pierzyska są dobre do fiku-miku z dziewczyną i naprawdę do niczego innego. – Wzięła strzałę i połaskotała się po szyi. – Ale dostań w Grombelardzie dobre strzały do łuku! A jak już dostaniesz, to potem przez pół roku mocz na deszczu, tłucz kołczanem o skały przy wspinaczkach, wywijaj tym, depcz, siadaj, a na koniec strzelaj – zakończyła z niebywałą goryczą. – To do dupy – podsumowała. – I jeszcze ten wiatr.

Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą ich od traktu.

– Pięćdziesiąt kroków... Tu jest chyba więcej – rzekł z lekkim niepokojem. – A jeżeli nie trafisz? Pięciu to trochę za dużo.

W pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi, ciągle jeszcze zmarszczona od narzekania.

– Że co niby pięćdziesiąt kroków? – zapytała. – A... że trafiam człowieka? Ech, mówiłam o biegnącym człowieku. I w nocy – wytłumaczyła.

Przez chwilę oglądał ją bez słowa, potem wrócił spojrzeniem do drogi.

– Wiesz, Łowczyni – powiedział – czasem nie wiem, kiedy sobie ze mnie żartujesz.

Przygryzła wargi, ale zaraz parsknęła przez nos śmiechem.

– Ech, Raner! – skomentowała. – Całe szczęście, że jesteś przystojny. Inaczej...

– Idą – przerwał.

Spoważniała od razu.

– Masz. – Podała mu kilka strzał. – Gdzie?! – syknęła ze złością. – Tak trzymaj! – Pokazała jak. – Mam je zbierać z ziemi czy wbić przed sobą w te skały?

Uniosła łuk, zmierzyła wzrokiem odległość i nałożyła strzałę. Klęcząc na jednym kolanie, łagodnie napinała cięciwę. Spoglądał to na nią, to na zbliżających się ludzi. Nie oczekiwali ataku.

Mięśnie jej ramion, ściągnięte skórzanymi opaskami, spięły się i zgrubiały. Przyciągnęła cięciwę do ucha i zwolniła tak łagodnie, że

omal mimochodem. Wyrwała mu z dłoni drugą strzałę i nim pojął, co właściwie zaszło, już sięgała po trzecią.

Idący na czele mężczyzna dostał w brzuch. Krzycząc, chwycił dłońmi brzechwę. Drugi pocisk trafił go w biodro. Zatoczył się i upadł. Zaraz potem kolejna strzała przebiła szyję jego towarzysza.

Pozostali rozbiegli się, szukając schronienia. Trafiony w szyję człowiek rzeźił, miotając się w konwulsjach, po chwili wygiął plecy w łuk i znieruchomiał, dziwacznie wyprężony. Drugi mężczyzna niezgrabnie czołgał się na boku, wzywając głośno pomocy. Łowczyni spokojnie napięła łuk po raz czwarty. Jeszcze jedna strzała trafiła rannego. Oszalały ze strachu i bólu poderwał się, zarobił kolejną strzałę w kark i ostatnią w sam środek pleców.

– No, to kuszników mamy z głowy – mruknęła.

– Bardzo sprawnie zabijasz – powiedział.

Nie wiedziała, czy to zdziwienie, uznanie, czy może przygana. Bo przecież nie kpina? Raner nie umiał kpić...

– Jedna strzała rzadko wystarcza – powiedziała na wszelki wypadek, odkładając łuk i sięgając po miecz. – To nie kusza....

A jednak kpił!...

– Babska broń – powiedział z politowaniem, gramoląc się przez skały z mieczem w lewej, a pałką w prawej ręce.

Chciała chlasnąć go płazem w tyłek, ale był już poza zasięgiem.

– Ja ci dam babska! – wrzasnęła. – Głupi koniu! Żebym...

Wciąż jeszcze hałasowała, forsując skalne rumowisko, gdy długimi susami popędził w stronę kryjówki najbliższego wroga. Tamten wyrzwał zza skały i pojął, że strzelanie już się skończyło, nadciąga natomiast nowe, bezpośrednie niebezpieczeństwo. Wątpliwe, by pojął coś więcej. Okuta żelazem pała zdruzgotała mu zuchwę; cios był tak potężny, że mężczyzna poleciał do tyłu, grzmotnął łbem i plecami o ziemię, jednocześnie nakrywając się nogami. Jego towarzysze z mieczami w dłoniach rzucili się na szarżującego osiłka. Zadzźwięczało żelazo. Raner odepchnął mieczem oręż przeciwnika i znów rąbnął pałką, łamiąc wysuniętą w obronnym geście rękę. Wbił miecz w brzuch tamtego i zostawił. Wyrwał z dłoni konającego własne jego żelazo, odrzucił precz – i znów ruszył do walki, jeszcze nim zgięty wpół mężczyzna osunął się na ziemię.

Ostatni z piątki, od początku idący do boju niezbyt energicznie, teraz zaczął uciekać. Trafił na Łowczynię. Kobieta wydała mu się rozsądniejszym niż Raner przeciwnikiem, ruszył więc w jej kierunku. Trzymała miecz oburącz. Ujrzał nagie ramiona, których mięśnie chciały rozerwać skórzane opaski. Obejrzał się i zobaczył nadciągającego Ranera. Upuścił miecz pod nogi. Nie uchroniło go to przed solidnym laniem. Od kobiety dostał kopniaka, zaraz potem od mężczyzny cios

pięścią – jedno i drugie w gębę. Zatoczył się znów ku łuczniczce; ponownie kopnęła go w podbródek. Nakrył się nogami.

– No, to mamy jednego żywego.

– Tak – mruknęła. – Ciekawe: pożytek czy kłopot?

o o o

Wyglądało na to, że jednak tylko kłopot.

Idiota nic nie wiedział. Sepleniąc przez wybite zęby, plótł trzy po trzy. O niczym nie słyszał, nikomu nie służył. Przyłączył się do ludzi, którzy chcieli zapolować na Łowczynię. Puścili się w trop, licząc na nagrodę. W Badorze było o niej głośno.

– Co za dureń – powiedziała zniechęcona. – Tyle to już podsłuchałam wczoraj. I co z nim zrobimy? Hm?

Raner siedział oparty o skałę i uważnie obserwował jeńca.

– Już wiem – odrzekł, wyciągając rękę. – Łowczyni, daj mi jeden z tych swoich patyków. No, strzałę. Ale taką najgorszą, jaką masz.

– Po co ci? – zapytała zdziwiona.

– Wbiję mu ją w tyłek – rzekł, podnosząc się.

– Oszalałeś?

– Nie, po prostu inaczej nic z niego nie wyciągniemy. Przysmażyłbym mu pięty, ale ognisko to kłopot. Podczas gdy strzała... – tłumaczył, przetaczając związanego mężczyznę na brzuch; rzeczywiście myślał o tyłku.

– A co jeszcze chcesz z niego wyciągnąć? – przerwała.

– Prawdę. Zresztą cokolwiek. Nie powiedział nic wartego uwagi.

– Bo nic...

– Bo jest szpiclem Trybunału – teraz on jej przerwał. – Pamiętasz? Wydawało mi się, że poznaję jednego z tych zuchów. No, to właśnie on.

Zamilkła.

– Pewien jesteś? – zapytała po chwili.

Skinął głową.

Bez dalszych pytań wręczyła mu strzałę.

Jeniec słyszał rozmowę, ale nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy Raner usiadł mu na plecach i rozdarł spodnicę na zadku, zaczął protestować, prosić, zaprzeczać osądzeniu, prosić, tłumaczyć się, kłamać i prosić. Ale Raner nie słuchał.

– No? – zapytał groźnie.

Widać nie bardzo liczył na odpowiedź, bo zaraz wziął tęgi zamach i wbił strzałę w odsłonięty, bezbronny półdupek, a uczynił to z taką siłą, że dało się słyszeć, jak grot zgrzytnął na kości. Jeniec ryknął i pomimo więzów począł rzucać się tak gwałtownie, że strzała pękła Ranerowi

w dłoni. Bezradnie pokazał ułomek właścicielce. Skrzywiona machnęła tylko ręką.

Jeniec skowyczał, przeżywając nie byle jakie katusze. Raner sumiennie grzebał grotem w krwawiącej ranie. Przestał wreszcie.

– No?

Jeniec, stękając i płacząc, próbował złapać oddech.

– Spie...spiegowałem... – wyseplenił urywanie.

– Szpiegowałeś – przytwierdził Raner, triumfalnie spoglądając na Łowczynię.

Uniosła brwi. Przykucnęła obok głowy torturowanego.

– A dla kogo? – zagadnęła ciekawie.

– Dla Trybunału – zeznał jeniec.

– Powiesz wszystko? – upewniła się.

– Tak, pani.

– Dawaj. – Odebrała Ranerowi okrwawiony ułomek strzały. – W każdej chwili mogę mu to oddać – zapewniła, znowu zwracając się do leżącego. – Mów. Od samego początku. Jak czegoś nie zrozumiem, to zapytam albo poproszę o szersze wyjaśnienia.

Zmieniła pozycję na siedzącą, bo w kucki odsłaniała przed szpiclem widoki, na jakie nie zasługiwał.

– F górach... – stęknął – i f miastach... dzieją się dziwne zeczy...

Słuchali uważnie, co jakiś czas wymieniając spojrzenia.

Potem zostawili jeńca i odeszli na bok.

– I co myślisz? – zapytała.

– No... wynika z tego, że zabić cię chcieli właściwie przy okazji, bo po drodze, prawda? Zresztą ten pewnie nie wziąłby w tym udziału, chociaż z drugiej strony, Trybunał cię nie kocha, Łowczyni. Ale tamci szli do Jaru, do Hel-Krehiri. Gdyby jej przynieśli twoją głowę, odebraliby nagrodę. Szłaś akurat w tym samym kierunku...

– Czekał. Przecież to nie byli ludzie Kagi – powiedziała stanowczo. – Kaga nigdy nie mogła równać się z Glormem, bo jest na to za głupia i tyle. Ale swoich zbrojnych trzyma w garści chyba nawet mocniej, niż to robił Glorm. Co to, czyżbyś już zapomniał? No właśnie – mruknęła z przekąsem, po czym pokazała trupy na szlaku. – A te tutaj cudaki? Niemożliwe, by żołnierze Hel-Krehiri aż tak bardzo zesłi na psy.

Zakołysał głową: tak i nie.

– Widzisz, doborowe oddziały Krehiri... zresztą Glorma, kiedyś, tak samo... to jedno. A cudaki, jak mówisz, to cała reszta. Zbieranina. Rzezimieszki, przyznające się do tego, kto rządzi w Górach, ale właściwie... – Zastanowił się, jak to wytłumaczyć. – Właściwie nikt tym nie rządzi. Czasem umyślni wysłannicy Kragdoba albo Kagi, tacy, weźmy, jak ja, zwoływali całe tałatajstwo do jakiejś większej sprawy, gdy potrzebny był naprawdę duży oddział. Do osaczenia Brula

w Czarnym Lesie, prawda? – przypomniał.

Skinęła głową.

– Ale normalnie – podjął – raczej zabrania się takim robienia pewnych rzeczy, niż wydaje jakieś polecenia. Skubną coś w mieście, okradną niską wioskę i z powrotem uciekają tutaj. Przestrzegają zakazów, bo co mają robić? W tym sensie są to ludzie Hel-Krehiri. Wiedzą, że nie wolno im ściągać od nikogo haraczu, nie wolno atakować kupieckich karawan i tak dalej, bo to sprawa dla lepszych i silniejszych od nich. Nie posłuchają? No, to taki Raner – popukał się palcem w pierś – albo ktoś podobny poukręca im łby, prawda?

– Prawda, prawda – rzekła trochę zniecierpliwiona. – Znam góry, Raner, i wiem, jak to działa. Prawda? – przedrzeźniała go bez litości. – Ale o co innego mi chodzi. Powiedz, czy to normalne, że byle rzezimieszek wie, gdzie szukać Hel-Krehiri? Nawet taki Raner – ironicznie popukała go w pierś – nie wie, gdzie właściwie jest teraz jego komendantka. Może w Jarze, a może gdzie indziej. Jakoś wszyscy ciągną do tej wioski. – Zastanowiła się. – Opuściłam dwór i wybierałam się właśnie do Jaru. Spotykam starych przyjaciół, Armę i Ranera, „świetnie”, mówią, „właśnie chcemy posłać kogoś do Jaru”. Jakaś hołota chce do Hel-Krehiri. Gdzie idą? Do Jaru. Marny szpicel, ostatni ze szpiegów Trybunału, zabiera się z nimi, bo gdzie chce? Do Jaru. Podobno przepadł oddział rahgarskich gwardzistów... Pewno siedzą w Jarze – zakpiła. – Mówię ci, niedługo będą tam wszyscy. Może poza jedną jedyną Hel-Krehiri. Jar, nowa stolica Grombelardu.

– Nie, to mała wioska, nie da się tam zrobić stolicy – powiedział z właściwą sobie zdolnością odczytywania żartu. – Ale coś w tym jest, w tym, co mówisz. Najlepiej...

– Mm?

– Najlepiej sprawdźmy. Chodźmy do tego Jaru.

Wrócili po bagaże.

– No i co z tym durniem? – zapytała, spoglądając na jeńca. – Nie morduję ludzi z zimną krwią, zresztą za co toto mordować? Ale wlec go ze sobą? Puścić? Sama nie wiem.

Raner wzruszył ramionami i bez ceregieli zatłukł szpicla pałką.

– Nie waż się, przestań! – wrzasnęła, było już jednak za późno. Raner miał naprawdę ciężką rękę. Ze wstrętem odwróciła spojrzenie.

– Jak ty przeżyłaś w tych górach, to ja nie wiem – powiedział, ścierając z broni krew i przylepione włosy. Wytarł dłoń o kubrak zabitego.

– Widać jakoś jest to możliwe. – Pozbierała wolno swoje rzeczy i poszła.

– Hej, Łowczyni! – zawołał.

Odwróciła się, celując w niego palcem.



– Trzymaj się z daleka ode mnie – ostrzegła. – Zatłukłeś go jak psa. Nie jesteś wcale lepszy niż on.

Raner rozgniewał się.

– A kto powiedział, że mam być lepszy, co?! Czekał no, chcę usłyszeć! – rzucił ostro, podchodząc. – Wydaje ci się, że kim jesteś, wasza godność? Strzelać z łuku tchórzliwie i z ukrycia to jest dobrze, to jest bardziej szlachetnie? Jest człowiek i nie ma człowieka! Tak jak tamten. Szedł i mówił, a zaraz potem zdychał i nawet nie wiedział, kto go zabija. Strzała za strzałą! Ale pałą? Pałą to niedobrze, to źle!

– Skończyłeś?

– Nie skończyłem! Zabiłem go, bo w górach się zabija, ale chociaż potrafiłem spojrzeć mu w oczy! A ty?

– Skończyłeś? – powtórzyła.

Podszedł bliżej.

– Łowczyńni, ty jesteś grombelardzką pomyłką – powiedział. Już nie krzyczał. – Taką... taką dziewczicą bez cnoty. Pasujesz do tego, co właśnie dzieje się w Górach, naprawdę pasujesz. Tutaj wszyscy, zamiast robić to, co trzeba, nagle zaczęli robić rzeczy dziwne i nietrzymające się kupy. Jak kobiety. A ty jesteś kobietą – zabrzmiało to jak obelga. – Jesteś niekonsekwentna – starannie wymówił bodaj najtrudniejsze ze znanych mu słów.

Trzasnęła go w gębę. Potem stała przez chwilę, jakby czekając, czy mężczyzna powie coś jeszcze.

Odwróciła się.

– Chodź, Raner. No? Idziemy czy nie?

Po długim, długim czasie – bo uszli może z pół mili – odezwała się znowu:

– Dostałeś po gębie, bo masz rację.

## ROZDZIAŁ 20



U wejścia do rozpadliny, nie dalej jak o dwa strzały z łuku, wznosił się mur. Cofnęli się ostrożnie, kryjąc za nieforemną piramidą skał.

– Znasz to miejsce? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nigdy tu nie byłam. Od dawna wiem o tej wiosce, bo wiem chyba o wszystkich, jakie są w Ciężkich Górach, a przynajmniej w tych okolicach.

Ale nigdy nie korzystałam z gościnności mieszkańców, przecież to jaskinia zbójcka. Zawsze nią była.

– Zdaje mi się, że nikogo tu nie ma – powiedział. – Mur cały, ale nie widać wartownika. Byłem tu parę razy, zawsze ktoś pilnuje bramy. Zresztą zobacz: czy przypadkiem nie jest uchylona?

– Można jakoś niepostrzeżenie sforsować ten mur? Na przykład w nocy? – zapytała, ale zaraz wzruszyła ramionami. – To głupie... Jasne, że nie.

– W nocy muru pilnuje co najmniej dwóch ludzi.

– A górą? Można ze szczytu zbocza spuścić się po linie?

Pokręcił głową.

– To samobójstwo. Te skały są zwietrzałe, strącisz parę okruchów i narobisz hałasu. Już nie mówiąc o tym, że to pomysł zupełnie karkołomny, nawet gdyby nikogo nie było na dole... – Zmarszczył czoło.

– Posłuchaj, dlaczego niby mielibyśmy zakradać się tam? To wieś Hel-Krehiri. Prawda? Obojętne, czy ona tam jest, czy nie... – Urwał nagle i zamyślił się. – Zresztą tam naprawdę chyba nie ma nikogo – powiedział.

– I nie sądzisz, że to podejrzane?

– No tak. Ale co? Siedzą w domach i jaskiniach? Jak długo? To ma być pułapka czy co?

Rzeczywiście, nie miało to sensu.

– Nie uśmiecha mi się tak po prostu tam iść. Bo jeśli jednak tam ktoś siedzi... Czy to przypadkiem nie Kaga wyznaczyła za mnie nagrodę? – zagadnęła kwaśno Karenira.

Jej towarzysz zmieszał się lekko.

– No tak. Ja... nie myślałam, żebyśmy szli tam razem. Hel-Krehiri nie wie, że porzuciłam służbę u niej.

– Że zdradziłaś – powiedziała słodko. – Takie „porzucenie” jak to twoje to zdrada. Jesteś zdrajcą, misiaczku, a za chwilę, jak tylko tam pójdziesz, będziesz zdrajcą i szpiclem zarazem.

Nie posiadała się z radości, oglądając krwawy rumieniec na policzkach i czole mężczyzny. Przełknął ślinę.

– Tak – powiedział. – Na to wygląda.

Nie usprawiedliwił się ani słowem, chociaż mógł. To jej zaimponowało.

– No, no – powiedziała. – Przepraszam, Raner. Myślę, że to, co robisz, jest słuszne. Niepotrzebnie ci dokuczyłam.

Przedostali się z powrotem do miejsca, skąd lepiej było widać bramę. Rzeczywiście wyglądało na to, że jest lekko uchylona. Przez dłuższy czas obserwowali mur i wrota, ale nie dostrzegli nic godnego uwagi.

– Może z góry? Z urwiska?

– Zanim tam wleziemy, będzie noc.

– No dobrze, więc chodźmy tam po prostu. Do tej wsi – zaproponowała. – Oboje. Niczego się nie dowiemy, leżąc tutaj.

Dla odmiany wątpliwości zaczął mieć Raner.

– Wchodzimy wilkowi w gardło. A jeśli...

– To trudno, poradzimy sobie. Raner, co nam się stało? Jeszcze chwila, a zaczniemy uciekać.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Mam... złe przeczucie.

– Miewasz przeczucia, Raner?

– Miewam, Kareniro – rzadko mówił jej po imieniu. – Lepiej, żebym poszedł tam sam. W razie czego przyjdiesz mi z pomocą.

– Komu przyjdę z pomocą? Zabitemu? Nie – ucięła. – Razem poradzimy sobie łatwiej... zresztą tam nikogo nie ma, no tak? Raner, przecież ja całkiem niedawno wybierałam się tu sama. Planowałam to już w Grombie.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałas, że za twoją głowę jest nagroda – zauważył nie bez racji. – Jeśli...

– Chodź, Raner – nagle w jej głosie pojawiło się znużenie. – Jeśli, jeśli... Ja też mam złe przeczucie – przyznała. – Ale może zbyt długo już biegam po tych górach? Sama nie wiem. Starzeję się, Raner – dorzuciła cicho.

Chciał coś powiedzieć, ale pokazała mu rękę. Zgięła palce i rozprostowała powoli. Na twarzy miała niewyraźny grymas.

– Widzisz? Boli... – powiedziała niegłośnie. – Nigdy jeszcze nie strzelałam tak źle, jak do tego tam, na szlaku Shergardów. Pięć strzał, Raner. Dziś czy jutro... Co za różnica?

Pokręcił głową.

– Przestań, to głupie. Mamy iść, to chodźmy.

Skinęła głową. Po chwili nawet uśmiechnęła się lekko.

– Rzeczywiście głupie. No właśnie. Lepiej chodźmy, Raner.

Podnieśli się i poszli.

Brama istotnie była niedomknięta. Wymienili spojrzenia. Łowczyni już wcześniej wyjęła łuk i kilka strzał. Niosła broń w lewej ręce w sposób, który wyglądał na zupełnie naturalny. W okolicach, gdzie z bronią chodził każdy, noszenie jej na wierzchu nie mogło wzbudzać podejrzeń – tym bardziej że w Grombelardzie naprawdę mało kto wiedział, co to jest kołczan i łubie. Tak samo niewinnie prezentował się Raner. Swoją pałkę niósł na ramieniu, zawiesił na niej sakwy z jedzeniem, przez co groźny oręż nieco mniej rzucał się w oczy.

Stanąwszy przed bramą, Raner mocno pchnął nogą jej uchylone skrzydło. Brama, skrzypiąc, rozwarła się szerzej.

Wiatr, dosyć silny i porywisty, wiał im prosto w plecy i tym tylko dało się wyjaśnić, że dotąd nie wykryli fetoru gnijących trupów, których wygląd świadczył, że leżały od paru dni. Zabitych ludzi było coś dwudziestu; ciała leżały w różnych miejscach wsi. Martwe dłonie niektórych wciąż jeszcze trzymały oręż. Przeszedłszy przez bramę, Karenira zbliżyła się do rowu, odprowadzającego nadmiar wody. Teraz nie był potrzebny... Ujrawszy, co w nim jest, kobieta cofnęła się i pobladła.

– Nie – powiedziała z większą niż zazwyczaj chrypką. – Nie pójdę tam.

Po raz pierwszy Raner widział Łowczynię naprawdę przestraszoną.

– Nie, Raner. Nie pójdę – powtórzyła, choć nie oponował. – Ja... ja wtedy myślałam, że to żart. Ja żartowałam, Raner...

Skinął głową i ze ściągniętą twarzą powoli ruszył wzdłuż rowu.

Rów stanowił zbiorową mogiłę kocich gwardzistów gadba. Trupów było wiele, bardzo wiele, ale ile dokładnie, nie dało się powiedzieć. Zabitych poćwiartowano. Raner czuł się niewiele lepiej niż towarzysząca mu kobieta. Widywał pobojojiska. Ale teraz stał nad otwartym grobem tego, co zwykł był uważać za... prawie niezniszczalne. Niewidzialnych, nieuchwytnych rahgarskich gwardzistów nie nazwano mordercami bez powodu. W Ciężkich Górach nie istniało nic, co mogłoby zagrozić temu oddziałowi całkowitym zniszczeniem. A jednak Raner widział na własne oczy to, co pozostało z najwspanialszej wojennej legendy wszystkich czasów. Widział wybitych do nogi, porozrywanych na strzępy i wrzuconych do dziury w ziemi gwardzistów gadba. „Morderców z Rahgaru”.

Obejrzał się. Jego oczy spotkały się z oczami Kareniry.

Mimo wcześniejszych zapewnień ruszyła powoli jego śladem. Wyprostowana, patrzyła przed siebie, starając się nie zaglądać do rowu. Podeszła tuż i wtedy Raner zobaczył, że kobieta ma mokre oczy.

– Raner, kto im to zrobił? Kto mógł... kto potrafił to zrobić? Raner?

Zagryzając usta, raz jeszcze zajrzała do kociej mogiły.

– Raner... ja pewnego dnia po prostu ten kraj... pokochałam – powiedziała, nie kryjąc płynącej po policzku łzy. – Tutaj nic nie ma, zupełnie nic... Oprócz legend. Najwspanialszych legend na świecie. Ten kraj składa się z legend, a oni są... oni byli jedną z największych. Największych i najpiękniejszych. Raner, coś zabija grombelardzkie legendy. Grombelard bez legend... to tylko wiatr i deszcz.

Poszła dalej.

– Ja zabiję to coś. Słyszysz, Raner? Zamorduję bez cienia litości. Znajdę i zamorduję – powtarzała zdławionym głosem. – Tak jak to coś wymordowało najlepszych wojowników na świecie. Zabiję to, Raner, przysięgam. Sprzymierzę się z każdym, kto mi pomoże. Jeśli przyjdą do mnie sępy... to sprzymierzę się, Raner, z sępami.

Odwróciła się i patrzyła mu w oczy.

– Przysięgam ci, Raner. Na wszystko, co dla mnie święte. Na armektańskie Równiny... I na moją miłość do człowieka, który zamiast mnie wolał Dartan. Przysięgam, Raner, że zabiję to coś.

o o o

Oparta o ścianę jednego z domów, daleko od okropnego rowu, wodziła dokoła wzrokiem. Wiele różnych myśli snuło się jej po głowie.

Raner chodził po wsi, zaglądał do domów i jaskiń. Usiłował zrozumieć, co właściwie zdarzyło się w Jarze.

Grombelardzka wieś... Wysoka wieś. Tak mówiono o podobnych sadybach.

Trupi odór przyprawiał o mdłości. Pomimo zmian wywołanych gniciem Karenira łatwo poznała, co zabiło ludzi. Ostrogi kocich hełmów zadawały rany szczególnego rodzaju.

Ale co zabiło gwardzistów, nie wiedziała. Oglądanie rozkawałkowanych kocich zwłok było ponad jej siły i musiał uczynić to Raner. Nie zdołał uzyskać odpowiedzi. Szukał strzał albo bektów – nie znalazł. Zabito z kuszy dwóch ludzi, co świadczyło o tym, że żołnierzom pomagał dwunożny wojownik. Ale spośród kotów ani jeden nie zginął od bektu.

Raner zniknął w kolejnej jaskini. Wyszedł z niej po chwili.

– Kareniro...

Jaskinia przedzielona była kratą z mocno powiązanych drewnianych żerdzi. Dienne światło wpadające przez wejście nie radziło sobie z mrokiem, zalegającym kąty. Łowczyni wyteńczyła wzrok. Podeszła do samej kraty. W głębi, na ziemi, leżał bezkształtny toból, naszpikowany

bełtami z ciężkiej, napinanej korbą kuszy. Minęło parę chwil, nim Karenira pojęła, że ogląda nagie, bezgłowe ciało Hel-Krehiri. Uczyniwszy dwa chwiejne kroki w tył, potknęła się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał jej Raner.

– To nie wszystko – powiedział. – Patrz tu.

W pęknięcia na ścianie jaskini powbijano drewniane kołki. Do jednego przywiązano za włosy głowę Pani Łez. Tuż obok wisiała głowa czarnego kota. Wieńcząca hełm ostroga była ułamana w połowie.

Raner wyprowadził ślaniającą się na nogach kobietę przed jaskinię. Jej blada twarz wydawała się o dziesięć lat starsza. Twarda wojowniczką, od lat samotnie przemierzająca górskie szlaki, tym razem spotkała się z czymś, co ją przerosło. Nie umiała pogodzić się z tym, co zobaczyła.

– Nie tak... – powiedziała słabo. – Dlaczego tak?

Usiedli pod ścianą wąwozu.

– Pomordowani... Raner, dlaczego? Dlaczego w ten sposób, powiedz? Czy to jest śmierć dla kogoś takiego jak ona? Zastrzelono ją za tą kratą i strzelano dalej... kiedy już nie żyła. Ile razy, Raner? Trzydzieści? Kto to zrobił, powiedz? A potem... potem uciął jej głowę.

Głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Chodźmy stąd... Nie zostanę w tym miejscu ani chwili dłużej.

Wcisnął jej do ręki łuk i strzałę.

Nawet nie wiedziała, kiedy odebrał jej broń. A może ją upuściła?

Zacisnęła dłoń na łączyisku, aż zbieleły kostki palców. Powoli dochodziła do siebie.

– Chodźmy stąd.

Bez słowa pozbierał rzeczy. Zarzucił sakwy na ramię. Ruszyli ku bramie wzdłuż rowu.

Raner umarł tak, jak umrzeć nie chciał. Zupełnie nagle wypłynęły z pamięci i rozbrzmiały jej w uszach słowa, które wypowiedział tak niedawno – i pojęła, jak wiele było w nich lęku. Powiedział: „Zabić tchórzliwie, z ukrycia...”. I to, że miał odwagę spojrzeć tamtemu w oczy... Bał się śmierci, którą pośle mu z daleka niewidzialny zabójca, będący poza zasięgiem jego potężnych mięśni. Najbardziej na świecie obawiał się – bezradności.

Morderca nie spojrział mu w oczy.

Kiepska, byle jak opierzona, wystrzelona ze słabego łuku strzała trafiła go w brzuch. Karenira krzyknęła, rzucając się na ziemię. Przetoczyła się na plecy, osada pocisku dotknęła cięciwy... Z gotową do strzału bronią łuczniczka szukała celu. Ale nie widziała nikogo.

– Raner, nie! – wrzasnęła. – Zostaw!

Siłacz próbował wyrwać z rany strzałę, gdy nadleciała druga. Trafiony w biodro, klęknął ciężko obok upuszczonych bagaży.

– Raner! – krzyknęła raz jeszcze z rozpaczą i przerażeniem; wciąż nie miała do kogo strzelać.

– Uciekaj – powiedział. – Karenira, uciekaj stąd. No, szybko!

Nadleciała skądś trzecia strzała... i Łowczyni wiedziała już, gdzie trafi. Lodowata obręcz ścisnęła jej gardło.

– Nie – powiedziała. – Nie, proszę...

Niechybny łucznik urządził sobie upiorną zabawę. Widział... musiał widzieć, jak strzelała do człowieka na trakcie. Był tam i widział wszystko. Arcymistrz łuku, ukryty w górskiej wiosce, szydził z niej, powtarzając kolejno haniebne kiksy... Miał dla Ranera pięć strzał, dokładnie tyle. Już wiedziała.

– Uciekaj – rzekł raz jeszcze, spokojnie i rozkazująco. – No już. Powiedziałem uciekaj.

Odgadła jego zamiar.

– Nie plecami! – wrzasnęła rozpaczliwie. – Nie odwracaj się... Raaaaneer!!

Wypuściła łuk i rzuciła się ku mężczyźnie, próbując zapobiec temu, co zaraz miało nastąpić. Nie zdążyła.

Kłęcząc, Raner sięgnął do tyłu, skracając ciało w biodrach. Podniósł z ziemi swoją pałkę i dostał strzałę w kark.

– Nie! – zawyła. – Nie tak, błagam, nie jego!

Chwyła rannego towarzysza za rękę, ale on wciąż jeszcze był od niej silniejszy. Chciała go odciągnąć gdzieś na bok, choć nie miało to wcale sensu... Nie pozwolił. Wypluł z ust czerwoną strużkę śliny, dźwignął się raz jeszcze, przewrócił ją i osłonił szerokimi barami – bo nie wiedział tego co ona i bał się, że następna strzała będzie dla niej.

– Uciekaj, głupia...

Drgnął pod ostatnim uderzeniem. Jeszcze przez krótką chwilę kłęczał wyprostowany, nim upadł twarzą do ziemi, zanim zdołała go podtrzymać.

Wyjąc jak wilczyca, chwyciła wąty patyczek sterczący z pleców zabitego, jakby chciała w ten sposób odwrócić to, co już się zdarzyło. Ale nie było odwrotu. Raner zginął w sposób, który – nawet o tym nie wiedząc – sama dla niego wybrała.

Ze zdławionym gardłem podniosła się powoli i czekała, wypatrując zabójcy. Myśli biegły szybko, łączyły się i uzupełniały... Nie czuła już strachu, tylko nienawiść i wściekłość, że została w taki sposób wyszydzona.

Ale była łuczniczką – i obok tej wściekłości drżało niedowierzenie oraz zwykły lęk przed nieznanym. Ktoś, kto umiał posłać Ranerowi pięć takich strzał, był najlepszym łucznikiem na świecie. Taki człowiek siedział w grombelardzkiej wiosce... Teraz mogła stać lub leżeć, czołgać się, biec prosto albo jakkolwiek. Nie miała najmniejszych szans.

– No dalej! – powiedziała bezgłośnie. – No, strzelaj wreszcie, człowieku... o ile w ogóle nim jesteś.

Zrobiła dwa powolne kroki.

– Pokaż się – szepnęła. – No, pokaż się! – wrzasnęła z całej siły. – Gdzie jesteś?! Już nie trzymam łuku, możesz wyjść! Możesz wyjść i spojrzeć mi w oczy, bo jemu nie spojrzalesz, ty szczurze!

– Łowczyni, bardzo głośno krzyczysz – usłyszała czyjś głos. – Chodźże tu.

Odwróciła się gwałtownie. Na progu jednej z chat siedział... a właściwie pólleżał jakiś człowiek pozbawiony nóg. Jeden kikut wyzierał spod spódnicy.

– Nie pamiętasz mnie – stwierdził. – No proszę, nie pamiętasz kogoś, z kogo uczyniłaś kalekę. Miałbym o to słuszny żal do ciebie, ale sam to sprawilem. Trudno gniewać się na własne dzieło.

– Kto strzelał? – zapytała.

– Czy to jest dla ciebie najważniejsze? Ale dobrze. Ja.

To rzekłszy, uniósł rękę. W dłoni pojawiła się strzała. Cisnął ją niedbale w powietrze i patrzył, jak wyprysnęła do góry, zawróciła i kręcąc obszerną spiralę, dotarła do ściany domu. Utkwiła o łokieć od progu – tam, gdzie spojrział.

– Kim jesteś? – zapytała zdławionym głosem.

– Kimś, komu twój miecz odjął nogi. Ale przecież nie pamiętasz? O, to przykre. Sprzymierzyłaś się z Brulem przeciw mnie. Prawda, wszyscy sądzą, że było akurat odwrotnie. Że twym wrogiem był Brul, nie ja...

Przecząco pokręcił głową.

– Brul-lah'agar dobrze rozumiał Szerń. Ale, właśnie, był tylko uczonym Szerni i potrzebował miecza. Oraz kogoś, kto potrafi go trzymać. Przyszedł do Łowczyni i poprosił o pomoc, a mężna i szlachetna Łowczyni chętnie mu tej pomocy udzieliła. Jak zwykle głupia, bardziej niż zwykle bezmyślna... Brul był niezwykle groźnym przeciwnikiem – w głosie kaleki zabrzmiał szczery szacunek – i gdyby twój miecz był na miarę jego rozumu... Ale nie był. Zesłałem na Brula szaleństwo, a on chętnie podzielił się nim z tobą. To, że mało pamiętasz, to już moja wyłączna zasługa.

Milczała z nieruchomym spojrzeniem wbitym w okrytą cieniem twarz mężczyzny.

– Siedzę tu i czekam – rzekł z nagłym gniewem. – Całymi miesiącami karmię jakąś kocięcę ubraną w ludzką skórę, a po co? Żeby zamiast ciebie przywołała tu jakieś stado! Złazi się tu wszystko, co żyje!

Nieoczekiwanie znowu zmienił ton.

– W tym wężowozie leży Wstęga Aleru – powiedział cicho i łagodnie. – Cała Wstęga, nie jakieś szczątki. Dość ją zbudzić i podnieść. Przyjdzie na to czas. Już niedługo. A tymczasem mam ciebie, Łowczyni. Ach,



Łowczyni! – roześmiał się głośno. – Ależ mnie bawiło to miano! Zawsze mnie bawiło, naprawdę. Chciałaś, żebym spojrzał ci w oczy – rzekł ostro. – No to... wedle życzenia.

Pochylił się i ujrzała jego źrenice. A wtedy pojęła, że nie można uciec przeznaczeniu... Wiele razy widziała takie oczy, nauczyła się opierać ich sile. Ale teraz była bezbronna – bo nieprzygotowana.

Głęboko, do samego dna jej umysłu i duszy, wdarło się spojrzenie niebędące spojrzeniem człowieka. Patrzyły na nią oczy śmiertelnego wroga...

Oczy sępa.

– Uklęknij – polecił.

Przyglądał się z zaciekawieniem, potem zamyślił na krótko.

– No, Łowczyni, czy wiesz już, jakiej śmierci na pewno byś nie chciała?

Zamilkł i wyraźnie czekał na odpowiedź. Klęcząc, bezgłośnie poruszyła ustami. Ujrzała naraz całe swoje nieudane życie – od momentu gdy znalazła się w Grombelardzie. Swoją pierwszą przegraną walkę z siłą sępich oczu. Potem człowieka, którego kochała... a który rozumiał to, czego nie pojęła ona: że nie mogą być szczęśliwi w Grombelardzie. W myślach zaczęła go prosić o pomoc. Był władcą Ciężkich Gór, tutaj nic nie mogło mu się oprzeć.

– Szybciej, Łowczyni – ponaglił sęp. – Kragdob wróci w Góry prędzej albo później i niewiele z tego wyniknie. A dla ciebie zupełnie nic. Nie myśl teraz o nim, tylko o gatunku, który prześladowałaś. Pomyśl o tym, za co i dlaczego. Ludzie także wyrządzali ci krzywdę. Czy z tego powodu mordowałaś ich wszystkich bez wyboru? Myśl, myśl!

Pokiwał głową.



– Ale to chyba na nic. Zobacz: znowu ktoś musi pomyśleć za ciebie. Zdaje mi się, że dostałaś w darze miecz? Tak, ten właśnie. Wbij go sobie w brzuch. Powoli i bardzo głęboko... Powoli, powiedziałem. Czekał, przestań! Obróć się do mnie bokiem, chcę dobrze widzieć, jak wchodzi. O tak, teraz znowu wpychaj... Jeszcze głębiej. Kiedyś ktoś ci oddał swoje oczy. Potem umarł, nieprawdaż? Pora spłacić dług.

Z ciekawością patrzył, jak kobieta z nabrzmiałą twarzą i wytrzeszczonymi oczyma nawleka się na trzymany oburącz miecz. Stękała bełkotliwie, przeciągle. Sztych powoli zagłębiał się w ciało, krew spływała po głowni aż do jelca, coraz gęściej kapiała na ziemię.

– Przestań, wystarczy. Teraz chodź.

Podniosła się i stała zgięta, na rozdygotanych nogach. Z ust wypłynęła strużka krwi. Także spod spódnicy zaczęły kapać na ziemię grube czerwone krople.

– Chodź ze mną – rozkazał.

Podpierając się dłońmi, z wysiłkiem i niezgrabnie sunął przodem, pokazując drogę. Uczyniła niepewny, krótki krok, potem drugi... Charkotliwie oddychając przez krew, wsparta dłońmi na tkwiącym w brzuchu mieczu, powłóczyła nogami, zmierzając ku jaskini, w której wisiały głowy. Gdy zabrakło sił, opadła na kolana i czołgała się dalej, na klęczkach.

– Bez pośpiechu, mamy dużo czasu – powiedział strofująco.

Był wyrozumiały i cierpliwy. Przyglądał się z ciekawością.

– Połóż się – polecił, gdy dotarła do miejsca, gdzie czekał.

Legła na boku, skurczona. Umierała, czując to każdym kawałkiem udręczonego ciała. Popatrzył na nią i sięgnął po płaski, ostry kawałek skały.

Z szarych oczu, które kiedyś otrzymała w darze, spływały ogromne łzy.

Wepchnął skalny odłamek w jeden z oczodołów. Kobieta charczała, zaciskając zęby. Krew mocniejszym strumieniem wypłynęła spomiędzy skurczonych warg.

– Patrz tutaj – rozkazał, pokazując wyrwane oko. – Ostatnia rzecz, jaką widzisz... Co? – zapytał, wciskając okrwawiony kamień w drugi oczodoł. – Ty ciągle tylko zło! Zło i dobro, wciąż dobro i wciąż zło... Skąd ta wiedza bezcenna? Niczego się nie nauczyłaś.

Wyrwane oczy rozgniółł na miazgę.

– Nie jest celem świata podróż do dobra albo zła – wytłumaczył. – Wiesz, co jest tym celem? No przecież, że nie wiesz. Podczas gdy ja – wiem.

Wyszarpnął miecz z jej brzucha. Targnęła się, wyprężyła i znieruchomiała, przyciskając ręce do rany.

Niezręcznie przecinał szyję. Włożył trochę wysiłku, by przerąbać

kręgosłup.

– Więc nie próbuj być mądrzejsza ode mnie. Wiedza. Do oceny czyichś działań potrzebna jest wiedza. Mój gatunek zdobywał ją przez wieki. To, co teraz robię, jest po prostu właściwe, obojętne zatem, złe czy dobre.

Uniósł głowę za warkocz i przywiązał do kołka niedaleko głowy Hel-Krehiri. Z półotwartych ust kapnęły ostatnie, spóźnione krople krwi, dwie czerwone strużki spłynęły na policzki z martwych oczodołów.

– Obojętne, złe czy dobre – powtórzył, odpoczywając. – A że cię nie lubię, to osobna rzecz.



**Część trzecia**  
**Prawa Całości**

## ROZDZIAŁ 21



**W**icher przyniósł ulewę. Wiatr i deszcz codziennie gościły w Grombelardzie – ale takiego wiatru i takiego deszczu Ciężkie Góry nie widziały od lat. Ulice Grombu przemieniły się w rzeki. Pomimo rowów odwadniających siłą pędzącej wody była taka, że z nastaniem nocy nie dało się zamknąć miejskiej bramy, nie opuszczono nawet brony. Grombelardzka stolica tonęła. Przepusty pod murami, którymi zwykle wydostawał się nadmiar wody deszczowej, okazały się zbyt ciasne, wkrótce zresztą zostały zatkane przez to wszystko, co pędzące strumienie zdołały zebrać z ulic. Nikt w Grombie nie spał tej nocy. Z rosnącą trwogą mieszkańcy czekali na koniec kataklizmu.

Wycie wiatru i huk spływających z nieba wodospadów nie pozwoliły zasnąć także jej wysokości Werenie, małżonce N.R.M.Rameza, Księcia Przedstawiciela Cesarza. Stara twierdza, przemieniona w książęcą rezydencję, zdawała się drzeć w posadach. Werena leżała w wielkim łożu skulona, walcząc z chęcią skrycia głowy pod poduszką. Ciężkie Góry, Gromb, wreszcie cała warownia wydawały się jej zawsze niezniszczalne. Ponure, zimne – przecież dawały poczucie bezpieczeństwa, sprawiały wrażenie niewzruszonych i niepokonanych. Naraz Werena ujrzała, że krępe budowle grombelardzkie mogą być zaledwie igraszką dla żywiołu. Tej nocy księżna mogłaby uwierzyć, że Pasma Szerni powołały do istnienia jakiegoś demona wichru i deszczu, którego przeznaczeniem było zetrzeć z powierzchni ziemi całe Ciężkie Góry.

Wycie i huk na zewnątrz spotężniały – ulewa przybrała na sile! Werena zerwała się i stanęła na zimnej posadzce, czując napływ prawdziwego przerażenia. Postąpiła dwa kroki w stronę okna, lecz cofnęła się, przesyta dreszczem. Sięgnęła po futro, ale nim zdążyła okryć nagie plecy, bezcenne dartańskie szyby, osadzone w posrebrzanych ramkach, zostały wgniecione do komnaty uderzeniem wichury. Mokry podmuch cisnął w kobietę okruciami szkła, wyrwał jej z rąk futro i potargał włosy. Krzyknęła, odruchowo osłaniając twarz

przedramieniem. Skaleczona okrucieństwem szkła ruszyła ku drzwiom, bezlitośnie smagana przez hulający w komnacie wiatr. W ciemnościach zawadziła stopą o stojący przy łożu podnózek i straciła równowagę. Na czworakach poczołgała się do drzwi i próbowała je otworzyć, aż nagle rozwarły się same. Liżący ściany sypialni jęzor wichru natychmiast sięgnął ku następnym pomieszczeniom, porwał płomień z wiszących na ścianach świec i zgasił je swą wilgocią. Nie wszystkie... W słabym migotaniu pochylonych ogni Werena ujrzała pałacowych gwardzistów, zwabionych hałasem w jej sypialni. Zdyszana, z szeroko otwartymi oczami, wyciągnęła rękę...

– Wasza wysokość!

Żołnierz rzucił włócznię i bez chwili wahania klęknął przy wystraszonej kobiecie. Dojrawszy krew na policzku, krzyknął na kolegę, który z nastawioną bronią natychmiast wbiegł do sypialni, by sprawdzić, czy nie dostał się tam jakiś zamachowiec. Tymczasem pierwszy gwardzista, nie pytając o nic, pochwycił księżną na ręce i uniósł. Widok prostego żołnierza, trzymającego w ramionach nagą, obejmującą go za szyję córkę Imperatora, mógł wprowadzić w osłupienie. Jednak oboje byli Armekańczykami; gotowi przestrzegać form, bawić się w grzeczności i tytuły, odrzucali je natychmiast, gdy stawały się zbędnym ciężarem.

Dotarłszy do jednego z dziennych pokojów księżnej, gwardzista posadził dochodzącą do siebie kobietę w fotelu i obejrzał skaleczenie na policzku. Przekonawszy się, że to nic groźnego, okrył jej wysokość mundurową tuniką ściągniętą z własnego grzbietu, po czym natychmiast odzyskał należyty dystans. Odstąpiwszy z szacunkiem, czekał na rozkazy.

Tymczasem wrócił jego towarzysz. Zamachowca nie znalazł – w zamian pomyślał o leżącym na posadzce futrze, zgubionym przez jej wysokość. Księżna otuliła się nim, oddała tunikę i podziękowała żołnierzom gestem, więc natychmiast opuścili komnatę.

Wkrótce przyniesiono więcej światła, w pokoju pojawiła się służba. Skaleczenie opatrzone, otulono jej wysokość dodatkowymi futrami, podano grzane wino. Gorączkowa bieganina pozwoliła odsunąć myśli o żywiołach, kłębiących się za murami pałacu.

Ale pośród licznych osób, które otaczały księżną, zabrakło najważniejszej: nie pojawił się jej małżonek. Przez kilka ostatnich miesięcy książę Ramez zaprzątnięty był ważniejszymi sprawami niż zdrowie i samopoczucie żony. A od kilku dni – owe ważne sprawy pochłonęły go już bez reszty.

Otoczona przez troskliwych lub dobrze troskliwość udających ludzi, księżna szybko doszła do siebie. Wszystkie obawy i lęki pozostały w pustej sypialni; wycie wichru teraz nie było już jedynym docierającym

do uszu odgłosem. Okazało się, że świat wciąż istnieje i właściwie nie bardzo się zmienił... Może trochę niezwykle było, że o tak późnej porze prawie nikt nie wyglądał na człowieka wyrwanego ze snu. Poza tym wszystko w pałacu wydawało się zupełnie zwyczajne.

Odprawiwszy większość zgromadzonych, księżna pozostała w towarzystwie dwóch niewolnic. Obie były kobietami mającymi bardzo szczególny status. W Dartanie niewolnice tej rangi nazywano Perłami Domu – przyjęto tę nazwę wszędzie i nie bez kozery zaiste. Ich wartość w złocie sięgała sum dla zwykłego człowieka prawie niewyobrażalnych, lecz właśnie dlatego dom niemający Perły nie liczył się zupełnie.

Z niejasnych powodów większość nabywców przywiązywała dużą wagę do pochodzenia Pereł; była to jakaś dziwna moda. Handlujące Perłami hodowle pieczołowicie oznaczały więc na certyfikatach krew (a więc rasę, bo nie narodowość – przedmiot nie mógł mieć narodowości) płynącą w żyłach niewolnic: dartanka, armektankogaryjka...

W armektańskich domach spotykało się przeważnie dartanki, w dartańskich – akurat odwrotnie.

– Leneo – odezwała się księżna – jego wysokość Ramez, mój mąż... Gdzie on jest?

Ruda jak ogień trzydziestoletnia kobieta zbliżyła się i z namysłem zaczęła poprawiać potargane włosy swojej pani. Nosila ozdobioną szlachetnymi kamieniami, haftowaną złotem wygodną domową suknię, której wartość urągałaby zdrowemu rozsądkowi – gdyby nie to, że Perła była klejnotem wymagającym należytej oprawy. Armektańczycy, zazwyczaj nieskłonni do okazywania zamożności, w przypadku Pereł czynili wyjątki.

– Pytałam – ponagliła księżna – gdzie jest jego wysokość?

– Tak jakbyś nie wiedziała – niechętnie odparła zapytana.

– Ze swoimi księgami? Tak? – dopytywała się księżna.

Rudowłosa wzruszyła ramionami.

– Od tygodnia. Ostatnio nikt go nie widuje, w ogóle stamtąd nie wychodzi. Powiadają, że...

– Co powiadają? – zniecierpliwiła się Werena, gdy milczenie trwało i trwało.

– Powiadają – rzekła druga niewolnica, znacznie młodsza od pierwszej, zielonooka blondynka – że jada tam, sypia i robi do nocnika.

Werena przymknęła oczy.

– Dlaczego na to pozwalasz, pani? – pytała młodsza z Pereł. – Od kilku miesięcy twój mąż traktuje cię jak powietrze. Nie zasłużyłaś na to. Radziłam...

– Głupio radziłaś – ucięła księżna. – Leneo, przynieś mi coś do ubrania. Ale żadne suknie, nie zamierzam stroić się przez całą noc.



Sandały, koszulę i spódnicę.

– Skąd ja ci wezmę takie rzeczy? – zdumiała się Perła.

– Od praczek. Wynoś się i daj mi, co powiedziałam! – wrzasnęła Werena. – Bo wreszcie każę wyrwać tę twoją beczelną rudą kitę!

Lenea była jedyną istotą w całym Grombie, dopuszczoną przez wyniosłą cesarską córkę do poufałości. Niekiedy.

Zdarzały się jednak dni, gdy z Weroną naprawdę nie było żartów.

Niewolnice wymieniły spojrzenia. Blondynka nic nie powiedziała; Lenea podeszła do drzwi, obejrzała się jeszcze i wyszła.

Księżna, groźna jak grombelardzka chmura, siedziała w milczeniu, bezwiednie muskając palcem ledwie co zasklepioną rankę na policzku.

– Zostaw, pani – powiedziała łagodnie blondynka. – Rozdrapiesz.

Trafiła fatalnie.

Księżna, odwrotnie niż Księżę Przedstawiciel, wcale nie miała kapryśnego usposobienia. Z natury dość wesoła i pogodna, potrafiła jednak wytyczyć wyraźną granicę, poza którą nikt nie śmiał się posunąć. Mimo to, a może właśnie dlatego (bo sługa chce wiedzieć, co mu wolno) była szczerze lubiana przez większość dworaków, w gronie żołnierzy zaś wręcz uwielbiana – nieźle strzelała z łuku, a ponieważ w Grombelardzie było owo strzelanie właściwie jedyną jej rozrywką, często stawiała w szranki z kusznikami Legii Grombelardzkiej (cotygodniowe gry towarzyskie kochała tak samo, jak jej mąż – chociaż nigdy się do tego nie przyznała). Niewolnica w randze Perły Domu, mając taką panią, bez trudu się wczuwała w jej nastroje.

Tym razem wyczucie zawiodło. Blondynka, beznadziejnie i bez sensu, uczepliła się skaleczenia na policzku.

– Wasza wysokość... rozdrapiesz i będzie krwawić – powtórzyła.

Księżna powoli uniosła spojrzenie. Nagle zacisnęła wargi i celowo szarpnęła paznokciem. Kręta strużka spłynęła po twarzy.

– Odejdź! – wysyczała przez zęby. – Odejdź, ale w tej chwili! Bo ci zrobię krzywdę, mówię, jazda stąd!

Dziewczyna cofnęła się, przestraszona nie na żarty.

– Wasza wysokość – szepnęła – ja... przepraszam.

Werena wskazała drzwi. Dartanka wycofała się ku nim, pokłoniła i zniknęła. Księżna zagryzła usta i opuściła rękę. Marszcząc brwi, rozmazała krew na policzku. Rozważała coś w myślach.

Nie były to dobre myśli. Usta siedzącej kilkakrotnie wygięły się w grymasie mrocznej pogardy i gniewu. Poruszyła nimi, jakby układając sobie coś, co wkrótce miała powiedzieć.

Po jakimś czasie wróciła Lenea. Prawdopodobnie usłyszała to i owo od wyrzuconej za drzwi towarzyszki, bo zachowywała się bardzo powściągliwie. Skłoniwszy głowę, czekała w pewnej odległości, trzymając rzeczy, po które ją posłano. Werena odrzuciła swoje futra

i skinęła na znak, że chce zostać ubrana. Perła natychmiast podeszła.

– Idę rozmówić się z księciem – oznajmiła bez żadnych wstępów księżna. – Możliwe, że to potrwa trochę, a możliwe, że skończy się na dwóch słowach... Nieważne. – Uniosła ręce, pozwalając, by Perła nałożyła jej koszulę. – Między moimi pismami, wiesz gdzie, znajdziesz jedno zapieczętowane. Przynieś mi je zaraz. Co to jest?

Ostatnie słowa dotyczyły obuwia, które niewolnica chciała nałożyć na bosc stopy swojej pani. Dartańska nowinka już od pewnego czasu gościła we wszystkich krainach cesarstwa: kobiece obuwie zaopatrywano w koturny, niskie z przodu, a bardzo wysokie z tyłu; podkreślało to smukłość nóg i sylwetki.

– Wasza wysokość?...

Zdumienie niewolnicy było szczere; księżna od dłuższego czasu nie nosiła na nogach nic innego, słusznie doceniając wspaniałe zalety wynalazku.

– Zabierz to! – rzekła ze złością Werena. – Nie muszę się nikomu podobać! Co chcesz ze mnie zrobić? Ladacznice?!

Ze złością kopnęła obuwie w kąt pokoju.

– Przyniosę inne – powiedziała Lenea.

Werena uśmiechnęła się krzywo.

– Pójdę boso – powiedziała z pogardą.

Perła nie śmiała oponować.

## ROZDZIAŁ 22



**W** Kirlanie pałac cesarski, będący miastem w mieście, oddawał jedynej córce Imperatora kilka przestronnych pokoi i komnat. W Grombie Werena zadowolić się musiała dwiema izbami oraz „komnatą sypialną” – zimną jaskinią, gdzie pod makatami wiszącymi na ścianach zbierały się krople wody. Była to jednocześnie sypialnia księcia Rameza. Małżeństwo władców Grombelardu musiało sypiać razem – czy chciało tego, czy nie... A jednak spośród wszystkich osób mieszkających w pałacu jej wysokość miała do dyspozycji najwspanialsze apartamenty. Książę Ramez zadowalał się też dwiema, ale mniejszymi i mniej wygodnymi izdebkami. Oraz swoją „samotnią”.

Zamiłowanie cesarskiego zięcia do starych roczników i kronik było powszechnie znane. Objąwszy w Grombie urząd Przedstawiciela, Ramez musiał zrezygnować z większości przyzwyczajień i upodobań. Pozostawił sobie tylko to jedno. Dwór szybko przywykł do tego szczególnego dziwactwa; tym łatwiej, że książę nie zaniedbywał spraw prowincji, przeciwnie – był bodaj najbardziej stanowczym i zdecydowanym władcą, jaki kiedykolwiek rządził Grombelardem.

Lecz tylko do czasu, gdy porwano księżną Werenę. Od tamtej pory Ramez stał się innym człowiekiem: roztargnionym, nieuważnym, wiecznie zamyślonym... Pogrążył się w swoich księgach, pragnąc chyba zrozumieć największe tajemnice świata; ślęczał, szukając odpowiedzi, których Pasma Szerni, skryte za kopułą nieba, udzielały tylko wybranym, przyjętym przez siebie istotom.

Ale zmienił się nie tylko książę Ramez. Wszystko się zmieniło; porwanie Wereny i próba poruszenia martwych Wstęp Aleru zapoczątkowały jakiś niepojęty proces rozpadu Grombelardu. Wielu sądziło wówczas, że Przedstawiciel Cesarza, zmuszony sytuacją, powróci do swego normalnego sposobu bycia. Ten człowiek lubił i potrafił działać! Lecz stało się inaczej: jego wysokość uczynił wszystko, co mógł, by chaos w prowincji narastał, zamiast maleć. Zabronił wzmacniania ruszających w góry patroli, to znów powierzał wojsku misje niemożliwe do wykonania. Nie pozwolił przydzielać żołnierzy do eskorty kupieckich

karawan. Wyrzucił z legii kogo tylko mógł, a najwartościowszych oficerów porozsyłał po całym Szererze (ktoś popłynął na Garrę zapoznać się z organizacją eskadr pościgowych, by potem utworzyć taką w Londzie – i nie było to najgłupsze zadanie wymyślone dla oficera). Ignorował raporty Trybunału Imperialnego, rozporządzającego armią szpiegów i donosicieli. Mało tego: zdjął ze stanowisk bądź ukarał w inny sposób kilka osób, które na własną rękę i odpowiedzialność chciały coś przedsięwziąć... Krótko mówiąc – mogło się wydawać, że upadek Drugiej Prowincji jest tym, czego Książę Przedstawiciel potrzebuje najbardziej.

Dopiął swego. Rozprzeżenie wkradło się najpierw w szeregi Legii Grombelardzkiej. Żołnierze gotowi byli strzec porządku, walczyć, a nawet umierać; do wojska brano samych ochotników, z których każdy wiedział, co mu przyjdzie robić. Ale naraz okazało się, że posyłają ich nie tyle do boju, co na rzeź; kilkuosobowe patrole dobre były w górach wtedy, gdy nie działo się tam nic specjalnego. Pośród wścieklej wojny wszystkich ze wszystkim słabe i niedozbrojone oddziały przepadały jeden po drugim. Morale upadło, a potem (rzecz w cesarskich legiach niesłychana) zaczęła się szerzyć dezercja. Niedużo trzeba było czasu, by wojsko zupełnie zniknęło z Ciężkich Gór. Nie pilnowano nawet głównego traktu. Wojskowy patrol można było spotkać najwyżej na ulicach miast, jednak zdemoralizowani żołnierze raczej sami wszczynali burdy, niżli im zapobiegali.

Księżciu było to chyba na rękę: mógł natychmiast wyrzucić z wojska kolejnych żołnierzy. O karach innych niż wydalenie z szeregów lub co najmniej przeniesienie do Akali na Potrójnym Pograniczu dawno w Legii Grombelardzkiej zapomniano. Wojsko topniało w oczach.

Szlak, którym nie dało się bezpiecznie przejechać, i ulice, na których w biały dzień można było paść ofiarą rabunku, pobicia albo i stracić życie, nie były dobrym miejscem dla kupców. W grombelardzkich miastach zapanowała drożyzna. Widmo nadciągającego głodu stało się nowym bodźcem do popełniania przestępstw – przecież kto nie mógł chleba kupić, ten kradł... Wkrótce zaczęli opuszczać Grombelard co zamożniejsi, a niepewni swego losu mieszkańcy. Raz i drugi wszczęły się jakieś rozruchy; chociaż najpierw słabe – to i tak ledwo stłumione przez to, co zostało z Legii Grombelardzkiej. Trybunał bił na alarm, przewidując niedaleki wybuch prawdziwego buntu.

Dokonawszy świetnego dzieła, książę Ramez już na dobre wyniósł się do swojej samotni i zwyczajnie zamieszkał tam. Przyjmował tylko kilku zaufanych niewolników, nie widywał się z nikim, nie interesowało go zupełnie nic.

Poza jednym: czytał swoje księgi.

Na krętych schodach siedzieli dwaj żołnierze. Ujrawszy idącą ku nim kobietę, wymienili zdziwione spojrzenia, po czym podnieśli się.

– Stać – rozkazał jeden z wartowników... i przestraszył się, poznawszy księżną Werene. – Wasza... wysokość – powiedział, prostując się i wspierając na włóczni.

Próbował zapanować nad zdumieniem, ale widok potarganych włosów, prostej spódnicy i koszuli, a na koniec bosych stóp cesarskiej córki wprowadził go w osłupienie. Dodatkowo dojrzał po chwili w migotliwym świetle płonącej na ścianie pochodni drobny krwawy ślad na jej policzku.

– Wasza wysokość – powtórzył – nie poznałem waszej...

– Księżę; czy on tam jest? – zapytała sucho.

– Tak, wasza wysokość.

– Dobrze. Zejdźcie niżej, chcę rozmówić się z księciem – powiedziała.

– Nie powinniście nic słyszeć. Niech nam nikt nie przeszkadza.

Żołnierz otrzymał rozkaz, by prócz dwóch służących nie wpuszczać do księcia nikogo. Teraz nie wiedział, czy mógł obejmować ów rozkaz także jej wysokość. No przecież na pewno nie. Tak czy owak, nie umiałby zabronić cesarskiej córce wstępu.

– Tak, wasza wysokość.

Minąwszy wartowników, pokonała jeszcze kilka stopni i stanęła przed solidnymi, okutymi miedzią drzwiami. Pchnęła je mocno i przekroczyła próg izby. Zaraz zamknęła drzwi z powrotem; przez chwilę mocowała się z wielką zasuwą, aż wreszcie żelazo ustąpiło ze zgrzytem i huknęło, osiągnąwszy koniec prowadnicy. Odwróciła się i dopiero wtedy spojrzała na męża.

Nic się tu nie zmieniło. Stół, krzesło, pulpit i półki. Księgi, zwoje, czyste karty i przybory do pisania... W kącie to samo posłanie, zarzucone futrami; w drugim kącie stos wielkich kamieni. Przynoszono je tutaj gorące, prosto z ognia, by osuszyć i ogrzać pomieszczenie.

W milczeniu mierzyli się wzrokiem – oboje zdumieni, a nawet przestraszeni tym, co widzą. Ramez nigdy dotąd nie oglądał żony w podobnym stroju; owszem, raz i drugi, podczas zabawy z łukiem... Ale przecież i wtedy włosy nosiła odpowiednio upięte, nie miała krwi na twarzy, nie biegała boso... Wreszcie – ani spódnica, ani koszula nie były w oczach Armeктаńczyka czymś nagannym. Synowie i córki Równin bardzo cenili prostotę. Musiała być jednak połączona z dobrym smakiem. Pognieciona, niedbale zawiązana koszula nie miała z tym nic wspólnego.

Ze swojej strony Werena oglądała zmęczonego, przedwcześnie postarzałego, apatycznego człowieka z podkrążonymi od bezsenności oczami, ubranego w nieświeżą, a nawet nieco przybrudzoną szatę. Gdy przetarł twarz dłońmi, dostrzegła zaniedbane paznokcie.

Przyszła ze szczerym gniewem, niosąc dla męża wiele ostrych słów. Teraz przeraziła się, ujrawszy, jak wyglądał.

– Na Szerń, jak ty wyglądasz? Co się stało? – zapytała z prawdziwym bólem, zmieszana.

Ale w tej samej chwili on także zaczął mówić i dwa głosy złąły się w niezrozumiałą płataninę słów. Zamilkli oboje. Potem znów jednocześnie otworzyli usta... Odchylił się na krześle i pokazał ręką, żeby mówiła.

Wichura i deszcz szalały na zewnątrz wieży. Pośród ciężkiego milczenia wyraźnie dało się słyszeć dziwne zgrzytanie i skrzypienie, dobiegające gdzieś z wnętrza budowli. Werena odniosła wrażenie, że stołp drga i kołysze się pod naporem wiatru.

Uczyliła dwa powolne kroki i odwróciła spojrzenie.

– Jak ty wyglądasz... – szepnęła. – Dlaczego tu siedzisz, powiedz?

– A gdzie mam siedzieć? – zapytał po długiej chwili i usłyszała w jego głosie prawdziwe, choć przygniecione znużeniem zdziwienie.

– Jak to gdzie? No chyba... w naszej sypialni? – powiedziała zupełnie bezradnie. – Jest noc, niedługo świt. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Chyba istotnie nie wiedział. Okiennice w dwóch maleńkich okienkach zatrześnięte były na głucho. Przedstawiciel stracił rachubę czasu.

Popatrzyła mu w oczy i raz jeszcze przestraszyła się tego wszystkiego, co w nich było. Rezygnacja. Zmęczenie. Żal, smutek, trochę wstydu... Dużo, dużo goryczy. I dziwny, tępy upór.

– W sypialni? – westchnął i zamyślił się głęboko. – W sypialni... – powtórzył. – No tak.

Po czym znów zamilkł.

Podeszła do posłania i usiadła wśród futer, podwijając nogi pod siebie. Zaczęła nerwowo skubać brzeg spódnicy.

– Posłuchaj, ja mam tego dosyć – oznajmiła cicho. – Staralam się pomóc, bo prosiłeś mnie o to. Nic nie rozumiałam i nadal niewiele rozumiem, jednak pomagałam ci, bo uwierzyłam, że tak trzeba. Teraz myślę, że zrobiłam źle.

Ramez milczał.

– Za pół roku – podjęła po krótkiej chwili – tutaj będą tylko gruzy. Nie kocham tego kraju, dobrze wiesz. Ale mój ojciec powierzył ci pieczę nad nim. Przecież zdajesz sobie sprawę, że w Kirlanie wiedzą o wszystkim? Trybunał śle raport za raportem, wszystkie alarmujące. Za miesiąc lub dwa ojciec pozbawi cię urzędu. A może... może nawet wcześniej niż za miesiąc. Pokazałam ci listy, które przysłał. Kłamałam, odpisując, że nic złego nie dzieje się tutaj, kłamałam dla ciebie. Teraz tego żałuję, naprawdę. Zresztą ojciec to bardzo mądry człowiek, przecież wiesz. Ale i dumny. Nie ścierpi bezczelności nawet... a może zwłaszcza... od własnej córki, cóż dopiero od zięcia. Posłuchaj, myślę, że powinnam napisać mu

całą prawdę. Myślę... myślę, że powinieneś odejść z Grombelardu.

Pokiwał głową.

– A jednak nie odejdę – rzekł spokojnie. – Nie odejdę, Wereno, choćby próbowano zabrać mnie stąd siłą. Mam tu misję do spełnienia i jeśli nie pojmujesz jej wagi, to tym gorzej. To znaczy, że zostałem sam. Miałem nadzieję, że będziesz mnie wspierać do końca. Bardzo tego potrzebuję, Wereno.

Milcząco pokręciła głową.

– Niech i tak będzie – rzekł smutno. – Prawdę mówiąc, od początku musiałem się liczyć z taką możliwością.

Zagryzła usta.

– To bez sensu – szepnęła.

Ramez ożywił się nieoczekiwanie.

– Bez sensu? Co jest bez sensu? – zapytał prawie ostro. – Czy zrozumiesz wreszcie, że nie ma najmniejszego znaczenia to, co dzieje się teraz w Grombelardzie? Ludzie giną? No i bardzo dobrze. Głodują, uciekają stąd? Jeszcze lepiej! Masz rację, ależ oczywiście, że masz rację! Za rok, a może już tylko za pół roku z całego tego kraju nie zostanie nawet kamień na kamieniu! Czy dotarło to do ciebie, że gdybym tylko potrafił, wygoniłbym stąd wszystkich? Wkrótce całe te góry rozlecą się jak kopnięta kupa pierza... O, słyszysz? – Wyciągnął rękę, jakby chcąc pokazać to wszystko, co kłębiło się, wyło i huczało za ścianą. – To tylko zwykła burza, może trochę silniejsza niż zwykle. Czy potrafisz wyobrazić sobie huragan sto razy potężniejszy?

Zerwał się nagle, zdjął z półki ogromną księgę i z łoskotem umieścił na stole. Oparł dłonie na skórzanej oprawie.

– A może tak zechcesz przemóc lenistwo i posłuchać? Chętnie przetłumaczę dla ciebie rozważania Wielkiego Dorlana i wielu, wielu innych mędrców Szerni. Dowiesz się, jak wyglądały zmagania Potęg, zmagania Aleru z Szernią. Dowiesz się, co nastąpi, gdy wskrzeszone zostaną Srebrne i Złote Wstęgi.

– Ale ty przecież tego pragniesz?

– Tak! – zawołał. – Oczywiście, że pragnę! Powiedzże, dlaczego nigdy nie słuchasz mnie uważnie? Tłumaczyłem ci przecież to wszystko! Pragnę wskrzeszenia Wstęg, bo wiem, dlaczego ta wojna jest konieczna. Ludzie, koty i sępy, wszystkie istoty rozumne, nie istnieją ot! tak sobie. Jesteśmy strażnikami świata i odbiciem samej Szerni! Zrozumże to wreszcie!

– Nie krzycz proszę – powiedziała. – Nienawidzę tego.

Puścił jej słowa mimo uszu.

– Szernń podlega Prawom Całości – powiedział. – Tłumaczyłem ci przecież. Pasma Szerni nie mogą wydać wojny Wstęgom Aleru. A powinny. Tysiąclecia minęły od chwili, gdy Aler przegrał pierwszą

wojnę z Szernią. Wkrótce będzie potężny, zapewne nawet potężniejszy niż kiedyś. Podejrzewa się – oparł dłoń na Księdze Całości – że Aler przybył tutaj znad innego świata, być może świata własnego, który wydarła mu jakaś inna Potęga. Światów takich jak Szerer jest wiele. Nie wiemy ile. Pokonane moce Aleru przebyły niezmiernie przestrzenie, słabnąc. Nie były groźnym przeciwnikiem dla Szerni. Ale teraz Aler nie przybędzie z drugiego końca Bezmiarów. Jego Wstęgi, odepchnięte przez Szerń, rozpostarły się przecież tutaj, tuż obok, nad wydartym Szerni północnym krańcem naszego kontynentu. Upłynęło dość czasu, by treści Aleru okrzepły, nabrały nowej mocy. Dojdzie do nowej wojny, i tym razem Szerń może zostać pokonana. A nawet jeśli tak się nie stanie, to wojna będzie długa, zmagania zaś gwałtowne. Kto wie jaka kraina zostanie obrócona w perzynę? Może Armekt? Czy pomyślałaś o tym? Że to może być nasz Armekt? Wielkie Równiny... tylko pomyśl! Przecież właśnie tam przebiega granica między Alerem a Szernią.

Zamilkł, jakby czekał na odpowiedź.

– Wojna jest nieunikniona – powtórzył raz jeszcze po upływie pewnego czasu. – Dojdzie do niej prędzej albo później. Ale im wcześniej, tym lepiej, dlatego trzeba ją sprowokować już teraz. I sprawić, by rozegrała się tutaj, nad grombelardzkimi górami. Trzeba, by Wstęgi Aleru wymierzyły cios Pasmom Szerni. Dzisiaj... jeszcze nie jest za późno. Jeśli wojna zacznie się tutaj, to siły Aleru przepłyną nad Wodami Środkowymi, omijając Armekt, i wesprą walczące nad Ciężkimi Górami, osamotnione Wstęgi. Dlatego trzeba je podnieść. Dzisiaj Aler jest słabszy od Szerni, zostanie więc pokonany szybciej i mniejszym kosztem, bo bitwy nad tą kamienną pustynią przysporzą światu mniej cierpień niż wieloletnia wojna nad Armektem albo Dartanem. Przecież tłumaczyłem ci to wszystko. Dlaczego nie chcesz zrozumieć?

– Bo nie chcę.

– Dlaczego? – nalegał.

– Bo nie chcę i już.

Podniosła się.

– Robiłam to, o co mnie prosiłeś. Kłamałam, udawałam, że nic się nie dzieje. Ale tylko dla ciebie. Nie dla jakiejś wojny, która może nastąpi za sto lat albo pięćset. Nic mnie to nie obchodzi. Nie sądziłam, że tak to będzie wyglądało...

– Że co będzie tak wyglądało?

– No... to. Że Grombelard zacznie się rozpadać niczym próchno. Że będę się wstydziła spojrzeć ludziom w oczy. Wszyscy patrzą na mnie i myślą, że mam męża szaleńca... albo nawet zbrodniarza, kto wie. Może nieudacznika. Mogę poświęcić wiele, ale nie poświęcę ciebie i siebie z powodu jakichś zmagania, do których dojdzie za sto lat. Kto wie co będzie za sto lat? Kogo to obchodzi?! – zawołała rozdrażniona. – Mam



tylko jedno życie i chciałam przeżyć je z tobą. Przecież nie możemy mieć dzieci. – Uniosła wzrok i przygryzła lekko usta. – A nawet... jeśli kiedyś będziemy je mieli, to i one tej wojny nie dożyją. Ale na razie nie mamy, nie możemy. Jeszcze jedno przekleństwo... Mam tylko ciebie, tylko ciebie, słyszysz? – powiedziała z ogromną powagą. – Kocham cię. I tracę. Doprowadzisz do tego, co sobie zamierzyłeś, a potem już do końca życia będziesz patrzył na mnie tak, jak dzisiaj, gdy tu weszłam. Ze wstydem, bólem i jakimś... jakimś zapiekłym gniewem na los, który tak pokierował twoim życiem. Nie pozwolę. Przygotuj się, że będę walczyć o ciebie. O nas.

Spoglądał na nią w milczeniu.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – mówiła dalej – by te Wstęgi nie zostały wskrzeszone. Ach, podniesione, nie wskrzeszone, przecież one nie były żywe, prawda? – upewniła się z gorzką drwiną. – Może jeszcze nie jest za późno. Mam przyjaciół, którzy wiele potrafią. Wprawdzie o Karenirze słuch zagaął i... bardzo się o nią boję. Ale jestem córką cesarza. I wiesz, co zrobię najpierw? Pchnę gońca do mojego ojca. Imperator dowie się o wszystkim, a raczej uzyska potwierdzenie tego, co już wie, bo urzędnicy Trybunału jako jedyni ciągle robią to, co do nich należy. Zresztą nie wiesz jeszcze, że przez ostatnie dwa miesiące nie byłam do końca lojalna względem ciebie... Zasłużyłeś! – Oskarżycielsko wycelowwała palec. – Zasłużyłeś sobie na to! Posłałam list do Kirlanu, w którym co prawda nic nie wyjaśniam i niczego nie zdradzam, ale sugeruję między wierszami pewne rozwiązanie. I zostałam dobrze zrozumiana. W odpowiedzi nadeszły dwa listy, których treści nie znasz. Jeden od ojca, a drugi od matki.

– Co było w tych listach? – zapytał stłumionym głosem.

– Od matki otrzymałam... dobre rady. A ojciec odczytał moje sugestie...

– Co było w tych listach? – powtórzył niecierpliwie, przerywając.

– Ojciec pyta, czy nie zechciałabym przyjąć tymczasowej nominacji. Proponuje mi namiestnictwo Trybunału w Grombie i specjalne, wyjątkowe uprawnienia. Dość, bym powiedziała „tak”. A dobre rady matki sprowadzają się do tego, bym poważnie przemyślała propozycję ojca. I... coś jeszcze...

Odwróciła spojrzenie.

– Matka radzi – powiedziała cicho – bym wręczyła ci list rozwodowy. Uważa, że powinnam zawiesić małżeństwo na rok albo chociaż pół roku... Do czasu, aż zostanie orzeczona twoja poczytalność lub brak poczytalności. To wszystko.

Przedstawiciel prostował się powoli. Dotykem odszukał krzesło za plecami i usiadł.

– Co zamierzasz? – zapytał ze spokojem aż nienaturalnym.

Smutno popatrzyła mu w oczy.

– Jeszcze dzisiaj poślę do Kirłanu dwa razy „tak”. Chyba... – Z wysiłkiem przełknęła ślinę. – Chyba że... – poddała raz jeszcze, z naciskiem, nawet nie próbując ukryć, że prosi.

Czekała, ale Ramez milczał.

– Więc postanowiliśmy, czy tak?... – zapytała na koniec niepewnym, stłumionym głosem.

Wydobyła zza koszuli niewielki rulonik pergaminu, opatrzony jej osobistą pieczęcią.

– Brakuje tylko podpisów świadków... – Głos jej się załamał. – Wezwę ich, a gdy podpiszą... wręcę ci w ich obecności, wtedy nabierze mocy. Dopełnimy formalności jeszcze dzisiaj. Nie jestem już twoją żoną i nie będę nią... przez najbliższe pół roku.

Położyła pismo na stole i rozplakała się.

## ROZDZIAŁ 23



**N**a dnie posępnej rozpadliny leżała wieś zwana Bezpowrotem, a najczęściej po prostu Jarem. Dziwne miejsce, będące – jeszcze nie tak dawno – czymś w rodzaju stolicy Hel-Krehiri, legendarnej już za życia królowej górskich rozbójników. Teraz wieś wyglądała na opuszczoną: brama w palisadzie stała otworem, nigdzie nie dało się dostrzec wartownika. Także w głębi rozpadliny, za murem, nie było widać żadnego ruchu, żadnych oznak życia.

Okryty płaszczem, zakapturzony człowiek, niosący przewieszoną przez pierś dużą torbę, był wyraźnie zdrożony, co w tej okolicy doprawdy nie mogło dziwić. Między wysoką wioską a starą drogą Shergardów nie było niczego, co można by nazwać choć ścieżką. Szlak wiódł przez dzikie góry, pełne szczelin, wykrotów, trudne do pokonania nawet dla młodego i silnego człowieka, a wędrowiec na takiego nie wyglądał. Na pewno miał zdrowe nogi, mimo zmęczenia nie powłóczył nimi, jednak pod płaszczem na plecach rysował się garb.

Powoli, ale bez wahań człowiek w płaszczu zmierzał ku otwartej bramie. Wydawało się, że cisza i bezruch panujące w wiosce nie dziwią go ani nie martwią. Nie przystanął, nie rozejrzał się dokoła; owszem, kontynuował swój miarowy marsz.

Przeszedłszy przez bramę, zatrzymał się na chwilę. Uniósł głowę. Pośród słabej mżawki dało się dojrzeć wyczernioną spod kaptura niemłodą już twarz. Głęboko osadzone, trochę nieobecne oczy spoglądały tam, gdzie na mokrej ziemi widniał okrągły, czarny ślad, coś jakby pogorzelnisko. Zbliżywszy się, wędrowiec rozgarnął stopą utworzone z mokrej sadzy i popiołu błoto, odsłaniając... chyba fragmenty niespalonych do końca kości. Raz jeszcze uniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Potem sięgnął za plecy i poprawił dźwiganą sakwę.

Przyjrząwszy się domom, a także ziejącym w skalnej ścianie otworom jaskiń, starzec ruszył dalej. Mogło się wydawać, że odkrył coś szczególnego, bo w jego poruszeniach znać było ożywienie. Zmierzał wprost ku jednej z grot. Dotarłszy doń, wszedł w mroczną czeluść i przez

chwilę stał nieruchomo, pozwalając, by oczy przywykły do ciemności. Potem, krok za krokiem, posunął się głębiej.

W jaskini cuchnęło zgniłym mięsem. Mocna krata, utworzona z powiązanych drewnianych prętów (wyglądały jak drzewca włóczni, od których odjęto groty), przegradzała niską pieczarę na pół. W głębi, po drugiej stronie kraty, spoczywał na skalistym podłożu bezkształtny tobół. Przypatrzwszy się bacznie, garbus poznał, że jest to bezgłowe ludzkie ciało w stanie daleko posuniętego rozkładu. Zaraz potem nastąpił na coś nogą – i odkrył drugie zwłoki, w takim samym stanie.

Na jednej ze ścian jaskini zawieszono były czaszki, okryte resztkami przegniłego mięsa. Sądząc po długich włosach, dwie głowy należały do kobiet. Trzecia była głową kociego wojownika. Okrywał ją mocno przypięty, zardzewiały już nieco koci hełm: płaska miska z wycięciami na uszy, uwieńczona mocną ostrogą. Groźny oręż został ułamany w połowie swej długości.

Garbus pokiwał głową i zwrócił się ku wyjściu. Szare światło wdzierające się do jaskini pokazało jego mocno zaciśnięte usta.

Ponownie znalazłszy się na zewnątrz, starzec nie poszukał schronienia w żadnym z domów. Oddalwszy się nieco od wstrętnej, cuchnącej śmiercią groty, usiadł na sporym skalnym okruchu i zdawał się na coś czekać. Po jakimś czasie sięgnął do torby i wydobył nieduży bukłak. Odetkawszy go, pociągnął spory łyk. Wstrząsnął się lekko i kaszlnął; zapewne w bukłaku była wódka.

Potem dalej siedział na skale.

Deszcz ustał. Garbus raz jeszcze uniósł głowę, przez chwilę patrzył w niebo, wreszcie zsunął do tyłu kaptur płaszcz i odezwał się trochę zdartym, ale jednak dobitnie brzmiącym głosem:

– Nie jestem cierpliwy. Nie aż tak cierpliwy.

I po chwili dorzucił:

– Długowieczność nic tu nie ma do rzeczy. Można być nawet nieśmiertelnym, a mimo to kąpanym w gorącej wodzie. Chyba dość się naczekałem, nieprawdaż?

Minęła długa chwila – i wyszło na jaw, że stary wędrowiec bynajmniej nie był kimś, komu deszcz pomieszał w głowie wszystkie klepki; nie mówił sam do siebie.

Na progu jednej z chałup pojawiła się dziwaczna postać. Człowiek ów począł zmierzać w stronę siedzącego na kamieniu przybysza. Poruszał się bokiem, opierając na rękach i kikutach ud, z których jeden był dłuższy, a drugiego nie było prawie wcale. Wobec tego kalectwa garb starca sprawiał wrażenie zaledwie drobnej ułomności; przecież tak czy inaczej, owo spotkanie dwóch kalek w samym sercu grombelardzkich gór miało w sobie coś groteskowego. I niesamowitego.

Ciężkie Góry potrafiły zabić najzdrowszych. I najsilniejszych.

– Ta wioska należy do mnie – rzekł beznogi mężczyzna. – Nikogo tu nie zapraszałem. Kim jesteś, starcze, i co cię tu sprowadza?

Garbus zacisnął usta, tak samo jak wcześniej w jaskini.

– Ten jeden raz miałem nadzieję, że nie będą mnie pytać, kim jestem. Nie wiesz? – zapytał gorzko i z niejakim rozdrażnieniem. – Ty, TY mnie pytasz, kim jestem? Więc co ja tu robię właściwie?!

Wstał ze swojej skały, jego gniew był nieudawany. Sięgnął po torbę, jakby naprawdę zamierzał odejść.

Tamten milczał, marszcząc ciemne brwi.

– Ach! – zawołał nagle starzec, z przesadnym zachwytem i uznaniem. – Doskonale! Naprawdę doskonale!

Odłożył torbę i znów usiadł. Pochylił się, jakby słuchał.

– Oczywiście! – rzekł, prostując się i unosząc rękę. – Wolałbym jednak słyszeć twój głos, przyjacielu. Zmaganie się z chaosem czyichś myśli już dawno przestało mnie bawić. Zresztą nigdy mnie nie bawiło.

– Wybacz, panie – rzekł pokornie beznogi mieszkaniec wioski. Po czym dodał: – Od tak dawna czekam tu na ciebie, że już prawie zwątpiłem, czy przyjdiesz.

Garbus skinął głową.

– Wielu wątpi, czy w ogóle istnieję – skwitował. – No dobrze.

Przez chwilę trwało milczenie. Wreszcie starzec rozejrzał się dokoła.

– Jesteś tutaj sam? – zapytał.

Kaleka potwierdził, po czym nieoczekiwanie uśmiechnął się gorzko.

– Tutaj, panie? W ogóle. Jestem sam i zostanę sam, aż do końca. Przybrawszy człowieka postać, przybrałem sobie też zwykłe imię, ale sam dla siebie używam imienia innego. Nazwałem się Heneghel Get.

– Ostatni i Jedyne? – zdziwił się garbus. – Dlaczego?

– Czyżbyś naprawdę nie wiedział, panie? Jak to możliwe? – w głosie mężczyzny rozbrzmiała na powrót obudzona nieufność.

Starzec milczał przez chwilę; zdawał się znowu nasłuchiwać.

– Więc taka była cena... – szepnął wreszcie, pochmurniejac. – Nie wiedziałem – dodał ze smutkiem. – Oczywiście, że nie jestem wszechwiedzący – wyjaśnił i zaraz zapytał tak, jak tamten przed chwilą: – Nie wiedziałeś o tym? Jak to możliwe? Jestem, synu, tylko Odrzuconym Strażnikiem Praw Całości. Istotą żywą i ułomną. Cóż z tego, że nieśmiertelną? To nie zapewnia wszechwiedzy.

Pokiwał głową.

– Jakże, synu? Wszechwiedza jest nieosiągalna. W jaki sposób ja miałbym ją posiadać? Powiedz mi. Wiem wszystko o Szerni. To mało?

Beznogi człowiek odwrócił spojrzenie.

– Dajmy temu spokój – rzekł garbus. – Chciałbym się dowiedzieć, co tu zaszło. Te kości... – wskazał czarny krąg na ziemi – te zwłoki i głowy w jaskini... Co to wszystko ma znaczyć?

– Strzegę Srebrnej Wstęgi Aleru, leżącej w tym wąwozie – odrzekł z wielką powagą, a nawet pewną surowością zapytany. – Jeszcze nie pora, by ją podnieść. Mam więcej czasu, niż sądziłem najpierw. Nie chcąc trwać w beczynności, podjąłem starania, by usunąć jak największą liczbę tych, którzy chcieliby, lub nawet tylko mogli, zagrozić mojej misji.

– Czy to potrzebne?

– Uważam, że tak. Żyjemy w bardzo niezwykłych czasach, panie.

– Zaiste. Ale co szczególnie masz na myśli?

– Ludzi – padła krótka odpowiedź. – Zwłaszcza ludzi... choć nie tylko. Starzec, lekko pochylony, cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

– Także koty – uzupełnił Heneghel, nie maskując niechęci. – Nie ma nic, co mógłbym cenić w tym gnuśnym i bezmyślnym gatunku – przyznał. – Niemniej, panie, najnowsza historia Szereru pełna jest wielkich nazwisk. Przecież to niezwykle? – trochę stwierdził, a trochę zapytał. – Kiedyś, w czasach wielkich podbojów, wielkich wojen... Nazwiska zdobywców i władców bardzo łatwo znajdują swoje miejsce w historii, to rzecz zrozumiała. Ale teraz mamy Wieczne Cesarstwo... i wieczny pokój.

Garbus skinął głową.

– Wielki Dorlan-Przyjęty i jego uczeń, Czarny Brul – ciągnął kaleka. – Dwaj najwięksi mędracy, jakich Szerń kiedykolwiek wybrała spośród ludzi. Legendarni już za życia. Lecz gdybyż tylko o mędrców chodziło. Są jeszcze... a raczej byli... wielcy wojownicy. Ludzie i koty. Rycerze, jakich Szerer nigdy dotąd nie widział i być może już nigdy nie zobaczy. Wiesz dobrze, panie, że nie wolno lekceważyć miecza. Istoty, których żywiołem i przeznaczeniem jest walka, mogą sprawić wiele dobrego, ale też wiele złego.

– Obawiasz się zatem...?

– Mamy misję do spełnienia – rzekł sucho Heneghel Get. – Obaj, panie. Stoimy na straży Praw Całości, ale każdy inaczej. Ty, panie, jesteś wieczny, do samego końca będziesz trwał pod niebem Szerni, patrząc na przemijanie wieków i tysiącleci. Ja jestem tylko iskrą, od której mają zająć się prochy. Gdy wybuchną i zniszczą to, co mają zniszczyć, moja misja zostanie spełniona. Potrzebna była mądrość i wiedza całego mojego narodu, zbierana przez setki lat, by uczynić ze mnie tę iskrę. Potrzebna była śmierć wszystkich moich współbraci, którzy całe życie, jakie im jeszcze zostało, przelali w moją istotę, by dać mi potrzebne siły. Ostatni i jedyne, jestem zarazem całym moim narodem, jego życiem, mądrością, przeszłością i brakiem przyszłości... Ty, panie, pytasz, czy się obawiam? Nie istnieje tak drobne ziarenko, którego nie byłbym gotów usunąć ze swej drogi, jeśli o grubość włosa przybliży mnie to do pomyślnego zakończenia mojej misji. Tymczasem po tych górach biegają

istoty, gotowe rąbać mieczami każdego, kogo zachowanie wyda im się choćby niezrozumiałe, a cóż dopiero wrogie! Pytasz, panie, czy się obawiam? Mając włożoną na barki taką odpowiedzialność? Ależ, panie, gdyby to było w mojej mocy, wypaliłbym cały ten kraj ogniem do cna, a potem odgrodził od reszty Szereru bezdenną przepaścią, byle tylko nikt nie przeszkodził mi wtedy, gdy bezbronny, będę wystawiony na każdy, najsłabszy nawet atak! Noszę w sobie treść największego ze wszystkich Pasm Szerni, jestem jego symbolem i niejako samą Szernią. Ale zмагаć się będę z podniesioną Wstęgą Aleru, będącą nie symbolem takowej, lecz czystą potęgą i treścią! Jakże więc? Mam przeciwstawić się tej sile dość długo, by Pasma poczuły się zmuszone do obrony swej istoty, a jednocześnie wywijać mieczem, odpierając, być może, atak jakiejś wściekłej, niczego niepojmującej kobiety, która przez całe swoje życie nauczyła się tylko dwóch rzeczy, a to nienawidzić i zabijać? Ależ... już z nią kiedyś walczyłem! Tylko popatrz!

W oczach wzburzonego mężczyzny pojawił się ból. Szarpnąwszy brzeg spódnicy, odsłonił kikuty ud, owinięte grubymi szmatami.

– Kierował nią Brul – rzekł cicho po dłuższej chwili. – Brul błądził... Chciałem zachować ten wielki umysł i niezmierną wiedzę, chciałem zyskać sojusznika. Po to przecież przyoblekłem się w tę postać. Wierzyłem, że jako uczeń Brula, zdołam skierować jego myśli we właściwą stronę. Ale doszło do wojny. Brul potrzebował miecza i ramienia, które by ten miecz trzymało. Zawezwał na pomoc... właśnie ją. Zwyciężyłem, ale jakim kosztem! Nie dziw się zatem, panie, że mając dość czasu, uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, by zwabić ją tutaj i zabić, nim znajdzie nowego sojusznika i wpadnie na pomysł przeszkodzenia mi po raz drugi.

– Mówisz o Łowczyni, czy tak? – przerwał starzec.

Heneghel Get zmarszczył brwi.

– Chciałem jej śmierci, to prawda – przyznał śmiało. – Nic i nigdy nie było dla mojego narodu większym złem niż jej obecność w Ciężkich Górach. Ale jeśli myślisz, panie, że powodowała mną tylko chęć zemsty... To nieprawda. Uznałem jej śmierć za potrzebną i tylko przypadek sprawił, że usunięcie tego brudu, będącego przecież jednym z wielu, okazało się zarówno pożyteczne, jak i przyjemne. Tak, przyjemne. Zniszczyłem ostatnio bardzo wiele istnień i czyniłem to z zadowoleniem, bo stopniowe usuwanie przeszkód, spiętrzonych na drodze do celu, może i nawet powinno być źródłem zadowolenia. Ale śmierć tej kobiety sprawiła mi żywą, niekłamana przyjemność. Tak, to prawda – potwierdził raz jeszcze. – Moje życie dobiega kresu, panie, treść Pasma, które noszę, szybko wypala moje siły, cenię więc sobie wszelkie przyjemności. I nie obchodzi mnie nawet, czy są to rozrywki w ogólnym rozumieniu zacne, czy nie. Zechcesz to, panie, potępić?

Starzec pokręcił głową.

– Obaj wiemy, synu, że wszystko, co zrobiłeś, a także to, co uczynisz jeszcze, nie ma najmniejszego znaczenia, o ile nie przeszkadza lub też nie pomaga twojej misji. A już najmniej ważne są twoje uczucia i doznania. Pytałem, czy mówisz o Łowczyni, bo to, co leży w jaskini, trudno rozpoznać doprawdy... Uznałeś tę śmierć za potrzebną i wystarczy. Nie zaprzecza to prawdzie, że próbujesz ocalić miliony. A co przy tym czujesz, mianowicie rozpacz czy szczęście, jest najzupełniej obojętne. Zresztą tobie... w gruncie rzeczy również. – Uniósł spojrzenie i uśmiechnął się. – Kto jeszcze zginął w tej wsi?

– Hel-Krehiri i oddział cesarskich gwardzistów. Poza tym nikt istotny, jacyś wędrowcy. I szpiedzy Trybunału.

– Rozumiem, że zginęli z tych samych powodów, co Łowczyni?

– Poniekąd. Żołnierzy nie zwabiłem specjalnie. Ale skoro przyszli, uznałem... To był oddział kocich gwardzistów, najgroźniejsi żołnierze, jakich kiedykolwiek miała Legia Grombelardzka. Obawiałem się ich. Nie rozumiem kotów i tego, co nimi powoduje. Myślę, że to niepotrzebny gatunek.

– Wystarczy – osądził starzec.

Uśmiechnął się po raz drugi.

– Twoja wiedza o świecie, mój synu, jest aż żenująco powierzchowna...

Heneghel pochylił głowę.

– Tak, zapewne. To prawda. Wszystko, co wiem i ogarniam, dotyczy tylko sił Szerni. Skąd miałbym brać inną wiedzę, panie? Ale myślę, że ta niewiedza przynosi mi zaszczyt. I całemu mojemu rodzajowi. Określa bowiem wielkość ofiary. Zrezygnowaliśmy ze wszystkiego, Strażniku.

Garbus milcząco przytwierdził.

– Ja także nie próżnowałem – oznajmił po długiej chwili. – Udało ci się sprawić, że w Grombelardzie zapanował chaos, ja zaś zadbałem, by nie przywrócono porządku. Domyślasz się przecież, że zagadkowa bierność Księcia Przedstawiciela...

– Nie wzięła się znikąd, oczywiście – dokończył Heneghel. – Tak, panie, mam tego świadomość. Męczymy mnie co innego. Czy księżna...?

– Jest zdrowa, choć zaczyna sprawiać kłopoty. Poradzimy z tym sobie – zapewnił Odrzucony. – Gdy przyjdzie pora, pójdę po nią. Nie jest to już twoim zmartwieniem.

– Boję się, panie – otwarcie rzekł Heneghel. – Ta kobieta jest absolutnie niezbędna. Boję się – powtórzył. – Tak wiele zależy od życia i zdrowia jednej, nieświadomej niczego istoty.



## ROZDZIAŁ 24

□ **Z** prawdziwego znaczenia i siły Trybunału Imperialnego mało kto zdawał sobie sprawę. Oczywiście wiedziano powszechnie, że jest to instytucja mająca potężne możliwości i szerokie wpływy, ale bardzo niewielu dysponowało wiedzą o faktycznym zakresie władzy szarych urzędników. Szczególnie w sytuacjach nadzwyczajnych.

Najwyżsi Sędziowie Trybunału nigdy nie mieli swoich siedzib w stolicach prowincji. Najbardziej widoczną funkcją Trybunału było ściganie i sądzenie wszelkiego rodzaju przestępców, ale przecież o wiele ważniejsze były inne, nie tak bardzo rzucające się w oczy zadania: kontrola podbitych krain – co odbywało się przy współpracy z wojskiem – i na koniec (a raczej przede wszystkim) roztaczanie dozoru nad poczynaniami... cesarskich przedstawicieli. Oczywiście, by dozór w ogóle miał jakiś sens, wysocy urzędnicy Trybunału nie mogli być zależni od władców prowincji; owszem, podlegali ich rozkazom w zakresie ścigania pospolitych przestępców – i to wszystko. Dlatego uznano w Kirlanie za słuszne, by siedziby Najwyższych Sędziów w prowincjach nie mieściły się w tamtejszych stolicach. Ograniczało to liczbę nieuchronnych konfliktów i pozwalało niejako „zamaskować” bezpośrednie kontakty Sędziów z imperialnymi władzami w Kirlanie.

W Grombelardzie stolicą Trybunału był Bador. Tam rezydował Najwyższy Sędzia Trybunału Imperialnego w Grombelardzie. W pozostałych miastach, a więc także w Grombie, Najwyższy Sędzia mianował namiestników. Z oczywistych powodów namiestnik rezydujący w Grombie, czyli pod bokiem Księcia Przedstawiciela Cesarza, miał szczególne obowiązki, ale i uprawnienia. Niektóre były tajne... ale też sytuacja Namiestnika Sędziego w Grombie była niezwykle delikatna.

Od kilku lat, a dokładnie od chwili, gdy cesarskim Przedstawicielem w Grombelardzie został N.R.M.Ramez, stanowisko Pierwszego Namiestnika w stolicy było nieobsadzone.

Wieść o niezwyklej nominacji jej wysokości Wereny zbiegła się z plotką – a potem potwierdzoną wiadomością – o zawieszeniu jej małżeństwa. Armeктаńczycy, bardzo ceniący sobie osobistą wolność, uważali rozwody, zarówno czasowe, jak i definitywne, za rzecz

zrozumiałą i normalną. Niemniej ten rozwód – taki rozwód, przeprowadzony w taki sposób i w takim momencie – musiał stać się sensacją i skandalem. Nieomal w jednej chwili jego wysokość książę Ramez, nosiciel świetnego nazwiska i jeden z najpotężniejszych ludzi w Szererze, zięć Imperatora, spadł do roli skarconego, niechcianego i niepotrzebnego urzędasza. Odwracano się odeń z pośpiechem tyleż ostentacyjnym, co panicznym. Naraz zostało ujawnione wszem wobec (choć przecież nie powiedziane wprost), kto ponosi winę za sytuację w prowincji i kogo Imperator pociągnie do odpowiedzialności. Jedyna córka panującego zawiesiła oto swoje małżeństwo, jednocześnie przyjmując nominację na wakujące od lat, bardzo szczególne stanowisko, które nieoczekiwanie okazało się potrzebne! Cesarz chciał mieć w Grombie kogoś, komu mógłby ufać – bo człowiek, któremu ufał dotąd, zawiódł. Można by to rozgłosić na rynkach przez miejskich obwoływaczy, a nie stałoby się bardziej oczywiste.

W ten sposób Książę Przedstawiciel Cesarza, któremu przecież oficjalnie nie ujęto władzy ani przywilejów, został w istocie pozbawiony tak jednego, jak i drugiego. Jawne lekceważenie, lub chociaż niedbałe wykonywanie jego poleceń, urosło omal do rangi powinności względem Grombelardu, Wiecznego Cesarstwa i samego Imperatora. Tym gwałtowniej i szybciej wzrosło znaczenie księżnej – nie dość, że córki panującego, to na dodatek osoby cieszącej się zaufaniem Kirlanu.

Każdy, kto choć trochę zorientowany był w politycznych sprawach imperium, doskonale wiedział, że cesarz nie jest człowiekiem skłonny do rozdzielania urzędów między członków najbliższej rodziny. Przy obsadzie najwyższych stanowisk Imperator najpierw brał pod uwagę zdolności, a dopiero potem nazwiska. Spośród trzech synów panującego, ani jeden jak dotąd nie otrzymał przedstawicielstwa w żadnej prowincji imperium! Było zresztą publiczną tajemnicą, że popiera (a może i dyktuje) tę politykę cesarzowa, której związki z Trybunałem były tyleż oczywiste, co nieoficjalne. Zdawało się, że pierwsza kobieta imperium, której niebывała energia była świetnym dopełnieniem wielkiego umysłu męża, w tym samym stopniu kocha swoich synów, co nie dowierza ich powadze, zdolnościom... a może i lojalności. Znała ich ambicje: były wygórowane co się zowie...

Natomiast ufała Werenie.

Ponoć były do siebie zupełnie niepodobne. Czy też raczej: podobne z rysów twarzy, tym bardziej różniły się usposobieniem. Ale o członkach rodziny cesarskiej opowiadano tyle różnych historii, że nie sposób było dociec, które są prawdziwe, a które zmyślone od początku do końca.

– Wasza wysokość.

Potężny stół zasłany był nieprzebrany mnóstwem wszelkich dokumentów. Siedząca za stołem kobieta miała łokcie wsparte na blacie, czoło zaś na dłoniach. Nie poruszyła się.

Poza stołem i kilkoma krzesłami w pokoju, bardzo zresztą niewielkim, nie było prawie nic. Na jednej ze ścian widniało duże godło imperium: srebrna gwiazda czteroramienna w otoczeniu trzech mniejszych. Na drugiej ścianie wisiało – jakżeby inaczej? – trochę broni z różnych krain Szereru. Bez oręża w zasięgu wzroku Armektańczyk czuł się nieswojo.

S.M.Norwin, wojskowy komendant garnizonu w Grombie, uczynił dwa małe kroki i odchrząknął.

– Wasza wysokość – powtórzył.

Werena uniosła głowę. Norwin prawie się przeraził, ujrawszy bladą twarz i czerwone, podkrążone oczy.

– A, jesteś... komendancie – powiedziała z ogromnym znużeniem, nawet nie próbując ukryć, że jego widok ani ją cieszy, ani martwi, bo w ogóle nie obchodzi.

Potrzebowała snu, ale tak, jak potrzebuje się powietrza. Gotowa była umrzeć z jego braku.

– No, co tam? – zapytała, jakby obecność wysokiego rangą wojskowego w gmachu Trybunału była czymś zupełnie normalnym i niewartym większego zainteresowania.

– Wasza wysokość, złożyłem rezygnację. Księżę... jego wysokość przyjął ją. Poprosiłem o urlop i dostałem go.

Werena ożywiła się na chwilę.

– Ach... – powiedziała z namysłem – z tego wynika, że mogę prosić cię o jakąś małą przysługę? Oczywiście prywatnie – zaznaczyła. – Masz przecież czas i chęci?

– Wasza wysokość – rzekł porywczo Norwin – jestem do dyspozycji! Przecież ja... właśnie dlatego – wyznał z głęboką szczerością. – Pozostając w służbie, nie mogłem być waszej wysokości pomocny. Teraz mogę.

Norwin kiedyś dowodził cesarską gwardią pałacową w Kirlanie. Księżna zabrała go ze sobą do Grombu, choć stanowisko komendanta garnizonu grombelardzkiej stolicy żadną miarą nie było dlań awansem. Służba u boku Imperatora dawała perspektywy, o jakich w Grombelardzie można było co najwyżej śnić. Jednak Norwin prosił, by go zabrać, i księżna uległa, wiedząc, że ten człowiek jest jej bezgranicznie oddany.

– Księżę... – powiedziała gorzko, znów wspierając łokcie na stole. – Zostawię go. Wszyscy go zostawili, nawet ty i ja...

Dotknęła skroni palcami.

– Ależ boli mnie głowa – szepnęła. – Ja... nie wiedziałam. Tyle, tyle rzeczy trzeba pamiętać i rozumieć. Niepodobna, by ogarnął to jeden człowiek.

Wzięła do ręki zapisaną kartę i wpatrzyła się w nią trochę tępo, przygryzając usta.

– Niepodobna – powtórzyła.

Norwin stał i milczał. Werena odłożyła pismo, potrącając przy tym dość duże, płaskie pudełko o bogato rzeźbionym wieczku. Wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym, sięgnąwszy do środka, wyjęła małą garść żółtych kulek. Wsypała je do ust i rozgryzła, przymykając oczy. Norwin rozpoznał dartańskie rodzynki. Zatopione w szybko krzepnącej masie o waniliowym smaku, stanowiły nie lada przysmak. No i nie lada wydatek... Legionistę dziwnie wzruszyła ta dziecięca słabość księżnej do słodocy. Przejawiała ją zawsze, jeszcze w Kirlanie.

– Usiądź – powiedziała. – Tu, koło mnie, chcę, żebyś czytał razem ze mną. Popatrz.

Nie dała mu czasu na myślenie, czy wypada, by siedział obok niej. Rozgarniając dłonią leżące na stole dokumenty, wyciągnęła trzymane w drugiej ręce pismo w stronę pustego krzesła; chcąc zapoznać się z treścią, po prostu musiał usiąść tam, gdzie mu kazała.

– Potrzebuję rozmowy – wyjaśniła jakby mimochodem, nie odrywając spojrzenia od przekładanych kart i rulonów. – Sprawy Trybunału przerastają mnie. Drugi Namiestnik to głupiec, mówiący jakimś dziwnym językiem, akurat takim, jakim pisane jest to wszystko. Żywy dokument, wyobrazasz sobie? Chcę porozmawiać z kimś normalnym. Siedzę w tym gmachu od miesiąca i nie spotkałam tu nikogo takiego.

Zajął wskazane miejsce i bezmyślnie przebiegł wzrokiem treść listu, który mu podała.

– Wasza wysokość, ja także o sprawach Trybunału mam bardzo niewielkie...

– Wiem – ucięła. – Niemniej jako komendant garnizonu od lat grzebałeś się w czymś takim i wszelkie dokumenty nie są dla ciebie niczym nowym. A po wtóre, chcę sprawdzić, czy istotnie jest tak, jak mówię, czy też raczej po prostu jestem zbyt głupia, by pojąć, o co chodzi. Czytaj.

Skupił się i zagłębił w treści listu.

– Już? – zapytała po dłuższej chwili. – No, to teraz dalej, masz.

Podawała inny dokument. Zapoznał się z nim i lekko skrzywił usta. Patrzyła z trochę drwiącym, a trochę ponurym uśmiechem.

– Tak więc mam specjalne uprawnienia. Pełnomocnictwo od Najwyższego Sędziego... pełnomocnictwa z Kirlanu... – wyliczała, odkładając na bok kolejne dokumenty. – I wszystko to daje mi zaledwie

prawo do podejmowania decyzji. Zaledwie. Wykonanie tych decyzji leży na przykład w gestii wojska. A zwierzchnikiem wojska jest mój... jest Książę Przedstawiciel Cesarza. Jeśli zignoruje moje zalecenia, sprawa trafi do Najwyższego Sędziego w Badorze. Który przecież udzielił mi wszelkich pełnomocnictw, zresztą bardzo niechętnie i na wyraźne polecenie mego ojca. Niezwłocznie więc skieruje do mnie... no, moją własną skargę, bo rzecz dotyczyć będzie namiestnictwa w Grombie i Gromb może, a nawet powinien ją rozpatrzyć. Mam przecież wszelkie pełnomocnictwa, czy tak? Więc Najwyższy Sędzia zatrze tylko ręce z radości. Co dalej? Z ramienia Sędziego wyślę skargę do Kirlanu, bo cóż? A wtedy z Kirlanu... dostanę odpowiednie pełnomocnictwa! – Nieoczekiwanie uderzyła dłonią w stół. – Już je mam!

Przez chwilę milczeli.

– Zażądałam wojska – rzuciła krótko po chwili.

– To bezprawne – odruchowo zaprotestował Norwin. – Trybunał...

I urwał.

Konflikt między dowódcami legii a Trybunałem istniał zawsze. Pierwsi mogli wszystko – ale byli głusi i ślepi, bo Trybunał udostępniał im tylko te wiadomości, które chciał udostępnić, strzegąc zazdrośnie innych – na przykład takich, dzięki którym wojsko mogłoby poszczycić się jakimś głośniejszym sukcesem. Taki sukces mógłby spowodować skierowanie na potrzeby wojska większych sum w uznaniu efektywności działania. Odbyłoby się to kosztem innych instytucji, także Trybunału.

Urzędnicy odwrotnie: wiedzieli wszystko, nie mogąc wszakże nic zrobić bez pomocy legii, bo Trybunał nie miał własnych zbrojnych oddziałów, ani nawet sił porządkowych. A wojsko nie kwapiło się wcale do działań na rzecz urzędników. Każda z instytucji dbała o to, by zachować jak największe wpływy. Norwin na moment zapomniał, gdzie jest i z kim rozmawia, zapomniał też, że nie pełni już funkcji komendanta garnizonu.

– Och, nie przejmuj się aż tak bardzo – powiedziała Werena z wyraźną, choć nie złośliwą kpina. – Trybunał to ja. Już przywykłam. Przywyknij i ty.

Wyglądała znacznie lepiej niż w chwili, gdy wszedł do pokoju. Rozmowa zdała się ją ożywiać.

– Jak wasza wysokość chce to przeprowadzić? – zapytał po krótkiej chwili. – Nawet cesarz nie może wyjąć wojska spod władzy swego Przedstawiciela w tej czy innej prowincji. Może przesłać instrukcje lub złożyć wicekróla z urzędu, ale nie może zabrać mu wojska.

– Toteż nie zabierze, wprost przeciwnie – powiedziała. – Siedzę w tym gmachu już prawie pięć tygodni – popukała kostkami palców w stół – a gońcy zajeżdżają rozstawne konie na kurierskim szlaku do Kirlanu...

Poprosiłam cesarza, by przysłał tu cztery pólsetki łuczników z Rapy ze specjalną misją. „Sprawa wagi państwowej”. – Pokazała inny list. – Książę Przedstawiciel proszony jest tylko o udzielenie dowódcy tych ludzi wszelkiej możliwej pomocy.

– Jeśli ta misja dotyczy Grombelardu, powinna być wykonana siłami prowincji.

– Powinna, no i co? Hm? Co z tego? Jeśli cesarz uznał, że Legia Grombelardzka nie sprostą zadaniu lub też z jakichś przyczyn nie powinna brać w nim udziału...

– Książę temu zaprzeczy. Zażąda respektowania swoich...

– Niech zaprzecza. Niech żąda. Niech śle skargę do Kirlanu. Może czuć się obrażony i może nawet nie spełnić cesarskiego polecenia o udzieleniu pomocy przysłanemu oddziałowi. Ale nie może odwołać rozkazów, jakie dowódca tych ludzi otrzymał bezpośrednio od Imperatora. To nie są żołnierze księcia i nie podlegają mu.

– Nie dostaną kwater, nie dostaną zaopatrzenia...

– Za to dostaną dość pieniędzy z kasy Trybunału. Wynajmą kwatery, kupią zaopatrzenie.

– Niemniej obce wojska...

– Jak to obce? – przerwała. – Jak to obce? Imperium jest jedno, a rządzi nim cesarz, nikt inny. Wszyscy zdają się o tym zapominać – zauważyła zgryźliwie – zarówno książęta prowincji, jak i urzędnicy Trybunału, a na koniec dowódcy legii. Książęta Przedstawiciele są właśnie tylko cesarskimi przedstawicielami, nie jakimiś udzielnymi władcami. Imperium jest jedno – powtórzyła – i cesarz może wysyłać swoich żołnierzy, imperialnych żołnierzy – podkreśliła – gdzie mu się spodoba. Przynajmniej tych żołnierzy, którzy podlegają bezpośrednio jemu, bo nie ustanowił nad nimi żadnej innej władzy. Armektańskich.

Norwin przygryzł wargę.

– Gdybym nadal pełnił swoją funkcję...

– Byłbyś wściekły, prawda?

– Tak, wasza wysokość.

– To tylko potwierdza, co mówiłam – skonkludowała. – Pewna niezależność prowincjonalnych książąt i wojsk ma służyć cesarstwu, nie zaś na odwrót. Cesarstwo nie jest strażnikiem suwerenności różnych krain Szereru. Jeśli cesarz postanowi, że w interesie imperium będzie puszczenie całego Grombelardu z dymem, to jego Przedstawiciel w Grombie powinien wykazać tylko czysty entuzjazm, bo reprezentuje tutaj interesy Kirlanu, nic więcej. I interesy Kirlanu winien mieć na oku, żadne inne.

Uśmiechnęła się nieoczekiwanie; była w coraz lepszym humorze.

– Norwinie – powiedziała mu po imieniu, a nie zwracała się tak nigdy do nikogo – przecież sam musisz przyznać, że... no, już pomijając

wszystko inne, Legia Grombelardzka naprawdę nie jest zdolna do podjęcia jakichkolwiek działań? Po tym, jak przepadł w górach ten koci oddział z Rahgaru, w całym Grombelardzie, może poza Londem, gdzie siedzi straż morska, nie ma i pięciu żołnierzy, na których można by polegać. Mój... – zająknęła się znowu. – Jego wysokość Książę Przedstawiciel zadbał o to, by wojska prowincji przemieniły się w bandy mętów. Tak? – Zwrócona ku niemu oparła łokieć na stole, a głowę na dłoni.

Uniósł spojrzenie. Czuł jej delikatny waniliowy oddech, gdy mówiła.

– To prawda – przyznał niechętnie.

– Powiedz, czy pomożesz mi?

– W jaki sposób, wasza wysokość? Tak, pomogę – zapewnił zaraz. – Ale nie mam już... od dzisiaj nie mam już żadnej władzy. Może niepotrzebnie złożyłem rezygnację? – Zawahał się.

– Przeciwnie. Mojej władzy wystarczy na nas dwoje. Chciałabym nawet, żebyś w ogóle porzucił służbę.

– W jaki sposób, wasza wysokość? Książę nie zgodzi się na skrócenie mojego kontraktu, byłoby to...

– Wytoczę ci proces – powiedziała.

Patrzył zaskoczony.

– Pospolite przestępstwo... – poddała, pochylając się jeszcze trochę ku niemu; oprócz waniliowego oddechu poczuł także zapach jej włosów. – Upij się i sprowokuj bójkę... bo ja wiem, w oberży? Zdemoluj ją! Osądzę cię i wydam wyrok, wszystko jedno jaki. Człowiek skazany za pospolite przestępstwo nie może służyć w wojskach imperialnych, prawo mówi o tym wyraźnie. Zostaniesz karnie wydalony z legii, ja zaś znajdę ci inną funkcję. Z głodu nie umrzesz, możesz być o to spokojny. Umiem zadbać o swoich ludzi. Potrzebuję cię.

Myślał, marszcząc brwi i nie bardzo nawet ukrywając swą niechęć do propozycji. W ustach kogokolwiek innego byłyby obelżywa.

Namiestniczka milczała wyczekująco, patrząc troszeczkę z ukosa. Przechyliwszy głowę, rozwarła lekko usta i dotknęła językiem górnych zębów.

– No?

Dostrzegł, że jej senność zniknęła bez śladu. Nie była już blada, przeciwnie – na policzkach miała wyraźne, nawet trochę nienaturalne rumieńce.

– Jeśli nawet, to sprawa trafi najpierw do księcia – powiedział.

– Pospolite przestępstwo – przypomniała. – To nie jest wykroczenie przeciwko dyscyplinie ani żadna ze spraw, które wojsko rozstrzyga we własnym zakresie, wewnętrznie. Pospolite przestępstwo urlopowanego żołnierza musi zostać skierowane do rozpatrzenia przez Trybunał. Stary sposób urzędników na pozbycie się niewygodnych wojskowych –

oznajmiła szyderczo. – Poznałam go, nurzając się w tym wszystkim. – Pokazała stertę dokumentów.

Dotknęła czoła grzbietem dłoni.

– Gorąco tutaj...

Zamyślony, niezadowolony i ponury, zatrzymał wzrok na pudełku z łakociami. Pośród żółtych kulek znajdowały się w nim także nieliczne brunatne bryłki, sporo większe.

– Tak, wasza wysokość – odrzekł tępo. – Ale...

Odsunęła się trochę, przygryzła paznokiec, a potem wsunęła mały palec w usta i zaczęła ssać. Oczy błyszczały jej mocno.

– Ale? – mruknęła.

– Księżę będzie zwlekał. Przecież wie doskonale, że pijaństwo i burdy to do mnie niepodobne. Przejrzy grę waszej wysokości, odgadnie, komu jestem potrzebny, i upłyną miesiące, zanim sprawa trafi do Trybunału... Stary sposób na nieoddanie urzędnikom niewygodnych dla nich wojskowych – mówił z roztargnieniem; nawet nie zauważył, że pozwolił sobie zakpić z Namiestniczki Sędziego.

Nie odwracał spojrzenia od pudełka. Czuł się nieco zagubiony, zdziwiony i... tak, zwyczajnie zgorzony.

Szeharea.

Brązowe bryłki w pudełku sporządzano z pewnych nasion, które zlepione sokiem rozmaitych liści, działały pobudzająco, poprawiały nastrój – ale też, przy dłuższym zażywaniu, były zwyczajną trucizną. Szczególnie żołnierze unikali tego jak ognia; po sheharei krew nie chciała krzepnąć, a rany źle się goiły.

Norwin pojmował, dlaczego księżna sięgnęła po to świństwo, niemniej... Jej nagłe ożywienie, a także wyraźnie prowokujące, trochę nawet nieprzyzwoite zachowanie znalazły wytłumaczenie. Jednak Norwin czuł, że coś mu odebrano. Jej wysokość Werena była dlań zawsze kimś, kogo nie dotyczą słabości zwykłych ludzi.

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i zacisnęła usta. Zatrzasnęła wieko pudełka. Odsunęła się gwałtownie, czerwieniąc jeszcze bardziej niż dotąd.

– Rzecz trafi nie do księcia, lecz jego urzędników – oznajmiła sucho. – Jeden z nich użyje swych uprawnień w całej rozciągłości i niezwłocznie skieruje sprawę do rozpatrzenia przez Trybunał, choć zwykle o takich rzeczach najpierw powiadamia się księcia. Zwykle, ale niekoniecznie. Księżę, gdy się dowie, wpadnie w gniew, ale będzie już za późno, tym bardziej że urzędnik nie uczyni przecież nic, czego nie miałyby prawa uczynić.

Unikała jego spojrzenia.

– Dobrze, wasza wysokość – powiedział.

Był zmęczony rozmową i wciąż zakłopotany odkryciem. Zgodziłby się



na wszystko, byleby pozwoliła mu odejść.

Przez długą chwilę panowało niezręczne milczenie.

– Biorę to, bo muszę – rzekła nagle otwarcie. – Przystanę, gdy tylko...

Roześmiała się nieoczekiwanie.

– Przystanę – zapewniła, znów dotykając dłonią czoła i policzków. –

Ależ tu duszno.

Nie była to prawda.

– Wasza wysokość... nie powinna tłumaczyć się przede mną.

Spojrzała z ukosa, trochę ironicznie, a trochę z zaciekawieniem.

– Mądrała.

Patrzyła z nowym uśmiechem.

– Nie pytasz, jaką funkcję zamierzam ci powierzyć? – zagadnęła wreszcie.

– Jaką, wasza wysokość? – zapytał z wysiłkiem.

– Chcę, żebyś zorganizował mi prywatne wojsko. Osobistą gwardię. Dostaniesz pieniądze, z tym jednym nie mam problemu... jak dotąd. Jest mi obojętne, skąd weźmiesz żołnierzy i jakich. Mają być sprawni i wierni.

– Dobrze, wasza wysokość.

– Udzielę ci takich pełnomocnictw, jakie tylko będą potrzebne. – Kręcąc głową, rozmasowała sobie kark i szyję. – Hejże – powiedziała – jestem wolna, no tak? Źle korzystam z tej wolności, naprawdę.

Coś ją rozbawiło, bo przygryzając usta, próbowała zapanować nad śmiechem.

– Lepiej idź już, żołnierzu... No uciekaj.

Zaśmiała się urywanie.

Wstał z krzesła.

– Wasza wysokość.

– Uciekaj, uciekaj... Muszę popracować. – Znów parsknęła krótkim, stłumionym śmiechem. Odchyliła się na oparcie krzesła i przeciągnęła beztrąsko. – Idź już, Norwinie, proszę. Pomyśl o tej gwardii dla mnie. I przyjdź jutro. Rano.

Posłała mu całusa i uniosła rękę, lekko przebierając palcami w figlarnym geście pożegnania.

Wyszedł tak prędko, jak tylko mógł. Zamykając drzwi, ujrzał jeszcze, jak pochylona nad dokumentami, uśmiecha się sama do siebie.

## ROZDZIAŁ 25



Przez kilka minionych tygodni książkę Ramez postarzał się o lat kilkanaście. Widywano go tak rzadko, że już raz i drugi poczęła krążyć plotka o jego nieobecności w pałacu. Potem przebąkiwano, iż oszalał... Prawie wcale nie wychodził ze swojej izdebki, a jeśli już, to przemykał wzdłuż ścian niczym szczur, wyraźnie unikając rozmowy z kimkolwiek. Jawnie snuto domysły, kiedy cesarski rozkaz odwoła go z Grombelardu; dziwiono się nawet, że nie nastąpiło to do tej pory. Jednak lepiej zorientowani wiedzieli, że sprawa wcale nie jest taka prosta. Z pozycją rodziny N.R.M., w prostej linii pochodzącej od książęcego rodu Sar Soa, liczyć się musiał nawet Imperator, a trzeba by powiedzieć: zwłaszcza Imperator. Nie chodziło tylko o majątki w posiadaniu rodu. Położone na Wielkich Równinach księstwo ze swym stołecznym miastem było symbolem wszystkiego, co armektańskie, jego dzieje zaś – jedną wielką wojenną legendą. Każdy zatarg Kirlanu z Sar Soa natychmiast odnoszono do historii, do wojen najbitniejszego armektańskiego księstwa z potężnym Królestwem Trzech Portów, którego władcy podbili i w końcu zjednoczyli cały Armekt.

Zawieszenie małżeństwa było, w armektańskim rozumieniu, wyłączną sprawą Wereny; jej ojciec mógł, a nawet powinien się od tego odżegnać. Lecz pozbawienie Rameza urzędu zależało tylko od cesarza. Tu już rzecz wyglądała inaczej...

W Kirlanie miano pełną tego świadomość i czekano na efekty działań nowo mianowanej Namiestniczki Sędziego. Istniała uzasadniona nadzieja, że księżniczka, korzystając z nadzwyczajnych uprawnień, zdoła pozbierać grombelardzkie sprawy do kupy. Jeszcze bardziej liczone na to, że owe radykalne posunięcia – więc list rozwodowy i nominacja Wereny – podziałają na księcia trzeźwiąco. Wszystko dałoby się jeszcze zatuszować, niezrozumiałe zarządzenia – uzasadnić... Powstawało wprawdzie pytanie, czy autorytet cesarskiego Przedstawiciela w Grombie w ogóle da się odbudować bez wymiany człowieka piastującego urząd. To już jednak było wyzwanie dla Rameza. Gdybyż tylko zechciał je podjąć!

Ba, kiedy wyraźnie – nie chciał.

o o o

Stary garbus, żądający, by zapowiedzieć go księciu, jeszcze pół roku wcześniej wzbudziłby niemałą sensację. Teraz opatrzone książecą pieczęcią pismo, które okazał wartownikowi, przeszło bez większego wrażenia. Wprawdzie gwardia pałacowa nie uległa rozprężeniu w takim stopniu jak reszta wojsk grombelardzkich, niemniej skutki powszechnego bałaganu dotknęły i tę formację. Dyżurny oficer wziął okazany dokument i bez większego pośpiechu zaniósł Przedstawicielowi.

Wrócił wkrótce – ale jakże odmieniony! Przeprosił starego kalekę i zaczął okazywać mu specjalne względy. Prowadził do księcia szybko i bez zwłoki, ba! otwierał przed dziwnym gościem drzwi i puszczał go zawsze przodem, na koniec zaś nie kazał czekać przed „samotnią” jego wysokości, lecz wprowadził od razu, bez zapowiedzi. Potem zniknął ze wskrzeszoną jakimś cudem iście wojskową sprawnością i zręcznością wytrawnego dworaka.

Jego wysokość Ramez wstał na powitanie przybysza. Podeszedł do drzwi i zamknął je na zasuwę. Zaraz potem wskazał garbusowi swoje własne krzesło. Ten skorzystał bez ceregieli.

Na twarzy gospodarza znać było wielkie ożywienie i... niezwykłą energię! Jego wysokość w jednej chwili odzyskał dawny swój wigor, wyraźnie zapominając, że dopiero co był znużony, przygnębiony, apatyczny i czuł się niemal równie stary jak garbaty grajek. Nagłość owej przemiany zdawała się dowodzić, że nadzieje Kirłanu na wskrzeszenie poprzedniego wcielenia Rameza były wcale uzasadnione. Ten człowiek, gdyby tylko przyszła mu ochota, z całą pewnością mógł przywrócić porządek w pałacu w dwa dni, a ład i spokój w całym Grombelardzie – może w ciągu miesiąca.

Lecz cóż? Mógł czy nie mógł, w każdym razie nie chciał.

– Wasza godność – powiedział do garbatego starca – proszę nie wystawiać mojej cierpliwości na tak ciężkie próby. Zbyt wiele czasu minęło od naszego ostatniego spotkania.

Garbus uśmiechnął się lekko.

– Niepodobna, książę, przyspieszyć biegu spraw. To nie ode mnie zależy.

Ramez skinął głową. Starzec przez dłuższą chwilę obserwował go baczenie.

Ostatnie kilka miesięcy Książę Przedstawiciel Cesarza spędził, brodząc w czymś, co było jak gęsty sen. Rządzące światem siły zniżyły

się ku jego osobie, stały częścią codziennego życia i choć pojmował ich naturę, wciąż na nowo zdumiewało go to dziwne współistnienie nieogarnionej wieczności – i właśnie codzienności. Patrząc na swego gościa wiedział, z kim, a może raczej z CZYM przyszło mu obcować – i prawie nie wierzył, choć wiedział. Własnymi oczami oglądał oto PRZYCZYNE, dla której Szerń współistniała ze swym światem. Nieśmiertelny garbaty grajek był Przyczyną. Ucieleśnioną na wieczną swoją pamiątkę.

Szerń była tylko ślepą, choć przepotężną siłą – a jednak w owej sile drzemała jakaś... skłonność do szyderstwa. Na odwieczne pytanie każdej rozumnej istoty o przyczyny, dla których powstało życie, Pasma dały aż nazbyt wyczerpującą odpowiedź: oto jest właśnie przyczyna. Wszystkie powody, dla których Pasma współistniały z Rozumem, można było sprowadzić do postaci kalekiego starca, wygrywającego fałszywe melodie na rozstrojonym, groteskowym instrumencie. Czyż więc to nie było szyderstwo? Tym większe, że kazano owej kalekiej przyczynie potwierdzać się na przestrzeni tysiącleci.

Strażnik Praw Całości był efektem ich... złamania. Mnogie pragnienia istot rozumnych zaburzały niekiedy równowagę Szerni, zmuszając Pasma do czegoś. W tym wypadku do udzielenia odpowiedzi na pytanie o powody i sens istnienia.

Oto był powód. I sens.

– Przebudź się, książę – rzekł łagodnie starzec. – Pojmuję twoje uczucia i przecież sam je dzielam... Moje człowieczeństwo sięga głębiej, niżbym tego pragnął. A jednocześnie zbyt płytko, bo jestem tylko i wyłącznie tym, czym jestem i nie mogę być nikim ani niczym więcej. Jedyną częścią szererskiego istnienia raz na zawsze odrzuconą przez Szerń, Strażnikiem Praw Całości. Nikim i niczym więcej, czy rozumiesz, książę? Nie mam tego, co nazywać się zwykło prawem wyboru, wolnością... Mogę tylko, i muszę, trwać na straży istnienia, które za moją sprawą powstało.

– Wybacz, panie – powiedział cicho Ramez.

– To ty mi wybacz, synu – odparł tamten z powagą. – Nie prosiłeś o swoje istnienie i za nic nie odpowiadasz. Obojętne, ile dobra i zła jest na świecie; obojętne, ile ty sam sprawisz jednego lub drugiego, to ja jestem tego przyczyną. Cóż, że nieświadomą i bezwolną? Przyczyną, i to wszystko. Sprawić, by coś zaistniało, a potem owo coś rozliczać i oceniać, byłoby doprawdy nadmiarem bezczelności.

o o o

Dziwna rozmowa, prowadzona w najwyższej izbie stołpu, trwała przez

całą noc. Gdyby ktokolwiek z zewnątrz mógł ją słyszeć – nic by nie zrozumiał, to pewne. Zarówno księżę, jak i garbaty grajek posługiwali się najczęściej starogrombelardzkim – językiem prawie zapomnianym, martwym od wieków, czy też raczej żyjącym tylko w sferze związanej z Szernią, naturą jej Pasm, a wreszcie Prawami Całości. Niepodobna było rozmówić się swobodnie w tym języku na żaden temat związany z codziennym życiem; zbyt wiele słów do tego przydatnych już dawno przepadło w niepamięci. Lecz Księga Całości, dotycząca związków świata z rządzącą nim Potęgą, wciąż była spisywana przez Przyjętych po starogrombelardzku. Nikt nigdy nie powążył się dokonać przekładu, bo zabiłyby te wieloznaczności ukryte w poszczególnych ustępach; wieloznaczności ujawniające się niekiedy pod postacią Przepowiedni lub nawet nowych Praw.

Czasem jednak, a mianowicie wtedy, gdy poruszane były sprawy bardziej związane z codziennością, rozmawiający przechodzili na armektański, będący najbujniejszym, najdoskonalszym językiem Szereru. Lecz i wówczas wymiana zdań dotyczyła rzeczy zupełnie niezrozumiałych dla kogoś, kto niewiele wiedział o pradawnej Wojnie Potęg, o leżących w Ciężkich Górach szczątkach Wstęg Aleru i pragnącym ich wskrzeszenia narodzie, który całą swą historię, wiedzę i istnienie zaklął w postaci beznogiego mężczyzny, zwącego się Ostatnim i Jedynym.

– Czego żądasz, księżę? – niecierpliwie, a nawet trochę gniewnie pytał starzec. – Chciałbyś, żeby rzeczy wielkie dokonywały się gładko i bez ofiar? Żal ci kraju, którym rządziłeś? Ależ mówiliśmy już o tym! Toczmy przecież wojnę, rozgrywamy bitwę! Chciałbyś zwycięstwa bez ofiar? Nawet najgłupszy z dowódców doskonale rozumie, że czasem trzeba poświęcić stu lub dwustu żołnierzy, bo inaczej może zginąć cała wielotysięczna armia. Spośród trzech gatunków, którym Pasma dały rozum, tylko jeden pojął swą misję i bez chwili wahania poświęcił swoje istnienie, gdy stało się to konieczne. Małe, odtrącone przez współbraci w rozumie, powszechnie wzgardzone i znienawidzone za swą „inność” plemię dokonało samounicestwienia w imię dalszego trwania Armektu i Dartanu. Żaden sęp nigdy nie widział żadnej z tych krain! Już jutro będą na świecie tylko dwa narody rozumne. Kto zastąpi tych, którzy właśnie poświęcili swą przyszłość? Koty przecież odwrócone są od Szerni i nie widać, by kiedykolwiek zamierzały choć spojrzeć w jej stronę. Ludzie? Oto człowiek! Tak, ty, księżę! Nawet ty, który przecież pojmujesz, jaka jest stawka tej walki, nawet ty gorączkowo szukasz sposobu, by nasycić wilka, a i ocalić owcę. Przy takiej gotowości do ponoszenia ofiar...

Starzec urwał wzburzony.

– Czyżbym naprawdę poświęcał aż tak mało? – niegłośnie zapytał

Ramez.

– Osobiste szczęście, głównie to – bezlitośnie odpowiedział grajek. – Może jeszcze ambicję. Co chcesz kupić za tego miedziaka? Szczęście jednostki, a niechby i jej życie nic nie znaczą, wasza wysokość! Może są na Bezmiarach takie dziwne światy, w których jeden człowiek, pewno jakiś półbóg niezwykle, zbawia całe narody, ale ja, książę, w takie bajki nie wierzę. Żyjemy w prawdziwym świecie, gdzie dla ocalenia tysięcy zginąć muszą setki, dla ocalenia milionów tysiące. Najwygodniej by było stać z boku i czekać, aż przyjdzie jeden, za to wszechpotężny zbawiciel. Najlepiej stwórca całego bałaganu. Popatrz więc na mnie, książę! To JA właśnie. Jestem kaleką, cierpię od tysiącleci i co osiągnąłem? Nic! Nawet umierałem parę razy. – Strażnik Praw, zdjęty bólem, zaczął szydzić z własnej bezsilności. – Zabijano mnie to tu, to tam... Nawet w karczemnej bójce. Ale nie mogę oddać życia, książę, nie mogę nawet za darmo, cóż dopiero za jakąś sprawę! Mogę je najwyżej... wypożyczyć. Łatwo się umiera, a nawet zabawnie, mój książę, gdy masz pewność, że następnego dnia zmartwychwstaniez... Jestem nieśmiertelny niestety.

Odrzucony roześmiał się – choć, być może, miał ochotę zapłakać.

– Jedyne, co mam dla świata, to słowa – rzekł na koniec. – Nie mam żadnej mocy oprócz mocy słów. Jestem jedyną pod niebem Szerni istotą, która nie może odwoływać się do niej, bo nie jestem przecież jej dziełem. Byłem i jestem Przyczyną. Niezależną od Pasm. Mam dar rozumienia wszystkiego, bo nawet niewypowiedzianych myśli... lecz mogę tylko mówić. Jedynym orężem, jakiego potrafię i mogę użyć w jakiegokolwiek sprawie, są słowa.

Zaległo długie milczenie.

– Dalej, książę – rzekł starzec. – Wątpliwość i niepewność... Obawa... – czytał w uczuciach rozmówcy. – Nie przeniknę twych myśli, jeśli będziesz się wzbraniał. O co chcesz zapytać?

– O moją żonę, panie.

Odrzucony wznosił brwi do góry.

– Więc słucham.

– Czy ona... będzie potrzebna? Czy musi bądź powinna współuczestniczyć...?

Nie dokończył.

– Skąd ten pomysł? – zdumiał się starzec.

– Nie rozmawialiśmy o tym, panie, ale nie jestem głupcem. Wciąż mówimy o podniesieniu Wstęgi, ale ani słowem nie wspomniałeś dotąd, w jaki sposób zamierzamy to zrobić.

– I sądzisz, książę, że potrzebna będzie pomoc jej wysokości?

– Nosi znak Wstęgi Aleru. Pasma srebrnych włosów, ma je od zawsze. To oznaka base-kregheeri, Armektanki przynależnej zarówno do Szerni, jak i do Aleru. Brul-Przyjęty wprowadził ją kiedyś, pragnąc właśnie

podnieść Srebrną Wstęgę.

– I podniósł? – głos Odrzuconego pobrzmiwał wyraźną drwiną.

– Brul pomylił się. Tam dokąd zabrał Werenę, leżała Złota Wstęga, nie Srebrna.

– To wszystko bzdury, wasza wysokość – powiedział garbus już poważnie, bez drwiny. – Księżna Werena, zdaje się, jest przeciwna twojej roli w toczącej się walce o zachowanie świata?

– Istotnie.

– Moja obecność przy poruszeniu Wstęgi jest niepotrzebna, a nawet, hm, niewskazana. Gdy wyruszysz w góry, gotów jestem spotkać się z jej wysokością i wyjaśnić to wszystko, czego ty sam wyjaśnić nie mogłeś bądź nie umiałeś.

– Będę wdzięczny waszej godności.

– Niemniej twoja małżonka, księżę, nie musi, a nawet nie może w żaden sposób wpłynąć na podniesienie Wstęg Aleru – oznajmił Odrzucony z jeszcze większą niż poprzednio powagą. – Zapewniam cię o tym i zaręczam.

– Czy na pewno nie mylisz się, panie?

– Wasza wysokość – rzekł starzec spokojnie, ale w tle jego głosu zabrzmiało coś jakby delikatne politowanie. – Wasza wysokość – powtórzył.

Ramez pochylił głowę.

– Jestem tylko człowiekiem, panie – powiedział. – Zgodzę się na wszystko i poniosę każdą ofiarę. Ale nie chcę, by coś złego spotkało Werenę. Tej jednej jedynej rzeczy nie wolno żądać ode mnie.

– Nic takiego nie wydarzy się, księżę – raz jeszcze zapewnił starzec. – Zaufaj mi.

– Ufam, panie.

Starzec kłamał z prawdziwym bólem, bo szanował w swym rozmówcy wielką duszę, także serce i umysł. Dopuszczał się podłości wobec człowieka, który wcale na to nie zasłużył. Tak, doprawdy – Strażnik Praw mógł jawnie drwić z bajek o zbawianiu światów za cenę własnej śmierci, bo sam płacił nie śmiercią, a życiem. Życiem pełnym kłamstw i podłości.

Ale na tym polegała ta walka. Odrzucony wiedział, o co walczy, i ponosił konieczne ofiary. Tak jak powiedział, jedynym jego orężem były słowa.

Kłamstwo składało się ze słów.

## ROZDZIAŁ 26



**W**yrazista armektańska uroda Pierwszej Namiestniczki Sędziego nie tyle może przygasła, ile zmieniła swoją naturę. Przybyło powagi. Werena rzuciła proste w kroju, ale bogato – choć dyskretnie – zdobione, różnobarwne suknie, zamiast tego nosiła aksamity w przygaszonych barwach; przeważały szarość i czerń, haftowane srebrnymi nićmi. Włosy upinała w kok, co zresztą tym bardziej podkreślało świetne kształty głowy i szyi. W uszach zwykle miała srebrne kolczyki, tańczące tuż nad obojczykami, na przedramionach również srebrne, przedniej roboty bransolety, na palcach zaś zaledwie kilka drobnych i dyskretnych pierścieni. Armektańczycy nie lubili złota, widząc w nim ozdobę głupców, niemogących olśnić świata niczym innym, jak tylko widokiem bogactwa; podobnie jak złoto traktowali zresztą pyszne szaty. Przecież jeśli człowiek nie umiał pokazać swej wartości i znaczenia inaczej jak poprzez nabyte stroje, trudno było traktować go poważnie. Ale Werena nosiła się skromnie nawet w rozumieniu armektańskim. Jeśli cokolwiek wyróżniało ją spośród innych wysokich urzędników Trybunału, to chyba właśnie owo nieuchwytnie „coś”, co mogła mieć w sobie tylko córka władcy Szereru. Tym większy był jej autorytet. Nie cieszyłaby się takim szacunkiem, gdyby nie umiała pokazać, że najbardziej warta uwagi w osobie Pierwszej Namiestniczki jest właśnie sama osoba.

Złotowłosa, średnio ładna, trochę krępa kobieta, którą wprowadzono do pokoju najwyższej urzędniczki Trybunału w Grombie, oceniła to wszystko jednym rzutem oka. Była Grombelardką, co bez trudu dało się poznać – niemniej strojem dawała do zrozumienia, że nieobca jej armektańska wstrzeźliwość i umiar. Różowo-granatowa suknia wyrażała prędeż dobry smak niż bogactwo, a wplecione w nią łańcuszki, choć złote, były raczej ustępstwem na rzecz barwy włosów niżli dowodem zamożności. Delikatne i cienkie jak pajęczne nitki, żadną miarą nie mogły być uznane za zbyt ostentacyjne.

Obie kobiety przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Werena zmarszczyła lekko brwi.



– Wasza dostojność mnie nie zna – powiedziała przybyła, posługując się świetnym armektańskim, bez żadnego akcentu. – Przed laty udawałam kuzynkę jednego z doradców Jego Wysokości Księcia Przedstawiciela Cesarza. Stale przebywałam na dworze, choć nigdy zbyt blisko księcia, to prawda. Przyjechałaś, pani, do Grombu, gdy mnie już tu nie było. Prawdziwe moje imię brzmi Arma. Nie mam monogramów rodowych.

Werena uniosła rękę.

– Udawałaś... – powiedziała z wahaniem. – Ale... więc to nieprawda?

Blondynka zrozumiała pytanie.

– Wasza dostojność – po raz drugi użyła tytułu przysługującego nie córce cesarza, a wysokiej urzędniczce imperium; było to całkowicie dopuszczalne. – Wasza dostojność, na przedstawicielskim dworze znajdowałam się nie z racji jakiegoś pokrewieństwa. To pokrewieństwo... było dziełem pokaźnej sumy w złocie. Wasza dostojność u boku księcia Rameza rządziła Grombelardem jawnie, ja zaś wcześniej skrycie, u boku innego władcy. Szpiegowałam dla Basergora-Kragdoba, Króla Ciężkich Gór – powiedziała krótko, otwarcie. – Podlegali mi też wszyscy inni jego wywiadowcy, w całym Grombelardzie.

Namiestniczka Sędziego nie zdołała zapanować nad zdziwieniem.

– Nie – powiedziała, wychodząc zza stołu. – Boję się, że nie rozumiem, co do mnie mówisz. Wasza godność twierdzisz, że kim jesteś? – świadomie użyła tytułu, choć Grombelardka wyraźnie zaznaczyła, że jej się nie należy.

– Kim byłam. Rozbójniczką, pani. Nie taką, co z toporem biega po górach... chociaż czasem także. Przed laty opuściłam Grombelard, tak jak uczynili to moi przyjaciele. Wróciłam jakiś czas temu, bo dzieje się tutaj coś złego. Być może wróciłam dla tych samych powodów, dla których wasza dostojność zajęła stanowisko Pierwszej Namiestniczki.

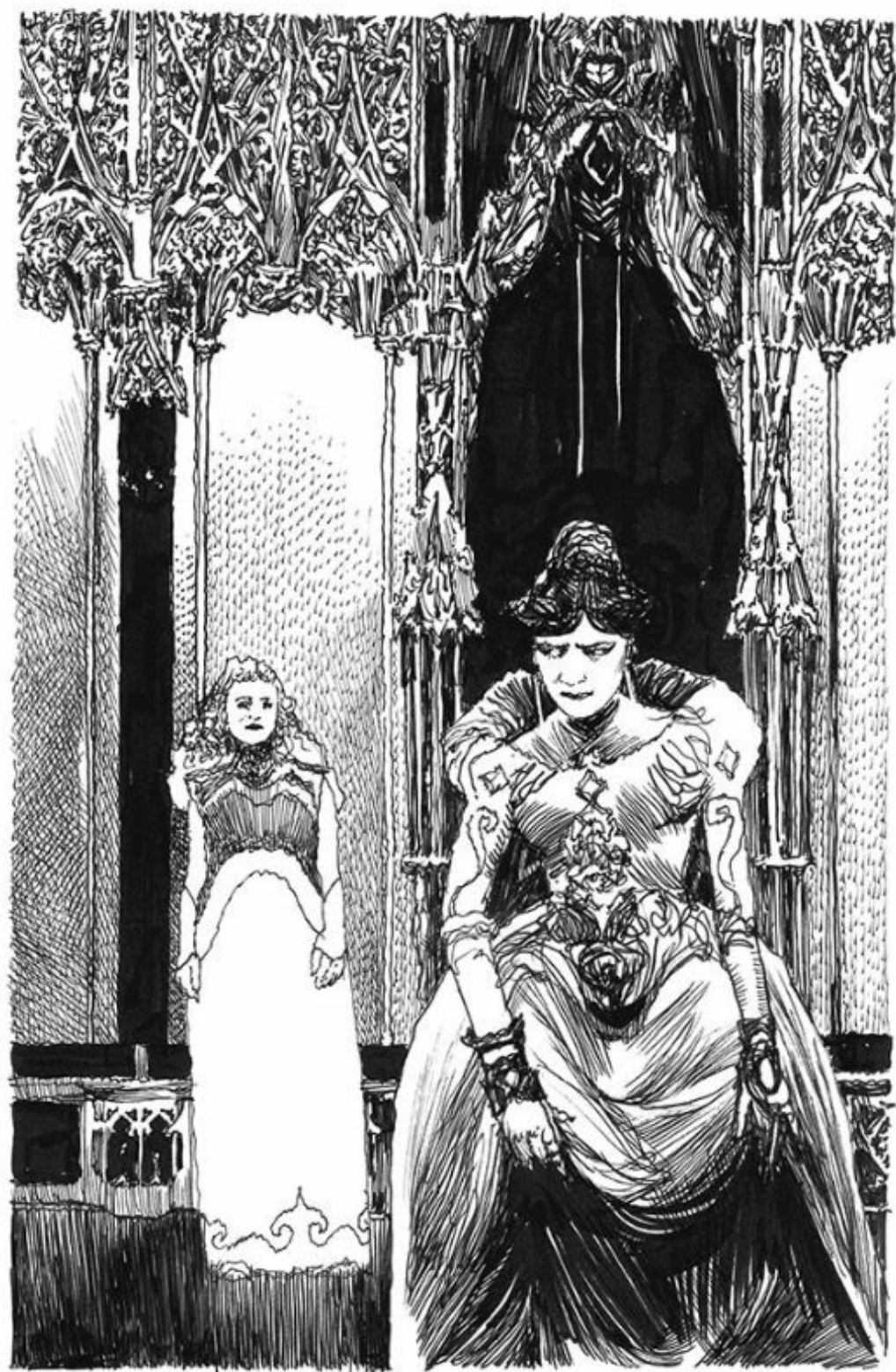
Werena zbliżała się powoli. W końcu stanęła w odległości dwóch kroków od przybyłej i przyglądała się jej bez słowa.

– Prosiłaś, by cię przyjąć, wasza godność – powiedziała wreszcie, ani myśląc zrezygnować z tytułowania rozmówczyni. – Dlaczego? Powody, które podałaś... – Zawiesiła głos.

– Były dobre, by uzyskać posłuchanie. Tyleż dobre, co nieprawdziwe.

– Kłamałaś – skonstatowała Werena z nagłym rozbawieniem.

– To właśnie potrafię najlepiej – przyznała blondynka z powagą. – Dlatego tak niezręcznie i ciężko się dziś czuję. Nie chcę dzisiaj kłamać i nie będę. Gdyby kiedyś ktoś mi powiedział, że przyjdę do Namiestniczki Sędziego Trybunału dobrowolnie i z zamiarem mówienia samej prawdy, wyśmiałabym go. Lub zabiła.



TRUST 4

Werena odwróciła się i niespiesznie podeszła do okna.

– No dobrze – powiedziała, wyglądając na zewnątrz – wszystko to jest bardzo ciekawe. Nawet bardzo niezwykle. Ale przecież pojmujesz, wasza godność, że nie wolno pod byle pretekstem wdzierać się do gmachu Trybunału? Podaj mi więc prawdziwe powody, dla których poświęcam ci czas. Życzę sobie, by były istotne. Bardzo nie chcę karać twojego zuchwalstwa. Przecież to, co powiedziałaś dotąd, najzupełniej wystarczy, by na zawsze osadzić cię w twierdzy.

– Dlaczego nie ma tu straży? – zapytała Arma. – Dlaczego wasza dostojność nie dba o swoje bezpieczeństwo? Dlaczego nie ma strażnika w tym pokoju?

Werena odwróciła się i spojrzała jej w twarz.

– Zaraz będzie – rzekła sucho. – Bardzo krótko co prawda. Zabierze cię i wyjdzie, wasza godność.

– Wasza dostojność, wiem, co mówię, proszę mi wierzyć...

– Kiedy nie wierzę – ucięła Werena. – Dostyc już. Spiesz się, pani, bo naprawdę zaczynasz mnie męczyć.

Blondynka zrozumiała, że przeciąga strunę.

– Jakiś czas temu – powiedziała – zagięły w górach dwie osoby. Jedna z nich to mój brat. Druga osoba... to Łowczyni. Przez kilka miesięcy przebywała u twojego boku, pani. Przyjaźniłyście się. Czy tak, wasza dostojność?

Werena przymknęła oczy. Na krótko... ale dla Army był to wyraźny znak, że może i powinna mówić dalej.

– Mój brat był kiedyś przybocznym gwardzistą Basergora-Kragdoba, a mówię to dlatego, by uświadomić waszej dostojności, że Łowczyni nie ruszyła w góry w towarzystwie chłopca. I oto dwoje wojowników tej miary przepadło bez wieści. Nie wiem tego na pewno... ale czuję, że mój brat nie żyje. Myślę, że zginęli oboje.

Werena raz jeszcze przymknęła oczy, po czym powoli podeszła do swojego krzesła. Usiadła.

– Mów dalej, pani.

Nieoczekiwanie blondynka straciła pewność siebie.

– Kiedy to już... prawie wszystko – powiedziała niegłęboko. – Ja... wiem, wasza dostojność, dlaczego objęłaś to stanowisko i jakie otrzymałaś uprawnienia. Masz władzę prawie nieograniczoną. Przez dwa miesiące patrzyłam, jak z tej władzy korzystasz, zanim postanowiłam, że przyjdę. Chcę pomóc. To, co czyni Książę Przedstawiciel... albo raczej to, czego nie czyni...

– Ocena poczynań cesarskiego Przedstawiciela nie do ciebie, pani, należy – przerwała chłodno Werena.

– Nie chcę oceniać – zaprotestowała Grombelardka. – Chcę powiedzieć, że działania jego wysokości to nie przyczyna, a skutek tego,

co dzieje się w Grombelardzie. Jeden ze skutków. Przyczyny leżą gdzie indziej, w górach. Myślę, że w wiosce zwanej Bezpowrotem lub Jarem.

Werena milczała wyczekująco.

– Łowczyni, mając do pomocy mego brata – podjęła Arma po chwili – poszła właśnie tam, do Jaru. Jestem przekonana, że nie żyją, inaczej już dawno otrzymałabym jakąś wiadomość. Wasza dostojność, w tej wiosce... tam coś jest. Ja myślę, że to nie jest człowiek. To jest... coś. Myślę, że zabiło nie tylko Łowczynię i Ranera. Zniknęła z gór Hel-Krehiri, następczyni Basergora-Kragdoba. Była wojowniczką tej miary co Łowczyni. Przepadł także oddział Gwardii Grombelardzkiej, mam na myśli „morderców z Rahgaru”. To byli najlepsi żołnierze, jacy kiedykolwiek przemierzali Ciężkie Góry. Przecież nikt nie wie, co się z nimi stało? – bardziej stwierdziła, niż zapytała. – Ponoć ktoś ich widział tutaj, w tej części gór. To nie jest rejon ich działań. Poszli do Jaru, pani. To, co strzeże tej wioski, jest potężniejsze niż cokolwiek innego w Grombelardzie. Łowczyni, Hel-Krehiri i rahgarskie koty... Coś pożarło i wchłonęło bez śladu najgroźniejsze istoty, jakie kiedykolwiek istniały pod niebem tego kraju. Spójrz dokoła, pani, a zobaczysz, co się stało z Grombelardem. Zresztą... widzisz to lepiej ode mnie. Chcę pomóc. Przyszłam, wasza dostojność, by oddać ci całą swoją wiedzę i zdolności. Wciąż jeszcze mogę sprawić wiele. Mam kilku oddanych ludzi, i to takich, jakich wasza dostojność mieć nie może. Mam też... sporo pieniędzy.

– Pieniądze ja mam także.

– Nieprawda, powoli się kończą – padła spokojna uwaga. – Służę więc swoimi. A gdy mówię o pieniądzach, wasza dostojność, nie myślę o chudej sakiewce, brzęczącej byle czym. Kazałam sprzedać las, wioskę i dwa swoje domy w Dartanie. Dartzańskie domy – zaznaczyła leciutko, żeby było wiadomo, iż nie myśli o byle kamienicach. – Złoto wkrótce nadejdzie. Jeśli braknie, sprzedam drugie tyle... bądź dwa razy tyle. Skorzystaj, wasza dostojność, z mojej propozycji. Czy nie potrzebujesz sprzymierzeńców?

– Być może.

Namiestniczka ukryła twarz w dłoniach, mocno przecierając oczy palcami. Gdy na powrót uniosła wzrok, wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Być może – powtórzyła. – Ale w czym właściwie chcesz mi pomóc, wasza godność? Powiem tylko, że Grombelard nie bardzo mnie obchodzi.

– Jednak wasza dostojność robi wszystko, by go ratować. Mniejsza o powody. Zresztą wcale nie są głęboko ukryte.

– A jednak pozwalasz sobie na zbyt wiele – stwierdziła Werena; znużenie w jej głosie było tak wielkie, że Arma spojrzała uważniej. Zdawać by się mogło, że namiestniczka lada chwila zaśnie lub zemdleje.

– Na zbyt wiele, zbyt wiele... – powtarzała, wyraźnie myśląc o czymś innym.

Bawiła się wieczkiem płaskiego pudełka, stojącego na stole.

– Dobrze, wasza godność, doskonale... – rzekła na koniec z roztargnieniem. – Przemyśle to sobie. Masz na imię Arma, dobrze zapamiętałam? Zostaw, proszę, wiadomość, gdzie można cię znaleźć... W kancelarii. Idź już! – zawołała z nagłym rozdrażnieniem, zatrzasnąwszy swoje pudełko. – Wezwę cię, jeśli uznam, że warto! Teraz idź już!

Milcząc, Arma ukloniła się i wyszła.

o o o

Dziwna, trochę tajemnicza kobieta, która w ciągu dwóch tygodni wkradła się w łaski Namiestniczki Sędziego, traktowana była zrazu dość nieufnie. Szybko jednak stało się jasne, że Werena niezwykle sobie ceni jej usługi, starannie powściągano więc odruchy niechęci. Tym bardziej że usposobienie namiestniczki stało się ostatnio dość przykre: bardzo łatwo zmieniała humory i nastroje, popadała w irytację, to znów tryskała jakąś nieuzasadnioną pogodą i energią. Kładziono to na karb przeciążenia pracą, choć powtarzano też czasem inne domysły i plotki. Trochę zastanawiająca była... nieco nadmierna poufałość, z jaką jej dostojność odnosiła się do S.M.Norwina, niedawnego komendanta garnizonu w Grombie, a obecnie dowódcy jej najmniejszej straży przybocznej. Pojawienie się Armii na jakiś czas usunęło tę sprawę w cień.

Złotowłosa powierniczka Wereny wcale nie chciała być popularna i znana. Jednak w gmachu Trybunału pracowali ludzie, od których wymagano właśnie nieprzeciętnej dociekliwości. Ktoś odkrył, że blondynka miała swego czasu stałe miejsce na przedstawicielskim dworze. Drażono sprawę nieomal odruchowo – bo wiązanie różnych drobnych faktów w spójną całość było tym, za co urzędnikom płacono. Jednak niezależnie od wszystkiego, liczono się z Armią coraz bardziej.

Werena niezwykle wysoko oceniła jej przydatność, jednocześnie zaś zaczęła mieć się na baczności. Grombelardka zorientowana była w sprawach zarówno Trybunału, jak i przedstawicielskiego dworu, przy czym jej wiedza o sprawach prowincji sięgała tak głęboko, że Namiestniczka Sędziego odczuwała coraz większy niepokój, zwyczajnie graniczący ze strachem. Zdała sobie sprawę z zakresu władzy, będącej udziałem tych, których tak ogólnie i beztrąsko zwano w Grombelardzie zbójami... Zbójce! Co rusz jakieś nowe słowo blondynki sprawiało, że Werena uświadamiała sobie istnienie kolejnych jej powiązań z dworem, wojskiem... a na koniec i samym Trybunałem. Przed oczyma cesarskiej

córki odsłaniało się z wolna drugie, ukryte w cieniu bezprawia imperium. Dane Army na temat Legii Grombelardzkiej były pełniejsze i bardziej wiarygodne niżli te, które przedstawić mógł Norwin. Komendanci innych garnizonów miejskich nie kwapili się wcale z powiadamianiem Grombu o istotnym, tragicznym stanie swych oddziałów. Być może była Arma jedyną w całej prowincji osobą mogącą zebrać dokładne dane na ten temat!

Jednym z pierwszych jej posunięć było dokonanie dyskretnego przeglądu osobistej gwardii, którą Norwin zorganizował na żądanie Wereny. Najpierw tylko napomknęła, że będą potrzebne zmiany. Potem, gdy jej pozycja trochę okrzepła, wróciła do tematu. Wreszcie wydała Norwinowi wojnę. Wymieniła imiona kilku ludzi, na których można polegać, ale też kilku innych, gotowych się sprzeniewierzyć obowiązkom przy pierwszej po temu okazji.

– Tych paru to najemnicy Kragdoba, a później Krehiri – powiedziała o pierwszych. – Żyją ze swoich mieczy i nie posiadają się z radości, że mają komu służyć. Jeśli są dobrze opłacani (a są przecież?), to mogę za nich ręczyć. Odpowiednia reputacja jest dla nich tym, czym dla innych list polecający. Ale tamci...

– Zwolnić?

– Jak to zwolnić? – zapytała chłodno blondynka. – Do twierdzy albo powiesić.

– Wasza godność chyba żartujesz? – zaprotestował zdumiony Norwin. – Do twierdzy? A z jakiego powodu?

– Bez powodu. Nie można ich trzymać, bo gotowi zdradzić. Nie można ich zwolnić, bo się zemszczą, przystając do naszych wrogów.

– Czyli do kogo?

– No do tych, przed którymi twoja gwardia broni Pierwszej Namiestniczki Sędziego. Albo bronić będzie. Czyżby twoi żołnierze byli zbędni, panie?

Spór nabierał rumieńców. Oboje skierowali spojrzenia ku siedzącej za stołem Werenie.

– Wasza dostojność, proszę mnie poprzeć! – zażądała gniewnie Grombelardka.

– Wasza wysokość! – Dla Norwina córka cesarza była w pierwszym rzędzie księżniczką Wiecznego Cesarstwa, a dopiero potem urzędniczką Trybunału.

Zamilkli, nie odwracając wyczekujących spojrzeń od cichej, pogrążonej w myślach Wereny. Namiestniczka uniosła głowę... i opuściła ją na powrót, wspierając czoło na dłoni. Wiecznie zalegające blat stołu dokumenty przesunęły się pod naciskiem łokcia.

– Już nie mogę – powiedziała niegłośno.

Norwin i Arma nieco oprzytomnieli. Wymienili spojrzenia.

– Żąda się ode mnie – mówiła cicho Werena – niezwłocznego rozstrzygnięcia sprawy finansowych malwersacji, dokonywanych być może za wiedzą intendenta jego wysokości Księcia Przedstawiciela... Wpłynęło oskarżenie przeciwko kwatermistrzostwu garnizonu, najprawdopodobniej defraudowany jest majątek Legii Grombelardzkiej. Leży sprawa nadużyć poborców podatkowych... Spekuluje się zbożem dotowanym przez Kirilan... Lada chwila wybuchnie już nie bunt, a prawdziwe powstanie w Grombie... Kwitnie wyprzedaż wysokich urzędów i stanowisk. Czy o czymś zapomniałam?

Na chwilę zaległa cisza.

– Już nie mogę – powtórzyła Werena. – Minęły dwa... o nie, już prawie trzy miesiące. Nie zrobiłam nic. Zupełnie nic. Zrezygnuję.

– Wasza dostojność... wysokość... – powiedzieli jednocześnie.

Nie słuchała.

– A jutro – rzekła – być może rozpęta się nad tymi przekłętymi górami jakaś wojna Potęg, wszczęta przez jakichś szaleńców... Tak, szaleńców. To chyba sen?... Malwersacje, łapówkarstwo... Szerń i Aler. O, tutaj leżą raporty od wywiadowców z gór. Nic z nich nie wynika oprócz tego, że właśnie... nie zrobiłam nic.

– Wasza...

– Dosyć. Rozstrzygnijcie tę sprawę beze mnie. Zaraz, o co to chodziło? Ach, już wiem. Tak, rozstrzygnijcie tę sprawę. Tę... i inne.

Zrobiła nieznaczny gest, nakazujący im opuszczenie komnaty. Norwin chciał coś powiedzieć, lecz Arma lekko pociągnęła go za ramię. Pokręciła głową.

Po chwili Werena została sama.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy widziała Rameza zaledwie trzy razy. Nie odwiedzała pałacu... a on tym bardziej nie kwapił się do gmachu Trybunału. Wszystkie lata, które przeżyli razem, przestały znaczyć cokolwiek. Była mu obojętna, zaczynała przekonywać się o tym. Wątpiła, czy – zatopiony w swych księgach – przez wszystkie te dni poświęcił jej choć skrawek myśli. Jeśli nawet, to myślał o niej jak o zdrajczyni. Była pewna.

Naiwnie sądziła, że Ramez głęboko przeżyje jej decyzję o zawieszeniu małżeństwa. Najtrudniejsza decyzja w jej życiu. Płakała przy jej podejmowaniu, płakała, mówiąc o niej... płakała potem, przy świadkach, wręczając mu list rozwodowy. Płakała teraz, wspominając tamten płacz. Kochała tego mężczyznę jak nikogo innego na świecie, podziwiała go, szanowała... i lubiła, bo był jej prawdziwym, szczerym przyjacielem. Dzieliła z nim wspólne, nierealne marzenie o dzieciach. Jeszcze nie tak dawno... gotów był porzucić wszystkie sprawy i bez chwili wahania, w prostej kolczudze legionisty, z łukiem, biec jej na ratunek, gdy dostała się w ręce szaleńca. Teraz... teraz sam był takim szaleńcem. Pragnącym

dokładnie tego, czego pragnął Brul. Ale wtedy... Zawsze jej się wydawało, że kochając kogoś i nie przestając kochać, nic już więcej poczuć nie można. Nieprawda. Wtedy gdy przyszedł po nią z mieczem w ręku, jak prosty żołnierz-wojownik, jak mężczyzna po swoją kobietę po prostu, w jednej chwili pokochała go podwójnie. Tak mocno, mocno wtedy czuła, że ma swojego mężczyznę! Kogoś, kto bez chwili wahania podpali cały świat, jeśli będzie to ceną za jeden włos z jej głowy. Gotowa była umrzeć, tu i teraz, byle tylko raz jeszcze móc poczuć to, co czuła wtedy.

Ale nie. On już nie chciał. Więcej warte wydawało mu się być bohaterem w oczach własnych – niż w oczach swojej kobiety. Postanowił poświęcić się dla świata.

Dla świata... A co to jest świat?

Chciała przeżyć z tym człowiekiem życie. Nic więcej. Przeżyć życie. Własne życie: pierwsze, ostatnie i jedyne, jakie jej dano do przeżycia. Próbowwała walczyć – i walczyła. Po dwóch miesiącach tej walki okazało się, że nie zrobiła nic. Nie wskrzesiła w Ramezie człowieka, który ją kochał i którego ona kochała. Czy mogła zrobić coś jeszcze? Udaremnić jego plany... Złe plany, szalone, niepotrzebne. Głupie. Może gdyby udało się przekreślić jego szanse na zbawienie świata...

Śmiała się i płakała bezgłośnie.

Walczyła o człowieka, który postanowił zbawić świat! Nie, nie było odwrotu... Nigdy już nie zdoła zobaczyć w tym przerażającym, lecz i śmiesznym cudaku tego armektańskiego wojownika, który wtedy przyszedł po nią z mieczem w dłoni. Już nigdy. Mogła więc zrezygnować.

Dziś, jutro, a może za tydzień, gdzieś pośród smaganych wiatrem i deszczem szczytów, ożyje wroga siła. Ciężkie Góry po raz drugi w swej historii popękają od ciosów, będą się rozpadać, płonąć... Choćby nawet chciała, to jak mogła temu zapobiec? Podjęła się zadania ponad siły. Tak jak przed miesiącem powiedziała Norwinowi – cała jej władza sprowadza się do wydawania poleceń. Poleceń, których nie miał kto wykonać. Ludzie Trybunału mogli dostarczyć wielu potrzebnych wiadomości, mogli tropić, sądzić i skazywać, lecz nie mogli ruszyć w góry przeciw temu czemuś, czego bała się Arma.

Złotowłosa Grombelardka wcale nie była pierwszą osobą, która donosiła o dziwnej wsi, nazywanej Jarem. Trybunał wiedział od dawna, że takie miejsce istnieje i że dzieją się tam rzeczy niezrozumiałe. Lecz co z tego? Choćby ów zły duch Grombelardu, o którym mówiła Arma, a o istnieniu którego ona sama po prostu wiedziała, siedział sobie na placu pośrodku tej wioski – nie miał kto iść do niego. Pojedynczy szpiedzy, wysyłani na zwiady, przepadali w Jarze bez wieści. To była walka z cieniami. Potrzebny był niezłomny wojownik, który pójdzie tam z jedną tylko myślą: zabić to coś albo zginąć. Kimś takim... mógł być jej mąż, prowadzący grombelardzkich żołnierzy.



– Nie – powiedziała cicho. – Przecież nie zrezygnuję.

Wyciągnięta dłoń trafiła do pudełka. Pierwsza Namiestniczka Sędziego Trybunału odchyliła się na oparcie krzesła i przymknąwszy oczy, rozgryzła trzy gorzkie, palące język i gardło bryłki.

o o o

Następnego dnia wieczorem nadeszły dwie pierwsze półsetki łuczników Legii Armektańskiej.

## ROZDZIAŁ 27



Przybycie wojska wywołało nie lada poruszenie. Widok karnych trójek poprzedzanych przez dziesiętników był czymś, o czym w Grombie już dawno zapomniano. Wojsko przeszło ulicami niczym na paradzie; juczne muły zostawiono pod strażą na przedmieściu, by mieszkańcy grombelardzkiej stolicy mogli podziwiać zwarte, obciążone tylko bronią, idące jak do boju szeregi.

Niebieskie tuniki na kolczugach wzbudzały powszechną ciekawość i – w odróżnieniu od ciemnozielonych tunik grombelardzkich – wydawały się raczej krzepiące niż groźne. Żołnierze zamiast kusz mieli łuki. Wieść o przybyciu wojska, na dodatek tak niezwykłego, wyprzedziła maszerujący oddział. Ludzie tłumnie wylegli na ulice. Pozdrawiano legionistów, ba! zgotowano im prawdziwą owację, obiecując sobie po ich mieczach... chyba aż nazbyt wiele. Ale też ulice grombelardzkich miast od pewnego czasu były miejscem naprawdę nieprzyjaznym, w nocy zaś – groźnym. Zwykły mieszczuch niewiele wiedział o całości spraw prowincji, ale przecież miał oczy i widział, że życie jest coraz droższe, patroli na ulicach ani śladu, za to rzezimieszków i zwyczajnych bandytów co niemiara. Do tego wszystkiego dochodziły dziwne, ponure wieści z gór...

Lecz oto przybyło wojsko! Setka armeктаńskich łuczników rozrosła się natychmiast do pełnego tysiąca, a nawet kilku tysięcy, bo byli ci żołnierze namacalnym znakiem, że Wieczne Cesarstwo wciąż istnieje, Imperator ma karnych i posłusznych żołnierzy, którzy przyjdą zaprowadzić porządek, jeśli zajdzie taka potrzeba. W Grombelardzie nie przepadano za Armeктаńczykami, nie lubiano ich sposobu bycia, języka i dziwacznych zwyczajów, ale samo cesarstwo w świadomości szarego mieszkańca Grombu istniało od zawsze i tak samo od zawsze Grombelard był jedną z jego części. Tak jak powiedziała Norwinowi Werena: armeктаńskie wojsko było (o ironio!) wojskiem „obcym” tylko dla... pierwszego Armeктаńczyka w Grombelardzie. Dla Księcia Przedstawiciela.

Arma, przez całe swoje życie kochająca legionistów akurat tak, jak

urzędników Trybunału, miała ochotę śmiać się z własnego entuzjazmu. Bo czuła entuzjazm, nic innego! Zarówno dwór przedstawicielski, jak i Trybunał były powiadomione o zbliżaniu się obiecanych przez cesarza łuczników; wszakże wyglądano ich dopiero za dzień albo dwa. Tymczasem dwie pierwsze półsetki przestrzeń między Badorem a Grombem pokonały forsownymi marszami, pojawiając się zupełnie nagle, ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich.

Arma, podniecona jak ostatnia z mieszczek, bez zapowiedzi wpadła do pokoju Wereny.

– Wasza dostojność! – zawołała od progu... i zamilkła.

Namiestniczka siedziała na krześle z głową odrzuconą do tyłu. Pochylała się nad nią Lenea – Perła Domu, którą Werena miała od zawsze, przywiozła ją z Kirlanu. Jasnoszara suknia namiestniczki splamiona była krwią, podobnie jak leżące na stole pisma. Niewolnica próbowała zatamować krwotok, przyciskając szmatkę do nosa swojej pani.

Arma biegiem ruszyła w stronę krzesła i... stanęła jak wryta, usłyszawszy śmiech Wereny. Pierwsza Namiestniczka Sędziego była w doskonałym humorze.

– Wiele hałasu... o nic... – powiedziała trochę chrapliwie, bo z gardłem pełnym krwi. – Och, zostaw mnie wreszcie! – niecierpliwie krzyknęła na Perłę. – Albo nie, nie zostawiaj... Mówię ci, Armo, cóż to za... – znów się roześmiała – cóż to za dziwny pomysł, żeby sypiać tylko z mężczyznami... Popatrz na nią, mmm...

Były to jakieś brednie.

Rudowłosa dartanka bezradnie spojrzała na Armę i ruchem głowy wskazała stojące na stole pudełko. W oczach miała łzy. Arma odchyliła wieczko i zacisnęła usta.

– Chyba byłam ślepa – powiedziała z nagłą, bezradną złością. – Te jej humory! O, na wszystkie... Zimne okłady! Krew niech spływa, niech jej nie połyka! – rzuciła, pospiesznie ruszając ku drzwiom.

– Tak, pani – powiedziała niewolnica. Głos jej się załamał.

– Mogę połknąć ciebie – oznajmiła namiestniczka. – Chciałabyś?

Arma wyszła.

Pokoju Wereny strzegł jeden z gwardzistów Norwina.

Znał Armę od dawna. Jakies sto razy dłużej niż swojego nowego komendanta. Było to szczęśliwe zrzęczenie losu, bo nie każdy zbrojny Kragdoba wiedział o jej istnieniu.

– Nikogo tu nie wpuszczaj, zrozumiałeś? Tylko ja i twój komendant.

– Tak, pani.

– Nikt inny! Nawet sam cesarz, nikt!

– Tak, pani – powtórzył gwardzista.

Arma biegiem dotarła do schodów. Wkrótce była na ulicy.

Wieść o tym, że cesarska córka, piastująca jedno z najważniejszych stanowisk prowincji, truje się najgorszym świństwem Szereru, nie mogła wydostać się na zewnątrz. Arma to i owo wiedziała o shearei. Krwotoki pojawiały się dopiero wówczas, gdy nie wystarczała jedna mała grudka. Mężczyźni znosili to lepiej. Kobiety, z natury rzeczy krwawiące co miesiąc... prędzej czy później wykrwawiały się na śmierć. Najpierw dosyć łatwo było robić parodniowe przerwy, gdy zachodziła taka potrzeba. Później już nie. Jeśli Werena dostała krwotoku z nosa, oznaczało to ni mniej, ni więcej, że najbliższe naturalne krwawienie może być jej ostatnim. Nie musiało – no, ale mogło. Arma miała świadomość, że przy tak dużych dawkach namiestniczkę tylko siłą da się powstrzymać od połknięcia kolejnej brunatnej bryłki. Zresztą... było to zmartwienie na później. Werena mogła wykrwawić się już teraz, krwotoki po shearei nie ustępowały ot, tak sobie.

Na przedmieściach Grombu mieszkał jedyny człowiek, który mógł coś poradzić: Koniarz. Arma wiedziała, co sądzić o jego profesji – Koniarz nauczył się oceniać, czy zwierzę zdoła samo wyzdrowieć, czy też zdechnie, i to była cała jego sztuka. Ale miał różne śmierdzące mikstury na pokaz. Wszystkie poza jedną, która istotnie działała. Odkrywszy jej właściwości przypadkiem, używał niezwykle oszczędnie, bo sam nie miał najmniejszego pojęcia, z jakich właściwie śmieci i odpadków ją przyrządził.

Koniarz zwykł był kosztować swoich strasznych nalewek, nie chciał bowiem otruć przypadkiem kogoś z „leczonych” koni (przez co kiedyś omal nie otruł sam siebie). Koński znachor cierpiał na przykrą dolegliwość: otóż bywało, że nie mógł wcale usiąść, a nawet krwawił z odwrotnej swojej strony. Wypróbował nową miksturę właśnie w takim momencie, stwierdził, że nie dość, iż nie jest zabójcza, to jeszcze pomaga na owo krwawienie. Kolejne próby potwierdziły cenne spostrzeżenie. Koniarz dysponował skarbem.

Ten skarb właśnie Arma chciała mu odebrać. Na szczęście, miał tego dużo. Chciałoby się powiedzieć: sporządził końską dawkę, którą teraz przechowywał w dzbanie, w chłodzie swej piwnicy.

Brama miejska nie była daleko, ale najkrótsza droga wiodła przez Mały Rynek, gdzie zatrzymały się armektańskie półsetki, otoczone przez radosne tłumy. Od dawna już na ulicach Grombu nie było tylu ludzi spieszących dokądś, zadowolonych, podnieconych... Wszyscy chcieli zobaczyć łuczników. Arma chętnie popatrzyłaby także, ale każda zwłoka mogła przynieść oplakane skutki – i zebrane tłumy zaczęły ją drażnić.

Musiała ominąć rynek. Prawie biegła. Nie miała pojęcia, jak dawno zaczął się krwotok. Każda chwila mogła być cenna.

Niedaleko bramy miejskiej została zatrzymana przez trzech drabów, wyraźnie należących do rodzaju tych, którzy nie mieli powodów, by

świętować z okazji przybycia wojska. Jej suknia, chociaż trochę już wymięta, ubłocona i wilgotna od mżawki, zwracała uwagę; gdyby nie wielki pośpiech, Armie nawet nie przyszłoby do głowy bieganie w czymś takim po ulicach Grombu. I klejnoty! Wszystko na wierzchu, bo nie zabrała ze sobą nawet płaszcz.

Chwycono ją wpół i przyparto do muru.

– Ach, jaka jestem zmęczona! – zaszczębiotał drab uwieńczony jajowatą bryłą, którą aż trudno było nazwać głową. – Ach, jak szybko biegnę! Ach, ach!

Pochwycono ją za ramiona. Pośród pogaduszek, które miały być niezmiernie dowcipne, została zawleczone w pobliski zaułek. W tej części miasta było już pustawo; ci, co szli oglądać żołnierzy, dawno dotarli na miejsce. Zdołała dojrzeć samotnego mężczyznę, szybko rozglądającego się dokoła...

W zaułku znów została popchnięta na ścianę.

– Ach, ach! – zawołał raz jeszcze najdowcipniejszy z obwiesiów. – Ach, jak będzie nam dobrze...

Szarpnąwszy mocno, oderwał od sukni delikatną agrafę z rubinem.

– Ach, ach – powiedziała z wściekłością, ujrzawszy ponad jego ramieniem nadchodzącą odsiecz.

Grzmotnęła draba kolanem w przyrodzenie, ale tak potężnie, że znowu powiedział „ach” i upuścił zdobytą agrafę. Przysiadł na mięknących nogach, gdy jego towarzysze usłyszeli odgłos kroków. Odwrócili się, puszczając ramiona kobiety. Nadbiegający był tuż; w prawej dłoni trzymał krótki miecz, a w lewej sztylet. Jeden z obwiesiów zaklął, odskakując, drugi sięgnął pod pelerynę i wyciągnął nóż. Mężczyzna z mieczem zamachnął się potężnie i pięść rzezimieszka, wciąż ściskająca trzonek noża, zwiła na cienkim płacie mięsa i skóry. Nim umilkł opętańczy skowyt, obrońca Armii kopnął w głowę próbującego powstać dowcipnisia. Trzeci łotr umykał co siłą. Pośród niemilkających ryków wijącego się pod ścianą draba z odciętą ręką Arma bez cienia litości kopała tego, który zabrał jej agrafę. Gdy przestał się ruszać, odnalazła szczelinę między ramionami, którymi osłaniał głowę. Wymierzyła jeszcze dwa zajadłe kopniaki, rozgniatając ucho na miazgę.

Przybyły z odsieczą mężczyzna schował miecz i sztylet pod płaszczem. Odstąpił krok do tyłu. Arma przekroczyła nieprzytomnego, schyliła się i podniosła agrafę.

– Ostatni raz czekam tak długo! – rzekła z gniewem, spiesząc ku wyjściu z zaułka. – Płacę i masz być natychmiast, gdy tego potrzebuję! Rzygać mi się chce, gdy patrzę na to miasto...

Mężczyzna skłonił się krótko, odczekał, aż podopieczna oddali się nieco, po czym ruszył jej śladem, jak poprzednio.

Ranny wciąż skowyczał w zaułku.

Znalazszy się przy bramie miejskiej, Arma przywołała jednego z żołnierzy. Był już wieczór i musiała zapewnić sobie możliwość powrotu do miasta; z nadejściem nocy bramę zamykano. Żołnierz wskazał jej dowódcę posterunku. Arma zamieniła z nim kilka niegłośnych słów; dziesiętnik zaśmiał się, klepnął ją w pośladek i wyciągnął dłoń. Agraфа z rubinem niezwykle przypadła mu do gustu. Machnął ręką. Blondynka odszukała wzrokiem swojego towarzysza i skinęła nań. Zbliżył się, a wtedy mruknęła:

– Obejmij mnie. Właśnie robię za najdroższą kurwę w Grombelardzie. Skoro dałam taką agrafę, to chyba znaczy, że zarobię więcej.

Przeszli przez bramę.

– Wrócę sama – powiedziała. – No trudno. Dasz mi swój sztylet. Przedostań się do miasta tak szybko, jak tylko będziesz mógł, i waruj przed Trybunałem, jak zwykle. Kto wie czy nie odbędę tej nocy jeszcze paru spacerów.

Wkrótce znaleźli się przed domem Koniarza. Gospodarz był trochę pijany, lecz wytrzeźwiał, usłyszawszy, po co Arma przyszła. Krzyczał i płakał tak długo, aż wymieniła sumę.

o o o

Wieść o ciężkiej chorobie Pierwszej Namiestniczki rozeszła się głośnym echem. Znowu wybuchły przypuszczenia i plotki; nikt nie wiedział, co właściwie cesarskiej córce dolega. Wstęp do niej miało niewielu. Poza Norwinem i Armą widywała tylko swoją zaufaną niewolnicę, dartańską Perłę. Pierwszy dzień minął spokojnie, ale już drugiego dnia z prywatnych pokojów namiestniczki zaczęły dobiegać krzyki i odgłosy zwyczajnych awantur. Wkrótce umilkły. Arma wcale stamtąd nie wychodziła. Norwin dniem i nocą czuwał przy wejściu do pokoi, mając przy sobie kilku zaufanych żołnierzy.

Sytuacja przestała być niecodzienna; zaczęła być groźna. Odprawiono posłańca od księcia Rameza. Przybył drugi – tego wręcz przepędzono, był bowiem zbyt natarczywy. Przychodzących z różnymi sprawami urzędników odsyłało z niczym. W końcu przyszedł Drugi Namiestnik Sędziego i wręcz zażądał widzenia z jej dostojnością. Norwin tłumaczył, usprawiedliwiał się i kłamał. Wreszcie przestał i po prostu zagroził drzwi. Oparł się o ich skrzydło.

– Więc przejdź, wasza dostojność – powiedział, gdy namiestnik zaczął ponawiać swe żądania.

Urzędnik wziął to za dobrą monetę i począł mocować się z drzwiami. Norwin nie drgnął. Nie należał wcale do olbrzymów, niemniej był

słusznego wzrostu i trzeba by ze czterech takich dziadków jak Drugi Namiestnik Sędziego do otwarcia drzwi, przy których stał. Skrzyżował ramiona na piersi.

– Ależ odsuń się, panie! – zawołał urzędnik ze złością. – Nie wejde, dopóki tu stoisz!

– No, właśnie próbuję ci to, panie, powiedzieć – rzekł Norwin. – Nie wejdiesz, dopóki tu stoję.

W ten sposób zakończył rozmowę.

Co nie oznaczało, że rozwiązał problem.

Próby dotarcia do Wereny stawały się coraz bardziej natarczywe. Urzędników bądź petentów można było przepędzić, służbę odprawić, ciekawskich nie wpuścić. Ale lada chwila mógł przybyć trzeci posłaniec od Księcia Przedstawiciela, poprzedzany przez żołnierzy gwardii pałacowej. Mógł też – co bardziej prawdopodobne – pojawić się osobiście sam książę. Nikt już chyba nie wierzył w tajemniczą chorobę – i doprawdy, gdyby wstępu do jej dostojności bronił ktoś inny niż Norwin, już dawno usunięto by go siłą. Jednak przywiązanie byłego komendanta legii do cesarskiej córki było powszechnie znane i dlatego wciąż jeszcze próbowano wierzyć, że nie odbył się jakiś... zamach. Jednakże Werena wkrótce musiała się pokazać. Córka Imperatora i od pewnego czasu najważniejsza właściwie osoba w Grombelardzie nie mogła zniknąć w jednej chwili ot, tak sobie. Bez względu na przyczyny.

Norwin posłał po następnych dwóch żołnierzy. Licząc i jego, w przedpokoju Wereny czuwało odtąd siedmiu ludzi pod bronią.

Strzeżone drzwi rozwarły się na chwilę.

– Wasza godność – powiedziała Arma.

Norwin bez słowa poszedł za nią. Minęli kancelarię i znaleźli się w dziennym pokoju Wereny. Dalej była już tylko jej sypialnia.

Grombelardka zatrzymała się. Niewysoka, musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć Norwinowi w twarz. Zobaczył, że kobieta jest zmęczona i podenerwowana.

– Co z jej wysokością? – zapytał.

– Możesz zobaczyć ją, panie – powiedziała znużonym głosem. – Chociaż myślę, że wolałbyś takiego widoku uniknąć. Jest... związana i zakneblowana.

Norwin zacisnął zęby. Potem otworzył usta, chcąc coś powiedzieć... ale zrezygnował.

– Wiem, co myślisz, wasza godność – powiedziała. – Ale nie ma innego sposobu. To potrwa parę dni. Ataki są tym gwałtowniejsze, im większe były ostatnie ilości tego świństwa, ale tak w ogóle to nie powinno trwać długo. Zdaje się, że używała tego zaledwie przez dwa miesiące. Może trzy. To krótko.

Norwin milczał.

– Jutro powinna poczuć się lepiej – rzekła Arma. – Nie na długo. Ale może zdąży pokazać się wszystkim i wydać parę poleceń.

– Nie wiem, czy mamy czas do jutra – zauważył Norwin.

Krótko opowiedział o kolejnym posłańcu od Rameza (bo o pierwszym Arma wiedziała) i natarczywości Drugiego Namiestnika.

– No więc pociesz się tym, wasza godność – skonstatowała Grombelardka – że jeśli ktokolwiek wejdzie tam teraz, to już po nas. Jej dostojność po wyjęciu knebla pierwsze, co zrobi, to każe nas zwyczajnie rozsiekać. Jeśli chcesz zobaczyć oczy kogoś, kto cię naprawdę nienawidzi, to wejdź tam teraz. Zapraszam.

– Nie.

– Czyli musisz dalej zatrzymywać wszystkich.

Norwin skinął głową.

– Jednak, pani, gdy tylko...

– Nawet w samym środku nocy – obiecała Arma. – Choćby przyszło zbudzić wszystkich, to przyprowadzimy ich do niej. Im szybciej ją zobaczą, tym lepiej.

Norwin wrócił na swój posterunek.

Arma przez chwilę rozważała coś w myślach, po czym weszła do sypialni. Zakneblowana Werena, przywiązana do łóżka, wyginała się w łuk. Stękając przeciągle, wytrzeszczała oczy na widok Perły Domu, która chciała obetrzeć jej pot z czoła. Zawyla głucho, dojrawszy Grombelardkę.

– Już nie mogę na to patrzeć – powiedziała Arma, zwracając się do niewolnicy. – Mówisz, że jutro... na pewno będzie lepiej?

– Powinno być lepiej – odparła Lenea. – Posłałam po jakieś zioła na sen. Trzeba to przeczekać, to jedyny sposób. Może pięć, może sześć, może siedem dni... To zależy. Potem już da się nad tym zapanować.

– Jeśli będzie chciała zapanować.

– Oczywiście – przyznała niewolnica.

Werena wyprężyła się znowu, po czym zaczęła dziko skakać na łóżku, jak wyjęta z wody ryba. Oczy nabiegły jej krwią.

– Ufam ci, Leneo – powiedziała Arma, odwracając wzrok od namiestniczki. – Niewiele wiem o tym paskudztwie. Słyszałam tyle, co wszyscy. Albo niewiele więcej.

– Czasem bym tak chciała – powiedziała Perła z nieznacznym uśmiechem. – Ja o niewielu rzeczach dowiedziałam się przypadkiem. Prawie wszystkiego mnie nauczono. Języków, śpiewu i matematyki... Muszę wiedzieć po trosze o wszystkim. Jest to wliczone w cenę. – Uśmiechnęła się raz jeszcze.

– Źle ci z tym, Leneo? – zapytała Arma. – Jakoś nigdy o tym nie myślałam. Jak to jest być Perłą Domu?

Dartanka wzruszyła ramionami.



– Głupie pytanie, prawda? Wasza godność? – zapytała z jawną ironią.

– Chyba tak – przyznała blondynka.

Wyciągnęła rękę i z nieoczekiwana tkliwością dotknęła mokrego czoła namiestniczki. Szybko cofnęła dłoń, jakby zawstydzona okazaną słabością.

– Wydaje mi się... – zaczęła Lenea.

Arma ostrzegawczo uniosła rękę. Obie zastygły w bezruchu, wsłuchując się w nagły hałas dobiegający od strony przedpokoju.

– Ramez! – powiedziała Arma, lekko błędąc.

– Księżę – potwierdziła tamta. – Nie, pani – zaprotestowała, widząc, że Grombelardka szykuje się do wyjścia z pokoju. – Ja będę rozmawiać. Nie powinnaś wchodzić księciu w oczy. Usiądź gdzieś z boku i to tak, jakby cię wcale nie było.

To rzekłszy, pospiesznie opuściła sypialnię. Zaraz natknęła się na Norwina i Rameza.

– Wasza wysokość, proszę się zatrzymać! – zażądała z ogromną stanowczością. – Najpierw...

Zamknęła drzwi wiodące do sypialni i reszty słów Arma nie dosłyszała.

Wkrótce dobiegły ją strzępy rozmowy, mniej lub bardziej zniekształcone. Zarówno Lenea, jak i Norwin czy wreszcie sam księżę najwyraźniej chodzili po pokoju, mówiąc w różnych kierunkach, stąd czasem nie słyszała prawie nic, czasem zaś więcej i dosyć wyraźnie. W pewnej chwili wszyscy troje zaczęli mówić jednocześnie, z coraz większym wzburzeniem i przerwał to dopiero gniewny okrzyk niewolnicy:

– Mówię ci, że nie!

Po czym rozbrzmiało coś jak okrzyk zaskoczenia.

– Pozwoliłaś sobie... – to był głos Rameza.

– Pozwoliłam! Norwin, wyjdź stąd! Wyjdź! A ty dokąd, panie?!

Arma wytrzeszczyła oczy i zakryła usta dłonią. Perła Domu najwyraźniej... krzyczała na księcia Rameza.

Trzasnęły jakieś drzwi. Księżę i niewolnica zostali sam na sam.

Rozmowa przycichła i Arma znów nie mogła zrozumieć pojedynczych słów, poznawała tylko brzmienie głosów. W sąsiednim pokoju najwyraźniej nastąpiło jakieś dziwne odwrócenie ról: kobieta mówiła szybko i zdecydowanie, tonem stanowczym, jeśli nie zgoła rozkazującym. Mężczyzna odzywał się rzadziej, chyba coś tłumaczył i przedkładał. W pewnym momencie zniecierpliwiał się widocznie, bo zawołał:

– Dość tego! Naprawdę dość! Nie będziesz mi mówiła...

– Będę! – wrzasnęła Lenea. – Odzywam się w imieniu mojej pani i nic mi nie możesz zrobić, księżę! Jestem rzeczą, która nie do ciebie należy!

W tych dwóch zdaniach zawarło się wszystko – i Arma uświadomiła sobie nagle, jak głupie w istocie było jej pytanie: „Jak to jest być Perłą?”.

– Ano, właśnie tak... – szepnęła sama do siebie.

Prawie zapomniała o związanej i zakneblowanej Werenie. Spojrzała szybko. Namiestniczka leżała spokojnie. Oddychała ciężko i widać było, że męczy się nadal. Ale... ona też słuchała.

– Wasza dostojność... przepraszam – powiedziała Grombelardka.

Sama nie do końca wiedziała, za co właściwie przeprasza. Chyba za wszystko. Że związała, że słuchała... że musiała teraz jakoś uciec.

Było tak, jak powiedziała Lenea: książę Ramez nie miał nad niewolnicą żadnej władzy, bo była tylko Perłą Domu. Klejnotem. Rzeczą, należąca do kogo innego. Ale Arma nie była Perłą. Jego wysokość nie powinien się dowiedzieć, że przez drzwi słuchała takiej rozmowy.

O słuszności decyzji upewniły ją lekkie stuknięcia w drzwi: dwa... i jedno... dwa... i jedno... Oparta o ich skrzydło niewolnica bębniła palcami niby mimowiednie, ale Arma na tyle już poznała tę kobietę, że wiedziała, co myśleć. „Wynoś się!” – stuknęła do niej Perła.

Drzwi otwierały się do wewnątrz. Arma stanęła tak, by zasłoniły ją przed wzrokiem wchodzącego. Rozmowa w pokoju obok dobiegała końca. Nikt już nie krzyczał...

Drzwi otwarły się i... pierwsza weszła niewolnica, stając tak, by dodatkowo zasłonić Armę. Domyśliła się, gdzie jest! Przedstawiciel ruszył prosto w stronę łoża, a Lenea odsunęła się nieco, przepuszczając Grombelardkę pod trzymającym drzwi ramieniem, i zamknęła je natychmiast, nawet nie spojrzawszy na uciekinierkę.

Oparłszy się o ścianę, Arma odetchnęła.

„Nie, na Szerń” – pomyślała.

Ruszyła ku wyjściu.

„I ja ją pytałam, jak to jest być Perłą Domu”.

Norwin, siedzący w przedpokoju na ławeczce wartownika, zerwał się natychmiast.

– I...? – zapytał.

Skrzywiła usta i lekko wzruszyła ramionami.

– Jeśli cesarz też ma taką, to znaczy, że tym imperium rządzą niewolnice – powiedziała.

Uniósł brwi... lecz po chwili zrozumiał.

o o o

Książę pozostał przy Pierwszej Namiestniczce do chwili, gdy nadeszła zapowiadana przez Leneę krótkotrwała poprawa. Obecność Rameza wyraźnie przyniosła chorej ulgę, jednak normalna rozmowa nie bardzo

była możliwa. Werena nie potrafiła skupić uwagi na czymkolwiek, co nie było małe, okrągłe i nie miało gorzko-palącego smaku sheharei. Uwolniona z więzów i knebla, widziała i słyszała Rameza, chciała z nim rozmawiać – lecz po prostu nie mogła. W pewnej chwili zerwała się i próbowała uciec. Książę nie spodziewał się czegoś takiego; Perła Domu – owszem. Pochwyciwszy Namiestniczkę Sędziego przy drzwiach, została przez nią podrapana i pogryziona do krwi, nim książę Ramez przemógł osłupienie. Wspólnymi siłami zaciągnęli Werenę z powrotem do łoża. Wyła z rozpacz i wściekłości. Z przerażeniem i bólem książę musiał przyznać rację Perle Domu: jeśli cały Grombelard, a potem całe cesarstwo nie miały się dowiedzieć, co zrobiła z sobą córka panującego, sznur i knebel były niezbędne.

Rzeczywista ulga przysłała nad ranem; Werena panowała nad sobą.

Wtedy rozmówili się z Ramezem.

Perła czekała w pokoju obok. Wkrótce posłano ją po pieczęcie i przybory do pisania. Pisała pod dyktando: jedne dokumenty w języku armektańskim, inne po grombelardzku, niektóre – w obu tych językach.

Potem wezwano Norwina. Miał niezwłocznie sprowadzić jego dostojność Drugiego Namiestnika Sędziego i dowódcę przybyłych z Armektu łuczników. Wiedząc, jak mało jest czasu, wierny oficer biegiem ruszył spełnić polecenie – potracił kilka osób, kogoś nawet przewrócił, a na schodach przeskakiwał po trzy stopnie; dopiero w przedpokojach namiestnika zwolnił i uspokoił oddech, by wejść jak gdyby nigdy nic.

Wkrótce sprowadzono też nadsetnika Legii Armektańskiej.

Werena z trudem dotrwała do końca tej rozmowy, zdołała jednak zapanować nad sobą tak dobrze, że nawet Ramez i Lenea nie zauważyli, co się dzieje. Lecz gdy tylko drzwi się zamknęły za wychodzącymi, chora pobladła tak, że zdawało się, iż zemdleje. Okryta lodowatym potem, zacisnąwszy zęby, opadła na poduszki, wciskając Ramezowi w rękę swój knebel.

– Zrób... to... – wykrztusiła.

Księżciu drżały ręce, gdy spełniał tę prośbę. Dartąńska niewolnica dostrzegła, że krępując Werenę, zapłakał.

## ROZDZIAŁ 28



**P**ředstawiciel, raz wytknąwszy sobie cel, zwykł był dążyć do niego niezłomie. Wiele się zmieniło – lecz nie to. Ramez czuwał przy Werenie, ale z myśli o podniesieniu leżących w górach Wstęg bynajmniej nie zrezygnował.

A jednak każdy, kto chciał posądzić tego człowieka o małostkowość, błądził. Namiestniczka Sędziego Trybunału była jego przeciwniczką w walce, którą prowadził. Jednak nie zniżył się do tego, by wykorzystać jej słabość i związaną z tym chwilową beczynność.

Wręcz przeciwnie. Norwin mylił się, uważając, że sprowadzone półsetki łuczników napotkają jakieś kłopoty z zakwaterowaniem, wyżywieniem i innymi podobnymi sprawami. Dyspozycje, które Perła Domu spisywała pod dyktando, regulowały te kwestie. Przedstawicielowi nawet przez chwilę nie postąpiła w głowie myśl, że armektańscy żołnierze mieliby się tulać po jakichś prywatnych kwaterach i kupować jedzenie na targu. Umieścił ich w koszarach garnizonu i polecił wydać odpowiednie kwoty z funduszy Legii Grombelardzkiej, przeznaczonych na podobne cele. Załatwił też od ręki parę innych, większych i mniejszych spraw, z którymi Werenka borykała się od dawna... bo nawet nie próbowała iść z nimi do Księcia Przedstawiciela. Była wszak głęboko przekonana, że spotka się z odmową.

Tymczasem Ramez, wytrwale zmierzając do celu, jednocześnie po prostu nie potrafił bezinteresownie utrudniać jej życia. Coś takiego było poniżej jego godności. Nie zamierzał, rzecz jasna, własnymi rękami burzyć swoich planów, niemniej wieść o tym, że namiestniczka za własne pieniądze zorganizowała sobie przyboczny oddział, tak jakby nie mogła zażądać najlepszych żołnierzy z gwardii pałacowej, wydała mu się wręcz niewiarygodna. Wybieg, którego użyli z Norwinem, by uzyskać jego zwolnienie z wojska, Przedstawiciel uznał po prostu za wstrętny. Tak dalece, że choć nie była to sprawa najważniejsza, niezwłocznie zażądał ponownego procesu i – po oczyszczeniu komendanta z zarzutów – przywrócenia go do służby. Procedura musiała potrwać; niemniej

Ramez zawczasu podyktował pismo pozytywnie załatwiającej sprawę skrócenia kontraktu Norwina i zwolnienia go z wojska, z prawem do zachowania stopnia. Ponadto oficjalnie potwierdził swym autorytetem wiadomość o niegroźnej, lecz wymagającej odosobnienia chorobie Namieśniczki Sędziego i zażądał, by zapewniono jej niezbędny spokój. Uczyniwszy to wszystko, nie odstępował Wereny do chwili, gdy jej dolegliwości ustąpiły.

Wówczas... wrócił do swoich ksiąg.

o o o

Dwa dni później do gmachu Trybunału przyniesiono wiadomość o nieobecności księcia w Grombie. I tym razem nie była to plotka.

## ROZDZIAŁ 29



Pierwsza Namiestniczka Sędziego pozornie wróciła do swych zajęć. Pozornie – bo apatyczne przekładanie dokumentów z jednego końca stołu na drugi nie miało wcale sensu i zupełnie niczemu nie służyło. Wciąż jeszcze bała się przebywać sama, więc Lenea towarzyszyła jej nieustannie. Nie wiadomo, po co właściwie, bo Werena nie miała ochoty do rozmów; owszem, często popadała w zamyślenie tak głębokie, że nie słyszała, co do niej mówiono.

Taki właśnie stan beznadziejnie głębokiej zadumy przerwało jej nagle wtargnięcie Army.

Grombelardka, od początku pewna siebie, stanowcza i nie bardzo zważająca na różnicę między jej pozycją a pozycją cesarskiej córki, ostatnio dziwnie przycichła, jakby czując, że teraz jej sposób bycia powinien ulec zmianie. Mogła być arogancka wobec energicznej, wysoko noszącej głowę Namiestniczki Sędziego; nie potrafiła wobec wciąż jeszcze chorej, sporo jej zawdzięczającej kobiety. Tym dziwniejsze było jej zachowanie, gdy rozwarłszy drzwi, uczyniła kilka szybkich kroków i powiedziała:

– Uciekł! Księżę Ramez uciekł, nie ma go w Grombie. No?!

Był w tym krótkim okrzyku jakiś nieuzasadniony wyrzut, złość i żądanie wyjaśnień. Namiestniczka uniosła głowę i przez długą chwilę spoglądała Armie prosto w oczy.

– Co ma znaczyć to „no”? – zapytała.

– Wiedziałas o tym, wasza dostojność! Że zamierza opuścić Gromb! – Blondynka nie zamierzała się cofnąć.

– Jeśli jeszcze raz – powiedziała niegłośnie namiestniczka – odezwiesz się o jego wysokości w tonie tak pozbawionym szacunku, każę cię oćwiczyć. Kijem. Zrozumiałaś?

Zaległa krótka cisza.

– Zrozumiałaś? – powtórzyła Werena.

– Zrozumiałam... wasza dostojność.

Namiestniczka skinęła głową.

– To teraz mów.

– Dziś rano – zaczęła Arma, z wysiłkiem przełknąwszy nauczkę – jego wysokość Książę Przedstawiciel po raz kolejny przyjął u siebie garbatego starca, na którego wasza dostojność kazałaś zwracać uwagę. Rozmawiali o czymś niezbyt długo. Garbus wkrótce odszedł. Nadal jest pilnowany i będziemy wiedzieć, co uczyni, tak jak sobie tego wasza dostojność życzyła. Ale zaraz po jego odejściu książę Ramez udał się do komendantury garnizonu. Sprowadzono mu objuczonego konia, wziął przewodnika i odjechał, nie mówiąc dokąd. Wiem, że już opuścił miasto. Wasza dostojność... – Grombelardka z wysiłkiem próbowała powściągnąć wracający gniew. – Wasza dostojność... wiedziała o tym, że książę nosi się z zamiarem... Czy tak? To dlatego kazałaś pilnować bramy miasta, pani. Czy tak?

Werena spokojnie wytrzymała spojrzenie.

– To prawda. Tak, wiedziałam.

– Więc... dlaczego...?

– Dlatego. – Spokój namiestniczki był zgoła kamienny. – Nie będę tłumaczyć się przed tobą. Ani przed nikim innym.

Arma zrobiła pół kroku naprzód. Cofnęła się na powrót. Było tak, jakby szukała dogodnej pozycji do ataku.

– Wasza dostojność – wyszeptała złowieszczo – zawarłyśmy umowę.

– Jaką umowę?

– Pomagam waszej dostojności nie bezinteresownie. Powiedziałam, że wszystko mi jedno, co powoduje tobą, pani, o ile zmierza do zaprowadzenia porządku w tym kraju. Zdaje się...

– Skąd wiesz, że wyjazd księcia nie przysłuży się temu?

– Wasza dostojność!

Werena wzruszyła ramionami.

– No więc dobrze, złamałam umowę. I co teraz?

– Teraz... – powiedziała Grombelardka. – Teraz...

Cofnęła się znowu i spojrzała na milczącą Perłę Domu.

– Teraz... – wykrztusiła po raz trzeci – każ mnie pojmać, wasza dostojność. Niezwłocznie. Zrób to, wasza dostojność, bo w przeciwnym wypadku pokażę ci... na co stać mnie naprawdę.

– Ech, na nic cię nie stać – lekceważąco orzekła namiestniczka; jej apatyczna bierność znikła gdzieś bez śladu. – Na nic cię nie stać... – powtórzyła. – Twój płatni mordercy nałożyli kagańce przywódcom ruchawki, która już, już miała wybuchnąć. Ano tak, znam parę twoich tajemnic. Zaskoczona? Ależ, wasza godność, bawiąc się ze żmiją, dobrze jest nałożyć rękawice! – zauważyła ze zjadliwym rozbawieniem. – Chcesz mi grozić wybuchem zamieszek? Cóż za głupstwo... Przecież to ty próbujesz zebrać cały ten kamieniołom do kupy, nie ja! Wojna na ulicach Grombu? Ależ proszę bardzo!

Arma milczała.

– Zobaczymy – szepnęła po chwili.

– Rozruchy nie wybuchną. Odkąd Legia Armektańska patroluje ulice, a żywność jest dotowana z prywatnej mojej szkatuły, nastroje znacznie się poprawiły – oceniła zwięźle Werena. – Ale... gdyby uległy pogorszeniu? Gdyby dotacje wstrzymano i gdyby, na przykład, łucznicy wyszli z miasta? I gdyby rozpuszczono pogłoski, że odeszli na dobre? Co? Jak sądzisz?

Arma nie zdołała zapanować na twarzą.

– Ja... nie rozumiem. Do czego zmierzasz, pani? Co mi chcesz powiedzieć?

Namiestniczka przygryzła usta.

– Przepraszam – powiedziała nieoczekiwanie. – Przepraszam za... początek tej rozmowy. Celowo cię sprowokowałam do pogrózek, bo nie byłam pewna, czy istotnie trzymasz w garści podżegaczy do buntu. Ale trzymasz przecież? Powiedz śmiało, i tak już wiem.

Grombelardka przytaknęła niepewnie.

– No więc teraz chcę usłyszeć: czy gdyby Legia Armektańska opuściła Gromb, rozruchy mogłyby wybuchnąć? Odpowiedz.

Arma zawahała się.

– Tak.

Namiestniczka pokiwała głową.

– I być może poproszę cię o to. Nie, nie pytaj o nic! – Uniosła rękę. – Nie teraz. Oczekuję odwiedzin. Myślę, że to będzie dzisiaj, a najdalej jutro. Czy możesz poczekać tak długo?

Arma patrzyła badawczo.

– Innymi słowy... pytasz, wasza dostojność, czy gotowa jestem obdarzyć cię ślepym zaufaniem?

Werena skrzywiła się.

– Co za bezczelność – mruknęła. – Nie, właściwie nie pytam – powiedziała. – Chcąc być uprzejma, nadałam poleceniu taką, a nie inną formę. Ale nie pytam, bo w całym Szererze jest może pięć lub sześć osób, które mogą się zgodzić lub nie zgodzić z tym, co postanowię. Więc nie pytam. Rozkazuję i żądam.

Blondynka długo milczała.

– Dobrze, wasza dostojność.

Werena skinęła głową.

– No to znakomicie. Teraz uzbrój się w cierpliwość. Ja usiłuję być cierpliwa od kilku dni. Popróbuj i ty... Aha! Gdyby ten garbus, którego obserwujesz, próbował opuścić miasto... udaremnił mu to.

– Tak, pani.

Arma odeszła, nic nie rozumiejąc.



Stary grajek przyszedł dopiero następnego dnia wieczorem. Werena wezwała Armę i Norwina, odbyła z nimi krótką rozmowę, po czym odesłała oboje. Wydała rozkaz, by wprowadzić gościa. Obrzuciła jeszcze pokój pospiesznym spojrzeniem, jakby sprawdzając, czy wszystko jest tak jak trzeba.

– Leneo, wyjdź – powiedziała, wskazując jednakże nie drzwi do przedpokojów, ale te, za którymi były jej prywatne komnaty. – Wiesz, jak masz się zachować? Chcę, byś słyszała każde słowo. Nie ufam temu człowiekowi i gdyby... – Zawiesiła głos.

– Tak, pani – spokojnie rzekła niewolnica, pokazując zdjęty ze ściany lekki oszczep; mało kto wiedział, jak niebezpieczna w rękach kobiety mogła być taka broń.

– Dobrze. Wyjdź.

Wkrótce potem odźwierny wprowadził żądającego posłuchania starca i skłoniwszy się, odszedł.

Namiestniczka w milczeniu spoglądała na skromną, brunatną szatę, okrywającą kalekie ciało. Ubiór, choć ubogi, był czysty, a twarz i ręce grajka na pewno nie należały do żebraka. Przybysz, świadom dobrych zwyczajów, stał w milczeniu, czekając, aż przyjmująca go osoba pozwoli, by przemówił.

– Oczekiwałam cię, panie – powiedziała.

Odrzucony zdziwił się trochę.

– Pozdrawiam waszą wysokość – powiedział. – Więc byłem oczekiwany?

Próba uzyskania odpowiedzi bez użycia słów natrafiła na zdecydowany opór i Strażnik Praw natychmiast zrozumiał, że namiestniczka wie o jego umiejętności sięgania w głąb myśli. Więcej: wiedziała, że owa umiejętność musi zawieść wobec jej sprzeciwu.

– Jego wysokość Książę Przedstawiciel uprzedził mnie, panie, że przyjdiesz – powiedziała. – Wyjaśnił mi też dokładnie, kim jesteś.

Uczuć i emocji nie dało się osłonić tak, jak myśli. Twarz kobiety, spokojna i prawie nieruchoma, była zagadką – pomimo to jednak garbus bez trudu odbierał nieufność i wrogość, graniczącą prawie z nienawiścią. Lecz spodziewał się takich lub podobnych uczuć i o wiele bardziej zaniepokoiła go wyraźnie bijąca od kobiety pewność siebie.

– Czy jesteśmy sami, wasza wysokość?

– Obok jest moja niewolnica. Wkrótce też będą tu żołnierze. Być może już czekają za drzwiami.

– Widzę, wasza wysokość, że nie żywisz względem mnie przyjaznych uczuć – posępnie stwierdził starzec. – Wielka szkoda, naprawdę. Książę Ramez, pani, uczestniczy w ogromnym dziele, choć prawda, że uczestniczy inaczej, niż to sobie wyobraża. Niepotrzebnie wasza wysokość próbuje zapobiec temu, co nieuniknione.

- Przyszedłeś, panie, by podjąć próbę nawrócenia mnie, czy tak?
- I tak, i nie. Prawdę mówiąc, nie bardzo wierzę, by to było możliwe.
- Bo nie jest. Nie cofnę się, panie.

Jej determinacja i pewność siebie były takie, że Strażnik Praw zupełnie odruchowo ponowił próbę zbadania źródeł tych uczuć. I znowu napotkał zdecydowany, świadomy sprzeciw. Nieustannie pamiętała o tym, że ma bronić wstępu do swej prywatności. Coś takiego wymagało wysoce podzielnej uwagi. Imponujące, jak łatwo sobie radziła.

Zresztą znacznie lepiej, niż musiała. Myśli nie były słowami – nieuporządkowane, stanowiły chaos. Wystarczył brak chęci do współpracy, by niewiele dało się wyłowić.

– Wasza wysokość – powiedział – to, czy się cofniesz, czy nie, jest w tej chwili zupełnie obojętne. Jesteś absolutnie niezbędna do powodzenia wielkiego dzieła, które dokonywało się dotąd bez twojego udziału. Możesz uczestniczyć w nim dobrowolnie lub nie.

– Czy to jakaś groźba?

Starzec zmarszczył brwi.

– Groźba? Nie, pani – rzekł, prawdziwie zmartwiony. – Słyszę, że książę Ramez opowiedział ci o mnie. Może to i dobrze. Pragnę usprawiedliwić się przed tobą, pani. Bez względu na to, co myślisz, nie jestem złem ani dobrem, a moje działania też nie są złe ani dobre. Czynię tylko to, co czynić muszę. Nie dano mi żadnego wyboru, albo raczej: dano taki, że wybierać mogę spośród wielu wiodących do celu dróg. Wszakże jeśli z owych dróg zostanie mi tylko jedna, muszę na nią wstąpić i nie leży w mojej mocy zapobieżenie temu. Moja wolna wola tak daleko nie sięga. Spróbuj więc przez chwilę wczuć się w podobną sytuację, pani. Moje istnienie jest jak oddech. Rad bym oddychał zawsze świeżym, górskim powietrzem i dopóki mogę wybierać, wybieram właśnie takie. Lecz jeśli górskie powietrze zostanie mi odebrane, a zastąpi je inne, stęchłe i cuchnące, czy przestanę oddychać? Zrozum więc, proszę, z czego wynikają moje czyny, obojętne, jak bardzo znajdujesz je zacnymi albo nikczemnymi. Muszę zmierzać do celu, jakim jest ochrona Praw Całości, i rad bym osiągał ów cel środkami szlachetnymi. Lecz jeśli to niemożliwe?

Werena słuchała z uwagą, co nie znaczy, że ze zrozumieniem.

– Czy mówię zbyt zawiłe, wasza wysokość? – zapytał starzec. – Powiedz proszę. Nie wiem, jak wiele powiedział ci książę Ramez. Wyjaśnię wszystko, o co zechcesz zapytać. Poświęcę ci tyle czasu, ile tylko zażadasz. Uczynię to, co uczynić muszę, ale wciąż jeszcze istnieje szansa, że... że nie będę musiał wejść na ostatnią, najgorszą z możliwych dróg. To, wasza wysokość, zależy tylko od ciebie.

– W jaki sposób?

– Wesprzyj mnie, pani. Twoja pomoc jest nieodzowna. Okłamałem twego małżonka, mówiąc, że jest inaczej. Ale tylko czystej krwi Armektanka, base-kregheeri naznaczona symbolem Srebrnej Wstęgi, należąca do dwóch światów, może wskrzesić moce Aleru. Uczyni to dobrowolnie, wasza wysokość. Proszę.

Spokój i pewność siebie bijące od namiestniczki poczęły ustępować zwątpieniu, na koniec zaś pospolitemu lękowi. Nie oczekiwała tego, co powiedział starzec.

– Ramez... – zaczęła – on... nie mówił mi o tym.

– Bo nie wiedział. Okłamałem księcia – powtórzył Odrzucony. – Żądał zapewnienia, iż twój udział, pani, do niczego nie będzie potrzebny. W ten sposób... skierował mnie właśnie na drogę, której wcale nie chciałem wybrać. Mogąc tylko kłamać, kłamałem.

– Dlaczego właśnie ja? – zapytała. Wstała i wyszła zza stołu. – Dlaczego?

– Czasem losy świata zależą od tak małych spraw... Cóż poradzić, pani? W całym Grombelardzie jesteś jedyną Armektanką mającą dostęp do Wstęg, bo poczętą tam, gdzie graniczą ze sobą Szerń i Aler. Przewróć niczyjego nieba, rozciągający się między Potęgami, czasem nasycony jest mocą Pasm, a czasem mocą Wstęg. Znak, który nosisz na skroni, będący zresztą zwykłym Złamaniem Praw wymuszonym przez ludzką wyobraźnię, wskazuje...

– Wiem o tym – przerwała. – Raz już byłam w mocy szaleńca, który pragnął tego co ty. Nie pytam, czego symbol noszę, bo wiem. Pytam, czy nie nosi go nikt inny.

– Ależ nosi zapewne – odpowiedział starzec. – Ale, wasza wysokość, świat jest wielki, zaś Strażnik Praw tylko jeden. Zagrożone były Prawa na Bezmiarach i musiałem być przy tym obecny. Możliwość podniesienia Srebrnej Wstęgi Aleru zaistniała niedawno. Nie jestem niestety wszechwiedzący, a co za tym idzie, nie jestem władny przygotować się na wszelkie zdarzenia. Kobiet noszących znak Srebrnej Wstęgi jest być może w całym Armekcie zaledwie kilkanaście. Może kilka? Musi to być rdzenna Armektanka, odpowiednio młoda i silna, by przetrzymać wyprawę w Ciężkie Góry, ba! odpowiednio rozumna. Nieodzowne jest, by nosicielka symbolu Srebrnej Wstęgi zdołała ogarnąć rozumem i pojąć to, czego się od niej zażąda... Powiedz, pani, jak odnaleźć i pozyskać kogoś takiego, a natychmiast pozostawię cię w spokoju. Choćby przez wzgląd na rozum, serce i zasługi twego męża. Niezwykle szanuję księcia, człowieka, który poświęcił własne sprawy dla większego dobra. I którego musiałem oszukać.

Znowu była spokojna. Pierwszy lęk minął.

– Myślę, panie, że kłamiesz – powiedziała. – Wątpię, by bolało cię cokolwiek. Żeby poczuć ból, o którym mówisz, trzeba mieć jakieś

sumienie, a więc coś, co jest zupełnie zbędne niewolnikowi stojącemu na straży bzdurnych reguł.

– Prawa Całości, one po prostu są – zaprotestował. – Nie mogą być bzdurne, tak jak nie mogą być bzdurne chmury albo fale na morzu. Pasma Szerni nad niebem i rozum tutaj, na ziemi, to dwie części całości. Ich współistnienie podlega pewnym prawom, rządzi się pewnymi regułami. To wszystko.

– Bronisz, panie, tych Praw, wskrzeszając wrogą Potęgę?

– Jeśli ta Potęga wzrośnie w siłę i zniszczy Szerni albo wyprze ją z nad naszego nieba, to co pozostanie z Praw Całości? – odpowiedział pytaniem.

– Dobrze, to nieważne – orzekła... i byłby przysięgł, że naprawdę tak uważa. – Nie wiem, na czym opierasz swe nadzieje, ale są złudne. Nie pomogę ci, panie. A wręcz przeciwnie: przeszkodzę.

Starzec przymknął powieki.

– Wasza wysokość, ani tobie, ani twojemu małżonkowi nie spadnie włos z głowy. Uczyni to, o co proszę, a wkrótce będziecie znowu razem. Zdążycie opuścić Grombelard, zanim zniszczy go Wojna Potęg. Poruszenie Wstęgi nie odbędzie się kosztem twego życia, ani nawet zdrowia. Jesteś tu po prostu jedyną istotą, która może w jakimś, bardzo małym stopniu, ale jednak, odwołać się do Aleru. Wystarczy najmniejsze poruszenie Wstęgi, by została dostrzeżona przez treść Pasma. Świadomego Pasma, stworzonego dzięki ofierze całego gatunku.

– Powiedziałam już: nie pomogę.

– Szkoda – szepnęła. – Ale czy na pewno...? Wytlumaczę wszystko tyle razy, ile...

– Na pewno – ucięła.

Zamilkła.

– Szkoda – powtórzył po chwili. – Wasza wysokość kocha księcia, czy tak? Ależ tak, wiem na pewno. A zatem, wasza wysokość, musisz wiedzieć, że księżę Ramez wyruszył w góry, choć jego obecność jest tam najzupełniej zbędna. Nie odegra, i odegrać nie może, żadnej roli, choć uważa inaczej. Prawda jest taka, pani, że księżę Ramez umrze, jeśli nie zrobisz tego, czego od ciebie żądam. Oto, na czym opieram swe nadzieje, a właściwie pewność, że uzyskam twą pomoc.

Werena pobladła.

– Już rozumiem – powiedziała cicho.

Odwróciła się i powoli podeszła do okna.

Odrzucony nie umiał cieszyć się z uzyskanego takim kosztem zwycięstwa. Ofiary, jakie ponosił Heneghel Get, ofiara całego narodu, którego był ostatnim i jedynym przedstawicielem, była czymś wielkim i wzniosłym – i dlatego trwający na swym posterunku w górskiej wsi beznogi bohater mógł odczuwać dumę, usuwając spiętrzone na drodze

przeszkody. Ale Odrzucony czynił tylko to, co czynić musiał, i żadne dobrowolne męczeństwo tego nie uświęcało. Tak jak powiedział złamanej szantażem kobiecie, spośród wiodących do celu dróg najchętniej wybierał te, które nie były szlakami cudzego cierpienia. Miał sumienie, choć w to nie wierzyła. Ale teraz nie pozostawiono mu wyboru. Więc uczynił, co uczynić musiał. Bez radości.

Zamyśliwszy się, nie od razu dostrzegł, iż rezygnacja, ból i przerażenie namiestniczki przeradzają się w coś innego. Gdy zauważył przemianę, od Wereny z nową mocą bił spokój i... głęboka wiara we własne siły.

– A jednak przeliczyłeś się, panie – oznajmiła, wciąż stojąc przy oknie.  
– Czy to wszystko, co masz dla mnie?

Przez chwilę zdawała się czekać na odpowiedź.

– Dobrze. Teraz posłuchaj mnie uważnie. – Odwróciła się ku niemu.

Jednak przez następną chwilę milczała. Podeszła do stołu i w zamyśleniu skubała palcami róg podniesionego z blatu dokumentu.

– Książę Ramez to tylko mężczyzna – powiedziała wreszcie. – Co oznacza, że bywa zadufany w sobie, łatwowierny i naiwny. Nieszczęśliwa, słaba i cierpiąca, osiągnęłam to wszystko, czego nie mogłam osiągnąć przy użyciu stanowczości i siły. Zdobyłam potrzebne wiadomości, a jak są rozległe, o tym zaraz się, panie, przekonasz. Okłamałam go, obiecując, że już nie będę przeszkadzać. Nawet zaofiarowałam się z pomocą, ale zaprotestował, mówiąc, że nie będę do niczego potrzebna. Nie powiedział ci, panie, o tym wszystkim?

– Uważałem, że to nieprawda – odrzekł starzec. – Byłem przekonany, i sądzę tak nadal, iż prowadziłaś grę, wasza wysokość. Rzecz bez znaczenia, zważywszy, że przez wzgląd na swą miłość do księcia i tak uczynisz to, czego żądam. Obawiałem się tylko, że zechcesz udaremnić wyjazd księcia z Grombu, i dlatego poprosiłem, by uczynił to wcześniej, niż pierwotnie było zamierzone. Nalegałem też, by nie żegnał się z tobą.

– Ależ jesteś przebiegły, mój panie! – zadrwiła. – Nie znajduję wręcz słów... No naprawdę!

Pokręciła głową.

– Pozwól sobie, pani, powiedzieć – rzekł, odrobinę rozgniewany – że to, co uczyniłaś swemu małżonkowi, jest zwyczajnie niskie i podłe. Tak, podłe. Ten mężczyzna kocha cię, pani, i próba wykorzystania jego słabości...

– Ależ ja także go kocham! – przerwała. – Pewnie, że kłamałam – przyznała prawie pogodnie, przedzierając trzymany w dłoniach dokument. – Ale kłamałam i oszukiwałam, bo go kocham.

Połówki rozdartej stronicy opadły na dartański kobierzec. Patrzył na nie, próbując pojąć pokrętną logikę takiej dziwnej „miłości”.

– Wiem wszystko – rzekła. – Dowiedziałam się, kto, a właściwie co

siedzi w Jarze i jakie ma możliwości. Nic nadzwyczajnego. Albo może raczej: nic szczególnie groźnego. Wszystkie sępy świata zebrane w jednym ciele. Stu armektańskich łuczników dokładnie wiedzących, czego się spodziewać, to akurat tyle, ile trzeba. Prawda, panie?

Poczuł przyzwolenie... i zobaczył jej myśli. Nie kłamała.

– Wasza wysokość chcesz tam posłać...

– Już posłałam. Podobno umiesz czytać w myślach, panie? A więc zrób to, pozwalam. Zdaje się, że przyzwolenie jest niezbędne? Łuczników już posłałam – powtórzyła. – Wszyscy oczekują, że śladem pierwszego armektańskiego oddziału lada dzień przybędzie do Grombu następny. Nie przybędzie. Ci ludzie wyruszyli z Badoru, ale tylko po to, by zaraz porzucić trakt. Są teraz w drodze do Jaru. Przydano im dobrych przewodników. A księżę Ramez nigdy tam nie dotrze i tym samym ów siedzący w Jarze największy sęp świata nie będzie mógł mu zagrozić. Jeśli nawet moi posłańcy nie zdołają dogonić mego męża, to zatrzymają go łucznicy pilnujący Jaru. Będą tam sporo wcześniej.

– Obecność księcia w Jarze wcale nie jest konieczna. Mogę sprawić, by jego życiu już teraz zagroziło...

– Ech, panie, kłamiesz często, ale kiepsko! – przerwała. – Jakim cudem przez tyle stuleci nie nauczyłeś się porządnie łąć? Nie wiedziałam, że przyjdiesz po to, by mnie szantażować, kładąc na szali życie księcia. Ale wiedziałam, że przyjdiesz, bo powiedział mi o tym. Zresztą gdybyś do jutra nie przyszedł, toby cię przywlekli. Wiedziałam też, że księżę wyruszy w góry, i nie za bardzo polegałam na terminie, który mi podał. Z wielu różnych powodów, ale najbardziej kierowana zwykłą troską o jego bezpieczeństwo podczas samotnej górskiej wyprawy, kazałam zostawić na przedmieściu kilku zbrojnych, którzy w tej chwili skrycie podążają jego śladem. To wyborni ludzie... – Wydeła lekko wargi. – Miałam kiedyś pomysł, żeby utworzyć sobie mały oddział straży przybocznej. Dzięki dobrym radom pozostali w nim tylko żołnierze wyjątkowo pewni, a znający góry tak, że już lepiej nie można. Kiedyś służyli największym grombelardzkim rozbójnikom. Czyż to nie zabawne? Powiedz, starcze?

Z zadowoleniem zaczęła strącać ze stołu na podłogę różne karty i rulony. Przewróciła się butla z inkaustem. Ciemna ciecz splamiła stronicę.

– Jakie to wszystko nieważne – powiedziała niemal z czułością namiestniczka. – Te wszystkie bzdury Trybunału. Trzeba będzie podłożyć ogień w archiwach... – Zamyśliła się na krótko, marszcząc brwi. – Bo otóż widzisz, panie – podjęła po chwili – ten gmach jeszcze dzisiaj zostanie opuszczony, bo inaczej doszłoby do rzezi. Wszystkich urzędników zabieram do pałacu... czyli twierdzy. I tak samo wszystkich urzędników miejskich. Skoro przyszedłeś do mnie, a Ramez wyruszył

obejrzeć wskrzeszenie Wstęgi, to znaczy, że trzeba posłać jego śladem te dwie półsetki łuczników, które mam tutaj pod ręką. Znowu w trosce o jego bezpieczeństwo, rzecz jasna, ale już jawnie tym razem. A wiesz, panie, co będzie, gdy ci ludzie opuszczą miasto? Nie wiesz, więc ci powiem: otóż wybuchną rozruchy. A wiesz, dlaczego wybuchną? Bo mój mąż rozgniewa się na mnie, jeśli siłą zawrócę go do Grombu. I podobnie jak ty, będzie miał mi za złe, że wykorzystałam jego męską słabość, okłamałam go i zламаłam dziesięć obietnic naraz. No powiedz, panie? Przecież wpadnie w gniew, gdy się dowie, że wszystko, co mi powierzył w zaufaniu, zostało obrócone przeciw niemu. Będę się miała z pyszna... no chyba że opuszczona, nieszczęśliwa i drżąca o własne życie, pošę jego śladem gońców z wieścią o wybuchu zamieszek, co pozwoli mu wrócić do Grombu na czele spotkanych w górach łuczników. Przecież rzuci wszystko, by pospieszyć mi na ratunek, Wstęga może poczekać jeszcze te parę dni... Wróci i ocaliwszy żonę, przy okazji ocali swoją reputację, autorytet i stanowisko. Ach, no i najważniejsze: koniecznie musi się dowiedzieć, że pewien garbaty muzykant zmusił mnie do wyprawy w góry, a nie poszłam tylko dlatego, że wybuchły zamieszki. – Uniosła spojrzenie znad poplamionego stołu i pomimo lekkiego tonu, jakim wypowiedane były słowa, Odrzucony już nie tylko poczuł, ale i zobaczył, że ta kobieta to ktoś, kto go bez reszty nienawidzi. – Zrozumiałeś mnie, cuchnący fałszem śmieciu? Ramez ścierpi moje krzywoprzysięstwo... a jeśli będę dość nieszczęśliwa, to jeszcze przeprosi mnie za nie i weźmie winę na siebie. Oo, na pewno tak będzie! Ale w żadnym wypadku nie wybaczy krzywoprzysięstwa komuś, kto dokona zamachu na jego własność. Czyli na mnie. – Koniuszką palca strąciła ze stołu przewróconą butlę. – Zapewniłeś go solennie, że nie spadnie mi nawet włos z głowy, a tymczasem, gdy wróci, będę zaszczuta, bezbronna, bezradna i upokorzona. Gotowa ruszyć w góry, zmuszona przez kogoś, komu zaufał i kto przysiągł, że nie wezmę udziału w jego planie zbawiania świata.

– Wasza wysokość śni na jawie – rzekł cicho Odrzucony. – Podziwiam misterność twojej intrygi, ale nic nie uratujesz w taki sposób. Jeśli książę kiedykolwiek pozna prawdę...

– Intryga jest raczej siermiężna, nie misterna – ze szczerym politowaniem powiedziała Werena. – Choć prawda, że na tle twoich intryg, panie... Wasza godność, nigdy nie żyłeś na dworze. Dowiedziałbyś się, co to są misterne intrygi. A tak... nie jesteś, starcze, przeciwnikiem dla mnie. Mogłeś być nim wtedy, gdy błądziłam po omacku, nie wiedząc, z kim i z czym właściwie walczę. Omotałeś księcia, bo sprawy Szerni zawsze ogromnie go zajmowały i oślepił, gdy przedstawiłeś mu wizję zmagających się Potęg. Ale ja nie jestem zaślepiona. Być może wiesz wszystko o Szerni, ale bardzo niewiele

o świecie. Już raz widziałam kogoś takiego... No cóż, panie. Twoja misja skończyła się właśnie.

– Nic nie uratujesz, pani – powtórzył starzec. – A gdy księżę pozna prawdę...

– Ale jaką prawdę? – zapytała, próbując zetrzeć z nadgarstka plamkę inkaustu. – Że go oszukałeś? Że miałam jechać do Jaru, chociaż zapewniałeś, że to niepotrzebne? A teraz tak samo zapewniasz, że nic mi nie grozi przy próbie wskrzeszenia Wstęgi. Jesteś tutaj taki prawdomówny jak poprzednio?

– Księżę nie uwierzy.

– O, więc znasz księcia lepiej ode mnie? Komu nie uwierzy? Kobiecie, którą kocha? I gdy już znikną powody, dla których powstał spór między nami? – Zaśmiała się krótko. – Dostyc już.

Klasnęła w ręce. W pokoju natychmiast pojawiła się Lenea.

– Przywołaj Norwina.

Garbus rozejrzał się, jakby szukając drogi ucieczki. Ale... był tylko kaleką, za jedyną broń mającym swoją wiedzę i słowa.

Norwin i czterej najemnicy Wereny wkroczyli do pokoju i natychmiast został pochwycony – każdy z tych żołnierzy pokonałby go bez niczyjej pomocy. Namiestniczka patrzyła, nie kryjąc zadowolenia. Zbliżyła się i szepnęła mu w samo ucho:

– Wiem, co myślisz, nieśmiertelny. O tak, ja też potrafię czytać w myślach, a może tylko w oczach... Wiem, co myślisz. Ale gmach Trybunału zostanie zdobyty, zburzony i spalony, a ja dopilnuję, by go nigdy nie odbudowano. A wiesz, gdzie ty będziesz, panie? Otóż pod gruzami, pięknie zamurowany w jednej z piwnicznych cel. Są tu wspaniałe lochy, w których trzyma się takich jak ty. Przygotowałam dla ciebie coś naprawdę, naprawdę, naprawdę specjalnego... Godnego nieśmiertelności.

Szeptala zupełnie bezgłośnie, prawie nie poruszając ustami. Ale widział jej myśli... i widział nieskończoność, którą mu obiecała.



## EPILOG



Zapadła noc. Ostatnia, której nadejście dane mu było oglądać.

Na dnie posępnej rozpadliny, wypełnionej nieustannym zawodzeniem wiatru, umierał bezradny kaleka, zwący się Ostatnim i Jedynym. W jednym ciele, w jednym umyśle i duszy, zjednoczono kiedyś wszystkie treści, symbolizujące największe Pasma Szerni. Rozumienie tych treści dawało ogromną siłę, a przecież na koniec owa siła zabarwiła się czystym szyderstwem. Heneghel Get mógł uczynić to tylko, co leżało w mocy Pasma, które ucieleśniał i symbolizował. Mógł więc – czasem – widzieć rzeczy, dziejące się o całe mile dalej. Mógł ranić, a czasem zabijać dotykiem. Wyrzekłszy kilka słów, mógł pozbawić kogoś pamięci... Mógł wiele.

Lecz nie mógł chodzić. Ciało, w którym zamykała się tak wielka potęga, było okaleczone. W żaden sposób nie umiał go uzdrowić.

Ostatni i jedyny z żyjących na świecie sępów, nosiciel treści Szerni, przyobleczony w człowiecze ciało, mógł w obronie Wstęgi Aleru pozabijać przybyłych do Jaru intruzów. Ale nie mógł pokonać wojska, które nie przybyło, bo rozsądnie trzymało się z dala.

Nie mógł nawet uciec i przeczekać.

Bo był tylko kaleką. Beznogim mężczyzną, uwięzionym pośród górskich szczytów i grani. Mogącym pełzać na rękach, lecz zupełnie niezdolnym do sforsowania najmniejszej rozpadliny albo ściany.

Górska stanica, celowo przecież założona w dzikim, niedostępnym miejscu, nazywana była Jarem, ale czasem także Bezpowrotem...

Heneghel Get wiedział już, ile przewrotności i szyderstwa kryje się w tej nazwie.

Spotkało go to samo, co garbatego Strażnika Praw Całości: został żywcem zamurowany. Inaczej, a zarazem tak samo. Silne oddziały armektańskich łuczników wcale nie przyszły po to, by z nim walczyć. Żołnierze obsadzili wszystkie, nawet te najbardziej karkołomne wiodące do Jaru szlaki i cierpliwie czekali. Nic więcej. Zrazu nawet nie wiedzieli, czego strzegą. Pilnowali tylko, by nikt nie mógł przedostać się do wioski.

Żaden człowiek, żaden oddział. Nikt.

Minęły trzy miesiące. Przedziwna istota, zrodzona i trwająca tylko po to, by oddać życie w imię przyszłości świata, konała z głodu jak pies.

Treści Szerni były nieśmiertelne. Inaczej niż ciało, w którym je zamknięto. Gorzej, bo utrzymanie treści Pasm zużywało siły w niebywałym tempie. Musiał jeść więcej niż inni.

Heneghel Get rozumiał dużo, a z każdym mijającym dniem więcej. Zamknięta w nim siła Pasma pozwalała czasem pochwycić myśli i rozmowy żołnierzy – hen! daleko strzegących górskich ścieżek i przełęczy. Czasem widział świat ich oczami. Czasem słyszał to, co słyszeli oni... Ułożony z małych kawałeczków obraz był już prawie kompletny. Heneghel Get zrozumiał, że Odrzucony nie przyjdzie. Pojął też, że Książę Przedstawiciel Cesarza nie odwoła łuczników do Grombu; zamiast tego otrzymali posiłki. Na koniec nieszczęsnemu kalece zaczęło się wydawać, że rozumie, dlaczego zdarzyło się to, co się zdarzyło.

Wyczerpawszy zapasy żywności, głodował. Kiedyś zdołał narzucić swoją wolę przywódcom wielu zbójeckich oddziałów. Przybywali czasem do wioski i przynosili prowiant. Ale wojna z licznym armektańskim wojskiem, patrolującym okolice Jaru, była ponad siły górskich rzezimieszków.

Przychodzili koci zwiadowcy. Od jak dawna – nie wiedział. Kocich myśli nie umiał pochwycić, a w ciemnościach niewiele mógł zrobić. Ukrywał się więc każdej nocy, korzystając z Pierścienia Uludy.

Raz usłyszał kaszlący koci śmiech. Ten kot dobrze wiedział, czego się spodziewać, i nie polegał na oczach. Odkrył go węchem, a najpewniej słuchem.

Pojawiły się majaki i wizje, zrodzone z wycieńczenia i głodu. Kaleka bronił się przed utratą sił i rozumu. Próbował przetrwać za wszelką cenę, jedząc ohydne resztki śmierdzącego trupiego mięsa, które leżało w jaskini. Ale ludzkie ciało, w którym był uwięziony, odrzuciło pokarm, który uratowałby... sępa. Ostatnie, bezmierne szyderstwo.

Czasem płakał, tęskniąc za lotem.

Kiedyś – latał...

W ostatnich chwilach życia Heneghel Get pojął, czym jest słabość. Wiedział już, że nie wypełni swojej misji. Rozumiał, że umiera. I z męczennika-bohatera na powrót stał się zwykłą, mającą zwykłe smutki i radości istotą. Ostatnim jego wielkim, nieczyszczalnym pragnieniem było tylko na chwilę, na jedną, krótką chwilę wzbić się w chmurne grombelardzkie niebo. Heneghel wiedział to, o czym dawno zapomniały żyjące tu, na dole, istoty: wiedział, że nad chmurami jest słońce... I tak bardzo, bardzo chciał je zobaczyć raz jeszcze.

Zapadła noc. Ostatnia noc umierającego zbawiciela świata.

Odchodząc, Heneghel Get zrozumiał, że nie dokonał w życiu niczego.

Niczego, za co warto by umierać. Bez względu na to, w co wierzył i ku czemu zmierzał, nie uczynił w swym życiu nic dobrego, czy chociażby tylko właściwego. Wielkie cele uświęcają środki, ale tylko wówczas, gdy się owe cele osiągnie. Przez całe życie Heneghel czynił zło – w imię dobra co prawda, ale dobra, które się nie spełniło.

Umierając, zapragnął gorąco uczynić coś dobrego. Znaleźć jakikolwiek cel, choćby mały i nieistotny, ale taki, który mógłby osiągnąć. Przyszła mu na myśl istota, której nienawidził. Istota, którą zabił nie tylko z obowiązku, ale także dla przyjemności. I w ostatnim momencie swego życia zapragnął zrozumieć ją i przebaczyć...

Przebaczyć.

Pomyślał, że jeśli osiągnie choć tylko tyle, będzie mógł odejść z przekonaniem, iż dokonał w życiu... czegoś. Wywołał z pamięci twarz Łowczyni – i chciał, naprawdę chciał przebaczyć. Przebaczyć tej, która przez całe swoje życie zabijała jego braci, nawet nie próbując zrozumieć, za co właściwie zabija i kogo. Przebaczyć tej... która dotrzymała swej ostatniej przysięgi, bo go pokonała i zniszczyła jego wielką misję; bo to jej miecz pozbawił go nóg i uniemożliwił wyjście z Jaru. Gorączkowo szukał w sobie przebaczenia dla niej..

Nie znalazł. I odszedł z pustymi rękami.



*Jej Królewska Wysokość N.R.M. Werena  
Księżna Przedstawicielka Cesarza  
w Grombie*

*Wasza Wysokość,  
najpierw powiem, jak niezwykle radość sprawił mi Twój list! Najbardziej  
dlatego, Pani, iż dowiaduję się żeń, że cieszysz się dobrym zdrowiem, co  
w czasach rozpalającej się drugiej wojny dartańskiej, gdy wszyscy chcą  
wojować ze wszystkimi, jest wieścią o ogromnej wartości. Tym bardziej  
boleję, że nie zdołam chyba sprostać Twojej prośbie, choć nie poskąpię  
starań. Otóż, Wasza Wysokość, jakkolwiek miłość własną starego  
człowieka mile łechce okazane zaufanie, to człowiek ten musi powiedzieć,  
że zbyt wiele po nim oczekują. Bo i czegoż żąda od badacza Praw Całości  
Jej Wysokość N.R.M. Werena? Rzeczy niemożliwej: oto badacz ów ma zająć  
się materią baśni i legend, spisanych przez kogoś, kto z kolei czerpał  
wiedzę z nie wiadomo jakich źródeł i od jakich świadków. Wydarzenia,  
których sam byłem uczestnikiem, znam dobrze, a może nawet zbyt dobrze,  
bo nie poznaję wielu słów, które jakoby wyrzekłem... Inne wydarzenia,  
Pani, Ty z kolei sama osądzisz i nikt nie uczyni tego lepiej. Lecz  
w posłanych mi tomach (a jest to dzieło monumentalne i nie kryję swego  
podziwu!) takich zdarzeń opisano niewiele. To nie o nas jest ta historia.  
Przyjdzie nam, Wasza Wysokość, odebrać bardzo niezwykle, lecz tym  
bardziej cenną lekcję pokory: otóż trzeba sobie powiedzieć, że zarówno Ty  
sama, Córka Imperatora i wicekrólowa Drugiej Prowincji, jak i ja, jeden  
z wielu przyjętych przez Szerni, jesteśmy tylko małymi fragmentami  
największej grombelardzkiej legendy, o której pamięć przetrwa długo po  
tym, jak żadnego z nas nie będzie już na świecie. Historia wspomni*

zapewne Twoje imię, Pani, w Księdze Całości zaś pozostanie moje – lecz o samotnej armektańskiej łuczniczce, którą Ciężkie Góry uznały za swą część, pamięć przetrwa wieki. Wieści o niej całe pokolenia przebiegaczy gór przekazywać sobie będą z ust do ust, a każdy, kto wybierze się do masywu Medevenu, ujrzy Łuczniczkę, najpiękniejszą i najbardziej niezwykłą ze wszystkich gór Szereru. Nie wiem, kto tak nazwał jeden z bezimiennych dotąd szczytów Korony, lecz potwierdzam, że widziany z oddali przywodzi na myśl sylwetkę siedzącej kobiety z łukiem położonym w poprzek kolan.

A teraz już, Wasza Wysokość, gotów jestem służyć Ci opinią, choć raz jeszcze powiem, że nie trzeba moim sądom ufać bez zastrzeżeń; na zbyt kruchych oparte są podstawach.

Wasza Wysokość, w żaden sposób nie zdołam przedstawić tutaj praw rządzących Szernią i Szererem, jest to zresztą niemożliwe, bo choćbym zapisał tysiąc kart, nie przekażę tego, co czuję, a co nie da się nigdy ubrać w słowa. Przecież lah'agar, co znaczy dosłownie „część odnaleziona”, to właśnie Przyjęty, Przyjęty przez Pasma, Pani, stanowiący ich część symbolicznie, ale także, w jakiejś mierze, dosłownie. Powiadając Ci, czym jestem, musiałbym opisać samą Szernią, czy choćby tylko jej część, a ściśle uczynić to można w jednym tylko języku: języku matematyki. Tak samo rzecz wygląda, gdy trzeba opisać reguły rządzące Szernią albo liczne od tych reguł wyjątki. Powiem najprzystępniej, jak potrafię: nie wiadomo właściwie, co dokładnie zaszło, gdy złamane zostały Prawa i Pasma lokalnie zaburzyły równowagę świata, by przekazać młodej Armektance oczy starego żołnierza, choć jest wzór ogólny, takie fenomeny (fluktuacje Pasm) opisujący. Przekazanie daru tego legionisty jest zdarzeniem bez wątpienia prawdziwym, lecz choćbym otrzymał wszystkie potrzebne wartości wyjściowe i z pomocą matematyków Szerni podstawił do właściwego wzoru, to wywód miałby wartość dowodu matematycznego, a więc byłby cenny dla badacza Pasm i niestety, dla nikogo innego. Boję się, że pisząc w ten sposób, znużę Waszą Wysokość, musisz więc wybaczyć mi, Pani, wszystkie dalsze uogólnienia.

Największe wątpliwości, Pani, wzbudza we mnie historia, którą Twój kronikarz i gawędziarz opatrzył tytułem „Czarne miecze”. Zbierzmy najpierw same fakty. Otóż Łowczyni, albo lepiej jej godność A.J.Karenira, później zaś A.B.D.Karenira, bo przyjęła monogramy rodu męża, została żoną człowieka z rycerskiego, a właściwie magnackiego Domu, wiemy to na pewno. Spotkała go w Ciężkich Górach, gdzie ten niezwykły i chyba szczerze kochający ją mężczyzna, dziś niestary przecież i, o ile mi wiadomo, cieszący się dobrym zdrowiem, trafił z jakichś powodów. Bo to już jest wszystko, Pani, co wiemy na pewno, a powiem nawet więcej: cała reszta tej historii to, w moich oczach, grombelardzko-dartańska legenda, gdzie zmyślenia i przemilczenia postawione są jedne na drugich. Najpierw

powiem, a Wasza Wysokość wie to zresztą lepiej ode mnie, że historia porwania pięknej siostry Baylaya, jej wysokości A.B.D.Leyny, została wyssana z palca. Jest zupełnie niemożliwe, by kobieta z takiego rodu zniknęła nagle ot, tak sobie, wywieziona dokądś przez kogoś. To jeden z najznacześniejszych Domów Rollayny... i przebac, lecz znów przyłapuję się na myśli, że Ty, Księżno, wiesz o tym lepiej ode mnie. Sprawa była w Rollaynie kiedyś bardzo głośna; aż tak głośna, że usłyszał o niej nawet zakopany w swoich księgach lah'agar, gdy opuścił na krótko swą samotnię. Powiadano wtedy rzeczy bardzo różne, a ze wszystkich pogłosek najbardziej podobna do prawdy, bo trochę znam Dartan, jawi mi się ta, że jej godność Leyna uknuła pewną intrygę wspólnie ze swoim kochankiem, jak słyszałem: istotnie wysokim oficerem gwardii, i zdaje się, że w samej rzeczy dokądś z nim uciekła, najbardziej zaś chodziło o pogrążenie osób trzecich. Daruj mi, Wasza Wysokość, lecz knowania tego rodzaju nigdy mnie nie zaprzętały, więc umiem powiedzieć tylko tyle, bo niczego więcej nie pamiętam. Ale wydaje mi się jeszcze (nie przysięgnę), że zaginięcie Leyny po dziś dzień nie zostało wyjaśnione. Teraz dalej: w świetle tego, co już powiedziałem, wyprawa przez pół Szereru, opisana tak pieczołowicie, nie zadziwia. Otóż, Księżno, wiesz, że całkiem niedawno przebyłem połowę tej drogi, jadąc w odwrotnym kierunku, i powiem najkrócej: uważam, że piękna pani Leyna nie przeżyłaby trudów podróży, choćby nawet niesiono ją w lektyce.

Na koniec już tylko dodam, że w tej zupełnie niewiarygodnej historii zachowanie cesarskich gwardzistów nie dziwi, szkoda więc czasu na kręcenie głową, iż to była chyba jakaś banda zbójców. Wiesz, Pani, jak i ja wiem, że za dziesiątą część tych uczynków wszyscy ci żołnierze zostaliby wydaleny z legii, a niektórzy trafili prosto na stryczek. Co w tej części opowieści jest prawdą? Otóż rzeczywiście, jakiś czas temu rozbity został w Grombelardzie elitarny oddział wojskowy. I znowu wypada powiedzieć: nie pierwszy i zapewne nie ostatni. Ocalali żołnierze płatali się w zeznaniach, słyszałem tylko pogłoski i plotki. Znowu powiem: jesteś, Księżno, osobą, która ma dostęp do wszystkich archiwów. Jeśli w tym oddziale doszło do buntu, to Legia Grombelardzka na pewno zatuszowała sprawę, ale dotrzesz do właściwych dokumentów, jeśli zechcesz.

Teraz może pora nareszcie, bym powiedział o tym, czego możesz, Księżno, nie wiedzieć: więc o Dorlanie-Przyjętym i jego rozmowie z Brulem. Obaj mędracy Szerni niewątpliwie wiedli pewien spór, lecz zarówno ich spotkanie, jak i samą materię sporu, Twój kronikarz przedstawił w dobrej wierze i niewątpliwie dokładając starań... wszakże nie wiem, na czym się opierał? Obaj wielcy Przyjęci nie żyją, a świadkiem ich ostatniej rozmowy był najwyżej stary zamek Shergardów, co istotnie może odpowiadać prawdzie. Z listu Waszej Wysokości zrozumiałem, że kronikarz dotarł do jego godności Baylaya, ten zaś, nawet jeśli wiele

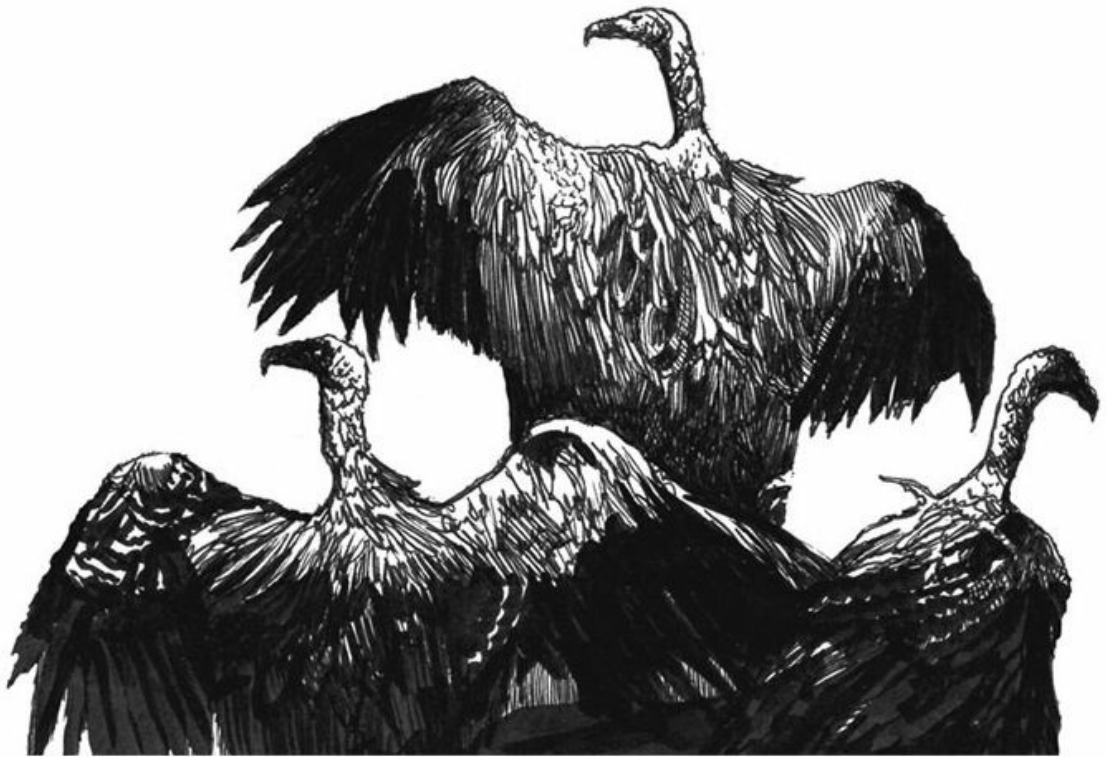
przemilczał, a może nawet kłamał z jakichś przyczyn, to akurat o ruinach Shergardów, wcale licznych w Romogo-Koor, zmyślać chyba nie musiał. Lecz dziwi mnie trochę, że Brul już wtedy przemyślał o stopieniu Wstęg Aleru z Pasmami Szerni. Czy nie sądzisz, Wasza Wysokość, iż kronikarz odtworzył w swym umyśle tę historię, opierając się na zdarzeniach późniejszych? A znał je ze źródła najpewniejszego z możliwych, bo od głównej bohaterki tych zdarzeń: od Jej Wysokości Wereny... Przyznam zresztą, że wszelkie motywy i powody Brula, pokazane tak, jak je przedstawił Twój kronikarz (a wliczam w to i moje własne, zbyt pochopne sądy), wydają mi się dzisiaj cokolwiek wydumane, a niewątpliwe szaleństwo wielkiego Przyjętego niczego tu nie wyjaśnia.

Na sam koniec, Wasza Wysokość, powiem jeszcze o innych historiach, spisanych w tych dwóch wielkich tomach. Otóż, bez wątpienia, wiele jest tam wydarzeń, które działy się głównie w wyobraźni Twego kronikarza, wszakże gotów jestem go bronić. Bo wydaje się, że poza historią opisaną pod tytułem „Czarne miecze” i gdy uwzględnić, co rzekłem o powodach Brula, cała reszta łatwo mogła się wydarzyć. Na potrzeby narracji, bo żądałaś przecież, by historię o życiu Łowczyni przedstawić na wzór starej armektańskiej sagi, pracowity i biegły w swej sztuce dziejopis musiał wyobrazić sobie wiele zdarzeń, lecz wydają się one niezmiernie prawdopodobne. Nie warto więc chyba kłócić się o słowa, które Twoja słynna już za życia przyjaciółka wyrzekła do kogoś w cztery oczy. Tak samo nie warto domniemywać, czy ze wszystkich strasznych znalezisk w wiosce Jar wyczytano samą prawdę, czy tylko coś do niej podobnego. Bez względu, Księżno, na wszystkie wątpliwości, także te najważniejsze, które Waszej Wysokości przedstawiłem, mamy do czynienia z nieśmiertelną grombelardzką legendą, największą, o jakiej sływały Ciężkie Góry. Legendą, która oto, dzięki Twoim staraniom, żyje nie tylko w ustnych przekazach, lecz została uwieczniona w tych dwóch księgach.

Bądź zdrowa, Władczyni Świata, i nie zapomnij o starym człowieku z krzywą twarzą, który zawsze jest Ci życzliwy i w miarę sił pospieszy na wezwanie, gdy go będziesz potrzebowała.

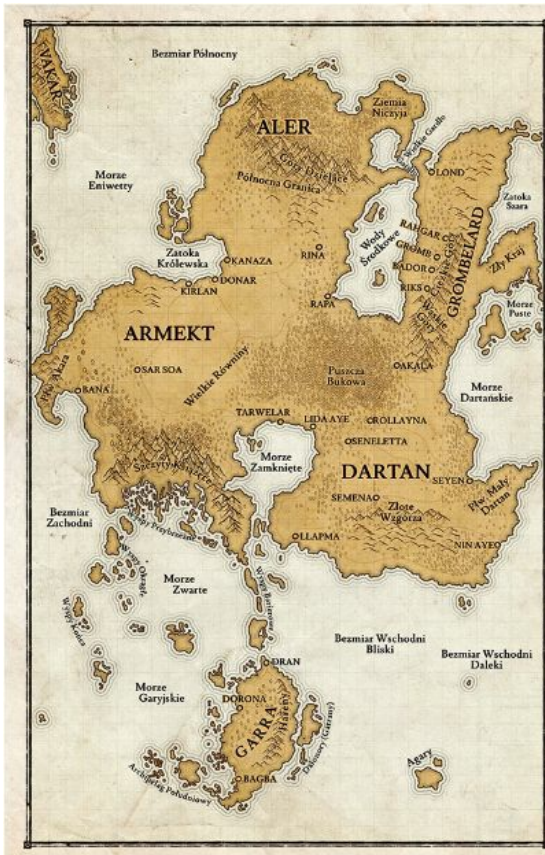
Gotah-lah'agar (Przyjęty)

KONIEC











## Feliks W. Kres

Urodzony 1 czerwca 1966 r. w Łodzi.

Debiutował w 1983 r. opowiadaniem „Mag” nadesłanym na konkurs miesięcznika „Fantastyka”.

Od tego czasu opublikował kilkadziesiąt opowiadań i 13 dłuższych form, zyskując oddane grono wiernych wielbicieli.

Czytelnicy pokochali jego opowiadania i powieści o Szererze, ale zanim doczekali się ukończenia Księgi Całości, autor ogłosił w 2010 r., że zawiesza działalność na czas nieokreślony. Był to długi urlop, niemniej właśnie się skończył i niebawem autor powróci z dwiema zupełnie nowymi książkami, które zamkną cykl, a Księga Całości wreszcie stanie się kompletna!

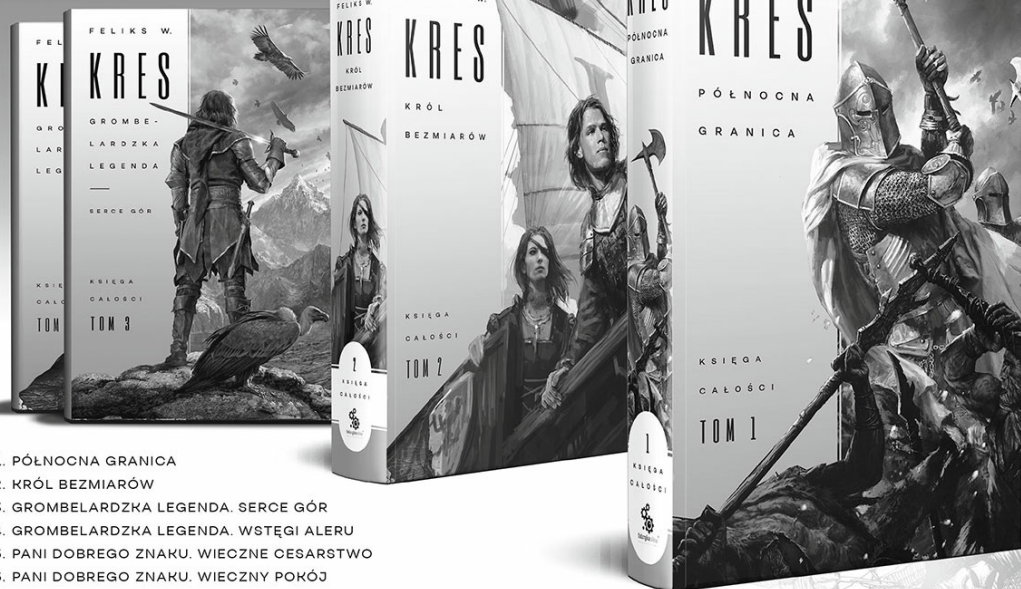
Wieszczymy, że przyniesie to autorowi wiele satysfakcji, gdyż jak sam o sobie mówi, jest porządnym rzemieślniczym majstrom i tak też podchodzi do swojej twórczości: „Byłem uczniem, potem czeladnikiem, teraz, po dwudziestu latach, mam już własny warsztat. Gdybym był krawcem, to na ścianie domu wisiłaby szyld o treści: Krawiectwo lekkie. Mistrz Feliks W. Kres”. Taki profesjonalizm został wielokrotnie doceniony przez krytyków i czytelników, przynosząc autorowi szereg nagród, w tym Nagrodę im. Janusza A. Zajdla dla Najlepszej Powieści Roku za powieść „Król Bezmiarów” (1992).

A co później? Może kolejny tom z serii „Piekło i Szpada”, którą Feliks stworzył z tęsknoty za klasyczną powieścią awanturniczą? Może kolejny tom znakomitych felietonów nonfiction?

Tego jeszcze nie wiemy, ale wiemy jedno – już nie możemy się doczekać!

Masz pytanie do autora? Pisz na [www.felixkres.pl](http://www.felixkres.pl)

# KSIĘGA CAŁOŚCI W CAŁOŚCI



1. PÓLNOCNA GRANICA
2. KRÓL BEZMIARÓW
3. GROMBELARDZKA LEGENDA. SERCE GÓR
4. GROMBELARDZKA LEGENDA. WSTĘGI ALERU
5. PANI DOBREGO ZNAKU. WIECZNE CESARSTWO
6. PANI DOBREGO ZNAKU. WIECZNY POKÓJ
7. PORZUCONE KRÓLESTWO
8. ŻEGLARZE I JEŹDZCY
9. TAROZA SZERNI
10. SZERNI I SZERER



**SROGIE  
DODATKI  
DO ULUBIONYCH  
LEKTUR**



**ZAMAWIAJ NA  
WWW.STEELHOG.PL**

COPYRIGHT © BY Feliks W. Kres  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2021

WYDANIE I  
ISBN 978-83-7964-688-3

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA  
Eryk Górski  
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE  
Sergey Shikin

PROJEKT OKŁADKI  
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE  
Przemysław Truściński

MAPA  
Paweł Zaręba

REDAKCJA  
Dorota Pacyńska

KOREKTA  
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
www.dressler.com.pl  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 2519

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](https://www.facebook.com/fabryka)

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

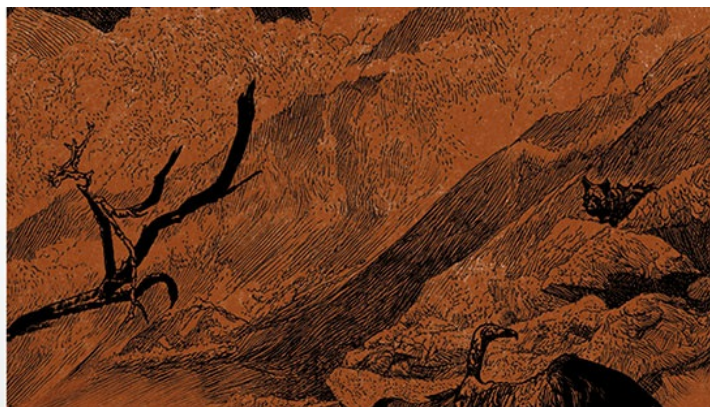
FELIKS W.

# KRES

GROMBELARDZKA

LEGENDA

—  
WSTĘGI ALERU



Wstęgi Aleru  
wciąż wiszą nad Grombelardem.  
Nieuchronnie nadciąga kolejna Wojna Potęg.  
Dziś, jutro, a może za tydzień, gdzieś pośród  
smaganych wiatrem i deszczem szczytów,  
ożyje wroga siła. Ciężkie Góry po raz drugi  
w swej historii popękają od ciosów,  
będą się rozpadać, płonać...

Każda kraina ma swoje legendy.  
Wśród szarych skał, w mokrych i ciemnych  
jaskiniach, śpiewa się o Królu Gór, niepokonanym  
olbrzymie powalającym wrogów samą siłą  
swego spojrzenia. O jego wiernym towarzyszu,  
wielkim kocie gadba, który okazywał szacunek  
wrogom. O małej Armektance, której  
przeznaczeniem było w tych górach umrzeć,  
a jednak pokochała je całym sercem,  
a Ciężkie Góry pokochały ją. O zdradzie,  
najpodlejszej z możliwych, a jednak niezbędnej.  
O poświęceniu całego gatunku, które miało  
zmienić losy świata. Tak, to wszystko  
legendy. Ale bez legend Grombelard  
to tylko deszcz i wiatr.

FELIKS  
KRES  
.PL

4

KSIĘGA  
CAŁOŚCI



fabrykaslow.com.pl